

JOHN FLANAGAN

AUTOR BESTSELLEROWEJ SERII **ZWIADOWCY**



DRUŻYNA

WYRZUTKI

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

JOHN FLANAGAN



KSIĘGA PIERWSZA

WYRZUTKI

Tłumaczenie
Zuzanna Byczek



Spis treści

DEDYKACJA

CZEŚĆ 1 OBIETNICA

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

CZEŚĆ 2 „CZAPLA”

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

CZEŚĆ 3 DRUŻYNA

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

ROZDZIAŁ 35

[ROZDZIAŁ 36](#)

[CZEŚĆ 4 WYRZUTKI](#)

[ROZDZIAŁ 37](#)

[ROZDZIAŁ 38](#)

[ROZDZIAŁ 39](#)

[ROZDZIAŁ 40](#)

[ROZDZIAŁ 41](#)

[ROZDZIAŁ 42](#)

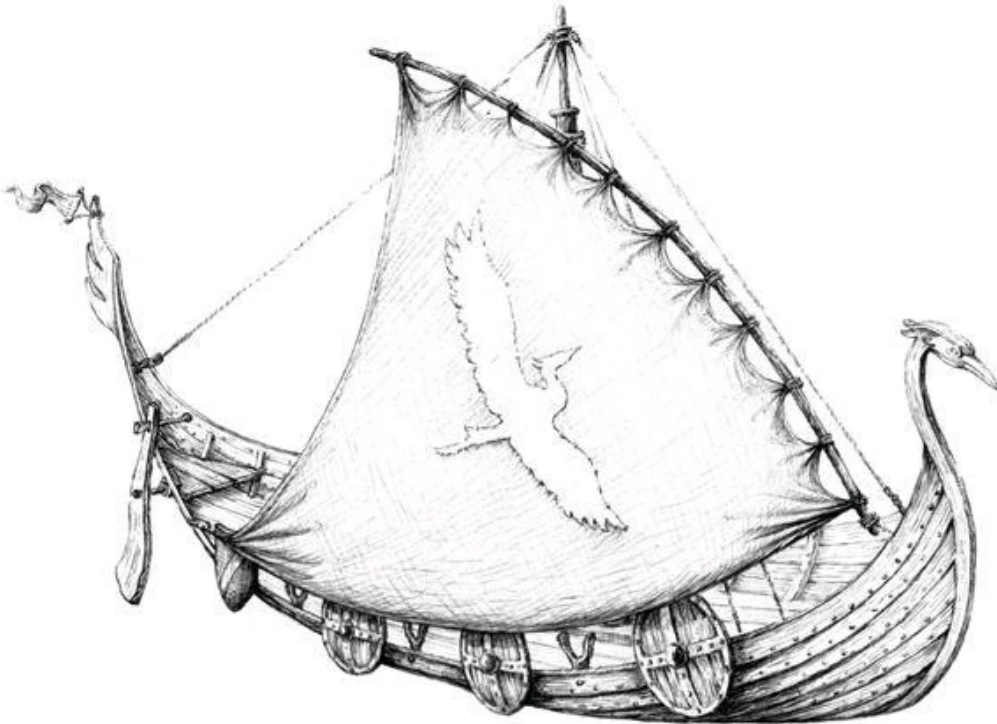
[ROZDZIAŁ 43](#)

[ROZDZIAŁ 44](#)

[METRYCZKA KSIĄŻKI](#)

*Mojej drużynie: Maxowi, Konanowi,
Alexowi i Henry'emu*

CZĘŚĆ 1



OBIETNICA

ROZDZIAŁ 1

Dwanaście lat wcześniej

„Wilczy Wicher” wychynął z porannej mgły niczym widmo, powoli przybierając coraz wyraźniejszy kształt.

Ze zwiniętym żaglem, napędzany siłą zaledwie czterech wiosł, sunął powoli w kierunku lądu. Wioślarze ostrożnie dzierżyli wiosła, za każdym pociągnięciem unosząc je zaledwie kilka centymetrów nad powierzchnię wody, by zminimalizować odgłos spadających kropel. Należeli do najbardziej doświadczonych z ludzi Eraka, doskonale wiedzieli, jak podpłynąć niepostrzeżenie do wrogich brzegów.

A w sezonie najazdów każdy brzeg był wrogi.

Dzięki ich umiejętnościom słychać było jedynie ciche „plusk, plusk” drobnych fal rozbijających się o drewniany kadłub. Na dziobie siedzieli w kucki Svengal i dwaj inni członkowie załogi w pełnym rynsztunku, czujnie wpatrzeni w zatartą linię, tam gdzie woda spotykała się z ziemią.

Svengal pomyślał, że brak wysokich fal z jednej strony ułatwia im sprawę, ale z drugiej – trochę hałasu by nie zaszkodziło. Poza tym było ciemno, a biała linia, tworzona przez wodę rozbijającą się o brzeg, wskazałaby im drogę. W tym momencie dojrzał linię lądu i uniosł zaciśniętą pięść.

Erak, stojący na rufie przy wiosle sterowym, patrzył, jak jego zastępca pokazuje pięć palców, potem cztery, trzy – mierząc odległość dzielącą ich od lądu.

– Do wiosł!

Erak wypowiedział te słowa zwyczajnym tonem, który w niczym nie przypominał ryku, jakim zwykle posługiwał się, wydając polecenia. Mikkel, bosman, który stał na śródpokładziu, przekazał rozkaz wioślarzom. Cztery wiosła uniosły się jednocześnie prędkim ruchem i obróciły piórami do pionu, tak by ściekająca z nich woda spłynęła na pokład, a nie do morza – znów po to, by nie robić niepotrzebnie hałasu. Kilka sekund później okręt miękko zarył dziobem w piach. Erak poczuł lekkie drżenie pod stopami.

Svengal i jego dwaj towarzysze zeskoczyli z dziobu i wylądowali na mokrym piasku miękko niczym koty. Svengal chwycił niewielką kotwicę w kształcie łopatkę, przeszedł kilka kroków, naciągnął cumę i wetknął kotwicę w piasek.

„Wilczy Wicher” obrócił się lekko pod musnięciem łagodnej bryzy.

Tymczasem dwaj pozostali mężczyźni ruszyli w głąb plaży i rozeszli się w przeciwnych kierunkach, wypatrując oznak ewentualnego zagrożenia.

– Lewa czysta!

– Prawa czysta! – krzyknęli.

Nie musieli już zachowywać ostrożności. Svengal sprawdził przypisany sobie obszar i dodał:

– Z przodu czysto!

Erak skinął głową z zadowoleniem. Nie spodziewał się wprawdzie komitetu powitalnego w formie uzbrojonych wojów, ale ostrożności nigdy za wiele. Właśnie dzięki takim działaniom jego wyprawy niemal zawsze kończyły się sukcesem, a straty w ludziach okazywały się niewielkie.

– W porządku – powiedział, zdejmując tarczę z nadburcia. – Ruszamy.

Prędkim krokiem przeszedł na dziób, gdzie już umieszczono drabinę. Zawiesił topór bojowy na rzemieniu przy pasie i zszedł na plażę. Reszta załogi uformowała szereg i poszła w jego ślady. Nie potrzebowali rozkazów, robili to nie pierwszy raz.

Svengal dołączył do nich i oznajmił:

– Żywej duszy, kapitanie.

– Zgodnie z oczekiwaniami – burknął Erak. – Wszyscy powinni znajdować się w Alty Bosky.

Wypowiedział nazwę we właściwy sobie sposób, nie dbając o subtelności iberyjskiej wymowy. Miasto nazywało się tak naprawdę Alto Bosque, był to niewielki ośrodek handlowy, leżący dziesięć kilometrów na południe od miejsca, w którym się znajdowali, na wysokim zalesionym wzgórzu, od którego wziął nazwę.

Poprzedniego dnia siedmiu ludzi skirła popłynęło tam skifem i dokonało błyskawicznego najazdu, by zaraz wycofać się na nabrzeże. W Alto Bosque brakowało garnizonu, z miasta wysłano jeźdźca do Santa Sebilli, gdzie trzymano niewielki oddział żołnierzy. Erak liczył właśnie na to, że żołnierze zostaną wysłani do Alto Bosque, dzięki czemu oni bez przeszkód splądrują Santa Sebilli.

To również było niewielkie miasto, chyba nawet mniejsze od Alto Bosque, słynęło jednak z wysokiej jakości biżuterii. Przyciągało artystów i rzemieślników i szybko stało się centrum wyrobów artystycznych ze złota i drogich kamieni.

Erak, jak większość Skandian, nie dbał szczególnie o sztukę i rzemiosło, bardzo za to lubił złoto i wiedział, że w Santa Sebilli znajduje się go pod dostatkiem – znacznie więcej, niż można by się spodziewać po tak niewielkiej miejscowości. Artyści i rzemieślnicy stale potrzebowali nowych dostaw materiału do pracy – srebra, złota i szlachetnych kamieni. Erak był gorącym zwolennikiem redystrybucji dóbr – o ile redystrybucja odbywała się w jego kierunku – i planował tę wyprawę w szczególności od kilku tygodni.

Obejrzał się. Czterech członków załogi zostało pilnować okrętu, reszta szła za nim w głąb lądu. Skinął głową, zadowolony, że wszystko przebiega jak należy.

– Poślij zwiadowców przodem – polecił Svengalowi, który ruchem dłoni nakazał dwóm mężczyznom wysunąć się przed resztę.

Pas plaży przeszedł w linię niskich krzewów i drzew. Zwiadowcy wbiegli między zarośla, zlustrowali wzrokiem okolicę, po czym skinieniem przywołali resztę załogi. Teren był płaski, ale jakieś dziesięć kilometrów dalej wyrastały niewysokie wzgórza. Pierwszy różany blask pojawił się nad szczytami. Erak stwierdził, że są nieco spóźnieni w stosunku do planu. Chciał dotrzeć do miasta przed wschodem słońca, by zaskoczyć mieszkańców jeszcze zaspanych, otulonych ciepłą pościelą i nieprzygotowanych na wyzwania nowego dnia.

– Pospieszmy się – rzucił i drużyna ruszyła truchtem, w dwóch kolumnach. Zwiadowcy zostali z przodu, jakieś pięćdziesiąt metrów przed nią. Wprawdzie przy takim ukształtowaniu terenu nie mógłby zaskoczyć ich oddział uzbrojonych ludzi, Erak wolał jednak zachować wszelkie środki ostrożności.

Na znak zwiadowców wspięli się na niewielkie wzniesienie. Miasto rozciągało się u ich stóp.

Budynki z glinianej cegły, bielone wapnem, później, w promieniach gorącego iberyjskiego słońca, miały załsnąć niemal oślepiającą bielą, lecz teraz, w łagodnym blasku świtu wyglądały na bezbarwne, szare i całkiem zwyczajne. Miasto zbudowano bez planu, domy po prostu wyrastały latami tam, gdzie ich właścicielom to odpowiadało. W rezultacie powstała chaotyczna mieszanina krętych alejek, porozrzucanych tu i ówdzie budowli i przedziwnie poprowadzonych ulic. Erak nie dbał jednak o to. Interesowała go wyłącznie składnica – duży budynek na skraju miasta, w którym trzymano klejnoty i złoto.

Odnalazł ją wzrokiem. Wyższa od reszty budynków, z solidnymi drzwiami o mosiężnych okuciach. Normalnie, jak Erak wiedział, powinny stać przy niej straże, lecz najwidoczniej jego plan się powiódł i w mieście nie było wojska. Jedyne zagrożenie mógł stanowić niewielki zamek, leżący na skale może kilometr od miasta. Zapewne znajdowali się tam uzbrojeni woje. Zamek należał jednak do jakiegoś iberyjskiego bogacza. Erak, na podstawie znajomości natury tutejszych możnych, wyniosłych snobów, miał prawo sądzić, że władca zamku i jego ludzie starają się mieć jak najmniej do czynienia z mieszkańcami Santa Sebilli. Zapewne handlowali z nimi, lecz z pewnością nie zamierzali mieszać się w ich sprawy ani narażać w ich obronie.

Skandianie przemierzali miasto, kierując się w stronę składnicy. Z jakiejś bocznej uliczki wychynął zaspany mieszkaniec, prowadząc osła, obładowanego do niemożliwości ciężkim drewnem na opał. Mężczyzna w pierwszej chwili nie zauważył grupy uzbrojonych wilków morskich o groźnych obliczach. Nagle jednak jego oczy rozwarły się szeroko, a szczeka opadła. Zamarł w miejscu, wpatrzony w oddział obcych. Erak dostrzegł kątem oka, że dwóch jego ludzi odłączyło od reszty. Ale sprzedawcy drewna na opał nie musieli się raczej obawiać.

– Zostawcie go – rozkazał i mężczyźni dołączyli do pozostałych.

Na dźwięk głosu Eraka mieszkaniec miasta puścił postronek i cofnął się w głąb uliczki. Słyszeli odgłos jego nagich stóp na ubitej ziemi, kiedy oddalał się pośpiesznie.

– Otwórzcie drzwi – polecił Erak.

Mikkel i Thorn wystąpili przed resztę. Mikkel, którego ulubionym orężem był miecz, pożyczył topór od jednego z towarzyszy, i razem z Thornem zaatakowali ciężkie wrota. Ci dwaj byli najlepszymi z wojowników w drużynie Eraka. Jarl skinął głową z uznaniem, patrząc na ich wysiłki. Celnie wymierzali ciosy, każdy kolejny skutecznie powiększał szkody, spowodowane przez poprzednie, i już po chwili drzwi zamieniły się w stertę drzazg.

Mikkela i Thorni łączyła bliska przyjaźń. Zawsze walczyli ramię w ramię, wzajemnie osłaniali się z tyłu i z boków. Fizycznie bardzo się od siebie różnili, Mikkel był wyższy i smuklejszy od przeciętnego Skandianina, lecz silny i umięśniony. Poza tym zwinny jak kot. Thorn zaś, nieco niższy od przyjaciela, za to szerszy w piersi i barach, należał do najlepszych i najniebezpieczniejszych wojowników, jakich Erak kiedykolwiek spotkał. Często myślał sobie, że nie chciałby stanąć do walki z kimś takim. Nigdy nie widział, by przeciwnik Thorni uszedł z życiem. Mimo masywnej budowy ciała Thorn również potrafił poruszać się zaskakująco zwinnie i szybko.

Drzwi rozpadły się na dwie części. Erak otrząsnął się z zamyślenia.

– Bierzcie złoto – rozkazał i jego ludzie ruszyli do środka.

Aż pół godziny trwało pakowanie złota i srebra do worków. Wzięli, ile tylko mogli unieść, w składnicy pozostało pewnie drugie tyle.

„Może innym razem”, pomyślał Erak, choć wiedział, że kolejny najazd nie byłby tak prosty i bezkrwawy jak ten. Teraz żałował, że nie zabrali osła napotkanego sprzedawcy drzewa, na grzbiecie zwierzęcia mogliby przewieźć na okręt znacznie większe łupy.

Miasto już się zbudziło, z okien i zza rogów ulic spoglądały na nich zalęknione twarze. Mieszkańcy nie byli jednak wojownikami i nie zamierzali walczyć z groźnie wyglądającymi przybyszami z Północy. Erak skinął głową z zadowoleniem, kiedy ostatni z jego towarzyszy wynurzyli się z wnętrza składnicy, każdy obładowany dwoma workami, niewielkimi, lecz pełnymi kosztowności. Odetchnął, usatysfakcjonowany. To było łatwe. Łatwiejsze, niż przypuszczał.

Obciążeni łupem, nie mogli biec teraz tak szybko jak wcześniej. Co najmniej tuzin mieszkańców ruszył za nimi, jakby ludzie nie mogli tak po prostu rozstać się ze złotem i klejnotami, utrzymali

jednak bezpieczny dystans od najeźdźców, patrząc w beznadziejnej złości, jak wilki morskie znikają na ścieżce prowadzącej nad morze.

– Thorn, Mikkel, na tył. Dajcie znać, gdyby coś się działo – polecił Erak. Nie tracił czujności, nie zamierzał ignorować ewentualnego zagrożenia ze strony podążających ich śladem mieszkańców miasta.

Mężczyźni skinęli głowami i podali swe worki z łupami towarzyszom, po czym przeszli na tył i odczekali, aż odległość między nimi a resztą załogi wyniesie około dwudziestu metrów. Szli, odwracając się co chwila. Raz Thorn udał, że atakuje kilku, którzy jego zdaniem podeszli zbyt blisko. To wystarczyło, by czmychnęli w pośpiechu.

– Biedne króliczki – stwierdził Mikkel wzgardliwie.

Thorn uśmiechnął się krzywo i już miał dodać coś od siebie, gdy nagle zauważył jakiś ruch na tyłach rozproszonej grupki.

– Niektóre króliczki jeżdżą konno – stwierdził. Zatrzymali się.

Ścieżką między zaroślami zbliżało się ku nim pięciu jeźdźców. Poranne słońce lśniło w ich zbrojach i grotach oszczepów. Nadal znajdowali się w pewnej odległości od grupy mieszkańców miasta, lecz prędko pokonywali dystans. Słysząc już było słabe podzwanianie uprząży i oręża.

Thorn skierował wzrok na towarzyszy. Właśnie wkraczali do wąskiego parowu, za którym rozciągała się plaża. Gwizdnął przeciągle. Erak zatrzymał się i spojrzał w jego stronę, podczas gdy pozostali kontynuowali marsz.

Thorn wskazał jeźdźców. Niepewny, czy Erak dostrzegł ich ze swego miejsca, uniósł prawą dłoń, rozczapierzając palce, po czym opuścił ją, zaciskając pięść, i przytknął do ramienia – co znaczyło „wróg”. Potem znów wskazał zbliżających się jeźdźców.

Erak machnął ręką na znak, że zrozumiał, po czym wskazał na wejście do parowu, w którym właśnie zniknął ostatni z jego ludzi. Thorn i Mikkel mruknęli, zadowoleni.

– Dobry pomysł – stwierdził Mikkel. – Zatrzymamy ich przy wejściu do parowu.

Przejście było wąskie, wysokie skalne ściany tworzyły dobrą ochronę. Jeźdźcy nie mogliby ich otoczyć, pozostawał im tylko frontalny atak. Niezbyt zachęcająca perspektywa, lecz Mikkel i Thorn byli doświadczonymi i zaciekłymi wojownikami, pewnymi umiejętności własnych i swych towarzyszy.

Wiedzieli, że Erak nie zostawi ich w niebezpieczeństwie. Kiedy złoto znajdzie się już bezpieczne na okręcie, wyśle pomoc. Oni dwaj mieli tylko powstrzymać napastników, a nie złożyć siebie samych w ofierze. Nie mieli wątpliwości co do tego, że potrafią powstrzymać atak kilku kmiotków na koniach.

Przyspieszyli kroku. Za ich plecami mieszkańcy miasta wznieśli okrzyki radości, widząc, jak barbarzyńcy uciekają przed jeźdźcami, którzy właśnie spięli konie do galopu, zdecydowani dogonić intruzów, nim ci schronią się w wąskim parowie.

Dwaj wojownicy nie zamierzali jednak uciekać. Dotarłszy do parowu, dobyli broni i na próbę zakręcili nią nad głowami.

Jak większość Skandian, Thorn preferował ciężki topór wojenny, Mikkel zaś był uzbrojony w długi miecz. Każdy z nich miał na głowie rogaty hełm, a na lewym ramieniu wielką drewnianą tarczę z metalowym umbo pośrodku, wzdłuż brzegu również wzmocnioną metalem. Zasłonili się tarczami przed napastnikami, tak że było widać tylko ich głowy i nogi – a także miecz i topór, którymi przez cały czas poruszali w ramach przygotowań do starcia, rozgrzewając mięśnie. Ostrza połyskiwały w słońcu.

Jeźdźcy spodziewali się, że Skandianie uciekną w panice, i teraz, widząc tarcze i broń, blokujące

wejście do parowu, zdumieli się niezmiernie, szczególnie że dwaj wojownicy sprawiali wrażenie wyjątkowo pewnych siebie. Jeźdźcy wstrzymali konie w odległości jakichś trzydziestu metrów od nich i spoglądali na siebie, czekając, aż któryś podejmie decyzję.

Skandianie wyczuli niezdecydowanie ścigających, zauważyli, jak niezręcznie dzierżą swe włócznie i małe okrągłe tarcze. Brakowało im swobody, cechującej doświadczonych wojowników.

– Ci chłopcy chyba nadal mają mleko pod nosem – powiedział Mikkel z krzywym uśmiechem.

Thorn skinął głową.

– Wątpię, by w ogóle wiedzieli, jak wygląda porządna walka.

Mieli rację. Jeźdźcy, którzy przybyli z zamku na wezwanie posłańca z Santa Sebilli, byli młodzi i niewyćwiczeni w wojennym rzemiośle. Pochodzili z możnych rodzin, a rodzice zawsze spełniali wszelkie ich zachcianki: nowa kolczuga, miecz o rękojeści grawerowanej złotem, nowy rumak bojowy. Traktowali treningi w sztukach walki raczej jako towarzyską rozrywkę niż poważne zajęcie. Nigdy dotąd nie stawiali twarzą w twarz z doświadczonymi wojownikami, jak tych dwóch tutaj. Nagle uświadomili sobie, że to, co początkowo wyglądało jak niewinna pogoń za grupką nieokrzesanych barbarzyńców, zwiewających przed nimi w panice, przybrało postać potencjalnie niebezpiecznej konfrontacji. Zdawali sobie sprawę, że może polać się krew. Wahali się więc, niepewni, jak postąpić.

W końcu jeden z nich, albo odważniejszy, albo bardziej lekkomyślny od reszty towarzyszy, wydał bojowy okrzyk, spiął konia i ruszył na Skandian, mierząc w nich ostrzem włóczni.

– Mój – oznajmił Thorn i zrobił kilka kroków do przodu, przyjmując wyzwanie. Mikkel nie protestował, topór Thorni bardziej nadawał się do walki z przeciwnikiem na koniu.

Thorn zmierzył jeźdźca wzrokiem, mrużąc oczy. Młodziak tłukł się w siodle jak worek kartofli, z trudem usiłując utrzymać włócznie nieruchomo pod prawym ramieniem i wymierzyć ją w przeciwnika. Thorn pomyślał, że bez trudu mógłby zabić napastnika, ale to zapewne tylko wzniciłoby gniew jego towarzyszy. Uznał, że lepiej będzie jedynie go upokorzyć.

Zaparł się nogami w ziemię, przyjął uderzenie włóczni na tarczę i odepchnął ją bez wysiłku. Potem rąbnął płazem topora w łopatkę konia, który zachwiał się, tracąc równowagę. Thorn natarł, uderzył zwierzę tarczą, aż zatoczyło się w bok, na twardą skalną ścianę u wejścia do parowu, potknęło się i z panicznym rżeniem runęło na ziemię. Jeździec w ostatniej chwili wyswobodził stopy ze strzemion, unikając zmiążdżenia pod ciałem rumaka. Niezgrabnie upadł na bok, przygniatając tarczę. Desperacko chwycił rękojeść miecza i zaczął wyciągać go z pochwy. Kiedy ostrze ukazało się do połowy, Thorn kopnął młodzieńca w ramię, wytrącając mu oręż i tym samym kończąc całą akcję.

Chłopak utkwiał w Thornie przerażone spojrzenie. Wzdrygnął się mimowolnie, widząc ostrze topora nad swoją głową. Zawisło na chwilę, by w kolejnej sekundzie uderzyć w ziemię, kilka cali od jego twarzy. Nie mógł odwrócić wzroku pod spojrzeniem zimnych, bezlitosnych oczu Skandianina. Z ust Thorni padło tylko jedno słowo:

– Zmykaj.

Młody Iber podniósł się niezgrabnie i odwrócił się, gotów do ucieczki. W tym samym momencie poczuł silne uderzenie – Thorn pomógł mu celnym kopniakiem. Potykając się i krzycząc ze strachu, wrócił do towarzyszy, których konie, wyczuwając przerażenie jeźdźców, przebiegały niespokojnie nogami.

Chłopak usłyszał jeszcze śmiech Skandian za plecami.

Przewidywania Thorni sprawdziły się. Słusznie postąpił, puszczając młodzieńca żywego, choć z taką łatwością go pokonał. To odniosło znacznie lepszy skutek. W ten sposób pokazał, co on i jego towarzysze sądzą o nedorobionych wojownikach z Santa Sebilli. Taka zniewaga skutecznie osłabiła

i tak nikłe morale Iberów.

– Chyba trochę ich zdenerwowałeś – stwierdził Mikkel z szerokim uśmiechem.

Thorn wzruszył ramionami.

– I dobrze. Nie powinni biegać z tymi kijkami, sami dla siebie stanowią zagrożenie.

– Skończmy to. Strasznie mnie wkurzają.

I dwaj Skandianie bez ostrzeżenia ruszyli na jeźdźców, potrząsając bronią i wznosząc okrzyki bojowe.

Okazało się, że to zbyt wiele dla dzielnych obrońców miasta. Każdy z nich, widząc pędzących na nich przerażających wojów, był przekonany, że właśnie on jest celem ataku. Jeden z młodzieńców skręcił gwałtownie koniem i spiął jego boki ostrogami, a kiedy wierzcholec nagle skoczył przed siebie, niechcący wypuścił włócznię z dłoni. Pozostali szybko poszli za jego przykładem. Po kilku sekundach wszyscy czterej pędzili już przed siebie, koń bez jeźdźcy razem z towarzyszami, a nieszczęsny młodzian, wysadzony z siodła, truchtał za nimi niezgrabnie, bo wysokie buty jeździeckie, włócznia i pusta pochwa, majtająca mu się u pasa, bynajmniej nie sprzyjały szybkiemu poruszaniu się.

Na ten widok Mikkel i Thorn przystanęli i wybuchnęli śmiechem, wspierając się na – odpowiednio – mieczu i toporze.

– Mam nadzieję, że bezpiecznie wrócą do domku – powiedział Mikkel, a Thorn zaśmiał się jeszcze głośniej.

– Przyłączycie się do nas, panienki? – zapytał Svengal, który powrócił wraz z czterema wojami, by wesprzeć ariergardę. – Chyba nie potrzebujecie pomocy?

Wciąż skręcając się ze śmiechu, Thorn i Mikkel schowali broń i ruszyli w głąb parowu.

– Szkoda, że tego nie widziałeś – zaczął Mikkel. – Nie musieliśmy nic robić, na widok paskudnej gęby Thorn'a uciekli, gdzie pieprz rośnie, a jeden koń przewrócił się z wrażenia.

Svengal zaśmiał się krótko. Zdażył obejrzeć sobie potyczkę Thorn'a z młodziakiem. Był pod wrażeniem. Wiedział, że on sam nie zdołałby odeprzeć konnego natarcia. Tak, nie znał nikogo poza Thorn'em, kto potrafił dokonać podobnego czynu.

– Nie bądź taki skromny, twoja obecność też się na coś przydała – odparował Thorn. – Chociaż muszę przyznać, że byłem świetny.

– Nie jestem pewien, czy użyłbym... – Mikkel właśnie uniósł rękę, by poklepać przyjaciela po ramieniu, kiedy dosięgła go włócznia.

Pojawiła się dosłownie znikąd. Zastanawiając się później nad przebiegiem wydarzeń, Thorn stwierdził, że musiała to być włócznia, którą zgubił tamten jeździec. Przypuszczał, że jeden z mieszkańców miasta, wiedziony furją i rozpaczą, podniósł ją z ziemi, cisnął w ich stronę, a potem uciekł między krzaki i skały, nie spojrzawszy nawet, jakie były skutki tego czynu.

A nie mogły być bardziej poważne. Żelazo utkwіło głęboko w ciele Mikkel'a, który wydał stłumiony okrzyk i osunął się na kolana, a potem legł na ziemi. Thorn rzucił się ku niemu, z przerażeniem patrząc, jak twarz przyjaciela pokrywa się bladością, a życie ucieka z jego ciała.

– Miecz... – stęknął Mikkel z wysiłkiem.

Wilk morski musiał umrzeć z mieczem w dłoni, inaczej jego dusza zostałaby skazana na wieczną tułaczkę. Svengal wyszarpnął z pochwy własny miecz i włożył go w wyciągnięte dłonie Mikkel'a, który spojrzał na niego z wdzięcznością, po czym zwrócił wzrok na przyjaciela.

– Thorn.

Nawet wypowiedzenie tego jednego słowa niemal przekraczało jego siły. Thorn pochylił się ku rannemu.

– Wytrzymaj jeszcze trochę. Zaniesiemy cię na okręt.

Okręt oznaczał ratunek i bezpieczeństwo – tak jakby coś mogło się zmienić, kiedy Mikkel znajdzie się na pokładzie, jakby śmiertelna rana nagle miała zniknąć. Ale Mikkel wiedział, że to nieprawda. Potrząsnął głową.

– Moja żona... i syn... Opiekuj się nimi.

Ze wzrokiem zamglonym łzami Thorn chwycił dłoń przyjaciela, upewniając się, że mocno obejmuje nią rękojęść miecza.

– Zaopiekuję się. Masz moje słowo.

Mikkel skinął głową. Jeszcze raz zebrał siły.

– Nie... będzie... mu łatwo. Będzie potrzebował...

Ból okazał się zbyt wielki. Nie dokończył zdania. Lecz w jego oczach nadal płonęło światło. Thorn mocniej ścisnął rękę przyjaciela. Bardzo chciał usłyszeć jego ostatnie życzenie. Chciał wiedzieć, czego Mikkel od niego oczekuje.

– Czego będzie potrzebował, Mikkelu?

Wargi umierającego poruszyły się bezgłośnie. Z drzeniem zaczerpnął powietrza, wystawiając swe ciało na jeszcze większe cierpienie. Z wysiłkiem wypowiedział ostatnie słowo:

– Ciebie.

A potem umarł.

ROZDZIAŁ 2

Sześć lat później

Pewnego zimowego poranka Karina, wdowa po Mikkelu, znalazła Thorna leżącego nieprzytomnie na ziemi obok prowadzonej przez nią gospody. Miał na sobie jakieś stare szmaty i zżarte przez mole futro, śnieg, padający przez całą noc przyprószył je bielą, podobnie jak włosy. Twarz za to i ręce były sine z zimna, z nosa mu ciekło.

Thorn tak się spił poprzedniego dnia, że nie trafił do szopy na łodzie, służącej mu za mieszkanie. Schronił się więc przed wiatrem pod ścianą gospody i tam zasnął, zapewne z nadzieją, że więcej się nie obudzi.

Co też niechybnie by nastąpiło, gdyby nie Karina.

Próbowała go obudzić, szarpiąc za ramię i wołając po imieniu, lecz on tylko odepchnął jej rękę, zamruczał coś niezrozumiale i odwrócił się plecami, nie otwierając oczu. Jego umysł nadal przebywał gdzieś daleko.

Znów nim potrząsnęła, tym razem mocniej, a on ponownie odepchnął jej rękę i wyzwał ją od najgorszych. Oczy Kariny błysnęły lodowato.

– Hal! – krzyknęła na swego dziesięcioletniego syna, który właśnie zmywał w kuchni naczynia z poprzedniego dnia.

– Tak, mam?

– Przynies mi tu wiadro wody! Tylko szybko!

Mały zjawił się kilka minut później. Sztywno wyciągał w bok rękę, w której niósł wiadro, by nie wylała się na niego zimna zawartość. Na widok mężczyzny leżącego pod ścianą otworzył usta ze zdumienia.

– Stary stuknięty Thorn – stwierdził, stawiając wiadro na ziemi. – A co on tu robi?

Oczy Kariny znów zwęziły się niebezpiecznie. Najwidoczniej takim właśnie mianem chłopcy określali byłego wojownika. „Jaka szkoda”, pomyślała na wspomnienie, jakim wspaniałym mężczyzną był Thorn, zanim stracił rękę.

Wyprawa, podczas której zginął mąż Kariny, okazała się jednym wielkim pasmem nieszczęść. W drodze powrotnej „Wilczy Wichy” stracił maszt podczas sztormu. W zamieszaniu, kiedy wszyscy rzucili się usuwać połamany maszt i ratować okręt przed zatonięciem, prawe ramię Thorna zaplątało się w liny i połamane kawałki drewna.

Thorn całkowicie się załamał z powodu utraty ręki. Nie mógł posługiwać się toporem ani mieczem, ani wiosłować. Nie mógł też służyć w drużynie jako nawigator, po prostu nie posiadał potrzebnej wiedzy. W swoim czasie był doskonałym sternikiem, lecz przy ostrzejszym wietrze również wiosło sterowe wymagało użycia obu rąk. Nie miał nic do roboty na wilczym okręcie, został skazany na życie na łodzie, bez szans na powrót do dawnego życia, które tak bardzo kochał. Poza tym utracił przecież najlepszego przyjaciela.

Pograżył się w ciężkiej depresji, pociechy zaś szukał w piwie i brandy. Za wiele jej nie znalazł, ale zapomnienie – owszem. Mocne trunki pomagały zapomnieć o stracie, przynajmniej na chwilę.

A także złagodzić ból, który czasami, zupełnie niespodziewanie, przenikał kikut jego prawej ręki.

Wrażenie było takie, jakby bolała ta utracona część. Na szczęście nie zdarzało się to zbyt często, a z czasem coraz rzadziej. Ale służyło Thornowi jako doskonałe usprawiedliwienie dla nałogu.

Jego broda i włosy rosły swobodnie, matowe, nigdy nie czesane. I posiwiały przedwcześnie. Thorn nie mył się za często i w ogóle nie dbał o wygląd. Zmienił się we wrak człowieka, pogrążonego w żalu z powodu utraty ręki – wraz z którą, jak się zdawało, utracił poczucie własnej wartości. Żaden z przyjaciół czy byłych towarzyszy wypraw nie potrafił wyrwać go z tego wiru samozniszczenia. Nawet Erak, który był jego skirlem – kapitanem statku – nim został oberjarlem Skandii, nie potrafił w żaden sposób do niego dotrzeć.

– Nie jest taki stary – upomniała chłopca Karina.

Hal uniósł brwi i przyjrzał się uważnie wciąż nieprzytomnemu Thornowi.

– Naprawdę? Wygląda na jakieś sto lat.

– Czyżby? – Karina wiedziała, że dla chłopca w tym wieku każdy, kto ukończył dwudziesty piąty rok życia, wydaje się wiekowym starcem. Przekrzywiła głowę na bok i zapytała, choć zdawała sobie sprawę, że w tym wypadku lepiej byłoby zwalczyć ciekawość: – A ja na ile wyglądam?

Hal machnął ręką i uśmiechnął się do matki.

– Oj, mamó, ty nie jesteś aż taka stara – zapewnił. – Na pewno masz nie więcej niż sześćdziesiąt parę.

Cóż, tak naprawdę Karina miała trzydzieści osiem lat. W porównaniu z okazałymi Skandiankami była dość drobna, lecz miała niezwykle piękne rysy. A do tego wewnętrzny spokój i pewność siebie, już wtedy, kiedy przybyła do Hallasholm jako niewolnica, schwytana przez Skandian podczas wyprawy do Araluenu. Od razu wpadła w oko Mikkelowi, jednemu z największych skandyjskich wojowników. Mikkel odkupił Karinę od człowieka, który ją przywiózł, i natychmiast zwrócił jej wolność. Właściciel Kariny szybko zauważył determinację w jego oczach i podwyższył cenę o jedną trzecią. Mikkel zapłacił bez mrugnięcia okiem. Nawet teraz, ponad dziesięć lat później, Karinę wciąż uważano za piękność, tylko w ciągu poprzedniego roku odrzuciła czterech zalotników.

Popatrzyła zimno na syna, on zaś przestąpił niespokojnie z nogi na nogę. Domyślał się, że czymś ją uraził, ale nie miał zielonego pojęcia, co to mogło być.

Prawdopodobnie to właśnie jego brak taktu przypieczętował los Thorna, niszcząc resztki współczucia, jakie być może nadal żywiła dla niego Karina. Pokazała kciukiem wiadro pełne lodowatej wody.

– Polej – poleciała.

Hal zawahał się, powiódł wzrokiem od Kariny do Thorna, a potem zatrzymał go na wiadrze.

– Ale... co? – zapytał dla pewności.

Karina oparła dłonie na biodrach. „Sześćdziesiąt parę, jasne”, pomyślała.

– Wodą. Jego. Chluśnij mu... w twarz.

Pochyliła się i odsunęła połą zniszczonego futra z twarzy Thorna, który znów usiłował ją odepchnąć.

– Mamó... – zaprotestował słabo Hal.

Owszem, Thorn był stary, brudny i zaniedbany, był cieniem człowieka, krążącym po wsi, stracił prawe ramię do łokcia. Jednocześnie był jednak potężnym mężczyzną znanym z krewkiego temperamentu. Może to niezbyt dobry pomysł, żeby drobna sześćdziesięcioletnia kobieta i dziesięcioletni chłopiec oblewali wodą kogoś takiego – a może przynajmniej powinni najpierw ustalić trasę ewentualnej ucieczki.

Karina zaczęła postukiwać stopą o pokrytą śniegiem ziemię. Hal wiedział, że to zły znak. Znów pokazała mu wiadro.

– Lej.

Hal wzruszył ramionami i podniósł wiadro.

– Teraz.

I tak zrobił.

Thorn od razu odzyskał przytomność i wydał z siebie przeraźliwy wrzask, łudząco podobny, zdaniem Hala, do ryku wściekłego morsa, którego słyszał latem – tyle że mors nie mógł dorównać Thornowi pod względem siły dźwięku. Thorn podniósł się z trudem do pozycji siedzącej, machając rękami dla odzyskania równowagi.

Karina spostrzegła, że w wiadrze nadal jest sporo wody.

– Teraz reszta – rozkazała.

Hal posłusznie wylał zawartość wiadra na wrzeszczącego, wymachującego rękami mężczyznę. Kiedy ktoś ryczy jak ranny samiec morsa, to, rzecz jasna, jego usta są przy tym szeroko otwarte. W każdym razie usta Thorna były na pewno, kiedy Hal wylał na niego cztery litry wody.

Kiedy woda dostała się do gardła, ryk przeszedł w odgłosy dławienia i desperackiego chwytania powietrza. Thorn kaszlał i pluł wodą, odsunawszy się przy tym nieco, zapewne ze strachu przed kolejnym prysznicem. Jednakże wiadro było puste i po chwili Thorn zdał sobie sprawę, że niebezpieczeństwo minęło. Otworzył oczy, mętne i przekrwione, zmrużył je, porażony ostrym porannym światłem odbitym od śniegu. Wreszcie dojrzał stojące obok dwie drobne figurki.

Hal nadal trzymał w ręku puste wiadro. Kiedy padło nań spojrzenie Thorna, usiłował schować je za plecami.

– Oblałeś mnie wodą – powiedział Thorn oskarżycielsko. – Dlaczego?

– Bo ja mu kazałam – odparła Karina. Ton jej głosu nie zachęcał do dalszych dyskusji. Thorn postanowił więc wywołać w niej współczucie i wydał z siebie żalony jęk, który miał na celu poruszyć jej zimne serce:

– Mogłem się utopić! Jestem przemoczony do suchej nitki. Pewnie przeziębilem się i teraz umrę. Jak mogłaś być tak... okrutna?

Serce Kariny okazało się jednak nieczułe. Była wściekła – niewypowiedzianie wściekła na Thorna, że doprowadził się do takiego stanu, zmienił się w cień samego siebie.

– Wstawaj, Thorn! – zarządziła energicznie.

Zamachał rękami, próbując znaleźć punkt oparcia w śliskim śniegu.

– Polewać wodą biednego schorowanego człowieka – mruczał. – Jaka kobieta jest zdolna do czegoś takiego? Jak można być tak pozbawionym serca? Jestem chory. Znikąd pomocy. Teraz umrę na zapalenie płuc, przemoczony, na mrozie. Ale czy kogoś to obchodzi? Nie. Na pewno nie tę wiedźmę, przez którą o mało się nie utopiłem..

– Jak na tonącego to strasznie dużo gadasz – wtrąciła Karina, po czym zwróciła się do Hala: – Pomóż mu wstać.

Hal zbliżył się ostrożnie, nadal nie do końca pewien, czy przebywanie w pobliżu Thorna jest bezpieczne. Ale w końcu chwycił mężczyznę za lewą rękę, położył ją sobie na ramionach, ugiął kolana, by nabrać siły, i pomógł mu się podnieść. Gdy poczuł w nozdrzach mocny odór, odwrócił głowę. Próbował oddychać przez usta.

– Łoa! – wykrzyknął, walcząc z mdłościami. – Mamo, on naprawdę cuchnie!

Thorn stanął wreszcie, chwiejąc się niepewnie, i chwycił ramię chłopca, by nie stracić równowagi, przez co Hal znalazł się w samym środku mdłącego oparu, który tworzyło niemyte od ponad pół roku ciało. Odskoczył, lecz Thorn wczepił się w niego desperacko. Stali tak obaj, kołysząc się w przód i w tył i szukając oparcia dla stóp w śliskim śniegu.

– Na nozdrza i pazury Gorloga, mamó! On śmierdzi! Naprawdę śmierdzi! Gorzej niż stary cap Skarlsona! – skarżył się Hal.

Karina, choć wściekła, nie mogła powstrzymać uśmiechu. W konkurencji paskudnych odorów cap Skarlsona wydawał się nie do pobicia. Karina już miała pospieszyć im z pomocą, lecz po namyśle zmieniła zdanie.

– Nie klnij – powiedziała z roztargnieniem. Gorlog był skandyjskim bogiem drugiej kategorii, podobnie jak Ullr Myśliwy i Loki Łgarz, lecz w odróżnieniu od nich nie posiadał żadnych szczególnych zdolności. Karina nie była pewna, czy przywoływanie jego nozdrzy i pazurów można uznać za przekleństwo, lecz wiedziała, że takie wyrażenia stanowczo nie powinny znaleźć się w słowniku dziesięciolatka.

– Zaprowadź go do kuchni.

Hal powoli powiódł mężczyzną krętą ścieżką prowadzącą do tylnych drzwi gospody. Z trudem wspięli się po trzech stopniach i weszli do środka. Znalazłszy się w ciepłym pomieszczeniu, Thorn uniósł głowę z wyrazem wdzięczności na twarzy. Hal pomógł mężczyźnie dojść do paleniska, na którym buzował ogień, i usadowić się na szerokim drewnianym krześle, po czym cofnął się pospiesznie.

Ciepło panujące w kuchni z pewnością przypadło Thornowi do gustu, wywołało jednak dodatkowy skutek – zdwoiło moc otaczających go gęstych wyziewów.

Karina, która weszła do kuchni tuż za nimi, pobladła i na chwilę odwróciła głowę w drugą stronę. Zaraz jednak zebrała w sobie siły i podeszła do żalostnej postaci skulonej na jej ulubionym krześle.

– Możesz iść, Hal – powiedziała i chłopiec z ulgą czmychnął do części mieszkalnej, znajdującej się obok sali jadalnej.

Karina usłyszała pluskanie wody i domyśliła się, że Hal usiłuje zmyć z siebie ohydny smród. Podeszła bliżej do Thorny, stanęła nad nim, walcząc z chęcią ucieczki przed skoncentrowanym w niespotykanym stopniu odorem.

– Thorn, jesteś obrzydliwy – powiedziała. Jej głos był cichy, lecz ciał niczym uderzenie bicia. Stary wilk morski drgnął, na sekundę jego oczy zabłysły gniewnie, lecz płomień niemal momentalnie zgasł i mężczyzna wrócił do swej bezpiecznej roli – kaleki uzalającego się nad własnym losem.

– Wszyscy tak twierdzą – odparł. – Niby czemu ty miałabyś mieć inne odczucia?

– Nie obchodzą mnie wszyscy. Kiedyś ludzie cię podziwiali, dzisiaj się z ciebie śmieją. Nawet chłopcy mówią na ciebie „stary stuknięty Thorn”. To straszne patrzeć, co robisz ze swoim życiem.

Teraz Thorn naprawdę się rozgniewał.

– Co robię? Co robię? – Podniósł okaleczone ramię i odsunął porwany rękaw. – Myślisz, że to ja zrobiłem? Myślisz, że sam wybrałem los kaleki?

– Myślę, że z własnego wyboru niszcysz swe ciało, umysł i poczucie wartości – odparła. – Ramię to tylko usprawiedliwienie, wymówka, by zniszczyć całą resztę. Całe życie.

– To moje życie. Mam prawo je zniszczyć, jeśli tak mi się podoba – odparował. – A jakim prawem ty mnie krytykujesz?

– Takim, że obiecałeś Mikkelowi opiekować się mną i Halem. Przysięgałeś, że dopilnujesz, by niczego nam nie brakowało. Zawiodłeś nas. Zawodzisz nas każdego dnia, kiedy niszczysz samego siebie!

Thorn odwrócił wzrok.

– Przecież dobrze sobie radzisz – mruknął, lecz ona tylko się zaśmiała.

– Ale nie dzięki tobie. Nie dzięki złożonej przez ciebie obietnicy, którą złamałeś i którą łamiesz od nowa każdego dnia!

– To nie moja wina – powiedział tak cicho, że ledwo go słyszała. – Zostaw mnie, kobieto. Nic nie mogę dla ciebie zrobić.

– Obiecałeś.

Uniósł potargany łeb. Teraz był naprawdę wściekły.

– Obiecałem, zanim straciłem rękę! To nie moja wina, że tak się stało!

– Może i nie. Ale ze swojej własnej winy straciłeś całą resztę! Zabijasz się, Thorn! Zabijasz dobrego, wartościowego mężczyznę. Dla mnie to zbrodnia! Nie mam zamiaru dłużej się temu przyglądać.

– Nie zauważyłaś? – powiedział sarkastycznym tonem. – Ja już nie jestem mężczyzną, jestem kaleką. Do niczego nieprzydatnym, nikomu niepotrzebnym kaleką!

– Nie słyszałam nigdy, żeby wyznacznikiem czyjejs wartości była liczba nóg czy rąk. Wartość mężczyzny stanowi hart ducha i siła woli. A przede wszystkim zdolność do radzenia sobie z nieszczęściem.

– Co ty wiesz o nieszczęściach? – warknął.

Wpatrywała się w niego, aż odwrócił wzrok.

– Ty straciłeś rękę – powiedziała w końcu – a ja całego mężczyznę. Wspaniałego mężczyznę.

Nie podnosząc wzroku, kiwnął głową.

– Przepraszam – odezwał się. – Gdybym tylko mógł wrócić mu życie, chętnie bym to zrobił.

– Cóż, nie możesz. Ale możesz zrobić coś dla mnie.

Thorn zaśmiał się gorzko i potrząsnął głową z powątpiewaniem.

– Ja? Na cóż ja jeszcze mogę się przydać?

W tym momencie Karina doznała olśnienia. Już wiedziała, co powinien usłyszeć Thorn.

– Możesz mi pomóc. Potrzebuję cię.

Spojrzał jej prosto w oczy, szukając oznak fałszu.

– On cię potrzebuje – ciągnęła. – Potrzebuje męskiego autorytetu. Są rzeczy, których ja go nie nauczę: co to znaczy być wojownikiem, co znaczą więzi między członkami drużyny. – Umilkła, by dać Thornowi czas na przyswojenie tych słów. Widziała, że do niego dotarły. – Dorasta i nie jest mu łatwo. Różni się od pozostałych chłopców, jest w połowie Araluńczykiem. Ludzie, którzy czymś się wyróżniają, nie mają łatwo. Ktoś musi mu pokazać, jak sobie radzić i stać się niezależnym od innych. Ja tego nie potrafię. – Urwała na chwilę i w końcu dodała: – Ale ty mógłbyś to zrobić.

– Może... – zaczął Thorn.

Karina widziała, że zastanawia się nad jej słowami. Pomysł, że mógłby zrobić coś ze sobą, zamiast pograżać się w pijaństwie, nie wydawał mu się już tak nierealny jak na początku.

– Oczywiście, możesz nadal uważać się nad sobą i marnować życie – dodała.

Przez chwilę milczał, a potem zapytał:

– Skąd wiedziałaś o tej przysiędze?

– Ty mi powiedziałeś. Którejś nocy, kiedy się schlałeś.

Zmarszczył brwi z namysłem.

– Kiedy? Nic nie pamiętam.

Uśmiechnęła się smutno i potrząsnęła głową.

– Ja też nie pamiętam kiedy. Było wiele takich nocy.

– To prawda – zgodził się.

Karina widziała jego wahanie.

– Posłuchaj, przydałaby mi się tu pomoc. Gospoda to zyskowny interes i szybko się rozwija. Przestaję sobie z tym wszystkim radzić. Potrzebuję pomocnika do rąbania drewna i różnych cięższych

robót – sprzątaniam, napraw, malowania. Wszystkie te czynności spokojnie da się wykonać jedną ręką. Przy okazji miałbyś oko na Hala. Nauczyłbyś go wszystkiego, co przyda mu się w dorosłym życiu. Mógłbyś się tu wprowadzić, miałbyś ciepły kąpiel do spania.

Thorn potrząsnął głową.

– Nie, nie mogę zamieszkać z tobą pod jednym dachem. To nieodpowiednie. Ludzie zaczęliby gadać. Popsułbym ci reputację.

Uśmiechnęła się.

– Chyba jakoś to zniosę. Ale jeśli to dla ciebie krępujące, możesz naprawić przybudówkę na tyłach domu. Wtedy ludzie nie będą gadać.

Przez chwilę przetrawiał w myślach jej propozycję, po czym kilka razy skinął głową.

– Tak. To dobry pomysł.

– Zapłacę ci, rzecz jasna – dodała Karina.

Znów podniósł na nią wzrok. Dostrzegła w nim cień dumy – coś, czego brakowało w jego oczach od wielu lat.

– Nie chcę jałmużny – oznajmił.

– A ja nie zamierzam ci jej dać! Dopilnuję, żeby każda korona, którą ode mnie dostaniesz, była uczciwie zarobiona.

– No, może to by się nawet udało. – Thorn zacisnął usta. Podobał mu się pomysł, że będzie pracował dla Kariny. A jeszcze bardziej to, że będzie mógł prowadzić chłopca i czuwać nad nim, kiedy zacznie wkraczać w wiek dojrzenia. Sam nigdy nie wybrałby dla siebie takiego losu, ale na pewno była to propozycja warta rozważenia. Skoro już nie może korzystać ze swoich umiejętności, przynajmniej przekazuje je komuś innemu. Na coś się jeszcze przydadzą. A Thorn bardzo chciał być przydatny. Stanowczo zbyt długo czuł się zupełnie niepotrzebny.

– Jedna sprawa – powiedziała Karina. – Musisz przestać pić.

Ton jej głosu wskazywał, że nie ma szans na kompromis. Thorn zawahał się.

– Czasami ramię mnie boli.

Karina była jednak nieugięta.

– Bardzo mi przykro z tego powodu, ale jestem pewna, że przed utratą ręki również zdarzało ci się odczuwać ból i jakoś sobie z tym radziłeś.

– To prawda – przyznał.

– W takim razie i teraz sobie poradzisz, nie uciekając się do pomocy alkoholu.

Wziął głęboki oddech.

– Chyba powinno mi się udać – stwierdził.

– Jestem pewna, że tak. Karina uśmiechnęła się.

– To może obejrzę dziś tę przybudówkę. Pięknie ją wyszykuję i od razu się wprowadzę. Możesz przygotować dla mnie listę rzeczy do zrobienia.

– Jest jedna sprawa niecierpiąca zwłoki – odparła, a kiedy spojrzał na nią pytająco, dokończyła głosem nieznoszącym sprzeciwu: – Kąpiel. I to długa.

Od tamtych wydarzeń minęło sześć lat, od nieszczęsnej wyprawy, podczas której zginął ojciec Hala, dwanaście. Hal miał wkrótce skończyć szesnaście lat. Przez ten czas Thorn na stałe wpisał się w życie toczące się dokoła gospody Kariny. Wprowadził się do przybudówki, choć obietnica „pięknie ją wyszykuję” zdaniem Kariny nigdy nie została do końca spełniona. Thorn uszczelnił dach

i kilka większych dziur w ścianach, lecz przybudówka pozostała ciemną posepną norą. W środku walały się nieporządnie ubrania i inne rzeczy, należące do Thorn'a. A jego higiena osobista, choć owszem, poprawiła się, nadal pozostawiała sporo do życzenia.

– Jestem dwanaście razy bardziej czysty niż poprzednio – mawiał z dumą.

Jak zauważyła Karina, oznaczało to tylko tyle, że częstotliwość branych przez niego kąpieli wzrosła z raz na rok do raz na miesiąc, co raczej nie stanowiło powodu do szczególnego zadowolenia. Thorn tylko mruknął w odpowiedzi:

– Ja się tak nie brudzę. Kąpiele są dla tych, co się brudzą.

Od czasu do czasu odzywała się w nim tęsknota za beczką brandy, szczególnie w te noce, kiedy w utraconej ręce pulsował ból. Thorn potrafił jednak zwalczyć te pragnienia. Wiedział, że dzięki Karinie dostał drugą szansę, i że kolejnej na pewno nie będzie. Po jakimś czasie, kiedy nowa praca stała się dla niego rutyną, uświadomił sobie, że nie chce ryzykować powrotu do dawnego życia.

Praca była satysfakcjonująca – szczególnie dla kogoś takiego jak on, kto przez wiele lat wierzył, że już nigdy na nic nikomu się nie przyda. Rąbał drwa na opał, machając lewą ręką z ciężkim toporem, jakby to była zabawka. Na bieżąco naprawiał wszystko, co wymagało naprawy, i pod koniec każdego dnia czuł zadowolenie z dobrze wykonanego obowiązku. Wreszcie był komuś potrzebny.

Być może ta rutynowa praca nie mogła zapewnić takiego spełnienia jak zamorskie wyprawy, lecz na pewno była lepsza od pogrążania się w pijaństwie.

Najbardziej jednak cieszył się z tego, że stał się częścią życia Hala. Czerpał radość z jego energii i zapału, niezliczonych pomysłów i nieograniczonej wyobraźni. Chłopiec dobrze radził sobie z narzędziami i lubił pracę w drewnie. Thorn sam był kiedyś niezłym cieślą. Oczywiście teraz, z jedną ręką, nie mógł już wykonywać skomplikowanych i precyzyjnych prac. Odnalazł jednak zestaw narzędzi Eraka: ciosło, dłuta, noże, wiertła, heble i małe toporki. Dał je chłopcu i cierpliwie uczył, jak się używa każdego z nich. Dzięki temu zestawowi i nauce Thorn'a Hal mógł rozwinąć swe upodobania i przekształcić je w prawdziwe umiejętności.

I w ten sposób dawny wilk morski przyczynił się do rozkwitu talentu chłopca. Hal był nie tylko zręcznym rzemieślnikiem, miał również umysł wynalazcy, w oczach Thorn'a graniczący z geniuszem.

– Jakiś pomysł przychodzi mi do głowy, jakieś ciekawe rozwiązanie – powtarzał przy różnych okazjach. – I po prostu to robi, ot tak!

ROZDZIAŁ 3

Podaj następne – poprosił Hal.

Sterczał na drabinie w kuchni swojej mamy i, balansując na boki, wlewał wiadra wody do ogromnej beczki.

Stęknął pod ciężarem kolejnego wiadra, unosząc je na wysokość ramienia. Zauważył, że Thorn, mimo kalectwa, wykonuje swoją pracę bez najmniejszego wysiłku.

Kiedy zbiornik napełnił się do połowy, nagle rozległ się złowieszczy trzask.

Thorn zmarszczył brwi.

– Co to było? – zapytał niespokojnie.

Hal podał mu puste wiadro i machnął ręką.

– Nic takiego. Po prostu klepki trzeszczą pod ciężarem wody.

– Chyba wiem, co czują – powiedział Stig, wnosząc do kuchni kolejne dwa wiadra, które napełnił przy studni na podwórzu. – Ile jeszcze potrzebujesz?

Stig był najlepszym przyjacielem Hala. Tak naprawdę, nie licząc Thorną, jego jedynym przyjacielem. Inni chłopcy ignorowali Hala, dokuczali mu z powodu mieszanego pochodzenia i wypominali, że jego matka była kiedyś niewolnicą. Nigdy jednak nie odważyliby się na takie uwagi w obecności Stiga, który był wysoki i umięśniony i słynął z nieobliczalnego temperamentu. Chłopcy woleli mu się nie narażać.

Znów rozległo się groźne trzeszczenie.

– Jesteś pewien, że to nic poważnego? – zapytał niepewnie Thorn.

Hal rzucił mu zniecierpliwione spojrzenie.

– Beczka jest stara, długo stała pusta. To normalne. Drewno pracuje, klepki ocierają się o siebie i skrzypią.

– Wierzę ci – stwierdził Thorn. – Mam większe doświadczenie z pełnymi beczkami.

– No, ale w końcu miałeś też spore zasługi w ich opróżnianiu – zauważył Stig i wyszczerzył się, w razie gdyby Thorn odczytał te słowa jako krytykę, a nie żart.

Thorn przyjął jednak komplement z istic filozoficznym spokojem.

– To prawda – powiedział, potrząsając głową z żalu nad zmarnowanymi latami.

Zbiornik był najnowszym wynalazkiem Hala, który postanowił, że jego mama będzie miała w kuchni bieżącą wodę. Z beczki wyrastała zygzakowata rura, biegnąca w dół aż do blatu kuchennego. Przepływ regulowało się za pomocą kranika zamontowanego na spodzie beczki.

– Już nie będziesz musiała nosić wody ze studni. Thorn napełni beczkę co rano – oznajmił, nie zwracając uwagi na sceptyczną minę matki.

Skonstruował wszystkie elementy systemu w swoim warsztacie i czekał na dzień, kiedy Karina wyruszy na targ, znajdujący się dziesięć kilometrów od wsi. Zawołał Thorną i Stiga na pomoc i razem zabrali się do instalowania wynalazku.

Najpierw umieścili beczkę wysoko na ścianie, na wcześniej wbitym wsporniku, potem przyczepili rurę i wreszcie zaczęli napełniać beczkę wodą ze studni.

Teraz zbiornik był już napełniony do połowy. Nie mogli się doczekać, kiedy zobaczą końcowy rezultat.

– Może wypróbujemy? – zaproponował Thorn, ciekaw działania nowego urządzenia.

Jakby w odpowiedzi beczka znów zatrzeszczała złowieszczo. Thorn spojrzął na Hala, który potrząsnął głową ze zniecierpliwieniem.

– Drewno pracuje – powiedział. – Nic więcej.

Podszedł do blatu i umieścił pod wylotem rury dużą miskę. Potem pociągnął za sznurek przywiązany do kranika. Szło to nieco opornie, drewniany kołek zapiszczał, jakby w proteście.

Usłyszeli gulgotanie wody, która pociekła z beczki zygzakowatą rurą i po chwili do miski wpadł srebrzysty strumień.

Stig i Thorn zaklaskali w ręce, a Hal uśmiechnął się promiennie.

– Działa! – stwierdził triumfalnie, po czym, uświadomiwszy sobie, że taka reakcja mogłaby sugerować wcześniejsze wątpliwości, skinął głową i dodał bardziej rzeczowym tonem: – Taak. Doskonale. Świetna robota. Zresztą, tak jak przypuszczałem.

Miska była już prawie pełna i Hal pociągnął za sznurek przyczepiony do kranika, by odciąć dopływ wody.

Bez rezultatu. Kranik nie chciał się przekręcić.

Woda przelała się i zaczęła ściekać na blat. Znów pociągnął za sznurek, tym razem mocniej. Znów bez rezultatu. Woda nadal płynęła. Teraz również na podłogę.

Pociągnął jeszcze mocniej.

I znów rozległ się tajemniczy trzask.

Thorn zmarszczył brwi.

– Dziwne, klepki nadal pracują?

Przebieg wydarzeń wyglądał następująco: wiercąc dziury w ścianie, Hal w pośpiechu jedną z nich wywiercił trochę krzywo i na skutek tego jeden z gwoździ, na których wisiała beczka, nie wszedł odpowiednio w ścianę i trzymał się jedynie na cienkiej warstwie tynku. Pod wpływem rosnącego ciężaru beczki stopniowo tracił również i to niepewne oparcie. Beczka coraz mocniej przechylała się w bok, wydając przy tym ów tajemniczy dźwięk, który tak ich zastanawiał.

Hal znów pociągnął za sznurek – tym razem udało mu się przekręcić kranik, lecz tego już niestabilna konstrukcja nie wytrzymała.

– Uwaga! – wrzasnął Thorn, chwycił Hala za koszulę i pociągnął mocno, ratując go od zderzenia ze spadającą beczką. Stig, który siedział na stole, wydał okrzyk przerażenia i zanurkował pod blat.

Beczka z ogłuszającym hukiem walnęła o brzeg stołu i rozpadła się na kawałki. Klepki i żelazne obręcze poleciały na wszystkie strony, woda – jakieś trzydzieści wiader – potężnym strumieniem zalała kuchnię. Stig, przygnieciony masą wody, wydał z siebie stłumione gulgotanie.

Zaraz za beczką poleciały rury i reszta konstrukcji, rozbiły się o stół i podłogę i z okropnym hałasem rozsypały się na wszystkie strony.

Hal, którego Thorn cały czas mocno trzymał za kołnierz, patrzył przerażony, jak jego wspaniały wynalazek, cudowna konstrukcja, nad którą tak pieczołowicie pracował przez kilka wieczorów, w ciągu paru sekund obraca się w nicość. Klepki, metalowe obręcze, kawałki rur i drewna kłębiły się w wodzie, a w ścianie, w miejscu, gdzie oderwał się nieszczęsny gwóźdź, zdzierając tynk, ziała teraz dziura, ukazując gołe belki pod spodem.

Jedna z obręczy, wprawiona w ruch przez masy wody, obracała się na podłodze, brzęcząc przenikliwie – był to jedyny dźwięk, jaki rozlegał się w zrujnowanej kuchni.

Spod stołu wychynęła przerażona twarz Stiga. Włosy miał przyklejone do czaszki, koszulę całkowicie przemoczoną.

– Teraz klepki na pewno już się ułożyły – stwierdził Thorn.

Oczywiście, dokładnie ten moment musiała wybrać Karina na powrót do domu.

– Nie powinieneś go zachęcać – stwierdziła Karina, zajęta zagniataniem ciasta na chleb.

Thorn, który na kolanach układał przy piecu zapas drewna na opał, potrząsnął głową ze słabym uśmiechem.

– Nic nie mogę na to poradzić. Chłopak ma tysiące pomysłów, wkłada w nie tyle zapału i energii.

– Za dużo – odparła Karina surowo. – W następnym tygodniu rozpoczyna trening. Nie będzie miał czasu na te wszystkie głupoty.

Przy tych słowach machnęła ręką oblepioną mąką. Jedyнным śladem katastrofy, która wydarzyła się poprzedniego dnia, była plama świeżego tynku na ścianie.

Hal spędził całe popołudnie na wycieraniu podłogi, wylewaniu wody szuflą, zrobioną z płaskiego kawałka drewna, przywiązanego do kija od miotły, zbieraniu obręczy, połamanych kawałków klepek i innych części swego wynalazku. Położył też tynk na ścianie, miał go jeszcze pokryć farbą, kiedy wyschnie.

– Ani czasu, ani energii – dodał Thorn. – Będzie zajęty od rana do wieczora.

– I bardzo dobrze – mruknęła Karina pod nosem.

Thorn wyprostował się, przyciskając rękę do krzyża, i jęknął cicho.

– Za stary jestem na takie akrobacje – stwierdził.

Karina w milczeniu ugniatła ciasto pięściami i bokiem dłoni.

– To miał być prezent, który ułatwi ci życie. Hal chciał ci zrobić niespodziankę – powiedział, by ją udobruchać.

– O, to mu się z pewnością udało – zauważyła. Włożywszy ciasto do miski i nakrywszy je lnianą ściereczką, dodała: – Zastanawiam się tylko, jak akt wandalizmu w mojej kuchni ma się do ułatwiania mi życia.

Karina zabrała się do wyrabiania kolejnego bochenka. Wysypała porcję mąki na stół i zrobiła dołek w środku kopczyka.

– Sam pomysł był bardzo dobry – zaprotestował łagodnie Thorn. – Tylko wykonanie nie całkiem się udało. Zawinił jeden szczegół.

Karina przerwała pracę i spojrzała na niego.

– Zawsze tak mówi, kiedy coś mu się nie udaje.

– Ale czasem się udaje. Niektóre pomysły są zaskakująco dobre. System grzewczy do sali jadalnej jest doskonały.

Karina niechętnie skinęła głową.

– Pewnie masz rację. Po prostu ja zapamiętuję same katastrofy. Szczególnie, jeśli skutkują potopem w mojej kuchni.

Wlała do dołka mleko z wodą, zepchnęła do środka kopczyk z mąki i zaczęła mieszać składniki.

– To dobry chłopak – podjął Thorn. – Posprzątał wczoraj cały bałagan, a potem pomagał przez całą noc w sali jadalnej, nie oczekując zapłaty, żeby jakoś ci to wynagrodzić. Ma serce we właściwym miejscu i dobre intencje.

Karina zabrała się do ugniatania ciasta.

– Wiem. Tylko martwię się o niego. Gdzie on się dzisiaj podziewa, nie wiesz?

Thorn otworzył drzwiczki pieca i wrzucił do środka kilka szczap. Wiedział, że do pieczenia chleba piec musi być porządnie rozgrzany.

– Chyba wspominał, że wybierają się ze Stigiem nad Niedźwiedzi Strumień pracować nad łodzią.

Karina znów westchnęła, tym razem głośniejsz.

– Tylko łódź i łódź. Ostatnio nic innego go nie obchodzi. Myślisz, że ten pomysł uda mu się zrealizować?

– Czemu miałyby się nie udać? Widziałem już łodzie z podobnym typem ożaglowania – na Morzu Spokojnym.

– Wyszczrzył się. – Na pewno wszystko będzie dobrze, o ile Hal nie zapomni o jakimś drobnym szczególe.

– W przypadku łodzi problem polega na tym – zauważyła Karina – że jeśli zapomni się o jakimś drobnym szczególe, łódź idzie na dno.

Zaatakowała ciasto energicznie. Thorn przez chwilę przyglądał się jej zręcznym ruchom, po czym spojrzał z namysłem na swoją dłoń.

– Mógłbym spróbować?

Karina podniosła na niego wzrok. Wiedziała, że Thorn wciąż szuka zajęć, które mógłby wykonywać za pomocą swojej jedynej ręki. Kiwnęła głową i odsunęła się na bok, wycierając ręce w fartuch. Potem spojrzała na dłoń Thorna, zmarszczyła brwi i poleciała:

– Najpierw umyj ręce.

I natychmiast zdała sobie sprawę, że użyła liczby mnogiej. Thorn jednak chyba nie zwrócił na to uwagi. Nalał wody do miski, zanurzył dłoń i zaczął wykonywać nią koliste ruchy, rozczapierzał palce i szorował je kikutem prawej ręki tak długo, aż Karina z aprobatą skinęła głową. Potem zabrał się za ciasto, obracał je i tłukł, grzmocił i ubijał na płasko bokiem dłoni, po czym silnymi palcami związał z powrotem w kulę. Z początku szło mu trochę niezgrabnie, lecz szybko chwycił odpowiedni rytm.

Karina znów przygotowała kopczyk z mąki, wody i drożdży i zaczęła mieszać ciasto na trzeci bochenek. Pracowali tak w milczeniu przez kilka minut. W końcu Thorn zrobił z ciasta wielką kulę i umieścił ją w misce. Przyjrzał się swemu dziełu i z zadowoleniem kiwnął głową. Odkrył kolejną czynność, którą potrafił wykonać mimo kalectwa.

– Hal sobie poradzi, Karino. Nie musisz się o niego martwić.

Podniosła na niego wzrok. Kosmyk włosów wpadł jej do oczu. Spojrzała na swe upačkane ciastem dłonie, po czym dmuchnęła do góry, by go odgonić.

– Jestem matką. Muszę się martwić. Dobrze, że Stig z nim jest – dodała. – Przynajmniej jeden przyjaciel.

ROZDZIAŁ 4

Mieszkańcy Hallasholm nie byli szczególnie zaskoczeni, że Hal i Stig nawiązali przyjaźń. W końcu chłopców łączyły podobne losy, obaj w młodym wieku stracili ojców i wkroczyli w wiek dojrzewania pozbawieni opieki mężczyzny. Logiczne, że szukali swego towarzystwa. Z początku jednak ich przyjaźń nie miała nic wspólnego z logiką czy zdrowym rozsądkiem.

Mimo wszystko istniały między nimi spore różnice. Ojciec Hala zginął honorową śmiercią, w potyczce z nieprzyjaciółmi na wybrzeżach Iberii, ojciec Stiga natomiast żył – po prostu zniknął kilka lat wcześniej. Był świetnym wojownikiem, lecz również nałogowym hazardzistą i narobił strasznych długów. Nie mógł ich spłacić i chcąc uniknąć hańby, pewnej ciemnej nocy uciekł z Hallasholm. Stało się to tuż po powrocie z wyprawy, łupy jeszcze nie zostały rozdzielone. Olaf, który tej nocy trzymał przy nich straż, zabrał najlepszą część – głównie pieniądze i klejnoty, po czym zwiął, zostawiając wściekłych towarzyszy wyprawy, a także żonę i syna.

Matka Hala miała środki do życia, kupiła nawet niewielką gospodę, która dzięki jej wyśmienitemu gotowaniu stała się jedną z najpopularniejszych jadłodajni w Hallasholm, matka Stiga zaś musiała zarabiać na życie jako praczka. Zajęcie dość upokarzające, szczególnie dla żony wojownika. Matka Stiga miała jednak wielką siłę woli, wierzyła, że ciężka praca nie hańbi i trzymała głowę wysoko. Stig za to bardzo przejął się postępkami ojca, wstydził się za niego i jednocześnie cierpiał z powodu jego zniknięcia.

Stał się humorzasty i podejrzliwy, posądzał wszystkich kolegów, że obgadują go za plecami i naśmiewają się z niego. Przy pierwszej lepszej okazji tracił panowanie nad sobą, czy prowokacja była zamierzona, czy nie, i często wdawał się w bójkę, niejednokrotnie z kilkoma przeciwnikami jednocześnie.

Czasami dostawał w skórę, ale potrafił też sam porządnie dołożyć. W rezultacie chłopcy zaczęli go unikać. Nigdy nie wiedzieli, czy jakaś niewinna uwaga nie zostanie źle odebrana.

Oczywiście, niektórzy robili uwagi, które do niewinnych nie należały, drażnili się ze Stigiem, zachowując odpowiednią odległość, bezpieczni w grupie.

W społeczeństwach wojowników, takich jak skandyjskie, chłopcy z reguły tworzyli różne grupy i kliki. Przywódcą jednej z grup był Tursgud. Wysoki, dobrze zbudowany, przystojny atleta. Cechowała go również wyjątkowa arogancja, uwielbiał drażnić takich samotników jak Stig i Hal. Stig zwykle udzielał mu odpowiedzi w podobnym stylu, atakował go wściekle pięściami i kończyło się bójką. Tursgud nigdy nie zaczepiał adwersarza, czynił tak tylko wówczas, gdy miał do pomocy trzech czy czterech kompanów.

Hal zapewne chętnie nawiązałby kontakt ze Stigiem, ale tak jak pozostali, wolał trzymać się na dystans. Poza tym dzięki niemu przynajmniej czasami miał spokój z Tursgudem, a wiedział, że gdyby stanął po stronie Stiga, tylko niepotrzebnie zwróciłby na siebie uwagę. Gorzkie doświadczenia z przeszłości nauczyły go, że nie jest to najmądrzejszy pomysł.

I tak by pewnie zostało, gdyby nie incydent z pułapką na homary.

Był rześki jesienny dzień, jeden z ostatnich, kiedy mieszkańcy Hallasholm mogli cieszyć się czystym niebem i słońcem. Wkrótce – zbyt wcześnie – ciężkie ciemne chmury zimowe na długie miesiące miały zasnuć niebo, przynosząc ostre wichry i śnieg.

Hal zabrał wędkę i wyruszył nad morze z zamiarem złapania kilku tłustych dorszy. By dotrzeć

do swego ulubionego miejsca, musiał przejść przez wieś.

Na błoniach kilka grup grało w piłkę. Chodziło o to, by trafić nadmuchanym pęcherzem w bramkę, zasady gry były jednak dość płynne. Czasami któryś z chłopców chwycił piłkę i biegł z nią, co stanowiło sygnał dla pozostałych, którzy rzucali się na niego i powalali na ziemię. Niekiedy robili to członkowie jego własnej drużyny. Hal przyglądał się przez kilka minut. Jak zwykle poczuł ukłucie żalu, że nie może uczestniczyć w zabawie, i że brakuje mu śmiałości, by zapytać, czy może się przyłączyć. Nagle rozległ się głos Tursguda, który głośno wykrzykiwał własną interpretację zasad gry. Hal wzruszył ramionami i poszedł dalej.

Miejsce, w którym najczęściej wędkował, znajdowało się na zachód od Hallasholm, tam gdzie klify wyrastały ostro z oceanu, a fale roztrzaskiwały się groźnie u ich podnóża. Była to niewielka zatoczka odgradzona od szalejących fal pierścieniem potężnych skał. Stroma ścieżka wiodła w dół, ku płaskiej skale, która stanowiła wyśmienite stanowisko wędkarskie. Nie tak łatwo było się tam dostać, ale Hal wiedział z doświadczenia, że ryby unikają łatwo dostępnych miejsc.

Gdy rażno zmierzał przed siebie ścieżką na szczycie klifu, jakieś pięćdziesiąt metrów przed nim pojawił się ktoś jeszcze. Po kilku sekundach rozpoznał Stiga i zmarszczył czoło. Ścieżka, prowadząca do miejsca, w którym zwykł łowić, była dobrze ukryta i zupełnie nie miał ochoty nikomu jej pokazywać. Takie doskonałe miejsce należy trzymać w tajemnicy. Postanowił, że poczeka cierpliwie, aż Stig znajdzie się w bezpiecznej odległości.

Potem ruszył, utrzymując stały dystans, ostrożnie przemykając między skałami, by Stig go nie zauważył. Nie wiedział, jak mógłby zareagować, gdyby zorientował się, że ktoś za nim idzie. Hal poczuł ulgę, kiedy Stig minął miejsce, w którym należało skrócić na ścieżkę prowadzącą w dół. Stig najwyraźniej zmierzał w stronę kolejnej zatoczki, znajdującej się za następną skałą.

Niósł kij wierzbowy długi na jakieś trzy metry i duży drewniany skopek ze ściśle przylegającą pokrywą, a na ramieniu zwój liny. A więc zamierzał kłusować.

Zawodowi rybacy z Hallasholm mieli swoje ulubione miejsca, w których zastawiali pułapki na kraby i homary. Wnosili specjalną opłatę, by zarezerwować te miejsca na swój wyłączny użytek. Inni rybacy i wędkarze nie mieli prawa zbliżyć się do nich, ale chłopcy nieraz zakradali się i wybierali z pułapek smakowite skorupiaki. Hal sam robił tak parę razy. Było to ryzykowne. Jeśli rybacy złapali kogoś na gorącym uczynku, czekało go ostre lanie. Być może właśnie ów element ryzyka czynił te wyprawy tak ekscytującymi.

W zatoczce, do której kierował się Stig, zastawiał pułapki stary spryciarz Dorak. Było to odsłonięte miejsce, lecz głęboka woda i liczne podwodne skałki stanowiły idealne środowisko życia dla homarów. Dorak trzymał tam kilka pułapek, zaznaczonych kolorowymi bojami. Zawsze czekał na spokojniejszą pogodę i wtedy wypływał łodzią po łupy. Stig pewnie zamierzał zejść po skale nad wodę i przyciągnąć najbliższą pułapkę za pomocą drąga, a potem włożyć homary do skopka.

Hal patrzył, jak Stig odwija linę, przywiązuje do pieńka na skraju wzniesienia, potem puszcza ją w dół. Chwycił linę i ostrożnie zaczął schodzić tyłem po skalnej ścianie, z kijem na plecach i skopkiem przewieszonym przez ramię.

Hal odczekał kilka minut, po czym zbliżył się do skraju wzniesienia i spojrzał w dół. Stig stał już u podnóża, na skalnej półce, i wychylony do przodu, próbował chwycić żółtą boję, pływającą kilka metrów od brzegu. Wciąż od nowa usiłował pochwycić ją hakiem na końcu drąga, lecz bezskutecznie. Drąg był długi i nieporęczny, Stig trzymał go za sam koniec, lecz i tak nie mógł dosięgnąć boi, która kołysała się mocno na falach. Za każdym razem chybiał celu.

Fale rozbijały się o skalną półkę, na której przycupnął chłopak, ochlapując go potężnymi rozbryzgami. Ze złością wytarł oczy z zimnej słonej wody i jeszcze raz sięgnął kijem po boję.

Brakowało tak niewiele. Dorak nieraz został okradziony i teraz zastawiał pułapki w pewnej odległości od brzegu – na tyle blisko, by znalazły się koło żerowisk homarów, ale też na tyle daleko, by żaden chłopiec nie dosięgnął ich nawet z pomocą długiego kija z hakiem na końcu.

Kolejna fala uderzyła o skałę, potem cofnęła się, odsłaniając półkę poniżej miejsca, gdzie stał Stig. Znajdowała się ona jakiś metr bliżej boi, lecz stale zalewały ją fale. Hal zauważył, że porastają ją też wodorosty – a więc musiała być śliska.

Ale Stig już siedział na samym brzegu, sięgając stopą występu poniżej. Kolejna fala rozbiła się o skałę ze zduszonym „hump” i zaraz cofnęła, na chwilę odsłaniając śliski występ. Stig zsunął się po skale, szukając stopami oparcia.

– Ostrożnie – mruknął pod nosem Hal. Potrafił dobrze pływać. Matka, która wychowała się na moczarach Araluenu, nauczyła go, kiedy był mały. Wiedział jednak, że większość Skandian tego nie potrafi – prawdziwy paradoks, przecież tak wielu z nich spędzało całe życie na pokładzie okrętu. Jak tłumaczył mu Thorn, uważali, że w razie katastrofy umiejętność pływania tylko przedłużyłaby ich agonię. Nie mówiąc już o tym, że zimne wody Morza Białych Sztormów nie zachęcały do kąpieli.

Stopa Stiga pośliznęła się na porośniętej wodorostami skale, kiedy uderzyła kolejna fala, zalewając go aż po pas. Cofająca się woda zaczęła ciągnąć go ze sobą. Stig prędko sięgnął do tyłu i chwycił się szorstkiej skały. Przez chwilę wyglądało to bardzo nieciekawie, ale zaraz odzyskał równowagę.

Nagle Hal zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech. Teraz wypuścił go z westchnieniem.

Stig, znów bezpieczny, jeszcze raz wyciągnął kij. Boja znajdowała się teraz niedaleko, lecz nadal podskakiwała na falach. Stig zdołał zaczepić hak o pętlę na czubku boi, lecz wraz z kolejną falą boja zanurzyła się i uwolniła z haka. Stig wykonał jeszcze jedną próbę, znów nieudaną. I znów fala uderzyła o skałę, rozbryznięta się wysoko w powietrzu i cofnęła się. A następna uniosła boję jeszcze wyżej. Na chwilę boja zamarła nieruchomo.

Stig puścił skałę i wychylił się, ujmując kij obiema rękami. Wymierzył uważnie i zaczepił hak o mokrą pętlę. Niespodziewanie boja znów zanurzyła się i pociągnęła go za sobą. Stig, nieprzygotowany, zachwiał się. Kolejna fala walnęła o występ, masy wody przelały się przez skałę i opadły do oceanu. Stig, który i tak stał już niepewnie, stracił równowagę. Z krzykiem zsunął się ze skały.

Hal patrzył z przerażeniem, jak Stig znika w odmętach. Słyszał krzyk, który urwał się gwałtownie, kiedy woda zamknęła się nad głową chłopaka. Wynurzył się po chwili, kilka metrów dalej, unoszony prądem powrotnym. Przez chwilę miotał się w wodzie, potem znów zniknął pod jej powierzchnią, znowu się wynurzył.

Hal zdał sobie sprawę, że kamizela Stiga, która złapała powietrze i wydeła się, przez jakiś czas pomoże mu unosić się na powierzchni, ale wkrótce nasiąknie wodą i pociągnie go na dno. Nie było czasu do stracenia. Zerwał się i pobiegł do miejsca, w którym Stig przyczepił linę. Rozebrał się do bielizny, zostawiając pas z nożem. Po namyśle owinął ręce koszulą, chwycił linę i spuścił się po niej, odpychając się stopami od ściany.

Tkanina zaczęła dymić pod wpływem tarcia, lecz na szczęście chroniła jego dłonie przed poparzeniem. W ciągu kilku sekund znalazł się na dole. Kolana ugięły się pod nim i upadł niezgrabnie, uderzając się w biodro. Zaraz jednak podniósł się i ruszył biegiem w kierunku Stiga.

Po drodze chwycił skopek. Wieko było z jednej strony przytwierdzone na zawiasie, z drugiej

zamknięte metalowym haczykiem. Przerzucił sznurowy uchwyt przez ramię, podbiegł na sam brzeg skalnej półki i przystanął. Stig znajdował się jakieś siedem-osiem metrów od brzegu, miotał się w wodzie rozpaczliwie. Jego kamizela już zaczęła nasiąkać wodą. Stig szeroko otworzył usta do krzyku, potem zakrztusił się, kiedy uderzyła następna fala, wypełniając jego usta słoną wodą. Hal widział, że Stig jest bliski poddania się i zdawał sobie sprawę, że ma tylko kilka sekund.

Począł, aż fala uniesie się i rozbije o skałę, po czym rzucił skopek do wody i sam skoczył w odmęty, najdalej jak tylko zdołał.

Uderzenie lodowatej wody, która zamknęła się nad jego głową, było jak kopnięcie muła. Z trudem zwalczył odruch, by otworzyć usta. Wyplął na powierzchnię i wrzasnął głośno, z bólu i zimna. Skopek pływał tuż obok. Hal chwycił sznurek, przycisnął skopek do piersi, odwrócił się na plecy i zaczął odpychać się ruchami nóg. Skopek był jak boja, pozwalał utrzymać się na powierzchni.

Spojrzał przez ramię. Tam był Stig! Jakieś pięć-sześć metrów dalej. Walczył coraz słabiej. Kamizela, ciężka od wody, stała się śmiertelną pułapką, do tego dochodziło zimno i woda wlewająca się do ust – Stig w każdej chwili mógł pójść na dno. Wciąż młócił wodę desperackimi, niezgrabnymi ruchami, które wyglądały jak parodia pływania. Wszystkie te wysiłki nie przynosiły najmniejszego rezultatu.

Hal podpłynął do niego od tyłu. Stig był wyczerpany, ledwo przytomny, ale Hal uznał, że to nawet dobrze, bo gdyby miał więcej sił, mógłby pociągnąć go za sobą pod wodę. Popchnął skopek w stronę tonącego, przycisnął do jego klatki piersiowej.

– Złap się tego! – polecił, gulgocząc przy tym, bo woda wlewała mu się do ust. – Wyciągnę cię na brzeg!

Stig chwycił naczynie instynktownie, otoczył je ramionami. Poczul, jak przyjmuje jego ciężar i z ulgą stwierdził, że już nie tonie. Usłyszał tuż przy swoim uchu:

– Odpręż się! Nie walcz! Skopek utrzyma cię na powierzchni. Rozluźnij mięśnie. Zaufaj mi.

Stig posłusznie wykonał polecenie. Poczul szarpnięcie, kiedy Hal przeciął nożem jego kamizelę na ramionach. Ciężkie, nasiąknięte wodą futro osunęło się do wody i zaczęło powoli opadać. Stig od razu poczuł się lżejszy.

Otworzył usta, by podziękować swemu wybawcy, lecz w tym momencie fala uderzyła go w twarz i znów napił się morskiej wody. Zaczął się dusić i wpadł w panikę. Spiął mięśnie.

– Zamknij usta! I rozluźnij się! – wrzasnął Hal. Stig posłuchał, mocniej przycisnął skopek do piersi.

Hal spojrzał na skały, z których zeskoczył do wody. Fale wznosiły się na ponad metr, to odsłaniając skały, to zalewając je na nowo, rozbijały się o nie z ogromną siłą, posyłając fontanny wody wysoko w powietrze. Wiedział, że gdyby próbował wyjść na brzeg w tym miejscu, obaj zapewne roztrzaskaliby się ścianę o skalną. A bezcenny skopek rozpadłby się na kawałki. Najlepiej byłoby opłynąć skałę i dotrzeć do jego sekretnej zatoczki, gdzie fale rozbijały się o linię skał i docierały do brzegu z mniejszą siłą. To znaczyło, że będzie musiał przepłynąć ponad sto metrów pośród wysokich fal, ciągnąc za sobą Stiga. Nie miał jednak wyboru. Poczul nagły lęk, kiedy uświadomił sobie, że nie wiadomo, na jak długo starczy mu energii. Sto metrów w spokojnej wodzie to niedużo, lecz teraz morze było wzburzone, woda brutalnie lodowata, paraliżująca.

– Nie ma się co zastanawiać, to mi nie pomoże – powiedział do siebie. Chwycił Stiga za kołnierz i zaczął ciągnąć. Płynął bokiem, odpychając się ruchami nóg i wolnego ramienia.

Już po chwili zimno porządnie zaczęło dawać mu się we znaki. Miał ochotę zatrzymać się i odpocząć. Pomyślał, że mogliby tak chwilę podryfować, wiadro utrzymałoby ich obu na powierzchni. Ale nagle uświadomił sobie, że jeśli się zatrzyma, nie będzie w stanie ruszyć

ponownie. Zimno stawało się obezwładniające. Nie czuł palców u rąk i nóg. Wysysało z niego energię, a jego ciało próbowało walczyć. Z determinacją potrząsnął głową i płynął dalej, mocniej odpychając się nogami w nadziei, że w ten sposób się rozgrzeje.

Tak cudownie byłoby zatrzymać się na odpoczynek. Zdrzemnąć się na chwilę...

– Nie! – krzyknął. Albo raczej próbował krzyknąć. Słowo wydobyło się z jego ust jako słabe zniekształcone mruknięcie, zduszone przez kolejną porcję zimnej słonej wody. Zakaszał, wypluł i popłynął dalej.

Stig był ciężki jak kłoda. Zdawało się, że minęła cała wieczność, nim Hal wreszcie dotknął bezpiecznej płaskiej skały przy brzegu. Ostatkiem sił wciągnął Stiga na skałę z pomocą nadpływającej fali. Potem sam się na nią wgramolił, ocierając boleśnie brzuchem i kolanami o szorstką, obrośniętą pąklami powierzchnię, i padł wycieńczony obok.

– Nie mów nikomu, co robiłem – poprosił Stig załęczonym tonem.

Od chwili kiedy wydostali się na ląd minęła godzina. Doszedłszy trochę do siebie, zabrali ubrania Hala oraz linę Stiga i powlekli się do Hallasholm. Koszula Hala została oczywiście na dole, żaden z nich nie miał siły po nią wracać.

Hal rzucił mu baczne spojrzenie.

– Nie zamierzałem – odparł. – Ale to nic wielkiego. Każdy czasem podkrada homary z pułapek. Sam to robiłem.

– Ale nie każdy ma za ojca złodzieja – zauważył Stig. – Wiem, co by mówili. Jaki ojciec, taki syn. Za każdym razem kiedy zrobię coś złego, muszą mi przypominać, że mój ojciec był złodziejem.

– Ale to nie znaczy, że sam nim jesteś. Gdyby tak było, mówiliby o mnie, że jestem bohaterem jak mój ojciec, a wcale tak nie mówią.

Teraz Stig przyglądał się przez chwilę swemu towarzyszowi.

– Jak im powiem, że mnie uratowałeś, to na pewno zaczną – stwierdził, po czym dodał pospiesznie: – Oczywiście, nie musimy mówić o homarach. Możemy powiedzieć, że łowiłem ryby i wpadłem do wody, a ty przyszedłeś i... – urwał, bo Hal już potrząsał głową.

– Lepiej nic nie mówmy. Jeśli ludzie się dowiedzą, że cię uratowałem, Tursgud tylko się wkurzy i zacznie jeszcze bardziej mnie dręczyć. Poza tym to nie było nic nadzwyczajnego. Każdy postąpiłby tak samo na moim miejscu.

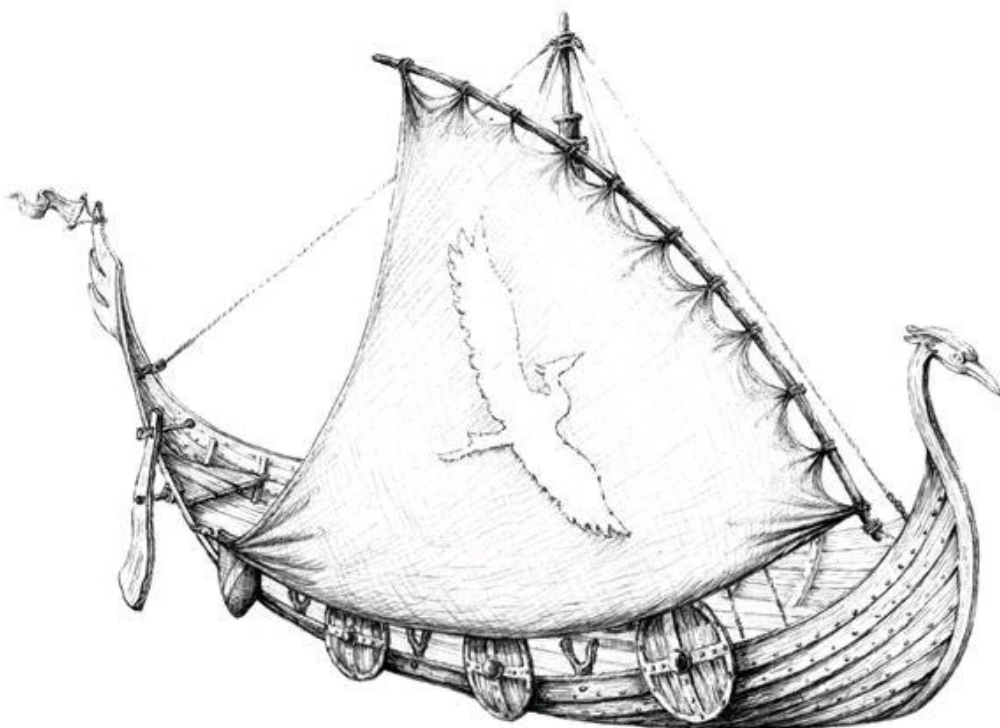
– Ja nie – stwierdził Stig, po czym dodał z krzywym uśmiechem: – I tak bym nie potrafił.

W końcu zgodzili się, że nikomu nic nie powiedzą. Wszyscy jednak zauważyli, że chłopcy zaczęli spędzać ze sobą więcej czasu i zawiązała się między nimi szczerza przyjaźń.

W rezultacie zachowanie Stiga nie było już tak nieobliczalne, wybuchy wściekłości stały się rzadsze. Świadomość, że ma przyjaciela, który nie przekreślił go z góry z powodu postępków ojca, chyba dobrze na niego wpłynęła. Jednakże opinię już miał wyrobioną i nic jej nie mogło zmienić.

Żaden z nich nie wspominał o wydarzeniach tamtego dnia. Oczywiście, matki zdołały wydobyć z nich prawdę. Jak to matki.

CZĘŚĆ 2



„CZAPLA”

ROZDZIAŁ 5

Niedźwiedzi Strumień brał swój początek w górach wznoszących się nad wybrzeżem. Zaczynał się jako wąska strużka, po drodze łączył się z tuzinem podobnych strumyków, by w końcu jako całkiem pokaźna rzeczulka dotrzeć do wybrzeża.

W końcowym odcinku przepływał przez niewielką łąkę leżącą w odległości kilkuset metrów od Hallasholm. Tutaj widać było ślady ludzkiej aktywności. Na ziemi leżały ścinki drewna i kawałki olinowania, stały drewniane kozły i ławki oraz sklecona naprędce szopa kryta brezentem dla ochrony przed deszczem. Powietrze przesycił zapach trocin i świeżo ściętego drewna. Niedaleko warsztatu, na brzegu strumienia, wznosiło się rozklekotane molo.

Przycumowana do niego „Czapla” unosiła się na wodzie, cumy poskrzypywały łagodnie w rytm ruchu wody.

„Czapla” była łodzią o wytwornym kształcie. Mierzyła około pięćdziesięciu metrów, czyli połowę tego, co przeciętny wilczy okręt. Była wyposażona w cztery pary wioseł, podczas gdy nowsze wilcze okręty miał z reguły po dziesięć wioseł na każdej burcie. Każdy, kto na nią spojrział, nawet gdy stała przycumowana do mola, nie mógł nie zauważyć drzemiącej w niej prędkości.

Należała do Hala, dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności.

Po ukończeniu trzynastego roku życia Hal zgłosił się do pracy w warsztacie szkutniczym Andersa. Anders był mężczyzną w średnim wieku, bardzo wybuchowym, który w dodatku nie znosił nastoletnich chłopców. Twierdził, że są to stworzenia humorzaste, na których nie można polegać. Dostrzegając jednak, że Hal różni się od swych rówieśników, więc zgodził się przyjąć go na próbę, choć nie bez obaw. Wkrótce zorientował się, że Hal jest zdolnym i skrupulatnym pracownikiem. Jego precyzja i zamiłowanie do szczegółu były naprawdę imponujące jak na kogoś w tak młodym wieku i Anders bezzwłocznie go zatrudnił. Hal spędzał w zakładzie niemal każdą wolną chwilę.

Hal pracował już dwa lata, gdy Anders przyjął zamówienie od Guntera, starego wilka morskiego. Za stary na zamorskie wyprawy i złamany reumatyzmem, Gunter tęsknił za dawnymi czasami i marzył o łódce, której mógłby używać w wolnych chwilach. Miała to być łódź podobna w proporcjach do wilczego okrętu, lecz mniejsza, tak by do jej obsługi wystarczyło kilka osób, on i paru jego przyjaciół. Anders narysował plan, a Hal, pełen entuzjazmu dla projektu, chętnie mu w tym pomagał. Przez długie miesiące zimowe pracowali w warsztacie, formując dziób, rufę i szkielet kadłuba, tnąc kłoc drewna na klepki poszycia, wybierając drewno na stępkę. Wkrótce w warsztacie ciężko było się ruszyć, gotowe elementy zajmowały coraz więcej miejsca.

I nagle Gunter zmarł.

Powstał nie lada problem. Łódź została zaprojektowana specjalnie na jego życzenie, była za wąska jak na łódź rybacką i za mała na statek handlowy. Anders wiedział, że niełatwo będzie ją sprzedać, a wszystkie te deski, klepki i listwy zajmowały mnóstwo cennego miejsca w jego warsztacie.

Hal rozwiązał problem za niego.

– Ja ją kupię – oznajmił.

Od dawna marzył o własnej łodzi i oszczędzał każdą koronę, zarobioną u Andersa, z nadzieją, że kiedyś zrealizuje ten plan. I oto nadarzyła się doskonała okazja. Ustalili uczciwą cenę – w końcu Anders dostał od Guntera połowę umówionej sumy – i Hal został właścicielem łodzi. Anders

postawił tylko jeden warunek.

– Będziesz musiał ją stąd zabrać, tutaj zajmuje za dużo miejsca.

Hal chętnie przystał na ten warunek, zaraz zwerbował Stiga i Thorna do pomocy i razem przenieśli łódź nad Niedźwiedzi Strumień.

Poprosił też o pomoc trzech innych chłopców, rozpoczynając w ten sposób kompletowanie przyszej załogi.

Ulf i Wulf byli bliźniakami. Nikt nie potrafił ich rozróżnić, nawet matka, i z tego powodu pozostali chłopcy woleli ich unikać. Ulf i Wulf wykorzystywali swe podobieństwo bez skrępowań i często zamieniali się dla żartu, by mącić ludziom w głowach. Hal zawsze sądził, że między bliźniętami istnieje niezwykła więź, lecz Ulf i Wulf chyba stanowili wyjątek od reguły. Kłócili się nieustannie jak pies z kotem lub raczej, jak stwierdził Thorn przy jakiejś okazji, jak kot z kotem.

Kolejnym pomocnikiem był Ingvar – mocno zbudowany chłopak, którego mięśnie bardzo się przydawały, kiedy trzeba było przenieść coś ciężkiego, na przykład worki z rzeczonymi kamieniami, które miały posłużyć za balast.

Ingvar posiadał wszelkie cechy, które mogłyby uczynić z niego wielkiego wojownika – gdyby nie jeden szczegół – jego wzrok był tak kiepski, że Ingvar nawet z odległości metra z trudnością rozpoznawał szczegóły. Wizja walki u jego boku nie należała do zachęcających. W ferworze bitewnym zapewne miałyby spore trudności z rozróżnieniem swoich od wrogów i prawdopodobnie zabijałyby wszystkich jak leci. Był to jednak dobry chłopak, o filozoficznym podejściu do własnej ułomności, zawsze gotów pomagać innym. A jeśli chodzi o noszenie ciężarów, nie miał sobie równych.

Lato mijało, łódź powoli przybierała ostateczny kształt. Bliźniaki i Ingvar pomagali od czasu do czasu, choć nie dzielili entuzjazmu Hala i Stiga. Hal wzywał Ingvara do prac wymagających użycia siły, na przykład kiedy trzeba było umieścić stępkę na drewnianym koźle czy wygiąć klepkę, która miała posłużyć do budowy części dziobowej.

Stig zauważył jednocześnie subtelną przemianę w zachowaniu swego przyjaciela. Hal, zwykle wycofany, nie lubiący zwracać na siebie uwagi, przy pracy nad łodzią nabierał zupełnie innych cech. Wiedział, o czym mówi i czego chce, znał się na skutnictwie, a to dodawało mu pewności siebie, dzięki której mógł kierować pracą pomocników. Wydawał jasne i zrozumiałe polecenia, nie tolerował odwalania roboty i czasami kazał wykonać coś od nowa, jeśli rezultat nie spełniał założonych przez niego standardów.

Nadszedł ostatni tydzień lata; ścigali się z czasem, bo łódź miała być gotowa przed rozpoczęciem treningów.

Wiedzieli, że potem nie będą mieć czasu na takie zajęcia, każdą ich chwilę pochłonie ćwiczenie przeróżnych umiejętności, które musieli opanować, jeśli chcieli w przyszłości dostać się w szeregi skandyjskich wojowników i wilków morskich. Będą harować od rana do nocy, trenować sztuki walki i taktykę wojenną – choć to ostatnie akurat nie było zbyt skomplikowane, w przypadku Skandian zwykle polegało na rąbaniu na osłep po usłyszeniu hasła: „Bierzmy ich!”.

Mieli również studiować sztukę żeglarską, techniki nawigacji, zarówno na podstawie punktów orientacyjnych na lądzie, jak i pisemnych instrukcji – które należało wykuć na pamięć – a także według gwiazd. Wiedzieli, że nie będą narzekać na nadmiar wolnego czasu.

Dlatego właśnie Hal i Stig tak gorączkowo spieszyli się z budową łodzi. Zostały jeszcze żagle i maszt.

Hal zaprojektował do swej łodzi nowe, rewolucyjne ożaglowanie. Tradycyjny wilczy okręt posiadał jeden maszt. Reja, poprzeczne drzewce, podtrzymujące ogromny prostokątny żagiel, była

przymocowana sztywno, poprzecznie do masztu. Dzięki takiemu żaglowi okręt mógł osiągnąć dużą prędkość – o ile płynął z wiatrem. Nawet przy półwietrze, czyli wietrze wiejącym prosto w burłę, nadal poruszał się do przodu, choć już z ograniczoną prędkością.

Natomiast przy kursie pod wiatr ujawniała się słabość prostokątnego żagla. Wilczy okręt mógł wówczas płynąć tylko halsami, pod bardzo sporym kątem w stosunku do kierunku żeglugi. W dodatku boki żagla nie były przymocowane żadnymi linami i łopotwały na wietrze, przez co tracił on kształt i moc.

Hal zaobserwował, że ptaki morskie, szczególnie wdzięczna czapla, potrafią doskonale latać przy przeciwnym wietrze i zaprojektował żagiel trójkątny, w kształcie ptasiego skrzydła. A reję nie w formie drzewca poprzecznego do masztu, lecz przymocowanego jednym końcem na dziobie łodzi, na stałe, tak że po podniesieniu ustawiało się ono pod kątem ostrym. Trójkątny żagiel wspaniale wydymał się na wietrze, tworząc idealny płócienny łuk. System lin pozwalał napinać bądź luzować żagiel oraz ustawiać odpowiednio drzewce – rejkę, w zależności od mocy i kierunku wiatru, by jak najlepiej wykorzystać siły nadające pęd łodzi.

Dzięki temu, że żagiel był rozpięty na rejce, a co za tym idzie, usztywniony wzdłuż górnego brzegu, nie opadał i nie tracił kształtu tak szybko jak tradycyjny prostokątny żagiel.

Hal wypróbował swój projekt na modelach i obliczył, że jego łódź będzie mogła płynąć trzy razy bliżej linii wiatru niż jakikolwiek wilczy okręt.

Pomysł był tym bardziej rewolucyjny, że Hal postanowił wyposażyć łódź nie w jeden, lecz w dwa żagle i w dwie rejki umieszczone po obu stronach masztu. Przy wietrze wiejącym z prawej strony będzie można postawić żagiel znajdujący się z lewej strony, przy wietrze z lewej – żagiel z prawej. A przy wietrze od rufy, czyli od tyłu – oba żagle naraz, tak że utworzą ogromną literę M.

Żagle można było również połączyć systemem bloków, dzięki któremu, zwijając jeden z nich, jednocześnie wciągało się ten drugi.

W hołdzie dla ptaka, który zainspirował ten odważny projekt, Hal nadał łodzi imię „Czapla”.

– Myślisz, że będzie działać? – zapytał Stig.

Nigdy nie widział takiego ożaglowania. W gruncie rzeczy nie widział nigdy żadnych innych okrętów prócz wilczych, wyposażonych w zwykły prostokątny żagiel.

– Oczywiście, że tak. Wypróbowałem na modelach i działało jak trzeba.

– Nie przegapiłeś żadnego szczegółu?

Hal zmierzył Stiga groźnym spojrzeniem. Poprzedniej nocy pracował do późna, przycinając płótno na lewy żagiel, by zdążyć na próbny rejs, który miał się odbyć właśnie tego dnia.

– Nie sądzę – odparł.

– A nie uważasz, że przydałyby się refliny na obu żaglach?

Hal miał już na końcu języka miażdżącą odpowiedź, gdy zdał sobie sprawę, że Stig ma rację. Zapomniał o reflinach – linkach, które umieszcza się na żaglach mniej więcej w dwóch trzecich długości, a w razie niepogody wiąże do masztu, by zebrać górną trzecią część żagla i w ten sposób zredukować jego powierzchnię. Zawahał się, spojrzął w niebo.

– Dziś raczej nie będą nam potrzebne. Zapowiada się pogodny dzień.

Usiłował nie zwracać uwagi na znaczącą minę Stiga. Poczul ulgę, gdy usłyszał głosy pozostałych chłopców.

– Są bliźniaki i Ingvar – powiedział. – Akurat w odpowiednim momencie – dodał pod nosem.

Hal zaplanował pierwszą podróż „Czapli” w następujący sposób: najpierw, przez pierwsze kilka kilometrów od wybrzeża, będą wiosłować i dopiero potem postawią żagle. Poprosił pozostałych, by zjawili się na łące w samo południe. Ich czterech i on sam przy wiosle sterowym – to powinno wystarczyć, by łódź nabrała odpowiedniej szybkości.

Chłopcy chętnie przystali na ten pomysł. Wszyscy niecierpliwie czekali na chwilę, gdy zobaczą „Czaple” pod żaglami. Podekscytowani, weszli na pokład. Z zainteresowaniem przyjrzeni się dwóm żaglom i rejkom, po czym zajęli miejsca na ławkach i zwrócili spojrzenia na Hala.

Hal odczepił cumę dziobową, a kiedy przód łodzi oddalił się nieco od mola, pobiegł na tył i odwiązał również cumę rufową. „Czapla”, uwolniona, zaczęła unosić się z prądem.

– Do wiosł – rozkazał. – Obie naprzód.

Czterej wiosłarze niemal jednocześnie opuścili wiosła i zanurzyli je w wodzie.

„Czapla” ruszyła, nabierając prędkości pod wpływem pierwszego mocnego pchnięcia. Hal z dreszczem ekscytacji poczuł, jak wiosło sterowe nabiera życia w jego dłoniach. Przyciągnął je do siebie, a łódź posłusznie obróciła się w prawo. Drobne fale zapluskwały o dziób. Hal poczuł, jak łódź odpowiada, jak cała lekko wibruje.

– Raz – polecił, by nadać rytm ruchom wiosłarzy. Powtórzył to jeszcze trzy razy, aż zsynchronizowali ruchy, potem zamilkł. Łódź miękko sunęła po wodach strumienia. Po kilku minutach Hal uświadomił sobie, że wciąż musi dociskać wiosło sterowe, gdyż „Czapla” cały czas skręca lekko na lewą burtę. Zastanawiał się, czy to znaczy, że popełnił jakiś błąd. Może stępka jest lekko krzywa? Po chwili uśmiechnął się jednak, znalazłszy odpowiedź.

– Ingvar – krzyknął. – Nie tak mocno.

Ingvar rzucił mu przepaszające spojrzenie. Jego potężnie umięśnione ramiona pracowały z większą siłą niż ramiona pozostałych wiosłarzy. Dodatkowy nacisk z prawej strony powodował lekkie skręcanie łodzi w lewo. Zaczął więc wiosłować z mniejszą mocą. Spojrzał na Hala, mrużąc krótkowzroczne oczy.

– Może być?

Hal na moment puścił wiosło sterowe. Teraz łódź poruszała się w doskonale prostej linii.

– Świetnie – powiedział, znów ujmując ster.

– To na pewno wina Wulfa – stwierdził Ulf, siedzący po tej samej stronie co Ingvar. – Nigdy nie przykłada się jak należy.

– Zaraz przyłożę ci w te odstające uszy, krzywonogi małpiszonie – odgryzł się Wulf. – Może to cię uspokoi.

Hal i Stig wymienili porozumiewawcze uśmiechy. Bawiło ich, że bliźniacy, praktycznie nie do odróżnienia, wciąż dogryzali sobie z powodu wyglądu.

– Tylko spróbuj, szpetny gnomie, a zrobię ci kokardkę z wiosła na tym pustym czerepie – odparł Ulf ochoczo.

Hal uśmiechnął się i wciągnął w płuca słone powietrze. Słońce świeciło, morze było spokojne, wiatr wiał, a Ulf i Wulf prowadzili odwieczne sprzeczki.

Czegóż więcej można było sobie życzyć?

ROZDZIAŁ 6

Niewielka fala marszczyła powierzchnię morza. „Czapla” opuściła koryto strumienia i uniosła się na szerokich wodach. Hal, odpowiednio manewrując sterem, wyprowadził ją gładko, rozstawiając nogi dla złapania równowagi. Po prawej zostawili Hallasholm – skupisko schludnych krytych strzechą budynków z sosnowych bali. Z kominów unosił się dym, jego świeża woń mieszała się ze słoną bryzą.

Zza kamiennego falochronu, który otaczał port dla ochrony okrętów przed zimowymi sztormami, nie było widać zacumowanych tam wilczych okrętów i mniejszych jednostek, wychylał się zza niego jedynie las gołych masztów.

Hal przesunął delikatnie wiosło sterowe, kierując „Czapkę” w lewo, na pełne morze. Poczuł, jak pokład wznosi się i opada pod jego stopami, gdy fala przetoczyła się pod stępką. Pozostali chłopcy wiosłowali w równym spokojnym rytmie – w razie potrzeby mogliby utrzymać go godzinami – a on poddał się wspaniałemu uczuciu. Oto stał u steru własnej łodzi, która właśnie wypływała w morze!

Stig zerknął na niego i zapytał:

– Jak się sprawuje?

Hal uśmiechnął się szeroko.

– Leci jak ptak.

Powoli miasto znikало w oddali, w końcu stało się tylko niewyraźną plamą na horyzoncie, która ukazywała się ich oczom, kiedy łódź unosiła się na fali, i znikala, gdy zsuwali się w dół. „Wystarczy”, pomyślał Hal. Nie mógł się doczekać, by wypróbować, jak zachowa się „Czapla” pod żaglami.

– Stig, Ingvar – polecił spokojnym tonem – przygotujcie się do postawienia lewego żagla.

Chłopcy już od pięciu minut czekali na ten rozkaz. Wciągnęli wiosła, ułożyli je wzdłuż środkowej linii kadłuba i ruszyli w stronę masztu. Hal spojrzał na chorągiewkę, przyczepioną do tylnej stewy, wskazującą kierunek wiatru. Wiał od dziobu, z prawej strony, pod kątem jakichś sześćdziesięciu stopni.

Zawahał się. Nadszedł moment, kiedy miało się okazać, czy jego projekt sprawdzi się w praktyce. Na sekundę czy dwie ogarnęła go niepewność. Co będzie, jeśli żagiel się nie napnie, tylko zwiśnie smętnie na wietrze? Hal wiedział, że przyjaciele go wyśmieją, a potem wieści rozejdą się dalej i wszyscy usłyszą o jego porażce.

Zacisnął usta stanowczo i powiedział sobie, że na pewno wszystko będzie działać jak należy. Projekt był dobry.

– Wciągnąć żagiel.

Stig i Ingvar pociągnęli liny i smukła rejka uniosła się gładko, a żagiel wraz z nią. Natychmiast wydał się na wietrze i zatrzepotał.

– Ulf, Wulf, strzymujcie żagiel.

Żagiel utworzył idealnie napiętą, gładką płaszczyznę. Pod naporem wiatru dziób łódki zaczął przesuwać się w lewo. Hal pomyślał, że teraz nadszedł właściwy moment. Przesunął wiosło sterowe, zmuszając łódkę do zmiany kierunku.

I łódka posłuchała, wykonała obrót w prawo, aż przecięła linię wiatru. I zaczęła płynąć pod wiatr. Halowi kamień spadł z serca. Słyszał, jak jego towarzysze wznoszą okrzyki radości.

Nigdy wcześniej nie widzieli, żeby jakiś okręt płynął pod takim kątem w stosunku do kierunku wiatru. Hal ocenił go na jakieś trzydzieści stopni. Potrząsnął głową z zachwytem. Porządny wilczy okręt mógł halsować pod kątem najwyżej sześćdziesięciu stopni. Przesunął trochę wiosło sterowe i „Czapla” odpowiedziała, jeszcze bardziej zbliżając się do linii wiatru.

W końcu zbliżyli się za bardzo, żagiel załopotał i zaczął tracić kształt. Hal poruszył wiosłem sterowym, dziób łodzi skręcił, wiatr znów wypełnił żagiel i „Czapla” ponownie nabrała prędkości.

– Ona leci!

Nie zauważył, kiedy Stig podszedł do niego. Teraz spojrzał w zachwyconą twarz przyjaciela, na której widniał uśmiech równie szeroki jak na jego własnej.

– Nie przegapiłem żadnego szczegółu! – stwierdził, a Stig wałnął go w ramię z zachwytem.

– Zgadza się! Jest fantastyczna! Pokonałaby każdy wilczy okręt!

Hal spojrzał na pozostałych chłopców. Patrzyli w zdumieniu na żagiel, świadomi, że widzą coś całkowicie nowego. Ekscytującego i wyjątkowego.

Wiedzieli wcześniej, że Hal zaprojektował żagiel nowego typu, ale nigdy nie wypytywali go o szczegóły. Nie przypuszczali też, że efekt okaże się tak wspaniały.

„Czapla” pruła lekko fale, pod kątem mniejszym niż trzydzieści stopni do linii wiatru. Pokład drżał lekko pod stopami Hala. To był jeden z najbardziej ekscytujących momentów w jego życiu. Miał wrażenie, że drewniane ciało „Czapli” żyje. Przesunął ster, tak by dziób obrócił się jeszcze trochę, i ustawił łódź burtą do kierunku wiatru.

– Wciągnąć drugi żagiel – polecił.

Stig i Ulf rzucili się do lin. Kiedy wciągnęli i napięli żagiel, łódź przyspieszyła. Jednocześnie przechyliła się lekko pod naporem wiatru, aż woda zaczęła wlewać się przez burtę. Hal uznał, że chyba jednak wolałby nie zatapiać „Czapli” i rozkazał:

– Wyluzować.

Poluzowali więc nieco liny i łódź wróciła do prawidłowej pozycji.

Krzyknął z zachwytem, a pozostali chłopcy, którzy najpierw zaniemówili z wrażenia, zawtórowali mu po chwili. Nie mógł się doczekać, kiedy opowie o wszystkim Thornowi, kiedy mu pokaże, jak doskonale działa jego wynalazek. Martwił się tylko, że w związku z rozpoczynającymi się treningami drużyn nie będzie miał zbyt wiele czasu na eksperymenty i wypróbowanie nowej łódki.

Spojrzał przed siebie. „Czapla” zsunęła się po grzbiecie fali, rozpruła dziobem wodę, srebrzyste rozbryzgi prysnęły na pokład, na chłopców, ale oni ledwo zwrócili na to uwagę. Nagle wyrósł przed nimi długi cypel. Znajdowali się jeszcze w sporej odległości, lecz Hal uznał, że najlepiej od razu zacząć go okrążyć – póki mają dużo czasu i pole do manewrów.

– Przygotować się do okrążenia cypla – wydał komendę, wskazując na prawo.

Stig spojrzał na niego, dostrzegł stanowczo zaciśnięte szczęki.

– Zamierzasz zrobić zwrot na wiatr?

Hal przytaknął.

– Czemu nie? Zwiniemy lewy żagiel, kiedy znajdziemy się w linii wiatru, a potem wciągniemy prawy. To będzie proste.

Stig miał pewne wątpliwości. Ten manewr wymagał, by skręcić dziobem na wiatr, obrócić łódź do momentu, aż wiatr znów wypełni żagiel. Kapitanowie na wilczych statkach unikali go, jak tylko mogli. Podczas zwrotu na wiatr następował duży nacisk na maszt, reję i takielunek, zdarzało się, że okręt zaczynał płynąć do tyłu, a czasem nawet tracił maszt.

W takim przypadku lepiej było zrobić zwrot z wiatrem, czyli przez rufę – obrócić okręt o trzy czwarte koła, z wiatrem z tyłu. Hal wiedział jednak, że dzięki nowatorskiemu ożaglowaniu będzie im

łatwiej wykonać ryzykowny manewr. Trójkątny żagiel nie stwarzał też takiego niebezpieczeństwa jak ogromny prostokątny przy wejściu w linię wiatru.

– No, dalej – powiedział, skinieniem głowy pokazując wciąż odległy cypel. – Ta skałka nigdzie sobie nie pójdzie.

Manewr udał się doskonale, bez żadnych niespodzianek. Hal pozwolił, by łódź przez chwilę nabierała prędkości, potem obrócił ją pod wiatr. Gdy znaleźli się w linii wiatru, żagiel załopotał i stracił kształt. „Czapla” nie od razu jednak wytraciła prędkość, przez chwilę sunęła przed siebie siłą rozpędu. Na znak Hala Stig i Ingvar zaczęli opuszczać lewy żagiel. Żagle były połączone systemem bloczków i kiedy lewy zaczął opadać, prawy jednocześnie się rozwijał. W chwili gdy „Czapla” przecinała linię wiatru, prawy żagiel już zdążył się napiąć i ponownie nabrali prędkości.

Hal wyszczerzył się, na twarzy Stiga również pojawił się uśmiech. Łódź, która obróciła się o dziewięćdziesiąt stopni, teraz sunęła przed siebie, tnąc fale i prędko zmierzając w stronę lądu. Hal dopiero teraz poczuł, jaki jest spięty. Wysiłkiem woli rozluźnił mięśnie i zwolnił stalowy uścisk dłoni, zaciśniętej kurczowo na sterze. Pociągnął na próbę i obserwował reakcję łodzi. Na wodzie zarysowała się kręta linia kilwatera.

– Jest piękna – westchnął. I rzeczywiście była. Szybka, zwrotna i błyskawicznie reagująca na polecenia. Lepszej nie mógłby sobie wymarzyć. Uśmiechnął się jeszcze szerzej. – A teraz zobaczmy, ile zajmie nam powrót do Hallasholm.

ROZDZIAŁ 7

W porcie Hallasholm stale trzymano strażę, które wyglądały obcych okrętów.

W miejscu, gdzie zaczynał się falochron, stała drewniana wieża. Tego dnia pełnił w niej służbę pewien młodzieniec, który niedawno dostał się do załogi wilczego okrętu. Praca była nudna i bezproduktywna, przeważnie wyznaczano do niej właśnie najmłodszych członków załogi. Jak mawiali doświadczeni żeglarze, strażnik ma niewiele do roboty, a większość młodych wykazuje znaczne zdolności w dziedzinie niewielerobienia.

Oczywiście, istniały też bardziej praktyczne powody. Młodszy żeglarze mieli młodsze oczy i potrafili szybciej dostrzec obcy okręt na horyzoncie niż starsi towarzysze.

Tego dnia oczom strażnika ukazał się zaiste niezwykle widok.

Kadłub tej dziwnej jednostki wyglądał jak kadłub normalnego wilczego okrętu, tyle że była ona mniejszych rozmiarów – mniej więcej o połowę. I zbliżała się z dużą prędkością. Bardzo dużą. Ślizgała się po falach niczym lecący tuż nad powierzchnią morski ptak. Wskazywały na to równe rozbryzgi piany u dziobu. Doganiała każdą z drobnych fal po kolei, przecinała i zaraz goniła następną.

Ale największe wrażenie wywarł na strażniku żagiel. Czegoś takiego nigdy wcześniej nie widział. Żagiel był trójkątny!

– Okręt! – krzyknął do grupki żeglarzy na dole, którzy właśnie ładowali towary na wilczy okręt przycumowany koło falochronu. Spojrzeli na strażnika, potem powiedli wzrokiem za jego ręką, lecz z dołu nie mogli dostrzec tego samego co on.

– Co to jest? – zawołał pierwszy oficer. W jego głosie słyhać było irytację. Strażnik powinien podać rodzaj i liczbę zbliżających się jednostek, a nie tylko wrzeszczeć „okręt” jak przestraszona paniątka na widok złodzieja w swoim saloniku. – To statek handlowy Arndaka? – zapytał.

Każdego roku o tej porze wracały statki handlowe, przywożąc towary z Sonderlandu i południowego wybrzeża Morza Białych Sztormów – wełnę, tkaniny, olej, suszone mięso, które miały pomóc mieszkańcom Hallasholm przetrwać zimę. Oczekiwano ich powrotu już od kilku dni.

– Nie, to nie statek handlowy. To... – strażnik urwał i przyznał zdumionym tonem: – Nie wiem, co to jest.

Mrucząc pod nosem nieprzyjemne uwagi na temat niedorozwoju umysłowego młodych żeglarzy, pierwszy oficer przeskoczył falochron i zwinnie wspiał się po drabinie na platformę obserwacyjną. Wieża zadrzała pod jego ciężkimi krokami. Strażnik przesunął się, by zrobić mu miejsce.

Oficer spojrzał, zmarszczył brwi, spojrzał jeszcze raz.

– Cóż... – zaczął, po czym urwał. Okręt był już blisko. Dziwaczny żagiel nagle załopotał i został zwinięty. Jednocześnie drugi, identyczny, wzniósł się obok. Wybrzuszył się na chwilę, po czym członkowie załogi – widział teraz, że jest ich czterech – ściągnęli szoty i żagiel utworzył idealnie napięty łuk. Okręt, który znacznie zwolnił podczas tego manewru, teraz znów nabrał prędkości.

– Cóż, jest to... – zaczął znów oficer, po czym zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, co to jest. Przechylił się przez barierkę i spojrzał w dół. Członkowie jego załogi patrzyli w górę i jak to bywa w przypadku, kiedy ktoś patrzy w górę, wszyscy szeroko pootwierali gęby.

– Przestańcie rozdziawiać na mnie dzioby jak jakieś wygłodniałe mewy. Sprowadzić mi tu zaraz oberjarla! – wrzasnął. Żaglarze posłusznie pozamykali otwory gębowe, a jeden z nich ruszył biegiem w kierunku siedziby ober-jarla.

– Co to jest, Klaud? – krzyknął któryś.

Oficer wzruszył ramionami.

– Jakiś dziwny okręt. Ze spiczastym żaglem.

Zaczęli gadać jeden przez drugiego. Żaden z nich nigdy nie widział takiego żagla. Nie byli pewni, co to może oznaczać.

– Mamy ogłosić alarm?

– To mała łódź. Najwyżej pół tuzina załogi. Ale trzymajcie topory w pogotowiu, na wszelki wypadek. – Dotknął rękojeści noża, by upewnić się, że tkwi on w pochwie u pasa. Na powitanie obcych zawsze należało mieć broń przy sobie.

Znów spojrzął na zbliżającą się łódź. Była już niedaleko. Zacisnął wargi, zaskoczony tempem, z jakim pokonywała ostatni odcinek. Pędziła niczym strzała prosto ku wejściu do portu. Doświadczonym okiem ocenił kąt, odległość i dryf. Stwierdził, że jeśli utrzyma obecny kurs, wpłynie precyzyjnie w środek wąskiego wejścia. Skinął głową z uznaniem dla umiejętności nieznanego sternika.

– Wie, co robi – powiedział do strażnika, który spojrzął na niego, zdumiony. Klaud uświadomił sobie, że młody człowiek nie jest w stanie docenić spektaklu, który rozgrywał się właśnie na ich oczach. Potrząsnął głową z rezygnacją.

– Nieważne.

Na pokładzie „Czapli” Hal dokonał tych samych obliczeń. Uśmiechnął się do siebie, zadowolony z łodzi i z trafnych szacunków. Kiedy przeszli do nowego halsu i postawili drugi żagiel, Stig podszedł do przyjaciela.

– Nie zabierasz jej nad strumień? – zapytał, choć było oczywiste, że Hal nie ma takiego zamiaru.

– Myślę, że mamy prawo trochę się popisać. Nie uważasz?

Stig uniósł brwi, zaskoczony.

– Nie zauważyłem, żeby ktoś z nas się popisował. Ale sam z pewnością wyrobisz normę za wszystkich. – Pochylił się, by spojrzeć w stronę portu. – Chyba powinniśmy wyciągnąć wiosła.

Hal potrząsnął jednak głową.

– Nie. Zamierzam wpłynąć do portu pod żaglami.

Stig spojrzął na przyjaciela, zaintrygowany.

– No tak, to w kwestii popisywania się.

– Uważam, że na to zasłużyłem – stwierdził Hal, a Stig potrząsnął głową.

– Cóż, w takim razie przygotuję odbijacze. Przydadzą się, kiedy w szalonym pędzie wpłyniesz do portu. Tylko nie walnij w okręt oberjarla. Wiesz, że stoi zacumowany dokładnie naprzeciwko wejścia? Czy też jest to kolejny „drobny szczegół”, który przegapiłeś?

– Ależ oczywiście, że o tym wiem – odparł Hal. Tak naprawdę ten drobny, lecz jakże istotny fakt rzeczywiście umknął jego uwadze. – Nie martw się, w nic nie uderzymy – mruknął, po czym, świadom, że jego przyjaciel ma sporo racji, a port rzeczywiście jest dość ciasny, zawołał Ulfa i Wulfa.

– Wyluzujcie trochę.

– Ja to zrobię – powiedział Ulf. A może był to Wulf.

– Właśnie że ja. Z drogi – warknął jego brat, Wulf albo Ulf. Spojrzeli na siebie.

– Wykonać rozkaz! – wrzasnął Hal i obaj skoczyli do lin. Po chwili łódź wytraciła prędkość.

Zmniejszyła się siła wiatru. Hal poczuł, jak dziób skręca nieco w prawo. Przesunął odpowiednio wiosło sterowe.

Żałował, że nie wpłyną do portu z największą prędkością, ale musiał zgodzić się ze Stigiem. Gdyby pomylił się w obliczeniach, skutki mogłyby być opłakane. Przez chwilę miał koszmarną wizję „Czapli” ryjącej dziobem w rozbitą burtę okrętu oberjarla. Aż się wzdrygnął. „Wilczy Wicher” był wielką dumą i radością Eraka. Raz, kiedy jakiś okręt przypadkiem zadrapał na nim farbę, Erak pogonił przerażonego skirla dokoła portu, groźnie potrząsając toporem bojowym.

Hal uznał więc, że najbezpieczniej będzie jeszcze trochę zwolnić.

– Wyluzujcie odrobinę – polecił. Ignorując rechot Stiga, kolejny raz sprawdził kurs i przesunął wiosło sterowe do momentu, kiedy był pewny, że bez problemów wpłyną w wąskie wejście do portu i zostanie im trochę miejsca po obu stronach.

Niewiele, ale wystarczająco.

Erak również zauważył dziwny okręt, zbliżający się do portu. Wieści migiem się rozeszły i na wybrzeżu szybko zgromadził się spory tłumek.

– Wygląda na to, że zmierza prosto do portu – stwierdził, pozornie spokojnym tonem. – I kieruje się dziobem prosto w mój okręt.

– Też mi się tak wydaje – zgodził się Klaud.

Erak zwrócił się do młodego strażnika, który pierwszy zauważył nieznaną jednostkę.

– Ty. Jak się nazywasz?

Młodzieniec, zadowolony, że oberjarl zwrócił na niego uwagę, miał cichą nadzieję na pochwałę za swoje sprawowanie. Wystąpił naprzód i uklonił się lekko.

– Helligulf – przedstawił się.

Erak spojrzał na niego, zaskoczony.

– Helligulf? – powtórzył. Wciąż zdumiewały go te modne egzotyczne imiona, które rodzice nadawali swoim dzieciom ostatnimi czasy. – A cóż to za imię?

– Moja mama je wymyśliła – wyjaśnił Helligulf, nie bez dumy.

Erak lekko potrząsnął głową.

– Dlaczego?

Helligulf, czując, że fantazja jego mamy nie wywarła specjalnie korzystnego wrażenia na sławetnym wojowniku, niepewnie wzruszył ramionami.

– Yyyy... Nie jestem pewien, oberjarlu.

– Cóż, przemyśl to, a przy okazji skocz na pokład „Wilczego Wichru” i przynieś mi mój topór.

Kiedy młodzieniec pospieszył wykonać rozkaz, Erak powiedział do Klauda ponurym tonem:

– Ostrożności nigdy zbyt wiele.

Klaud od razu zrozumiał, o co chodzi. Był świadkiem, jak Erak pogonił toporem tamtego skirla. Trzeba było dwóch ludzi, by powstrzymać wściekłego oberjarla.

Erak przysłonił oczy i spojrzał w kierunku szybko zbliżającego się okrętu.

– Dobry sternik – stwierdził w niechętnym uznaniu dla nieznanego żeglarza, który tak doskonale potrafił ocenić odległość i utrzymać prawidłowy kurs. – Ktoś wie, kto to?

– To młody Hal – odparł głos za jego plecami.

Erak odwrócił się i zobaczył zaniedbaną postać w łachmanach. Thorn. Szybko skojarzył fakty.

– Syn Mikkela? – zapytał. – Ten Hal?

Thorn przytaknął.

– Właśnie on. To jego łódź. Sam zaprojektował ją i zbudował.

Nie do końca było to prawdą, owszem, żagiel był pomysłem chłopca, lecz Anders sporo pomógł przy projekcie kadłuba. W oczach Thorną lśniła duma, kiedy patrzył, jak łódź zmierza ku wejściu do portu. Pomyślał, że najwidoczniej nowy żagiel się sprawdził i Hal postanowił pokazać wszystkim swoje dzieło.

Miał tylko nadzieję, że chłopiec zdoła zatrzymać się w odpowiednim momencie.

– Niedługo skończy szesnaście lat, wodzu – dodał Thorn. Jako były członek załogi Eraka cieszył się przywilejem nazywania go tym mianem zamiast formalnym tytułem oberjarla. Pomyślał, że dobrze wspomnieć o młodym wieku Hala, co mogło skłonić oberjarla do większej wyrozumiałości w razie wypadku.

W tym momencie Helligulf wrócił z toporem Eraka, który ujął broń i potrząsnął nią, by poczuć znany ciężar.

– Jeśli choć zadraśnie mój okręt, skrócę go o głowę – oznajmił groźnie.

Thorn potrząsnął głową i odparł z przekonaniem:

– Nie ma takiej możliwości.

Miał nadzieję, że się nie myli.

ROZDZIAŁ 8

Wejście do portu rosło w oczach. Hal stał przy sterze, każdy mięsień w jego ciele był napięty, oczy zmrużone, gdy w skupieniu oceniał pozostałą odległość. Zauważył tłum na nabrzeżu i w ustach zaschło mu ze zdenerwowania.

– Na mój znak – krzyknął do towarzyszy – opuście żagiel i wracajcie do wiosł tak szybko, jak się da, kiedy tylko wpłyniemy do portu!

Jego napięcie udzieliło się pozostałym. Ruszyli do szotów i fałów. Stig znów próbował przemówić przyjacielowi do rozsądku.

– Hal, czy nie lepiej byłoby od razu opuścić żagiel i zasiąść do wiosł?

– Prawdopodobnie – odparł, nie odrywając wzroku od wejścia do portu. Ton głosu przyjaciela wyraźnie powiedział Stigowi, że bynajmniej nie zamierza posłuchać rady. Stig wzruszył ramionami i odwrócił się do pozostałych chłopców.

– Pamiętajcie, ruszać się. – Stig spojrzał na Ingvara. – Tylko nie wypadnij za burtę.

Ingvar uśmiechnął się, niezrażony.

– Postaram się – obiecał.

Hal pochylił się nad wiosłem sterowym, na przemian zwiększał i zmniejszał nacisk na rumpel. Dłonie zwilgotniały mu ze zdenerwowania, za to w ustach zaschło. Znajdowali się już naprawdę blisko wejścia. Uznał, że to odpowiedni moment.

– Poluzować liny! Żagiel w dół! Raz! Raz! Raz!

Ostatnią część polecenia mógł sobie darować. Chłopcy byli nie mniej spięci od niego. Nie potrafił się jednak powstrzymać.

Żagiel załopotał z hukiem, kiedy Ingvar i Stig poluźnili szoty – liny napinające żagiel. Wiatr dmuchnął nagle z wielką siłą, którą żagiel trzymał do tej pory w cuglach. W tym samym momencie Ulf i Wulf zaczęli opuszczać rejkę. Ingvar i Stig próbowali pomagać im desperacko, zbierając łopoczący żagiel i wciskając zwoje materiału pod drzewce. Stig uznał, że później ułożą go jak należy.

– Wiosła chwyć! – krzyknął Hal. Mimo braku żagla jeszcze nie wytracili prędkości, falochron zbliżał się w zawrotnym tempie. Usłyszał uderzenia drewna o drewno, kiedy załoga wyciągnęła wiosła. „Wilczy Wicher” był coraz bliżej. Hal pociągnął gwałtownie wiosło sterowe i dziób „Czapli” zaczął się obracać. Zauważył, że teraz, kiedy żagiel nie stwarzał obciążenia, obrót nastąpił znacznie szybciej. Ale nie był pewien, czy wystarczająco szybko.

Rozbłysk słońca na brzegu przyciągnął jego uwagę. Spojrzał prędko w tamtą stronę i serce podeszło mu do gardła, bo zdał sobie sprawę, że światło odbiło się w bojowym toporze w dłoni oberjarla.

– Prawa naprzód! Tempo! Tempo!

Przy prawej burcie siedzieli Ulf i Wulf. Zaparli się stopami o podnóżki i pchnęli z całych sił, tak mocno napinając mięśnie ramion i pleców, że aż unieśli się z ławek.

To wystarczyło. „Czapla” wykonała obrót, unikając zderzenia z „Wilczym Wichrem”. Hal odetchnął z ulgą i nagle zdał sobie sprawę, że wstrzymywał oddech od chwili, gdy wydał ostatnie polecenie. Wykonując obrót, „Czapla” wytraciła prędkość i zatoczyła dziobem szeroki łuk.

W końcu zatrzymała się, dziobem pod wiatr, tyłem do trasy, którą przemierzyła. Zakołysała się

lekko na fali kilwaterny, niby ptak, który przysiadł na powierzchni.

Hal, oszołomiony, ledwo słyszał oklaski zebranych na wybrzeżu gapiów. Oparł się ciężko o rumpel.

– Taa, muszę przyznać, że to było ekscytujące – stwierdził Stig, podchodząc do niego.

Hal spojrział na prędko niknący krąg białej piany, który zakreśliła „Czapla”.

– Ekscytujące? Nigdy w to nie wątpiłem – odparł Hal z pewnością siebie, której raczej brakowało mu jeszcze minutę wcześniej.

Stig zaśmiał się.

– Nigdy nie wątpiłeś? To po co się tak wydzierałeś? „Raz! Raz! Tempo!” – Stig przedrzeźniał przyjaciela, całkiem udatnie. Hal uznał, że najlepiej będzie pozostawić to bez komentarza.

– Zacumujmy ją przy plaży – zaproponował.

– Przy plaży? Nie chcesz zacumować tuż obok okrętu oberjarla? – udał zdziwienie Stig.

W końcu Hal pozbył się nonszalanckiej miny.

– Nie, raczej nie! – stwierdził zgodnie z prawdą.

Stig wyszczerzył się, po czym wrócił na ławkę wioślarza.

– Zauważyłeś, że Erak ma przy sobie topór?! – krzyknął jeszcze.

Hal skinął głową.

– A jak myślisz, czemu się tak wydzierałem?

Falochron ochraniał nie tylko nabrzeże, przy którym mogły stanąć naraz trzy-cztery okręty, kiedy ładowano na nie towar, ale również piaszczystą plażę, gdzie cumowały pozostałe jednostki. Właśnie tam skierował „Czaple” Hal. Zaryła dziobem w piasek, a on poczuł delikatne tarcie pod stopami.

„Rozmawia ze mną”, pomyślał.

W pewnym sensie było to prawdą. Czuł każdą reakcję swej łodzi w postaci wibracji pod podeszwami stóp. Był z nią zestrojony, niemal jakby stanowiła przedłużenie jego ciała. Potrząsnął głową. Co też on wymyśla, przecież to tylko łódź, pozbawiona życia konstrukcja z klepek, masztów i olinowania, a nie żywa istota.

W głębi serca jednak jakiś głos podpowiadał mu, że to nieprawda.

Thumek z nabrzeża ruszył w stronę plaży, ciekaw dziwnej łodzi i jej załogi. Wśród gapiów nie brakło żeglarzy, którzy z podziwem obserwowali kunszt, z jakim sternik i pozostali członkowie załogi wpłynęli do portu, wykonali idealny obrót i zatrzymali łódź. Co bardziej doświadczeni zauważyli także, że zbliżyli się do wejścia do portu, zupełnie nie zmieniając obranego kursu. Sternik ustalił go jakieś pół kilometra wcześniej i utrzymał, jednym płynnym zwrotem przeprowadzając łódź przez wąskie przejście. Manewr wymagał albo sporej porcji szczęścia, albo jakichś intuicyjnych umiejętności – bo takiej wiedzy nigdzie nie można było zdobyć.

Żaden z nich nie miał pojęcia, co przeżył biedny sternik, widząc, jak łódź pędzi prosto na okręt oberjarla.

Gdy gapie podeszli bliżej i rozpoznali członków załogi, z kilku gardeł wyrwały się okrzyki zaskoczenia.

– To Hal Mikkelson, ten Aralueńczyk – usłyszał Hal i westchnął cicho. Wiedział, że mimo ojca Skandianina na zawsze pozostanie dla nich Aralueńczykiem. Może właśnie dlatego, jak sobie uświadomił, postanowił zrobić takie przedstawienie. Skandianie wysoko cenili sztukę żeglarską, traktowali ją jako część swej tożsamości. Może, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, pragnął, by zaakceptowali go i potraktowali jak równego sobie.

Do tamtego pierwszego dołączyły kolejne głosy.

– I Ingvar. Ale on wielki.

– A jaki zręczny – dodał inny, kiedy Ingvar, próbując zeskoczyć lekko na plażę, zaczepił stopą o nadburcie i padł jak długi na mokry piach.

– I te koszmarnie bliźniaki. Ciekawe, o co tym razem się kłóć.

Ulf i Wulf, zgodnie ze swą naturą, popychali się i obrzucali pogroźkami, bo każdy chciał znaleźć się pierwszy na brzegu.

– Patrzcie, i Stig Olafson. Wszystko jeszcze chłopcy.

– Kto w takim razie stał przy sterze?

Hal zabezpieczył wiosło sterowe linką z zawiązaną pętlą, przeszedł na przód łodzi i zeskoczył na plażę.

Niecierpliwie przesunął wzrokiem po zebranych. Na moment serce zamarło mu w piersi, bo nie dostrzegł pośród nich Thorn. Zaraz jednak uśmiech powrócił na jego twarz – zanedbana postać w łachmanach siedziała nieco dalej, na odwróconym do góry dnem skifie. Hal wiedział, że Thorn nie przepada za tłumem. Zbyt wiele lat spędził jako wyrzutek, zbyt często padał ofiarą okrutnych żartów i nie czuł się komfortowo w dużej grupie ludzi.

Hal pomachał do niego, a Thorn odpowiedział dyskretnym skinieniem głowy.

Tłum rozstał się, robiąc miejsce oberjarlowi. Hal z ulgą zauważył, że nie dzierży on już w dłoni topora.

Erak powiódł wzrokiem po pięciu chłopcach, stojących w zbitej grupce. Podobnie jak pozostali, oczekiwał, że ujrzy wśród nich kogoś starszego.

– Który jest skirlem? – zapytał, choć wcześniejsza uwaga Thorn pozwoliła mu domyślić się prawdy. Jego wzrok spoczął na Halu, który spuścił głowę i zaczął szurać stopami po piachu. Nagle, mimo ogromnej potrzeby akceptacji, zawahał się. Czuł, że to zabrzmi jak przechwałka.

Poczuł dłoń na swoim ramieniu, uniósł wzrok i zobaczył Stiga, który wyszczerzył się szeroko do Eraka.

– Hal, oberjarlu. To wspomniały sternik.

Nie miał żadnych oporów, by podkreślić zasługi Hala – zyskał on szacunek całej załogi i Stig nie zamierzał tego ukrywać.

Erak przez chwilę przypatrywał się Halowi. Przez lata bacznie obserwował chłopca i jego matkę. Ojciec Hala służył na „Wilczym Wicherze”, a dobry skirl miał obowiązek opiekować się członkami swej załogi i ich rodzinami.

– A więc to ty. Niezła robota. Rzeczywiście jesteś taki zręczny, jak twierdzą twoi przyjaciele? A może po prostu miałeś szczęście?

Hal wytrzymał jego wzrok. Pamiętał, jakie przerażenie ogarnęło go na widok topora w dłoni Eraka.

– Po części to i to, jak sędzę, oberjarlu.

Erak skinął głową. Musiał przyznać rację temu stwierdzeniu.

– Szczęście to żaden powód do hańby. A co to za cudaczny żagiel? – zapytał, ruszając w stronę łodzi. Ktoś przystawił trap do burty i Erak wszedł na pokład. Popatrzył bacznie na bliźniacze rejki i zwinięte żagle. Hal i Stig ruszyli za nim. Pozostali zgromadzili się na plaży tuż przy dziobie, mocno zaciekawieni.

– To mój projekt, oberjarlu. Zainspirowały mnie ptasie skrzydła – wyjaśnił Hal.

Erak zmarszczył brwi. Czubkiem buta pchnął jedną z rejek.

– Jaki jest tego sens? To znaczy, bardzo ładne te żagle, ale dlaczego taki kształt? Dlaczego akurat skrzydło?

– Taki żagiel pozwala skierować łódź ostrzej do linii wiatru – wyjaśnił Hal.

Erak nadal miał sceptyczną minę.

– Tak powiadasz?

– Ta łódź ostrzy trzy razy szybciej niż wilczy okręt! – wykrzyknął Stig urażony. – Mogłaby opłynąć wilczy okręt kilka razy!

Erak powoli zwrócił na niego wzrok. Nastąpiła długa chwila milczenia. Twarz Stiga poczerwieniała.

– A ty kim jesteś? Jego adwokatem? – zapytał Erak.

Stig odchrząknął nerwowo. Nie należało obrażać oberjarla. Ale przecież nie miał on prawa umniejszać zalet „Czapli”. Nie widział tego, co widzieli Stig i pozostali.

– Jestem pierwszym oficerem – odparł. W tłumie rozległ się głośny rechot.

– Świetnie, chłopcze! Pierwszy oficer zawsze powinien wspierać swego skirla!

– Zamknij się, Svengal – rzucił Erak, nie oglądając się. Svengal przez wiele, wiele lat był jego pierwszym oficerem. Teraz pełnił rolę skirla na „Wilczym Wicherze”, prócz tych wypraw, w których brał udział Erak. Wówczas Svengal wracał do dawnej funkcji.

Oberjarl zmierzył Stiga baczny spojrzeniem. Podobało mu się to, co zobaczył. Chłopak był wysoki, dobrze zbudowany i nie uciekał wzrokiem, kiedy Erak patrzył na niego, choć trochę się przy tym rumienił. Pomyślał, że Svengal ma rację. Dobry pierwszy oficer powinien wspierać swego skirla. Jeśli ten chłopiec postanowił stać u boku pół-Aralueńczyka, dobrze świadczyło to o Halu. Erak pomyślał, że tych dwóch należy bacznie obserwować. Zanotował sobie w pamięci, by umieścić ich w jednej drużynie.

Jednej sprawy nie zamierzał jednak przepuścić. Wskazał na zwinięty żagiel.

– Powiadasz, że opłynęłaby wilczy okręt?

Stig stanowczo skinął głową.

– Zgadza się.

– Także mój wilczy okręt? – zapytał Erak.

Stig zawahał się. Zerknął na Hala. Zauważył nieznaczny ruch głowy i ostrzegawcze spojrzenie.

– A... oczywiście, że nie, oberjarlu.

Erak skinął głową z zadowoleniem.

– Tak myślałem. – Znów trącił stopą rejkę. – Wygląda raczej marnie – stwierdził, po czym odwrócił się i szedł po trapie, zwinnie, mimo sporych rozmiarów ciała.

Kiedy Erak nie mógł ich już usłyszeć, Stig zwrócił się do przyjaciela:

– Przecież to jasne, że opłynęłaby „Wilczy Wicher”.

– To czemu tego nie powiedziałeś? – zapytał Hal, uśmiechając się szeroko.

– Bo na razie nie zamierzam rozstawać się z głową.

ROZDZIAŁ 9

Stopniowo tłum zaczął się rozchodzić, ciekawość została zaspokojona. Ingvar i bliźniaki pożegnali się. Hal postanowił, że zostawi łódź na plaży do rana, a następnego dnia odstawią ją nad strumień. Razem ze Stigiem zarzucili kotwice, by „Czapla” nie odpłynęła podczas przyływu. Kilka osób z tłumy podeszło do nich i zaczęło zadawać pytania na temat łodzi i ożaglowania. Thorn nadal siedział na skifie i przyglądał się wszystkiemu z zadowolonym uśmiechem na twarzy.

Chłopcy wrócili na pokład, zwinęli jak należy żagiel i przywiązali go do rejki, starannie ułożyli wiosła w przedniej i tylnej części, w końcu przywiązali łódź.

– To było niesamowite – stwierdził Stig.

Hal uśmiechnął się, szczęśliwy.

– Nawet więcej niż niesamowite – odparł. Nagle zmarszczył brwi. – Chociaż wolałbym, żeby Erak nie użył słów „marnie wygląda”.

Stig potrząsnął głową.

– Próbował ratować twarz – stwierdził. – To tradycjonalista. Kiedy pojawia się jakiś nowatorski pomysł, zawsze musi doszukać się w nim wad, nawet jeśli jest to zupełnie bezpodstawne.

Zeszli na plażę i zatrzymali się, zdumieni. Przy rampie stały dwie dziewczyny. Oddech Hala przyspieszył nieco, kiedy w jednej z nich rozpoznał Lotte Ilafsdotir.

Była jego rówieśniczką, miała smukłą sylwetkę i jasne włosy o rudawym odcieniu, a na twarzy piegi, które w oczach Hala tylko dodawały jej urody. Od lat wielbił Lotte – podobnie jak każdy młodzieniec w Hallasholm.

Kilka razy zebrał się na odwagę i próbował nawiązać z nią rozmowę. Zachowywała się uprzejmie, lecz obojętnie, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie jest zainteresowana. Co, rzecz jasna, sprawiało, że interesował się nią jeszcze bardziej.

Uśmiechnęła się teraz do niego. W jej oczach widział uznanie. Widocznie tym razem stwierdziła, że wart jest zainteresowania.

– Hej, Hal – powiedziała.

Hal wziął głęboki wdech.

– Lotte. Co u ciebie? – zagaił, starając się ze wszystkich sił, by głos mu nie zdrzął. Nagle poczuł, że w gardle mu zaschło.

Druga z dziewcząt, wyższa od Lotte i ciemnowłosa, uśmiechnęła się do Stiga.

– Hej, Stig.

Nina była równie piękna jak Lotte, lecz Lotte miała w sobie to „coś”. Tak uważała większość chłopców. Stig za to od zawsze gotów był całować ziemię, po której stąpała Nina. Teraz zaczerwienił się aż po czubki uszu.

– Hej, Nina – odparł zduszonym głosem, po czym odwrócił się do Hala i rzucił: – Chyba już pójdę. Do jutra.

Odwrócił się, lecz ku jego zdumieniu Nina, rzuciwszy Lotte konspiracyjne spojrzenie, ruszyła za nim.

– Idę z tobą – oznajmiła.

– O... eem... Dobrze. Świetnie – powiedział Stig. Żałował, że nie przychodzi mu do głowy nic romantycznego czy szarmanckiego. Przypomniawszy sobie, że w poprzednim tygodniu Nina miała chory

zołądek. – A więc już nie wymiotujesz?

Uśmiechnęła się do niego.

– Nie, przeszło mi.

Stig z bezsilności zazgrzytał zębami. „Jeszcze jeden romantyczny tekst w tym stylu”, pomyślał, „i jak nic padnie ci w ramiona”.

Hal i Lotte odprowadzili ich wzrokiem. Lotte zaśmiała się cicho.

– Złotousty chłopak – powiedział Hal i w nagrodę dostał kolejny wybuch perlistego śmiechu. Pomyślał, że Lotte śmieje się naprawdę cudownie. Uwielbiał jej słuchać. Zaczął zastanawiać się, co by tu jeszcze zabawnego powiedzieć, ale jakoś nie mógł wpaść na nic sensownego. Nagle uświadomił sobie, że gapi się na Lotte z otwartą gębą. Zamknął ją pospiesznie z głośnym „plop”. Lotte chyba niczego nie zauważyła. Podeszła do „Czapli” i przesunęła dłonią po gładkich klepkach dziobowych.

– To naprawdę twoja łódź? – zapytała, szeroko otwierając oczy.

Hal przytaknął.

– Tak. Tamci pomogli mi ją zbudować, ale jest moja.

– Piękna – stwierdziła Lotte, podziwiając smukłą linię kadłuba.

„To samo pomyślałem”, stwierdził w duchu, wpatrując się w Lotte. Zastanawiał się, czy może powiedzieć to głośno, ale uznał, że to Lotte nie zasługuje na tak banalne słowa. Może komuś innemu by to nie przeszkadzało, lecz jemu tak.

– Zabierzesz mnie kiedyś na wycieczkę? – zapytała Lotte, przekrzywiając wdzięcznie główkę.

Hal zwilżył wargi, bo nagle znowu wyschły. Lotte naprawdę z nim rozmawiała! W dodatku chciała wybrać się z nim na wycieczkę łodzią! Nie zdążył odpowiedzieć, bo nagle poczuł mocne uderzenie w ramię i zatoczył się. W ostatniej chwili wyciągnął ręce, unikając zderzenia z dziobem łodzi.

– Co ty sobie wyobrażasz, że kim jesteś, aralueński szcurze? – usłyszał nieprzyjemny wściekły głos.

Hal odwrócił się i zobaczył Tursguda. Był wielki, umięśniony i przystojny. I wściekły. Twarz mu poczerwieniała, oczy zwęziły się groźnie. Obok niego stało dwóch jego wiernych towarzyszy, równie potężnych i umięśnionych jak on.

– Tursgud! – wykrzyknęła Lotte, zaniepokojona nagłym atakiem. – Co ty wyprawiasz?

Tursgud obrzucił ją krótkim spojrzeniem, po czym zignorował jej obecność. Podeszedł do Hala, bardzo blisko, specjalnie naruszając jego przestrzeń osobistą.

– Myślisz, że możesz za moimi plecami robić słodkie oczy do mojej dziewczyny? – zaczął agresywnym tonem.

– Twojej dziewczyny? – obruszyła się Lotte. – Nie jestem twoją dziewczyną! Ani w ogóle niczyją!

Tursgud znów ją zignorował. Hal wpatrywał się w niego czujnie, spięty, gotowy na kolejny atak.

– Nie wiedziałem, że to twoja dziewczyna – odparł.

– Bo nie! – wtrąciła Lotte. Tursgud i tym razem nie zwrócił na nią uwagi, nie odrywając wzroku od Hala.

– Mógłbyś łaskawie nie pchać się tam, gdzie cię nie chcą z tą swoją śmieszoną łódeczką ze śmiesznym żagielkiem? – powiedział, jednocześnie popychając Hala do tyłu. – Lepiej wracaj do speluny swojej mamusi, pomóż jej podawać gościom te pomyje, którymi próbuje ich truć.

Tego było już za wiele. Hal aż zagotował się ze złości. I zareagował momentalnie. Rzucił się do przodu i obiema pięściami pchnął Tursguda w klatkę piersiową, aż tamten, choć znacznie od niego potężniejszy, zachwiał się i upadł na miękkie piach. Jeden z jego towarzyszy chciał pomóc mu wstać, lecz Tursgud ze złością odtrącił jego rękę i skoczył na równe nogi.

– Dobra, sam tego chciałeś, szczurze! – wrzasnął, po czym lewą ręką chwycił Hala za koszulę, a prawą, zaciśniętą w pięść, zamierzył się na niego.

Nagle jednak odkrył, że nie może nią poruszyć.

Odwrócił się zdumiony i ujrzał zarośniętą twarz Thorną zaledwie kilka cali od swojej twarzy. Nie słyszał jego kroków. Zaskoczony, przyglądał się własnej dłoni zamkniętej w uścisku lewej dłoni Thorną.

– Puszczaj! – wrzasnął, próbując uwolnić ramię, lecz uścisk Thorną był doprawdy żelazny.

– A może byś się tak zamknął? – zaproponował mężczyzna. Spojrzał na Lotte, która przyglądała się scenie z rozchylonymi ze zdumienia ustami. Nigdy nie widziała, by jakiś śmiałek przeciwstawił się Tursgudowi. Nawet dorośli woleli omijać go z daleka.

– Panienko, lepiej będzie, jeśli się oddalisz – powiedział Thorn łagodnym tonem. – Tutaj może zrobić się nieprzyjemnie.

Lotte spojrzała na Hala, który skinął głową. Nie powiedziawszy więcej ani słowa, pobiegła przed siebie, obejrzała się jeszcze, po czym ruszyła dalej w kierunku domu swoich rodziców. Szczerze mówiąc, bała się Thorną. Znała go jako brudnego, zaniedbanego pijaka o nieprzewidywalnym temperamencie. Kiedy była młodsza, wraz z innymi dziećmi lubiła rzucać w niego patykami i przezywać, by zaraz uciekać w rozkosznym przerażeniu, gdy zaczynał ryczeć i człapać w ich kierunku, zataczając się po pijacku, a oni zmykali, lekko jak jelonki.

– Lepiej mnie puść, przekłety moczymordo – odezwał się Tursgud, z wyraźnym trudem. Za wszelką cenę starał się nie pokazać po sobie, jak bolesny jest uścisk Thorną. – Mój ojciec jest Potężnym!

Był to tytuł, który Skandianie przyznawali co roku najlepszemu z wojowników. Thorn uśmiechnął się. Na jego zębach widniał zielonkawy nalot.

– Dobrze, że jemu nie ścisnąłem ręki, co? – powiedział. Tursgud puścił koszulę Hala i zabrał lewą rękę. Thorn dodał groźnie: – Spróbuj uderzyć, smarkaczu, a złamię ci łapę.

I, co wydawało się niemożliwe, jeszcze mocniej chwycił rękę Tursguda. Zaciskał i obracał palce, aż kości w nadgarstku Tursguda zgmiotły się boleśnie. Tursgud zaczął desperacko łapać powietrze, miał wrażenie, że umiera, kolana się pod nim ugięły. Jego twarz znajdowała się tuż przy twarzy Thorną, przez chwilę dojrzał w jego oczach błysk tłumionej brutalności.

Nagle blask zgasł, Thorn uśmiechnął się, uwolnił dłoń chłopaka i odepchnął go od siebie, aż Tursgud padł na kolana.

– A teraz wynocha stąd – nakazał spokojnym tonem.

Tursgud podniósł się niezgrabnie, rozcierając nadwyrężony nadgarstek, po czym pobiegł przed siebie, a za nim zdumieni towarzysze. Jeszcze nigdy nie widzieli swego przywódcy pokonanego. To, że sprawcą owej porażki był jednoręki pijak, czyniło sprawę jeszcze bardziej zaskakującą. Znalazłszy się w bezpiecznej odległości, Tursgud odwrócił się i wrzasnął nienawistnie:

– Ty stary brudny śmieciu! Zapłacisz za to!

Potem ruszył dalej, a tamci dwaj za nim.

– Musisz na niego uważać – stwierdził Thorn.

Hal potrzęsnał głową z rezygnacją.

– Dlaczego on jest taki okropny? Dlaczego zawsze szuka zaczepki? Nic mu nie zrobiłem! Czemu on mnie nienawidzi?

Thorn popatrzył na niego z powagą.

– Ponieważ się ciebie boi – odparł.

ROZDZIAŁ 10

Hal spędził noc, rozmyślając nad słowami Thorny. Czemu niby Tursgud miałby się go bać? To nie miało sensu. Był znacznie potężniejszy i silniejszy od Hala, i o wiele bardziej lubiany. Miał szerokie grono przyjaciół, którzy chętnie przestawali w jego towarzystwie. Hala za to traktowano jak kogoś w rodzaju wyrzutka, nikt nie chciał się z nim przyjaźnić, za wyjątkiem Stiga oczywiście.

Dlaczego więc Tursgud miałby się bać półkrwi Aralueńczyka? Hal usiłował wyciągnąć od Thorny odpowiedź, kiedy wracali razem do gospody na kolację, lecz stary wilk morski zbył jego pytania.

– Sam to wkrótce zrozumiesz – odparł krótko.

Następnego dnia Hal ciągle się nad tym zastanawiał. Rano poszedł zabezpieczyć „Czapłę” na okres zbliżających się treningów. Pozostali chłopcy również zjawili się już o świcie, by pomóc mu przetransportować łódź z powrotem nad strumień i przycumować ją bezpiecznie do mołu. Potem Stig, Ingvar i bliźniaki pożegnali się. Wszyscy mieli jakieś zobowiązania w domu – następnego dnia rozpoczynał się trening.

Hal przeniósł żagle, maszty i inne luźne elementy wyposażenia na brzeg, wyjął także wiosło sterowe i schował wszystko w szopie krytej brezentem, którą sklescili podczas budowy łodzi. Potem ściął młode drzewko, oczyścił je z gałązek i oba jego końce podparł na ramach w kształcie litery X umieszczonych u dziobu i rufy. Na tej konstrukcji ułożył brezent i przywiązał go w kilku miejscach na całej długości, aż powstało coś w rodzaju namiotu. Miał nadzieję, że w ten sposób ochroni łódź przed deszczem.

– Musisz pamiętać, żeby co jakiś czas wygarniać wodę – odezwał się głos za jego plecami.

Gdy się odwrócił, zobaczył Thorny. Hal nie miał pojęcia, jak długo mężczyzna go obserwuje – ale pewnie od dawna, tyle że wolał się nie ujawniać, dzięki czemu nie musiał mu pomagać. Hala zawsze dziwiło, jak cicho potrafi poruszać się Thorn – jeśli tylko chce. Kiedyś rozbijał się po uliczkach Hallasholm, robiąc mnóstwo hałasu: wykrzykiwał jakieś głupoty, wpadał na ludzi i budynki, kopał napotkane na drodze przedmioty.

Hala kusilo, by znów zapytać go o to, co powiedział poprzedniego dnia, w końcu jednak zdecydował, że to bez sensu. Jeśli Thorn wtedy nie miał ochoty wyjaśnić mu znaczenia swoich słów, szansa, że dziś zmieni zdanie, była prawie zerowa. Hal wskazał więc na podłużny pakunek, który Thorn trzymał pod pachą. Wyglądał jak worek żeglarski – owalna płócienna torba długości około półtora metra. I był mocno wypchany.

– Co tam masz? – zapytał Hal.

Thorn spojrział na pakunek.

– To dla ciebie.

Po czym położył worek na ziemi, nie udzielając dalszych wyjaśnień. Hal poczuł irytację. „To dla ciebie” nie było odpowiedzią na jego pytanie. Wiedział jednak, że Thorn odpowie dopiero wtedy, kiedy uzna, że nadszedł odpowiedni moment.

– Skończyłeś tutaj? – zapytał Thorn.

Hal przez chwilę przyglądał mu się z zaciekawieniem. Thorn zawsze przechwalał się, że myje się i goli raz w miesiącu. „Nawet jeśli nie muszę”. Mimo to każdego dnia wyglądał tak samo niechlujnie. Hal zastanawiał się, jak to jest. Chyba w niektóre dni rezultaty regularnej toalety muszą być jednak widoczne?

– Już się napatrzyłeś? – zapytał Thorn szorstko. – Myślisz, że rozpoznasz mnie przy kolejnym spotkaniu?

– O, przepraszam. Tak – odparł Hal i potrząsnął głową, by pozbyć się uporczywych myśli.

– Świetnie. Jeśli skończyłeś grzebać przy łódce, chodź ze mną. Chcę ci coś pokazać.

Hal, zaintrygowany, ruszył za nim. Podeszli do miejsca, które Thorn wcześniej oczyścił z kawałków drewna, ścinków i wiórów. Spojrzał na Hala i przyglądał mu się tak przez chwilę, po czym skinął głową, najwyraźniej zadowolony z wyniku oględzin.

– Dobra, teraz zamierz się na mnie – rozkazał.

Hal zmarszczył brwi.

– Co takiego?

Thorn niecierpliwie skinął głową.

– Zamierz się, jakbyś chciał mi przywalić.

– Dlaczego miałbym ci przywalić?

– Dlaczego miałbyś mi przywalić? – powtórzył cicho Thorn, po czym potrząsnął głową i wzniosł oczy do nieba, jakby szukał tam odpowiedzi. – Pozwól, że ujmę to w ten sposób – podjął, zwracając spojrzenie na Hala: – Chcesz nauczyć się bić czy nie?

– Noo, tak – odparł Hal z zakłopotaniem. – Ale... – Nagle urwał, bo zdał sobie sprawę, że nie chce powiedzieć głośno tego, co mu przyszło do głowy.

Thorn podszedł bliżej, z głową lekko przekrzywioną na bok, i utkwiał w chłopcu wściekłe spojrzenie.

– Co, pewnie uważasz, że taki łachmyta jak ja nie potrafi nauczyć cię niczego w tej dziedzinie? – zapytał groźnym tonem.

Hal cofnął się nieco i wyciągnął ręce w polubownym geście.

– Nie! Nie! Skąd! – powiedział, lecz zmieszany ton jego głosu tylko potwierdził przypuszczenia Thorna.

Hal chciał nauczyć się bić. Nie był jednak pewien, czy sam wybrałby akurat Thorna na nauczyciela. Po pierwsze, Thorn miał tylko jedną rękę. Po drugie, przez długie lata przedstawiał sobą dość żalostną postać. Oczywiście, Hal bardzo go lubił, ale chyba głównie dlatego, że Thorn z takim entuzjazmem popierał jego projekty i zawsze był gotów pomóc przy ich realizacji. Hal widział w nim raczej nieszczęśnika, darzącego go podziwem niż poważnego mentora.

– Pewnie uważasz, że zawsze byłem budzącym litość kaleką? Że zawsze byłem taki? – Thorn potrząsnął kikutem prawej ręki. Hal widział wyraźnie, że obraził przyjaciela i naprawdę było mu z tego powodu przykro. Ale jednak...

– Oczywiście, że nie – zaczął, lecz Thorn nie dał mu szansy dokończyć.

– Przecież wiesz, że służyłem w załodze Erika, zanim to się stało! – Znow podniósł okaleczone ramię i potrząsnął nim przed przerażoną twarzą Hala. – Wiesz, prawda?

– Oczywiście, że wiem – odparł Hal. Jednocześnie w jego głowie pojawiły się niegodne słowa: „Ale to było dawno temu”. Thorn jakby potrafił czytać w myślach, bo jego oczy zwęziły się niebezpiecznie.

– Dobra. Chyba będę musiał ci pokazać. – Postąpił krok w tył, by zrobić Halowi miejsce, i przybrał pozycję obronną, unosząc lewe ramię i kikut prawego. – No, zamierz się.

– Thorn, nie chcę cię uderzyć – zaprotestował Hal.

Thorn zaśmiał się krótko.

– Nie martw się, nie uderzysz!

– Hej, moglibyśmy dać temu spokój?

– Nie, nie moglibyśmy. Zamierz się.

– Nie ustąpisz, co? – zapytał Hal, na co Thorn tylko skinął głową. – No, dobrze.

Hal bez przekonania zamierzył się na przyjaciela. Ku jego zaskoczeniu pięść tylko przecięła powietrze. Nie zauważył, by Thorn się poruszył. No, może lekko odchylił się w bok, ale Hal nawet nie był tego pewien.

– Na nozdrza Gorloga! – wykrzyknął Thorn wzgardliwie. – Jeśli tylko na tyle cię stać, to dobrze, że interweniowałem wczoraj, zanim Tursgud cię zabił.

Hal poczuł rumieniec na twarzy. Nie chciał uderzyć kalekiego przyjaciela. Ale dokuczliwa uwaga na temat Tursguda porządnie go rozgniewała.

– Poczulbyś się lepiej, gdybyś mi przywalił? – Thorn wyszczerzył się, a Hal przestał panować nad emocjami. Gniew wyzwolił się w nim niczym woda wyrrywająca dziurę w zaporze. Zamierzył się na Thorna.

I chybił. Szczęka Thorna znów w jakiś dziwny sposób znikła z linii ciosu. I znów Hal nie zauważył żadnego gwałtownego ruchu. Może Thorn odchylił się nieco do tyłu. Parę cali, nie więcej.

Hal zmarszczył czoło i spojrzał na przeciwnika.

Thorn wyszczerzył się i stwierdził:

– Jakoś ci nie idzie, co?

Hal stracił resztki samokontroli i skoczył na Thorna, tym razem wymierzając cios lewą ręką. Pomyślał, że tego Thorn na pewno się nie spodziewa.

Jego pięść wyhamowała w mgnieniu oka i zatrzymała się w powietrzu. Po chwili zauważył, że Thorn złapał ją lewą ręką. W tym samym momencie dostrzegł jakiś ruch i nagle kikut prawej znalazł się tuż przed jego oczami – pojawił się jakby znikąd i zatrzymał kilka milimetrów od twarzy.

Thorn puścił dłoń Hala i cofnął się.

– Dobrze, teraz to omówimy – powiedział, już bez gniewu i sarkazmu.

Hal potrząsnął głową, zaintrygowany. To nie był Thorn, jakiego znał. Ten Thorn był pewnym siebie, zręcznym wojownikiem, a nie ludzkim wrakiem w łachmanach.

– Niemal każdy, kto zechce cię uderzyć, robi dokładnie tak jak ty: zamierzy się do porządnego sierpowego – zaczął Thorn. – Taki cios jest z reguły bardzo mocny, ale ma pewną wadę – bardzo łatwo zauważyć, kiedy ktoś się do niego szykuje. Dlatego łatwo też go zablokować i zrobić unik. Pewnie nawet ty byś to potrafił.

– Och, dziękuję – mruknął Hal.

Thorn uniósł brwi.

– Nie musisz odpowiadać niegrzecznie, chłopcze. Nie po tym pokazie umiejętności, który właśnie zaprezentowałaś. Próbuję ci wytłumaczyć, że cios wyprowadzony prosto, jak ten, którym przed chwilą cię poczęstowałem – tu wskazał na prawe ramię – znacznie trudniej odeprzeć. Trudniej go przewidzieć. Taki cios trafia też szybciej do celu, gdyż ręka ma krótszą odległość do pokonania.

Hal zmarszczył brwi z namysłem. Wyjaśnienie Thorna przemówiło do jego analitycznego umysłu.

– Rozumiem – powiedział powoli.

Thorn rzucił mu baczne spojrzenie i skinął głową z zadowoleniem.

– A do tego wszystkiego cios taki może być bardzo silny, o ile włożysz weń siłę całego ramienia i posłużysz się ciężarem całego ciała. Zrób krok do przodu, kiedy wymierzasz cios. Spróbuj. Uderz mnie w rękę.

Uniósł rozczapierzoną lewą dłoń. Chłopiec zamierzył się prawą pięścią, lecz Thorn go powstrzymał.

– Użyj lewej – polecił.

Hal spojrział na niego, zdezorientowany.

– Ale ja jestem praworęczny.

– Jak większość ludzi. Tursgud również będzie się spodziewał, że użyjesz prawej ręki. Jeśli użyjesz lewej, zaskoczysz go, tak jak przed chwilą próbowałeś zaskoczyć mnie. Miałeś dobry pomysł, tylko wykonanie było beznadziejne. Nie zamierzaj się szerokim łukiem, po prostu walnij lewą ręką, wyprowadź cios prosto. Potem uderz prawym sierpowym. No, spróbuj.

Hal wymierzył nieśmiały cios w stwardniałą pięść Thorn'a.

– Użyj ciężaru ciała! – krzyknął Thorn. – Siły całego ramienia!

Hal spróbował ponownie. Tym razem poczuł, że jego uderzenie było bardziej skuteczne.

– Zrób krok w przód!

Kolejne uderzenie było znacznie mocniejsze.

– Jeszcze raz!

I uderzył jeszcze raz. Thorn wydawał polecenia w coraz szybszym tempie. Hal czuł, jak siła uderzenia szarpie jego ramieniem, zauważył też, że w miarę jak coraz lepiej opanowywał technikę, ręka Thorn'a zaczęła cofać się pod jego ciosami. Przy piątej próbie stary wilk morski cofnął się o pół kroku. Wyszczерzył się od ucha do ucha.

– Wyobraź sobie, że to była szczeka Tursguda!

Hal skinął głową i również się uśmiechnął. Obraz był bardzo przyjemny.

– Teraz spróbujemy czegoś innego. Uderz lewą ręką, a potem od razu wymierz cios prawą. Nie cofaj się. Wyprowadź prawy sierpowy i wykończ sukinkota.

– Wykończ sukinkota? Dwoma ciosami? – zapytał sceptycznie Hal, Thorn jednak przytaknął.

– Po prostu spróbuj. Prawa trochę wyżej. Trzymaj ją w pogotowiu, w razie gdyby ten dureń okazał się na tyle nieostrożny, by cię zaatakować. Wyprowadź cios lewą i zaraz potem przyłóż prawym sierpowym. Dalej!

Bum! Bum! Oba ciosy trafiły w dłoń Thorn'a w odstępie zaledwie kilku sekund. Jego ramię aż podskoczyło. Uśmiechnął się.

– Właśnie tak! Lewy prosty, prawy sierpowy. Jeśli trafisz go lewą pięścią w nos, oczy zajdą mu łzami i nie zauważy prawej.

Hal skinął głową. Dłonie mrowiły go od walenia w zgrubiałą od pracy rękę Thorn'a.

Thorn wskazał na worek, który przyniósł ze sobą.

– Teraz tylko musisz ćwiczyć. Wypchałem worek starą wełną, kawałkami płótna i resztkami żagli. Powieś go swojej szopie i ćwicz, jak tylko znajdziesz chwilę czasu, aż doprowadzisz technikę dwóch ciosów do doskonałości.

– Nadal wydaje mi się, że z pomocą dwóch ciosów nie uda mi się wykończyć Tursguda.

Thorn zacisnął wargi z namysłem.

– Zabawna sprawa, ale w większości przypadków o wyniku walki decyduje zaledwie kilka ciosów. Człowiek przeważnie nie spodziewa się ataku, napastnik zawsze ma przewagę. Uderza pierwszy i, ponieważ to on naciera, jego ciosy są bardzo mocne. Spróbuj teraz czegoś innego. Uderz mnie jeszcze raz, ale zaraz potem cofnij się.

Znowu uniósł dłoń, Hal posłusznie wymierzył w nią i cofnął się. Cios był słabszy od poprzednich.

– Kiedy ktoś cię atakuje, instynktownie się cofasz. A kiedy już zaczniesz, trudno się zatrzymać. Napastnik będzie dalej na ciebie nacierał, wymierzając cios za ciosem i zmuszając cię, byś cofał się coraz dalej. W chwili ataku musisz wbrew instynktowi poruszać się do przodu, zbliżyć się do przeciwnika i wyprowadzać proste ciosy, w ten sposób nabiorą siły.

Hal przez chwilę przetrawiał słowa przyjaciela, po czym skinął głową. Rzeczywiście, cofanie się

to naturalna reakcja na atak. Zrozumiał, że w takiej sytuacji napastnik szybko zdobywa przewagę. Pomyślał, że to cenna uwaga. Potem zmarszczył brwi z namysłem.

– Dlaczego postanowiłeś akurat dziś mnie tego nauczyć? – zapytał.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Jutro zaczynasz trening, powinieneś umieć się bronić. Obserwowałem wczoraj Tursguda. Będzie próbował zdobyć nad tobą przewagę, ponieważ się ciebie boi.

– Już to mówiłeś. Ale nie rozumiem, czemu Tursgud miałby się mnie przestraszyć.

Thorn potrząsnął głową.

– On nie boi się ciebie osobiście, boi się tego, kim jesteś. Czuje, że masz naturę przywódcy, to dla niego wyzwanie. Chce, by to jego wszyscy słuchali i podziwiali. Wcześniej czy później dojdzie między wami do konfrontacji. Lepiej się przygotuj.

Hal nie wyglądał na przekonanego. Nie widział siebie jako przywódcy i nie rozumiał, jak niechęć Tursguda do niego może wynikać ze strachu. Nie wątpił jednak, że Tursgud mu nie odpuści. Na pewno nie zaszkodzi poćwiczyć technikę, którą pokazał mu Thorn. Wziął do ręki worek i zaniósł go pod dach, gdzie trzymał wyposażenie łodzi. Zawiesił worek na słupie i pchnął go z namysłem. Był ciężki, stawiał opór ciosowi.

– Naprawdę myślisz, że zdołam go pokonać? – zapytał.

Thorn zacisnął wargi i po chwili odpowiedział:

– Może. Może nie. Ale wystarczy, jeśli przekonasz go, że powinien zostawić cię w spokoju.

ROZDZIAŁ 11

Na morzu – u południowych wybrzeży Sonderlandu

Różowawy blask rozlał się na wschodnim niebie ni czym plama atramentu na wodzie. Arndak rozejrzał się dookoła w jaśniejącym świetle poranka. Trzy statki należące do jego floty handlowej wciąż znajdowały się w zasięgu wzroku, choć nieco rozproszyły się podczas nocnych godzin. Morze było spokojne, wiatr umiarkowany.

Znów spojrzął na wschód. Nad horyzontem ukazało się słońce, oślepiający łuk światła prędko przybierał coraz większe rozmiary. Morze na zachodzie wciąż trwało pogrążone w mroku.

Członkowie załogi powoli wybudzali się ze snu. Uznał, że spali już wystarczająco długo, i zakrzyknął:

– Opuśćcie żagiel! Rozwiążcie refliny i wciągnijcie go z powrotem!

W ciągu nocy podróżowali ze zrefowanym żaglem – częściowo zwiniętym i przywiązany do rei w celu zmniejszenia jego powierzchni. Teraz, kiedy zaczął się dzień, znów mogli zacząć w pełni korzystać z siły wiatru. Zaskrzypiały liny, mężczyźni opuścili reje i zaczęli odwiązywać linki refowe. Statek stopniowo wytracił prędkość, ciężko pracował na drobnej fali. Arndak zauważył, że załogi na pozostałych statkach przystąpiły do tej samej operacji. Przesunął wzrok i ujrzał swego siostrzeńca, Ernaka, stojącego beczynnym.

– Właż na maszt, chłopcze, i rozejrzyj się trochę! – zawołał. Dwunastolatek odwrócił się i zaczął wdrapywać się na gładkie drzewce ze zręcznością wiewiórki. Dotarł do poprzecznej belki, służącej za punkt obserwacyjny i powiódł wzrokiem po horyzoncie.

– Czysto! – pisnął młody głos. Chłopiec zawahał się i jeszcze raz spojrzął na zachód, gdzie właśnie dotarło światło poranka. – Nie... zaraz... tam coś jest.

Serce Arndaka zabiło szybciej, powstrzymał się jednak od zadawania pytań. Ernak porządnie wykonuje swoje obowiązki, zda pełen raport, kiedy ustali fakty. W każdym razie coś zobaczył, prawdopodobnie inny okręt. Możliwe, że zupełnie niegroźna sprawa. Z drugiej strony...

Zacisnął mocniej dłoń na wiośle sterowym.

– Zostań tam, póki nie wciągniemy żagla! – zawołał. Potem odwrócił się do reszty załogi, która nadal męczyła się przy reflinach: – Pospieszcie się!

Pierwszy oficer pomachał ręką na znak, że przyjął rozkaz. Wraz z trzema innymi zaczął ciągnąć liny i po chwili reja wraz z żaglem pojechała z powrotem do góry. Tkanina wydeła się na wietrze, a gdy mężczyźni wybrali liny, przybrała prawidłowy kształt. Statek znów nabrał tempa i zaczął gładko pruć fale.

– To okręt, wujku! – krzyknął Ernak. – Duży! Płyną pod żaglami, ale również wiosłują.

A więc spieszy się im. Arndakowi przychodziła na myśl tylko jedna przyczyna tego pośpiechu. Spojrzał na pozostałe statki, mniejsze i wolniejsze od jego „Tańczącego z Falami”. Niechętnie rozkazał oficerowi:

– Poluzujcie trochę żagiel. Poczekajmy, aż tamci nas dogonią.

Skrzywił się, poczuwszy, jak „Tańczący z Falami” traci prędkość. Wcale mu się nie podobało, że muszą zwolnić, kiedy goni ich obcy okręt. Nie mógł jednak porzucić pozostałych statków

na pastwę losu. Sięgnął po mosiężny róg, wiszący koło steru, uniósł go do ust i zadał głośno trzy razy, dając znak pozostałym statkom, by podплыnęły bliżej.

– Dogania nas, wujku!

„Oczywiście, że nas dogania”, pomyślał Arndak. Przesunął wiosło sterowe, zwinnie wskoczył na nadburcie, wspierając się na sztagu, linie podtrzymującej maszt, i skierował wzrok na zachód.

Gdy statek uniósł się na grzbiecie fali, na horyzoncie mignął ciemny prostokąt. A gdy podniosła się kolejna fala, prostokąt przybrał większe rozmiary, pod nim było już widać niewyraźny kształt kadłuba. Obcy okręt zbliżał się z dużą prędkością.

„Nie uciekniemy”, pomyślał. „Trzeba przygotować się do walki”. Zeskoczył na pokład, sięgnął po tarczę i topór bojowy, które przezornie trzymał obok wiosła sterowego.

– Do broni! – krzyknął.

Mężczyźni zaczęli pospiesznie zdejmować tarcze, zawieszane po zewnętrznej stronie nadburcia, szykować topory, miecze i włócznie. Szczęk oręża brzmiał kojąco. Arndak spojrzął na pozostałe statki. Członkowie ich załóg również zaczęli się zbroić. Z zadowoleniem kiwnął głową. Jego statek wiozł mnóstwo cennych towarów: oliwę, tkaniny wełniane i brandy, a także żelazo przeznaczone do wyrobu broni. No i skrzynkę pełną pieniędzy, które zarobili na sprzedaży towarów w Sonderlandzie.

Nie zamierzał oddać tych skarbów bez walki.

– Jest naprawdę wielki, wujku! – krzyknął znowu Ernak. Arndak uśmiechnął się. Chłopak sporo się nauczył podczas wypraw z wujem.

– Dziesięć par wiosel – ciągnął Ernak. – Co najmniej.

To były złe wieści. Oznaczało to dwudziestu ludzi. Plus ewentualnie zmiennicy, czyli razem trzydziestu lub nawet czterdziestu. Jego załoga składała się z sześciu mężczyzn, nie licząc Ernaka, załogi pozostałych statków z czterech-pięciu każda. Niewielu.

– Jest blisko!

Spojrzał w stronę rufy. Widział już zbliżający się okręt. Szybki i obsadzony sporą załogą. Arndak stwierdził, że to może oznaczać tylko jedno – był to okręt piracki.

Zawahał się. Może najlepiej byłoby, gdyby załogi z pozostałych statków przeszły na pokład „Tańczącego z Falami”. Nie miał jednak ochoty oddawać towarów piratom. Wahanie okazało się jego zgubą. Kiedy sięgnął po róg, by ponownie ostrzec pozostałe statki, okręt piracki był już bardzo blisko. Skierował się w stronę najbardziej oddalonego statku z jego floty, „Tęczą”. Ernak miał rację. Obcy okręt, o czarnym kadłubie, miał po dziesięć wiosel na każdej burcie. Popędzany ich regularnymi uderzeniami, zbliżał się z wielką prędkością. Kiedy uniósł się na fali, serce Arndaka na chwilę przestało bić. Okręt był bowiem wyposażony w taran – wystającą belkę, obitą żelazem, przyczepioną do dzioba – który mógł zetrzeć inny okręt na miazgę i zatopić go w ciągu dziesięciu minut.

Atak za pomocą tarana jednak nie nastąpił. Wiosła po lewej stronie uniosły się, gdy piracki okręt podплыnął bliżej i zderzył się burtą z „Tęczą”. Grupa mężczyzn przeskoczyła na jej pokład i zaatakowała załogę. Arndak słyszał odgłosy potyczki, szczękanie toporów i mieczy, o siebie nawzajem i o dębowe tarcze. Słyszał okrzyki, także bojowe okrzyki załogi „Tęczy”. Po dziesięciu minutach zapadła cisza. Piraci odcięli liny podtrzymujące żagiel, który spadł na pokład, po czym pospiesznie przeskoczyli na swój okręt, skazując „Tęczę” na rozpaczliwe dryfowanie, z wymordowaną załogą na pokładzie.

Okręt piracki skierował się teraz ku kolejnemu ze statków o nazwie „Lew Morski”.

– Załatwią nas po kolei – powiedział Arndak do siebie. – Zwinąć żagiel! Do wiosel! – krzyknął.

Pociągnął ster, aż dziób statku wykonał obrót. Wiedział, że jego jedyną szansą jest połączenie sił z trzecim ze statków, „Złotym Słońcem”. Na jego pokładzie znajdowało się pięciu ludzi. Może razem mieliby szanse...

Ale kiedy „Tańczący z Falami” ustawił się pod wiatr i załoga zabrała się do wiosł, Arndak już wiedział, że podjął decyzję zbyt późno. Czarny okręt zatrzymał się koło „Lwa Morskiego” dosłownie na krótką chwilę, dwunastu piratów bez problemu obezwładniło czterech członków załogi. Kiedy tylko znaleźli się na pokładzie, okręt ruszył w stronę „Złotego Słońca” i już po kilku minutach było jasne, że wygra ten wyścig. Nagle Arndak znał sobie sprawę, że jego siostrzeniec nadal siedzi na maszcie i krzyknął do niego, by zszedł na dół. Chłopiec ześliznął się po drzewcu, chwycił włócznie i podbiegł do wuja.

– Co teraz zrobimy? – zapytał.

– Pozostaje nam tylko jedno. Walczyć. Ale ty lepiej trzymaj się z boku.

– Nie boję się ich – stwierdził Ernak.

Arndak uśmiechnął się ze smutkiem.

– Wiem, że nie. Ale trzymaj się z daleka. Twoja matka nigdy by mi nie wybaczyła, gdyby coś ci się stało.

Na widok wojowniczego błysku w oczach chłopca zmarszczył brwi.

– Rób, co ci każę – warknął, już nie tonem wujka, lecz kapitana statku.

Na pokładzie „Złotego Słońca” właśnie toczyła się walka. Ci z piratów, którzy przejęli „Lwa Morskiego”, wiosłowali teraz, by dołączyć do swych towarzyszy.

– Wiosła basta – rozkazał Arndak. Nie miało sensu niepotrzebnie forsować ludzi. – Do mnie.

Członkowie załogi zebrali broń, podeszli do niego i utworzyli linię obronną w pobliżu rufy.

Arndak zmrużonymi oczami śledził przebieg walki na pokładzie „Złotego Słońca”. Szczęk oręża ucichł, teraz rozległa się seria głośnych plusków. Arndak domyślił się, że piraci wrzucają ciała do wody.

– Szumowiny – mruknął. Ci ludzie od lat byli jego przyjaciółmi i towarzyszami wypraw. Zważył topór w dłoni. – Z rozkoszą załatwię kilku z was, nim nas pokonacie.

Spojrzał na ponure twarze członków załogi.

– Żeglowanie w waszym towarzystwie to była prawdziwa przyjemność – odezwał się. – Teraz pozostało nam tylko jedno: trochę utrudnić życie tym świniom. Zabierzmy ze sobą tylu, ilu nam się uda.

Rozległ się wyrażający aprobatę pomruk. Arndak uśmiechnął się. Wiedzieli, że nie będzie dla nich litości. Nie było mowy o poddaniu się. Może na tym polega błąd kapitana pirackiego okrętu. Bez nadziei na ocalenie zamierzali walczyć z tym większą zaciekłością.

A siedmiu Skandian to siła, z którą należy się liczyć.

Piraci przeszli z powrotem na pokład swojego okrętu i zawrócili. Wiosła znów zanurzyły się w wodzie i czarny okręt ruszył w kierunku „Tańczącego z Falami”. „Lew Morski” znajdował się nieco dalej, wiosła uderzały o wodę, wzbijając pianę – piraci spieszyli dogonić swoich.

Arndak widział, jak dziób pirackiego okrętu zbliża się nieubłaganie. Skręcił lekko. Nie zamierzali więc użyć tarana. Pewnie przypuszczali, że na pokładzie głównego statku może znajdować się skrzynia z pieniędzmi i nie chcieli ryzykować, że ją stracą. Okręt podpłynął do „Tańczącego z Falami” z ukosa, dziobem w dziób.

– Zgotujmy im godne powitanie – powiedział Arndak ponuro.

ROZDZIAŁ 12

Piracki okręt z głośnym zgrzytem otarł się o burtę „Tańczącego z Falami”, który zakołysał się gwałtownie. Członkowie załogi jednak, przyzwyczajeni do takich nagłych ruchów, bez trudu zachowali równowagę. Piraci, wznosząc okrzyki, zeskoczyli przez lewą burtę na pokład skandyjskiego statku, kilku potknęło się przy tym, ale zaraz wstali i pobiegli w stronę rufy, popychani przez towarzyszy.

A tam czekał na nich mur stworzony z siedmiu tarcz skandyjskich wojowników o groźnych twarzach.

Zawahali się, cofnęli nieco, nie zważając na napierających od tyłu towarzyszy, patrząc na potężne topory w rękach przeciwników. Przez chwilę obie grupy mierzyły się wzrokiem, po czym Arndak wydał tradycyjny okrzyk bojowy Skandian:

– Bierzmy ich!

Siedmiu wojowników ruszyło do przodu, odruchowo formując klin – Arndak na samym przedzie i po trzech ludzi z każdej jego strony. Naparli na bezładną grupę piratów, wykorzystując ciężkie dębowe tarcze jako broń zaczepną – uderzali nimi w przeciwników, aż ci rozproszyli się na wszystkie strony.

Wtedy do dzieła przystąpiły śmiertelne topory, wznosiły się i opadały, wytrącały przeciwnikom broń z ręki samą siłą ciężkości, siekły, waliły i rąbały ich ciała na kawałki.

Pierwszy szereg padł pod ciosami. Pokład spłynął krwią, a Skandianie, depcząc po ciałach, rzucili się na resztę napastników, zmuszając ich do wycofania się w stronę dziobu.

Przez chwilę wydawało się, że zdołają zmusić piratów do odwrotu. Napastnicy byli jednak zbyt liczni. Towarzysz Arndaka, walczący po jego lewej stronie, trafiony włócznią padł do tyłu ze zdławionym krzykiem. Jeden z napastników na czworakach prześliznął się za linię masywnych tarcz i zadał cios w udo kolejnemu ze Skandian, który osunął się na pokład z okrzykiem bólu. Klin został przerwany.

Arndak walczył zaciekle pod osłoną tarczy i ogromnego topora, którym wymachiwał ze świstem nad głową. Wszyscy, którzy odważyli się wejść w jego zasięg, padali bezwładnie na pokład, niczym szmaciane lalki. Lecz Arndak również odniósł rany. Nie czuł bólu w ferworze walki, dalej siekł i rąbał wrogów z nienawiścią. Kolejny z jego ludzi potknął się o włócznię, niecnie podstawioną mu pod nogi. Grupa piratów ruszyła do ataku, przebiegając po jego ciele. Rycząc z wściekłości, Arndak wznosił topór nad głową najbliższego napastnika. Ten spojrzał z przerażeniem na śmiertelną broń, ale jeszcze próbował sparować cios mieczem.

Równie dobrze mógłby użyć żdźbła trawy. Topór rozciął ostrze na pół, po czym zagłębił się w ramieniu mężczyzny. Arndak pociągnął, by uwolnić broń, wyrwał ją z trudem i aż zatoczył się kilka kroków do tyłu. Jednocześnie piraci także się cofnęli. Otoczyli krwawiącego towarzysza, który z trudem łapał oddech. Żaden nie miał ochoty znaleźć się w zasięgu przerażającego ostrza.

Arndak potrząsnął głową i powiódł wzrokiem dokoła. Wszyscy jego towarzysze leżeli na pokładzie, martwi lub umierający. Został sam.

Ale jeszcze nie przegrał. Ciała martwych i okaleczonych piratów świadczyły o tym, że nadal jest groźnym przeciwnikiem. Potrząsnął toporem wysoko nad głową i wydał nieokreślony okrzyk w stronę wroga. Czuł, że jest na granicy szaleństwa, że za chwilę zmieni się w berserka, wpadnie

w prawdziwy szal, który czasem ogarniał w bitwie skandyjskich wojowników.

Piraci cofnęli się mimowolnie. A potem usunęli się na boki i naprzód wystąpił smukły wysoki człowiek.

Miał oliwkową skórę, długie czarne włosy, skręcone w pukle, przystojną twarz. Uśmiechał się, lecz oczy błyskały złowrogo, nie pozostawiając wątpliwości co do jego intencji. W rękach dzierżył niedbale okrągłą metalową tarczę i długą szablę, zwróconą ostrzem w dół. Arndak czuł, że mężczyzna potrafiłby zrobić z nich użytek w ułamku sekundy. Wiedział, że ma do czynienia z wojownikiem – i to bardzo niebezpiecznym.

– Jestem Zovac, kapitan „Kruka” – odezwał się pirat, skinieniem głowy pokazując okręt, dotykający burtą dziobu „Tańczącego z Falami”.

– Raczej przywódcą morderczej bandy szumowin – stwierdził Arndak z pogardą. Zovac zdawał się niewzruszony obelgą.

– Jak sobie życzysz – odparł. – Tak czy inaczej...

– Tak czy inaczej, jesteś następny w kolejce – przerwał mu Arndak. – Z rozkoszą wyślę cię na tamten świat.

Zovac uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Nie śmiałbym spodziewać się czegoś innego po tak dzielnym wojowniku. Ale zanim to zrobisz, spójrz za siebie.

Arndak zaśmiał się głucho.

– Myślisz, że dam się nabrać na taką starą sztuczkę? Nie urodziłem się wczoraj, chyba...

Przerwał mu przenikliwy okrzyk bólu za jego plecami. Serce zamarło mu w piersi. Odwróciwszy się, zobaczył swego siostrzeńca, Ernaka, w mocnym uścisku jednego z piratów. Podczas tej krótkiej krwawej potyczki „Lew Morski” podpłynął do „Tańczącego z Falami” od strony rufy i grupa kilku piratów weszła na pokład. A teraz jeden z nich trzymał Ernaka i przykładał nóż o zakrzywionym ostrzu do jego szyi. Krew sączyła się cienką strużką z miejsca, gdzie ostrze dotknęło skóry. Zapewne to właśnie wyrwało krzyk bólu z gardła chłopca.

– A teraz rzuć broń – nakazał spokojnie Zovac.

Arndak przez chwilę rozważał, czy zdąży zabić pirata i uwolnić siostrzeńca, stwierdził jednak, że jest bez szans.

– Chłopiec zginie – dodał Zovac łagodnym tonem, jakby odgadując jego myśli.

Arndak wydał z siebie przeciągły ryk i wypuścił z dłoni topór, który upadł ciężko na pokład.

– I tarczę – ponaglił go Zovac. Arndak rzucił tarczę, która także uderzyła o pokład i potoczyła się pod ławki dla wioślarzy.

– A teraz ich zwiążcie – zwrócił się do swoich ludzi.

Sześciu piratów rzuciło się na Arndaka, siłą odgięło mu ramiona do tyłu, związało je rzemieniami i zaciągnęło go na rufę. Ktoś podciął mu nogi i przywiązał do poprzecznej belki, tworzącej kształt kadłuba. Podobnie postąpiono z chłopcem.

Zovac przyglądał się całej operacji, po czym przyciągnął sobie zydel, usiadł na nim i rzucił kolejny rozkaz:

– Przeszukać statek. Gdzieś tu powinna być skrzynia z pieniędzmi.

Piraci pospieszyli, by wykonać polecenie. Arndak, nie odrywając wzroku od przywódcy bandy, słuchał, jak rozbijają pokład toporami w poszukiwaniu skrzyni. Po kilku minutach rozległ się triumfalny okrzyk.

– Przynieście ją tutaj – polecił Zovac, nie oglądając się.

Dwóch ludzi przytaszczyło ciężką skrzynię i rzuciło ją na pokład. Zovac odrzucił wieko

i uśmiechnął się na widok złota i srebra.

– Bardzo ładnie. Niezły łup jak na jeden dzień pracy.

– Kilka miesięcy pracy mojej i moich ludzi – stwierdził Arndak z goryczą. Zavać zwrócił ku niemu twarz, na której wciąż malował się nieprzyjemny uśmiech.

– Owszem. Ale przecież oni wszyscy są już martwi, nieprawdaż?

– A ja wkrótce do nich dołączę – dodał Arndak, bez cienia strachu. Zaakceptował swój los. – Ale oszczędź chłopca, błagam cię – powiedział, bez nadziei, że pirat się zgodzi. Musiał jednak spróbować ze względu na siostrę. Ku jego zaskoczeniu Zavać skinął głową i powiedział z namysłem:

– Wiesz, to całkiem możliwe. Ale chcę coś w zamian.

– Mów.

Pirat pochylił się nieco do przodu, zbliżając twarz do twarzy skirla.

– Słyszałem o wspaniałym skarbie, który przechowujecie w twoim rodzimym porcie Hallasholm – powiedział łagodnie.

Arndak wstrzymał oddech. Mogło chodzić tylko o jedno – o Andomal.

Andomal był najbardziej wartościowym i najwyżej cenionym przedmiotem, jaki znajdował się w Hallasholm. O tajemniczym i niewiadomym pochodzeniu. Kilkaset lat wcześniej wyciągnięto go z morza w sieci rybackiej – ogromny kawał bursztynu o średnicy jakichś dwudziestu pięciu centymetrów, przez dziesiątki lat wygładzony w falach oceanu do kształtu niemal idealnej kuli.

Już ze względu na swe rozmiary przedstawiał sporą wartość, ale absolutnie bezcennym czyniło go jeszcze coś innego. Otóż w jego wnętrzu znajdowała się szerniała wysuszona łapa ogromnego jaszczura lub jak głosiła popularna legenda, smoka. Andomal był wyjątkowy i zachwycający, nic innego na całym świecie nie mogło się z nim równać.

Imię zawdzięczał pochodzeniu owianemu mgłą tajemnicy – w dawnym języku znaczyło ono „rzecz”.

Zavać, który przyglądał się bacznie Arndakowi, dostrzegł jego reakcję.

– Widzę, że wiesz, o czym mówię. – Ponieważ Arndak nie odpowiedział, spojrział na chłopca i dodał: – Niezwykły to skarb, skoro jest wart więcej niż ludzkie życie.

Ernak spojrział na niego, potem na Arndaka.

– Nie mów mu, wuju – powiedział z zaciekłością. Uśmiech Zavaca stał się jeszcze szerszy.

– Wuju? A więc to twój siostrzeniec? Pomyśl tylko, jest w twojej mocy ocalić mu życie. Powiedz mi o skarbie, a przysięgam, że zabiorę chłopaka na pokład i wysadzę całego i zdrowego na skandyjskim wybrzeżu.

Arndak bił się z myślami. Andomal był bezcennym skarbem. Trzymano go w świątyni na szczycie wzgórza za miastem, dzień i noc strzegły go zmieniające się strażę złożone z sześciu wojowników, mężczyzn wybranych ze względu na odwagę i biegłość w rzemiośle wojennym. Jedynie najlepsi mogli liczyć na taki zaszczyt.

Do świątyni wiodła tylko jedna ścieżka, bardzo łatwa do obrony. Obok stał dzwon, by w razie ataku strażnicy od razu mogli ostrzec całe miasto. Arndak zwrócił na piratów pogardliwe spojrzenie. Skoro on i jego ludzie tak długo opierali się ich atakowi, nie mieli szans w starciu z sześcioma wybitnymi wojownikami, zajmującymi doskonałą pozycję obronną. Nabrał powietrza.

– Nazywa się Andomal... – zaczął.

Kiedy skończył, w oczach Zavaca zapalił się chciwy błysk. Oczywiście, Arndak nie zdradził, w jaki

sposób skarb jest strzeżony, choć zdawał sobie sprawę, że obrona nie będzie dla piratów zaskoczeniem. Wspomniał tylko, że pilnuje się go dzień i noc.

Zavac, który przez cały czas gdy Arndak opowiadał, coraz mocniej pochylał się w jego stronę, teraz się wyprostował.

– Taak – powiedział powoli. – Wygląda na to, że to rzeczywiście wielki skarb. Chyba musi być bezcenny.

– Oberjarl zapłaciłby każdą cenę, by odzyskać go w razie kradzieży – odparł Arndak. Uznał, że może spokojnie to powiedzieć. „Nigdy go nie dostaniesz”, pomyślał. „A przy odrobinie szczęścia któryś ze strażników zetnie ci łeb”.

Zavac podniósł się raptownie i zawołał towarzyszy.

– Przenieście skrzynię na pokład „Kruka” – rozkazał. – Potem zatopcie statek. Pozostałe spalimy. Lepiej nie zostawiać śladów.

Dwaj mężczyźni chwycili skrzynię i zaczęli ciągnąć ją w stronę dziobu, pozostali podbiegli do ławek wiosłarskich i zaczęli dziurawić kadłub poniżej linii wody.

Zavac spojrział kąpiąco na skirla i jego siostrzeńca.

– Miło się rozmawiało – powiedział. – Choć jestem pewien, że wszystkiego mi nie powiedziałaś.

Odwrócił się na pięcie. Arndak krzyknął:

– Czeka! Zabierz chłopca! Dałeś mi słowo!

Zavac odwrócił się. Teraz na jego twarzy nie został nawet ślad po uśmiechu.

– Owszem. Ale powszechnie wiadomo, że słowo pirata niewiele jest warte.

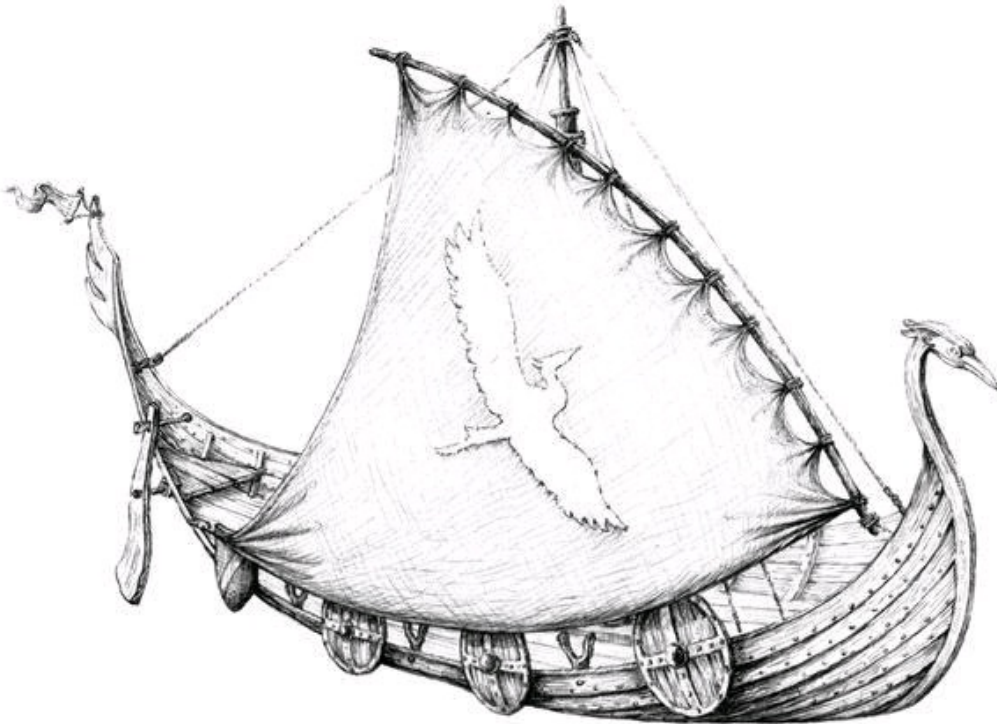
Potem znów się odwrócił i zwinnie przeskoczył na własny okręt.

– Odwagi – powiedział Arndak, kiedy „Tańczący z Falami” zaczął się zanurzać. Był dumny z chłopca, który trzymał głowę uniesioną wysoko, patrząc śmierci w oczy bez słowa skargi, bez jednej łzy.

Kiedy już woda zamknęła się nad nimi, Arndak przypomniał sobie, że w jedną jedyną noc w roku Andomal nie jest tak znowu bezpiecznie strzeżony.

Ale było za późno.

CZĘŚĆ 3



DRUŻYNA

ROZDZIAŁ 13

Dwudziestu ośmiu chłopców zebrało się na podmiejskim polu, przeznaczonym na szkolenie przyszłych wojowników. Wszyscy oni ukończyli szesnaście lat. Tego roku grupa była wyjątkowo liczna, zwykle składała się z szesnastu-dwudziestu młodzieńców.

Takie drużyny stanowiły fenomen wyłącznie skandyjski, wynikał on z ich tradycyjnego stylu życia, związanego z morskimi wyprawami. Grupę chłopców po ukończeniu szesnastego roku życia dzielono na niewielkie oddziały, w których uczyli się i trenowali sztuki wojenne. Każdy taki oddział nosił miano drużyny, a jej członkowie wspólnie uczyli się taktyki bitewnej, posługiwania się bronią, tajników żeglarstwa i nawigacji.

Drużyna stanowiła odbicie idei załogi okrętu, której członkowie musieli współpracować i polegać na swych towarzyszach, czasami nawet zawierając im życie. Często członkowie danej drużyny później zostawali członkami tej samej załogi i razem służyli, pracowali i odpoczywali – do końca swoich dni. W drużynach formowały się więzy dozgonnej przyjaźni.

Prócz tego ich członkowie uczyli się, jak najlepiej wykorzystać zdolności swych towarzyszy dla wspólnego dobra.

Ponieważ każda załoga musiała mieć kapitana, czyli skirla, w systemie drużyn ćwiczone również kolejną niezbędną umiejętność – umiejętność kierowania grupą. Urodzeni przywódcy z reguły w sposób naturalny wyróżniali się spośród rówieśników. Byli to chłopcy, posiadający owo nieokreślone „coś”, nieuchwytną cechę, każącą pozostałym słuchać ich pomysłów i rozkazów. Czasami, na początku szkolenia, grupa wybierała na przywódcę cieszącego się największą sympatią kolegę, lecz popularność wcale nie stanowiła najbardziej pożądanej cechy wodza. Tak więc często, nim trening dobiegł końca, przywódcę zastępował inny członek drużyny – taki, który zdobył zaufanie i wykazał się umiejętnością kierowania grupą.

Hal i Stig razem przybyli na miejsce zbiórki. Było jeszcze wcześniej, prócz nich na polu kręciło się może pół tuzina chłopców. Większość przywitała się ze Stigiem, niektórzy skinęli też głową Halowi, który rozglądał się nerwowo. Tursgud i jego poplecznicy jeszcze nie przybyli na miejsce. Hal pomyślał, że o ile zna Tursguda, zapewne wkroczy on w ostatniej chwili. Z roztargnieniem potarł knykcie. Poprzedniego wieczoru, po kolacji, zjedzonej w towarzystwie mamy, udał się do swojej szopy nad strumieniem i przez kilka godzin walił w worek treningowy, który dostał od Thorna. Starał się do perfekcji opanować sekwencję, którą mu pokazał. Wciąż od nowa powtarzał ruchy, tak by wykonywać je całkowicie instynktownie. W końcu, ze zbolałymi łokciami i knykciami zaczerwienionymi od uderzeń w szorstki płócienny worek, zakończył trening, powłókł się z powrotem do domu i padł wyczerpany na łóżko.

– Mam nadzieję, że wybiorą nas do tej samej drużyny – stwierdził Stig. Hal skinął głową, choć szczerze w to wątpił. Przypuszczał, że dwudziestu ośmiu chłopców zostanie podzielonych na trzy co najmniej ośmioosobowe drużyny, bo tylu wioślarzy musiała liczyć załoga każdego okrętu.

Stig niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, przyglądając się przybywającym chłopcom. Machał do nich i odpowiadał na pozdrowienia, pełen nerwowego oczekiwania, podekscytowany. Dla każdego młodzieńca ten dzień był niezwykle istotny. Stig czekał na moment, gdy w końcu zostanie przydzielony do drużyny. Nie dostrzegał niepewności Hala. Uważał, że Hal jest bystry i pomysłowy, i że jest dobrym przyjacielem. Ale Stig był optymistą.

Hal z kolei czekał na swój los z rezygnacją. Stig był wysoki i dobrze zbudowany, poza tym, co może najistotniejsze, był Skandianinem. Każdy chętnie widziałby go w swojej drużynie, mimo krewkiego temperamentu. Hal wiedział, że jego wybiorą na samym końcu. To będzie bardzo krępujące, stać tak i czekać, gdy chłopcy, jeden po drugim, zostaną wezwani po imieniu, by dołączyć do drużyn.

Wiedział, że jeśli ktoś go wybierze, to z największą niechęcią, zapewne z poczucia, że tak należy. Pomyślał ponuro, że wcale by się nie zdziwił, gdyby jego imię wywołano na samym końcu. A potem przez trzy miesiące będą go wyzywać, drwić z niego, pomiatać nim i kierować do najnudniejszych, najbardziej niewdzięcznych zadań.

– Co tu robi Erak? – zapytał Stig, wrywając go z ponurego zamyślenia.

Hal podniósł wzrok. Rzeczywiście, tego nikt się nie spodziewał. Zwykle oberjarl nie asystował przy podziale drużyn. Od czasu do czasu odwiedzał pole, na którym odbywały się treningi, i sprawdzał, czy chłopcy robią postępy, ale pierwszy dzień zazwyczaj zupełnie go nie interesował.

Lecz tym razem zjawił się, krocząc u boku Sigurda, byłego skirla, który od pewnego czasu odpowiadał za szkolenie drużyn. Sigurd miał opinię bardzo wymagającego i surowego przełożonego. Chłopcy, dostając się pod jego opiekę, zwykle czuli się mocno zdenerwowani. Miał gwałtowny temperament i zero cierpliwości dla przejawów lenistwa czy głupoty. Większość jednak zgadzała się również, że jest sprawiedliwy i nikogo nie faworyzuje.

Sigurd i Erak, pogrążeni w rozmowie, kroczyli w kierunku niewielkiej platformy, wzniesionej na krańcu pola. Chłopcy powoli ruszyli za nimi, jakby przyciągani jakąś niewidzialną siłą, i zaczęli ustawiać się w trzech rzędach w luźnym półokręgu naprzeciw platformy.

Oczywiście w tym momencie musiał pojawić się Tursgud w towarzystwie trzech kompanów. Przepchnęli się do przodu, nie zwracając uwagi na wściekle spojrzenia. Hal, stojący w ostatnim rzędzie, zobaczył, jak Erak podnosi wzrok i skinieniem głowy pozdrawia Tursguda. Ten odwzajemnił pozdrowienie i stanął na szeroko rozstawionych nogach, ręce wspierając na skórzanym pasie. Emanował pewnością siebie.

Ojciec Tursguda był Potężnym. Hal przypuszczał, że Tursgud pozostaje w bliskich kontaktach z Erakiem. Nie ukrywał on, że zamierza pójść w ślady ojca i pewnego dnia również zostać Potężnym. Wszystko wskazywało na to, że uda mu się osiągnąć cel.

Może jednak, jak to zauważał Stig przy różnych okazjach, powinien powstrzymać się z przechwałkami, zanim rzeczywiście dopnie swego.

Erak powiedział coś do Sigurda, po czym zszedł z podwyższenia. Stary siwy wilk morski został sam. Pod wpływem impulsu Hal odwrócił się i spojrzał w kierunku drzew, rosnących jakieś sto metrów dalej. Wybory do drużyn miały raczej charakter prywatny, gapie byli tu niepożądani. Mimo to jakiś szósty zmysł podpowiadał mu, że ktoś ich obserwuje. Jasne, za niewysokimi drzewkami zamajaczyła obszarpana sylwetka. Hal przez cały czas podejrzewał, że Thorn przyjdzie popatrzeć.

Kiedy Sigurd głośno odchrząknął, Hal odwrócił wzrok w stronę podwyższenia.

– A teraz ustawcie się i uwaga! – zawołał.

Chłopcy nie potrzebowali tego typu instrukcji. Przez cały czas czekali w napięciu, całkowicie skupieni i od dawna ustawieni jak należy. Połowa z nich postąpiła jednak nieco do przodu.

– Nikogo nie brakuje? – Sigurd powiódł wzrokiem po zebranych. Niektórzy zaczęli rozglądać się na prawo i lewo, jakby chcieli się upewnić, że rzeczywiście przybyli na miejsce. – Nieobecni, zgłosić się.

Wśród zebranych przeszedł nerwowy śmiech. Uznali, że może warto nagradzać śmiechem każdy żarcik Sigurda. Nauczyciel we wszystkich budził szacunek i lęk – przez kilka nadchodzących

miesiący mieli być skazani na jego łaskę i niełaskę. Wiedzieli, że ludzie u władzy lubią, kiedy poddani śmieją się z ich żarcików, nawet jeśli są one bardzo cienkie.

Sigurd, najpierw przyjrząwszy się im bacznie przez kilka sekund, zarządził energicznie:

– Dobra, zaczynamy.

Hal poczuł się zaskoczony. Spodziewał się, że może Sigurd odczyta jakąś listę, by sprawdzić, czy na pewno nikogo nie brakuje. Nie wiedział, że właśnie dokonał on pospiesznych obliczeń, z których wynikało, że stoi przed nim prawidłowa liczba zdenerwowanych podrostków. Miał w tym wieloletnią wprawę, potrafił dokonać takich rachunków w ciągu kilku sekund.

– Dzisiaj – zaczął – zostaniecie podzieleni na drużyny. – Zrobił przerwę i po chwili dodał: – To na wypadek, gdyby komuś się wydawało, że trafił na zebranie kółka krawieckiego. W takim przypadku dana osoba ma prawo wrócić do domu.

Wśród chłopców znów przeszedł nerwowy śmieszek.

– Najpierw wybierzemy przywódców. Macie jakieś propozycje?

Jak to było do przewidzenia, jeden z towarzyszy Tursguda, stojący po jego prawicy, wymienił jego imię. Sigurd skinął głową. On również nie był zaskoczony.

– Tursgud. Ktoś popiera propozycję?

– Tak jest – zawołał chłopak, stojący po lewej stronie Tursguda.

Sigurd zanotował coś na arkuszu pergaminu – trzymał w ręku cały ich plik – i spojrzał na Tursguda.

– W porządku. Gratulacje, Tursgudzie!

Ten tylko wzruszył ramionami. W końcu w tej sprawie nikt nigdy nie miał wątpliwości. Gratulacje były całkowicie zbędne.

– Ktoś jeszcze? – Sigurd powiódł wzrokiem po zebranych.

– Rollond!

Kilku chłopców wyciągnęło szyje, by dojrzeć, kto zgłosił propozycję, większość jednak nie wydawała się nią zaskoczona. Rollond cieszył się sporą popularnością wśród rówieśników. Był synem znanego kapitana, w dodatku mógł pochwalić się doskonałą muskulaturą i opinią niezłego zapaśnika. W odróżnieniu od Tursguda nie miał potrzeby udowadniania na każdym kroku, jaki jest ważny.

Hal pomyślał, że będzie z niego dobry przywódca. Miał nawet nadzieję, że Rollond wybierze go do swej drużyny. Wprawdzie nie łączyła ich przyjaźń, ale i nie dzieliła wrogość.

– Popieram – zawołał, nim Sigurd o to poprosił. Kilku chłopców obejrzało się, zaskoczonych, że Hal zdobył się na coś takiego. Rollond, stojący na końcu drugiego rzędu, odwrócił się, by sprawdzić, kto poparł jego kandydaturę. Nie rozpoznał głosu swego poplecznika, przypuszczał, że należy on do jednego z jego najbliższych przyjaciół. Zmarszczył brwi, po czym, kiedy już stwierdził, kto udzielił mu poparcia, skinął głową w stronę Hala.

– Dobrze. Rollond. Kto następny? – Sigurd popatrzył po zebranych. Wyraźnie wyczuwał ich wahanie. Każdy zdawał sobie sprawę, że wybrana osoba będzie musiała konkurować z Rollondem i Tursgudem – a także grupami ich towarzyszy. Podczas treningów drużyny walczyły przeciwko sobie, członkowie tej zwycięskiej mogli liczyć na ogromny prestiż. A przegrana oznaczała wielki wstyd, piętno, które mogło przylgnąć na całe lata. Chyba każdy z zebranych marzył o tym, by raczej zostać członkiem zwycięskiej drużyny, pod wodzą Tursguda lub Rollonda, niż samemu zostać przywódcą drużyny skazanej na porażkę. To na przywódcę spadała wina za przegraną.

Sigurd niecierpliwie powiódł wzrokiem dokoła.

– No, dalej. Jest was dużo, trzeba utworzyć trzy drużyny. Kto jeszcze?

Wszyscy jednak milczeli. Nagle, pod wpływem impulsu, Stig podniósł rękę.

– Hal! – wykrzyknął.

Hal, stojący obok, przymknął oczy i zaklął po cichu.

ROZDZIAŁ 14

Sigurd odwrócił się, by sprawdzić, kto złożył ostatnią propozycję. Stig, którego zasłaniaли rośli chłopcy, stojący w rzędzie przed nim, przechylił się nieco w bok, wyglądając zza ich pleców.

– Hal! – powtórzył. Kilku chłopców zachichotało. Twarz Stiga pokrył rumieniec.

– Zamknij się! – szepnął z wściekłością Hal. Nie potrzebował tego rodzaju popularności. Nie miał ochoty zwracać na siebie uwagi, szczególnie w takim dniu.

– Hal jaki? – zapytał Sigurd, autentycznie zdumiony. Chichot przeszedł w śmiech.

Twarz Stiga jeszcze bardziej poczerwieniała.

– Hal Mikkelson! – krzyknął z determinacją.

Tursgud stojący w pierwszym rzędzie odwrócił się i spojrzał na mówiącego, potrząsając głową z litością i niedowierzaniem.

– Chyba nie mówisz poważnie – odezwał się. – Chyba nie chcesz na serio zaproponować „Hala Jakiego” na przywódcę drużyny?

Jeszcze więcej chłopców zaczęło się śmiać, a twarz i szyja Stiga bardziej poczerwieniały. Dosłownie gotował się ze złości. Popatrzył po chłopcach.

– Z czego się cieszycie? Ktoś powiedział jakiś żart? – zapytał.

– Rzekłbym, że „Hal Jaki” to jakiś żart. A ty jak myślisz? – Tursgud zwrócił się do jednego z towarzyszy, specjalnie nie ścisząc głosu.

Hal, który stał ze spuszczonego wzrokiem, by nie napotkać czyjś spojrzenia, łokciem wymierzył Stigowi kuksańca pod żebra.

– Zamknij się! – poprosił ponownie. – Po prostu się nie odzywaj.

Ale Stig nie zamierzał się zamykać. Był wściekły na przyjaciela i na śmiejących się z niego pozostałych chłopców. Zacisnął dłonie i powiódł wzrokiem po rozweselonych twarzach.

– No, dalej! – odezwał się groźnie. – Niech który spróbuje się zaśmiać, to łby wam porozwałam!

To był błąd. Pojedynczo każdy z tych chłopców zapewne obawiałby się wywołać gniew u Stiga, wiedzieli, że niełatwo z nim wygrać. Tylko że Stig nie wyzwiał pojedynczej osoby, ale całą grupę. Oni zaś zareagowali jak grupa.

– Uuuuuuuuuuuuu! – zakrzyknęli chóralnie z udawanym przerażeniem. Stig zakołysał się z boku na bok jak rozwścieczony niedźwiedź. Gdy jego spojrzenie spoczęło na najbliższych stojących chłopcach, ci prędko opanowali rozbawienie, zmasali uśmiechy z twarzy. Stig zatrzymał wzrok na jednym, który okazał się nieco opieszale.

– Dobra! – wrzasnął, zamierzając się na niego. – A teraz to odwołaj!

– DOSYĆ TEGO!

Głos Sigurda, ćwiczony przez lata w przekrzykiwaniu sztormów, przywołał Stiga do porządku. Zatrzymał się z pięścią uniesioną do ciosu i spojrzał niepewnie na wściekłego nauczyciela.

– Co ty sobie wyobrażasz? To nie jest barnskole! A wy nie jesteście bandą gówniarzy! To jest drużyna! Macie nauczyć się zachowywać jak mężczyźni! Jak mężczyźni! Zrozumiano?

Stig zwiesił głowę, wciąż czerwony na twarzy, teraz bardziej ze wstydu niż ze złości. Powoli opuścił zaciśniętą pięść.

– Przepraszam – mruknął.

– A niech cię, Stig! – syknął Hal.

– Jeszcze jeden taki popis, a wykopię cię stąd na zбитy pysk! I to z dziką rozkoszą! Jasne?

– Tak jest – odparł Stig cicho, szczerze przerażony perspektywą wydalenia z treningu.

– NIE SŁYSZĘ CIĘ! – wrzasnął Sigurd tak głośno, że najbliżej stojący chłopcy instynktownie cofnęli się o krok.

– Tak jest! Przepraszam! – powiedział głośniejsz Stig, wciąż nie podnosząc wzroku.

Sigurd przyglądał mu się przez kilka sekund, po czym spojrział w swoje notatki.

– Dobrze. Jako kandydata na trzeciego skirla zgłoszono Hala Mikkelsona. Czy ktoś chce poprzeć kandydaturę?

– Żartujesz? – odezwał się Tursgud i zaśmiał się krótko. Kilku najbliżej stojących chłopców znów zaczęło chichotać, ale zaraz przzerwali, gdy spoczął na nich gniewny wzrok Sigurda. Tursgud jednak nadal uśmiechał się buńczucznie do nauczyciela.

– Uważasz, że to zabawne? – zapytał Sigurd.

Tursgud wzruszył ramionami, bynajmniej niespeszony.

– To po prostu bez sensu – stwierdził. – Jest synem niewolnicy. Nawet nie jest Skandianinem, tylko Aralueńczykiem.

Kilku innych ośmieliło się zamruczeć na znak, że się z nim zgadzają.

Sigurd popatrzył na nich.

– Karina, żona Mikkela, jest wolną kobietą – odparł chłodno. – A jej mąż był Skandianinem. Oraz moim bliskim przyjacielem. Racście o tym pamiętać, kiedy o niej mówicie. O niej i jej synu. – Znów spojrział w notatki. Nagle ktoś powiedział, głośno i wyraźnie:

– Kundel.

Sigurd natychmiast podniósł wzrok i skierował go w stronę, skąd doszedł głos.

– Kto to powiedział? – zapytał. Nikt nie odpowiadał. Przez dłuższą chwilę przyglądał się chłopcom, po czym, kiedy zdał sobie sprawę, że to do niczego nie prowadzi, powtórzył: – Czy ktoś chce poprzeć kandydaturę Hala Mikkelsona?

„Jasne, mnóstwo osób, szczególnie po tym wszystkim”, pomyślał Hal z goryczą. Spojrział na przyjaciela. Wiedział, że Stig miał dobre intencje, ale wolałby, żeby trzymał gębę na kłódkę. Nie miał najmniejszej ochoty zostać przywódcą drużyny. Prócz tej jednej chwili triumfu, kiedy wprowadził „Czapkę” do portu, wolał pozostawać w cieniu.

Na pytanie Sigurda odpowiedziała przedłużająca się cisza. W końcu pogodził się z nieuniknionym i wykreślił imię Hala z notatek.

– No, dobrze. Jakies inne propozycje?

Cisza. Nikt nie miał ochoty zwracać na siebie uwagi. Sigurd, niecierpliwie stukając nogą, powiódł wzrokiem po twarzach chłopców. Wielu z nich, jak zauważył, nie śmiało spojrzeć mu w oczy. Rzecz jasna nie Tursgud, ale u takiego aroganta nie mogło to dziwić. Rollond również odpowiedział na jego spojrzenie. A także Hal, jako jeden z nielicznych, jak zauważył Sigurd z zainteresowaniem.

– No, dalej. Potrzebujemy jeszcze jednego skirla. Można również zgłaszać własną kandydaturę.

Nikt jednak nie miał ochoty podjąć ryzyka. Sigurd zwrócił spojrzenie na Eraka i wzruszył ramionami. Oberjarl wystąpił do przodu.

– Dobrze – powiedział. – Zaczniemy z tymi dwoma, których mamy, zobaczymy, co dalej, kiedy zostanie ostatnich dziewięciu czy dziesięciu.

Sigurd skinął głową. Wszystko wydawało się dobrym rozwiązaniem, byle przerwać ten impas. Nie pierwszy raz zastanawiał się, jak to możliwe, że dał się zrobić w tę pracę.

– Tak zrobmy – zgodził się. – Tursgud, stań tutaj – wskazał na miejsce po swojej lewej stronie. – Rollond, tutaj.

Wybrani na przywódców drużyn wystąpili z szeregu i zajęli wyznaczone miejsca. Sigurd wyjął pięciokoronówkę.

– Rzut monetą zdecyduje, kto zaczyna. Potem będziecie wybierać na zmianę. Rollond, ty decydujesz. – Na razie miał dosyć Tursguda. Podrzucił monetę, złapał ją i przycisnął do wierzchu lewej dłoni. – Orzeł czy reszka? – spytał Rollonda. Ten lekko wzruszył ramionami. Nie zależało mu specjalnie na tym, by zacząć. Zamierzał wybrać członków drużyny spośród najbliższych przyjaciół, wiedział, że Tursgud postąpi tak samo.

– Reszka.

Sigurd odsłonił monetę i zerknął.

– Orzeł – stwierdził. – Tursgud zaczyna.

Tursgud wyszczerzył zęby w uśmiechu, zrobił krok do przodu i skinął głową w stronę jednego z towarzyszy.

– Knut – powiedział. – Zechciej zostać członkiem zwycięskiej drużyny.

– Tylko imiona, nie mam ochoty dłużej słuchać waszych bredni – Sigurd bezceremonialnie ukrocił jego zapędy. Te słowa wyraźnie znaczyły, że Tursgud dość już się nagadał tego dnia. Tursgud spojrzał, zaskoczony. Nie był przyzwyczajony do tego, by ktoś strofował go publicznie.

– Dell – powiedział z kolei Rollond. Jeden z jego przyjaciół uśmiechnął się szeroko i wystąpił z szeregu.

I tak to się toczyło. Początkowo imiona padały prędko jedno po drugim, ale kiedy obaj skirlowie wybrali już najbliższych towarzyszy, proces zaczął przebiegać wolniej. Potrzebowali czasu do zastanowienia. Tursgud wybrał już ośmiu chłopców, Rollond siedmiu i teraz przyglądał się topniejącej grupie. Już miał wymienić jakieś imię, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie.

– Stig.

Stig, który stał wpatrzony w swoje buty, wciąż zawstydzony konfrontacją z Sigurdem, teraz gwałtownie uniósł głowę. Zaczerwienił się, z wahaniem spojrzał na Tursguda. Instykt podpowiadał mu, że teraz Tursgud wybierze Hala, tylko po to, by ich od siebie oddzielić i w ten sposób zemścić się na nich.

Stig zawahał się. Rollond zmarszczył brwi i przyzwał go gestem ręki.

– No, chodź – ponaglił go.

Ale Stig nie ruszał się z miejsca.

– Ja... tak jakby... wolałbym być w jednej drużynie z Halem – powiedział, wskazując na stojącego obok niego przyjaciela. – Zamierzasz wybrać także i jego?

Rollond wzruszył ramionami. Nie zamierzał ulegać niczym naciskom.

– Nie wiem. Może. A może nie. Ale wybrałem ciebie, więc podejdź tu.

Stig nerwowo przestąpił z nogi na nogę. Dręczyło go niezdecydowanie. Miał jednak jedno wyjście.

– Rezygnuję – oznajmił. Według przyjętych zasad każdy z chłopców mógł raz odmówić. Wśród zebranych przeszedł cichy pomruk. Rzadko kiedy ktoś korzystał z tego prawa.

– Idiota – mruknął Hal. Stig z uporem zacisnął wargi. Nie wiedział, co zrobić, by ich nie rozdzielono, ale przynajmniej zdołał odwlec tę chwilę. Rollond przyglądał mu się przez chwilę. Odmowa Stiga stanowiła dla niego obrazę. Z chłopców, którzy pozostali, Stig niewątpliwie był najlepszym kandydatem. Spojrzał mu prosto w oczy i potrząsnął głową. Przesłanie nie pozostawiało wątpliwości: „Drugiej szansy nie będzie”.

– Nadal masz prawo dokonać wyboru – powiedział Sigurd. Rollond krótkim spojrzeniem obrzucił pozostałych chłopców.

– Anton – powiedział. Anton, który bał się, że zostanie wybrany przez Tursguda, uśmiechnął się z ulgą i dołączył do drużyny Rollonda, prędko, jakby się bał, że ten może zmienić zdanie.

– Teraz ty, Tursgud – polecił Sigurd.

Tursgud zawahał się przez chwilę, po czym na jego twarzy pokazał się szeroki uśmiech. Hal domyślał się jego zamiarów.

– Wybieram „Hala Jakiego” – oznajmił. Zgromadzeni wokół niego towarzysze wyszczerzyli się szeroko i zaczęli poszturchiwać się nawzajem, ucieszeni perspektywą dręczenia Hala przez kilka najbliższych miesięcy.

– Nie ma mowy! – rozległ się donośny głos Eraka. Oberjarl znów stanął u boku Sigurda i wymierzył palec wskazujący w zaskoczonego Tursguda.

– To są wybory do drużyn, a nie okazja do załatwiania osobistych porachunków! – zagrział. – Wiem, że między tobą i Halem panuje niezgoda. Nie pozwolę, byś wykorzystywał wobec niego pozycję skirla. Nie na tym ten system polega.

Tursgud szeroko rozłożył ręce i popatrzył na boki, udając zaskoczenie.

– Ależ nigdy nie miałem podobnego zamiaru! – powiedział z oburzeniem. – Nie rozumiem takiego zarzutu! To dla mnie obraza.

Erak podszedł bliżej do Tursguda, który, choć wielki i muskularny, przy nim wydał się mały.

– Nie próbuj ze mną pogrywać, synku. Sądysz, że jestem głupi i nie przejrzałem twoich zamiarów?

Tursgud wściekł się. Nie był przyzwyczajony do takiego traktowania.

– Mój ojciec... – zaczął, lecz Erak mu przerwał.

– Tak, tak. Wszyscy wiemy, że jest Potężnym. Na oddech Gorloga, przypominasz nam o tym wystarczająco często! A teraz zamknij się. Wybieraj dalej.

Ich spojrzenia zwały się na moment. Po chwili Tursgud spuścił wzrok.

– Dobrze – powiedział cierpko. – Wybieram...

Erak, który już miał wrócić na poprzednie miejsce, odwrócił się gwałtownie.

– I nie Stiga! Z tych samych powodów.

Tursgud zamarł z otwartymi ustami. Erak przejrzał jego plan. Właśnie zamierzał wywołać imię Stiga. Teraz Rollond wystąpił naprzód.

– W takim razie mamy problem, oberjarlu – powiedział gniewnie. – Bo ja Stiga ponownie nie wybiorę. Raz mi odmówił, nie chcę go w drużynie.

Erak wziął głęboki oddech. Najwyraźniej zaczynał tracić cierpliwość.

– Twój sprzeciw został odnotowany – odparł. – Powiedziałem na początku, że zobaczymy, co dalej, kiedy każdy z was wybierze po dziesięciu kandydatów. A więc dalej! Wybierajcie! – Pokazał kciukiem na Tursguda. – Twoja kolej!

Procedura potoczyła się więc dalej. Obaj skirlowie wybrali brakujących członków drużyn. Hal popatrzył na topniejącą grupę tych, którzy nie zostali wybrani. Tak jak przypuszczał, znaleźli się w niej Ulf i Wulf. Ich wściekłe spojrzenia pozwalały przypuszczać, że to się nie zmieni. Ingvar przez cały czas wpatrywał się w kolejnych wybrańców, mrużąc krótkowzroczne oczy, pełen nadziei uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

Stefan i Jesper także nie zostali wybrani.

Stefan był błaznem, co mogłoby przysporzyć mu popularności, lecz zwykle ostrze jego ciętego humoru zwracało się przeciwko innym. Ale Hal musiał po zastanowieniu stwierdzić, że nigdy nie wybierał na cel swych żartów słabszych od siebie. Prawdziwą przyjemność sprawiało mu mierzenie w ego tych, którzy mieli o sobie zbyt wysokie mniemanie – jego ulubieńcami pozostawali Tursgud

oraz Borsa, hilfmann oberjarla, cieszący się niezmiennym przekonaniem o znaczeniu własnej osoby.

Poza ciętym humorem Stefan posiadał również niezwykle talent parodystyczny. Potrafił naśladować każdego z mieszkańców Hallasholm, z reguły ze szkodą dla wybranej ofiary. Jeśli ktoś nie patrzył, nigdy nie mógł być pewien, czy głos danej osoby rzeczywiście należy do niej, czy do Stefana.

Jesper z kolei był zawołanym złodziejaszkiem. Nie chodziło o to, że faktycznie pożądał cudzych przedmiotów, po prostu nie mógł oprzeć się pokusie, by nie zwinąć komuś mieszka z pieniędzmi bądź niepostrzeżenie pozbawić go zawartości kieszeni. Pewnego razu, rozmawiając z kowalem, ściągnął mu z nadgarstka srebrną bransoletę. Hal, który był przy tym, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Oczywiście, w chwili gdy Jesper zdobył swój łup, pokazał go triumfalnie właścicielowi z zamiarem zwrócenia go. Kowala jakoś nie rozśmieszył ten kawał i Jesper, by uniknąć strasznego losu, musiał wykorzystać swój drugi przyrodzony talent – doskonałego biegacza.

Wśród ośmiu odrzuconych znalazł się jeszcze Edvin. Hal nie znał go zbyt dobrze, był to cichy chłopak, zawsze trzymający się z boku. Należał do tych osób, które we wszystkim są przeciętne. Był przeciętnie uzdolniony i przeciętnie sprawny fizycznie. Nie wybijał się w żadnym ze sportów. Ale nie pozostawał też w tyle. Lubił czytać, a w barnskole szybko przyswoił sobie podstawy matematyki. Jednak należał do osób, które zawsze pomija się przy takich okazjach jak dzisiejsza. Hal, Stig i pozostali zostali pominięci celowo, w przypadku Edvina było inaczej – ludzie po prostu nie pamiętali o jego istnieniu.

Rollond właśnie wybrał dziesiątego członka drużyny. On i Tursgud patrzyli teraz w napięciu na Eraka. Zdążyli już ocenić pozostałych ośmiu chłopców, żaden z nich nie chciał ich w swojej drużynie.

Erak przez chwilę zastanawiał się nad rozwiązaniem. Powiódł wzrokiem po niewielkim stadku odrzuconych kandydatów. Jeszcze nim zaczęła się selekcja, mógł dokładnie przewidzieć, kto znajdzie się w tej grupie.

– Doskonale – stwierdził. – Obie drużyny mają po dziesięciu członków. Zostało ośmiu kandydatów. Utworzą oni trzecią drużynę. Powiedzmy, że zostali wybrani przez odrzucenie – dodał z lekkim uśmiechem.

– Jest ich mniej. Zawsze będą na słabszej pozycji – zauważył Sigurd.

Erak wzruszył ramionami.

– Możemy stworzyć albo dwie drużyny dziewięcio- i jedną dziesięcioosobową albo dwie liczące dziesięciu i jedną ośmiu członków. Ktoś zawsze będzie pokrzywdzony. Nie widzę też chętnych do zmiany drużyny, by wyrównać szanse.

Członkowie obu drużyn zamruczeli zgodnie. Nikt nie miał ochoty dołączyć do ewidentnie najslabszej grupy.

– Chyba masz rację – stwierdził Sigurd. Popatrzył na ośmiu lekko zdezorientowanych chłopców, którzy nadal stali na swoich miejscach, rozproszeni, oddzieleni pustymi miejscami po dwudziestu wybrańcach. Nie licząc Stiga z Halem oraz bliźniaków, którzy tworzyli dwie minigrupki.

– Dobrze, stańcie razem. Jesteście drużyną, zachowujcie się jak drużyna.

– Nie możesz tego zrobić! – Oczywiście, to Tursgud zgłosił sprzeciw. W jego głosie słyhać było oburzenie. – Nie zostali wybrani, nie mogą tworzyć drużyny! Odeślij ich do domu! Tak nie można!

Rozejrzał się, szukając wsparcia u towarzyszy, ale jakoś nikt się nie kwapił. Erak przywołał go skinieniem ręki. Tursgud niepewnym krokiem podszedł do potężnego oberjarla. Erak uśmiechnął się do niego i nie był to przyjazny uśmiech.

– Owszem, mogę tak zrobić – odparł. – Chociaż mój tatuś nie jest Potężnym. Ponieważ jestem

oberjarlem. Zrozumiano?

Tursgud spuścił wzrok.

– Tak – mruknął.

– Tak, i co dalej? – powiedział Erak niezwykle łagodnym tonem.

Podniósłszy wzrok, Tursgud ujrzał w jego oczach niebezpieczny błysk.

– Tak, oberjarlu – poprawił się.

Erak skinął głową z zadowoleniem. Gestem dłoni dał znak Sigurdowi, by przejął dowodzenie.

– Doskonale – powiedział nauczyciel. – Skoro wszystko ustalone, możecie wybrać symbole swoich drużyn. Skirlu Rollondzie, jak zamierzcie się nazwać?

– Wilki – odparł Rollond bez wahania. Każda drużyna wybierała jakiś totem zwierzęcy na swój symbol. Pod tym imieniem miała być znana przez cały okres trwania treningów, flaga z wizerunkiem zwierzęcia miała powiewać przed barakami, w których nocowali. Rollond i Tursgud oczywiście wybrali symbole już wcześniej, bo obaj byli pewni, że zostaną skirlami.

– Tursgud? – zapytał Sigurd.

Tursgud najwyraźniej odzyskał pewność siebie. Podniósł wzrok i stanowczo oznajmił:

– Rekiny.

– Świetnie. – Sigurd spojrzał na pozostałych chłopców, którzy stali teraz bliżej siebie. Sam nie wiedząc czemu, zwrócił się do Hala. – Masz jakąś propozycję? – zapytał.

Hal zawahał się. Nigdy nie brał pod uwagę takiej możliwości, nie miał więc gotowej odpowiedzi. Spojrzał na Stiga, potem na pozostałych. Wszystkie twarze wyrażały to samo. Sigurd niecierpliwie przygryzł koniuszki wąsów.

– Cóż, chyba nie musicie od razu decydować. Przedyskutujcie to i potem mi...

– Czaple! – przerwał mu Ingvar. Wszyscy spojrzeli na niego ze zdumieniem. Uśmiech rozpromienił jego twarz. Skinął głową swym nowym towarzyszem. – Czaple – powtórzył, po czym dodał: – Jak łódź Hala.

Tamci wymienili spojrzenia. Stefan i Edvin nie wyglądali na przekonanych, pozostali za to zaczęli uśmiechać się i zgodnie kiwać głowami.

Sigurd zawahał się. Zwykle drużyny wybierały na swój symbol bardziej waleczne stworzenia. – Jesteście pewni?

Hal, spojrzawszy na twarze swych towarzyszy, odparł:

– Czemu nie? Możemy być Czaplami.

Tursgud, jak to było do przewidzenia, prychnął z pogardą.

– Czaple? Nie są zbyt niebezpieczne. Chyba że dla ryb!

Zawtórował mu śmiech przyjaciół. Niespodziewanie Edvin powiedział:

– A rekin to właśnie wielka tępa ryba.

Teraz wszystkie Czaple zaczęły się śmiać, dołączyło do nich nawet kilka Wilków. Tursgud zaczerwienił się z wściekłości.

W tym momencie Hal już wiedział, że rzeczywiście tworzą jedną drużynę.

ROZDZIAŁ 15

Pierwsze zadanie polegało na zbudowaniu baraków mieszkalnych. Każda z drużyn dostała własny, oczyszczony w tym celu teren i materiały budowlane.

Gort, nauczyciel przypisany drużynie Czapli, zaprowadził chłopców na miejsce, wskazał na stos desek i powiedział:

– Tu jest wszystko, czego potrzebujecie. Musicie tylko rozpracować, co do czego. Macie na to resztę dzisiejszego dnia i cały jutrzejszy. Na waszym miejscu postarałbym się sklecić jakieś schronienie przed nadejściem nocy. Ma padać, a na inny nocleg nie macie co liczyć.

Odwrócił się, potem przypomniał sobie coś jeszcze i dodał:

– A, Sigurd nakazał, byście wybrali skirla.

Potem zniknął między drzewami. Czaple popatrzyły po sobie.

– Cóż... Hal został już zgłoszony, więc... – zaczął Stefan. Ulf (a może Wulf?) poparł go:

– To prawda. Poza tym jest najlepszym sternikiem. Skoro i tak będzie dowodził podczas zawodów żeglarskich, to czemu nie miałby objąć dowodzenia na stałe.

Wśród pozostałych przeszedł zgodny pomruk. Nawet ci, którzy nie mieli okazji żeglować razem z Halem, słyszeli o jego sławetnym wejściu do portu. Dziwne, ale nawet Wulf (lub Ulf) zgodził się z bratem.

Jedyną osobą przeciwną pomysłowi był sam Hal.

– Wcale nie chcecie mnie na przywódcę. Wybierzcie kogoś innego.

Stig uśmiechnął się szeroko.

– Niby kogo? – zapytał. – Ja na pewno się nie nadaję. Za szybko tracę panowanie nad sobą. Rozejrzyj się. Widzisz tu jakiegoś odpowiedniego kandydata? Jesteś bystry. Potrafisz myśleć. Takie właśnie cechy powinien posiadać przywódca. Szczególnie że nasza drużyna jest mniej liczna od pozostałych.

Znów rozległ się pomruk wśród zgromadzonych. Hal jednak niechętnie potrząsnął głową.

– Zastanówcie się – zaprotestował. – Tursgud mnie nienawidzi, dobrze o tym wiecie. Jeśli wybieriecie mnie na przywódcę, znienawidzi was wszystkich.

Jesper machnął ręką.

– I co z tego? I tak nas nienawidzi.

– To prawda – odezwał się Ingvar w charakterystyczny dla siebie sposób, z namysłem, graniczącym z namaszczeniem. – Jediną osobą, jaką Tursgud lubi, jest Tursgud.

Wśród zebranych przeszedł szmer rozbawienia.

Hal uśmiechnął się mimo woli.

– Dobrze to ująłeś.

Ingvar z powagą skinął głową.

– Ludzie zwykle tego nie dostrzegają, ale ja często mówię bardzo mądre rzeczy – stwierdził, by zaraz popsuć efekt: – Chyba że akurat potykam się o własne nogi.

– No, dobrze – odezwał się Edvin. – Wszyscy zgadzają się, by Hal został naszym skirlem?

Po chwili wahania siedem głów pokiwało zgodnie, siedem głosów potwierdziło wybór. Hal potrząsnął głową. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że został wrobiony.

– Nie mówcie potem, że was nie ostrzegałem.

– Co z tym zrobimy? – zapytał Stig, dotykając czubkiem buta stosu, na który składały się belki, zwoje sznura i płótna rzucone w całkowitym bezładzie. Kawałki drewna, ciężkie, krótkie i lekkie, belki i deski, a między nimi płótno i liny – dokładnie ze sobą wymieszane. Nikt się nie odzywał. Po chwili Hal uświadomił sobie, że wszyscy na niego patrzą.

– Co? – zapytał. – Czemu się na mnie gapicie?

– Jesteś skirlem – powiedział Edvin. – Obejmij dowodzenie.

Hal zaczerpnął powietrza. Przez kilka sekund przyglądał się chaotycznemu stosowi.

– Kiedy buduje się łódź – odezwał się w końcu – trzeba najpierw posortować materiały. Podzielmy to wszystko, kładąc podobne części razem. W ten sposób dowiemy się, co tu mamy.

– Ja widzę, co tu mamy – stwierdził Stig. – Niezły bajzel.

– Ale co dokładnie każesz nam zrobić? – zapytał Edvin.

Po chwili wahania Hal zebrał się w sobie. Wiedział, że musi podjąć jakąś decyzję, bo inaczej będą skończeni, zanim zaczną.

– Podzielcie to wszystko – polecił, wskazując kciukiem stos. – Podobne części na osobne kupki. W ten sposób zobaczymy, czym dysponujemy, i pomyślimy, jak najlepiej to wykorzystać.

Wszyscy zabrali się do pracy. Po upływie pół godziny materiały leżały podzielone starannie na niewielkie stosy. Hal ruszył powoli wzdłuż nich, w zamyśleniu pocierając podbródek. Teraz, kiedy miał konkretny problem do rozwiązania, od razu poczuł się znacznie bardziej pewny siebie.

– Dobrze – zaczął po zastanowieniu. – Tych osiem desek posłużą za podstawę. Cztery długie i cztery krótsze. Ułożymy je w kształt prostokąta. To będzie kształt naszego baraku.

– Nie wystarczą cztery? – zapytał Stefan, rysując prostokąt nad ziemią.

– Cztery na podłogę – wyjaśnił Edvin – i cztery na strop. Musisz myśleć w trzech wymiarach.

– A, no tak – Stefan zgodnie kiwnął głową.

Hal spojrzał z uznaniem na Edvina. Szybko chwycił.

– Te cztery krótsze belki posłużą za słupy narożne – podjął. – A konstrukcję dachu zbudujemy z tych lżejszych desek.

– A te? To na poszycie dachu? – zapytał Stig.

Hal spojrzał na wskazane deski. Dzięki pracy przy budowie łodzi potrafił szybko oszacować wielkość desek i określić, jaką mniej więcej powierzchnię mogą pokryć. Potrząsnął głową.

– Za mało – stwierdził. – Starczyłyby za ledwie na połowę.

Postanowił później wrócić do tego problemu.

– Na razie zajmijmy się czymś innym. Najpierw musimy zbić zasadnicze ramy, dolną i górną. Trzeba naciąć belki, tak by weszły jedna w drugą. Ulf, Jesper i ja zajmijmy się konstrukcją podłogi, Wulf, Stefan i Edvin – dachem. Stig i Ingvar, wykopcie dołki na słupy narożne.

Zabrali się do pracy. Hal i jego dwaj towarzysze wybrali miejsce, w którym miał stanąć barak, i rozmieścili cztery belki – niedbale obrobione pnie sosnowe – na ziemi, tworząc z nich prostokąt o rozmiarach około czterech metrów na pięć. Potem zaczęli robić nacięcia na końcach belek, do połowy ich grubości, tak by, ułożone pod kątem prostym, weszły jedna w drugą. Wreszcie wbili w złączenia kołki, by unieruchomić belki.

Edvin, Stefan i Wulf postąpili dokładnie tak samo z belkami przeznaczonymi na konstrukcję stropu. Na polanie rozbrzmiało echo donośnych uderzeń siekier i toporów. Towarzyszył mu głuchy łoskot łomów, którymi Stig i Ingvar robili w ziemi otwory pod słupy narożne.

Erak i Sigurd, ukryci za drzewami, obserwowali całą scenę. Wcześniej sprawdzili, jak sobie radzą pozostałe drużyny – lub raczej jak sobie nie radzą.

– Popatrz tylko – powiedział Erak. – Doskonale rozdzielili pracę. Już zaczęli budowę. Tamci nadal

kręcą się w kółko, zastanawiając się nad obsługą młotka.

Sigurd potrząsnął głową.

– Kto by pomyślał?

Erak zerknął z boku na niego.

– Ja – odparł, po czym dodał, jako że tak naprawdę nie była to jego zasługa. – Lub raczej Thorn. Powiedział mi, że chłopak jest wyjątkowy, potrafi myśleć i planować. A tego właśnie nam potrzeba.

– Thorn? – zdziwił się Sigurd. – Ten pijaczyna? – Pamiętał, jak nieraz widział byłego żeglarza, zataczającego się między zabudowaniami Hallasholm od jednej tawerny do drugiej. Nagle uświadomił sobie, że już od dłuższego czasu nie widywał go w takim stanie.

– Skończył z piciem – odparł Erak.

– Tacy jak on tak naprawdę nigdy nie kończą.

Erak zacisnął wargi, po czym stwierdził:

– Może jest wyjątkiem. Mam taką nadzieję. W każdym razie nie mylił się co do Araluńczyka. – Z namysłem podrapał się po brodzie. – Chodźmy sprawdzić, jak teraz radzi sobie banda Tursguda.

Było późne popołudnie. Drużyna Czapli ukończyła podstawową konstrukcję baraku. Cztery belki, tworzące zarys podłogi i cztery, obramiające sufit znalazły się na swoich miejscach, te ostatnie wsparte na słupach, tkwiących w otworach, wykopanych przez Stiga i Ingvara. Chłopcy przypatrywali się swemu dziełu. Hał skinął głową, zadowolony. W miarę jak rosła konstrukcja, rosła też jego wiara we własne możliwości. Kierowanie pracą drużyny zaczynało mu sprawiać przyjemność.

– Teraz zbijemy trójkątne ramy na dach – oznajmił – i rozepniemy na nich płótno. Potem przykryjemy wszystko gałązkami sosny. Dzięki temu woda nie będzie lała się do środka.

– A ściany? – zapytał Jesper. – Chyba nie mamy wystarczająco dużo drewna.

– Ale za to mamy mnóstwo płótna. Tak naprawdę budujemy ogromny namiot na drewnianym szkielecie.

Stig skierował wzrok na wschód, gdzie zgromadziły się zwały chmur i teraz pędziły ku nim wciąż zmieniając kształt pod wpływem podmuchów wiatru.

– Lepiej pospieszmy się z tym dachem. Lada chwila zacznie padać – zauważył.

Hał spojrział w tym samym kierunku i stwierdził, że przyjaciel ma rację. Nie było już czasu na budowę zaproponowanej przez niego konstrukcji.

– Musimy sklecić coś tymczasowo – powiedział. Na chwilę zatopił się w myślach. Przypomniała mu się „Czapla” przykryta brezentem dla ochrony przed deszczem. – Umieścimy na górze poprzeczną belkę i rozciągniemy na tym płótno. To powinno ochronić nas przed deszczem. Tylko niech nikt nie dotyka płótna w miejscach gdzie zbierze się woda.

Wiedział, że wówczas woda od razu przeleje się do środka.

– Stig, Ingvar i Edvin zajmą się dachem – polecił. – Ulf i Wulf, wykopcie na zewnątrz rów dokoła baraku, żeby nie podmyło nas od spodu. – Powiódł wzrokiem dokoła, zastanawiając się, czy czegoś nie przegapił. Nagle zdał sobie sprawę, do czego miały służyć deski, o które wcześniej pytał Stig.

– Z nich zrobimy pokrycie podłogi – powiedział, wskazując palcem kolejny stos. Jesper, Stefan, zaczynajcie przybijać je do belek, tak by nie dotykały ziemi.

– Powiedziałeś, że jest ich za mało – zauważył Stefan.

Hał przytaknął.

– Wiem. Ale przynajmniej będziemy mieć platformę do spania.

Stefan kiwnął głową.

– Nieźle to wykombinowałeś. Właśnie dlatego wybraliśmy cię na przywódcę.

– A ja myślałem, że ze względu na atrakcyjny wygląd i czarującą osobowość – odparował Hal.

Ingvar, który przysłuchiwał się uważnie, z powagą potrząsnął głową.

– Nie. Zdecydowanie nie z tego powodu.

Stefan i Stig wyszczerzyli się szeroko. Hal skłonił się lekko Ingvarowi.

– Dzięki za tę bezcenną uwagę, Ingvar.

Teraz coś innego zwróciło jego uwagę. Ulf i Wulf trzymali w rękach łopaty, identyczne, lecz to nie przeszkodziło im wyklócać się o to, która z nich jest lepsza. Ulf chciał tę, którą wybrał Wulf, i odwrotnie. Hal podszedł do nich i powiedział, bardzo spokojnie:

– Czemu po prostu się nie zamienicie?

Bliźniaki momentalnie przerwały kłótnię, po czym spojrzały zdumione na niego, a potem na siebie nawzajem. Ulf z niechętną miną wyrwał łopatę z ręki Wulfa, po czym wetknął bratu własną. Wulf wziął ją, obrzucił nieufnym spojrzeniem i łaskawie kiwnął głową.

– Zaczniście od tyłu – polecił Hal. – Kopcie w odległości mniej więcej metra od baraku, w przeciwnych kierunkach, aż spotkacie się z przodu. – Spojrzał na Stiga i powiedział, ścisząc głos: – W ten sposób co najmniej przez godzinę nie będą mieli ze sobą kontaktu.

Stig uśmiechnął się szeroko.

– Oto prawdziwa przyczyna, dla której cię wybraliśmy. Nikt inny nie potrafiłby okiełznać tej dwójki.

Uporali się z pracą w ciągu czterdziestu pięciu minut. Jesper i Stefan ukończyli podwyższenie i wraz z pozostałymi zaczęli rozciągać płótno na dachu i po bokach konstrukcji. Wystarczyło na pokrycie trzech boków, przód zostawili więc otwarty. Hal pomyślał, że później można zakryć go deskami bądź gałęziami sosny.

Kiedy skończyli, zaczął padać deszcz. Kilka minut później Ulf i Wulf spotkali się u wejścia do baraku i znów rozpętała się kłótnia. Hal westchnął i poszedł zobaczyć, o co chodzi tym razem. Pozostali, z szerokimi uśmiechami na twarzach, ruszyli za nim.

– W czym znowu problem? – zapytał. Ulf, a może był to Wulf, wskazał na dzieło swego brata.

– Ulf wykopał za płytki rów. Mój jest znacznie głębszy, zmieści się w nim więcej wody.

Hal zanotował w pamięci, że powiedział to Wulf, nie Ulf. A może jednak odwrotnie? Bliźniaki często się zamieniały, tylko po to, by wprowadzić zamieszanie. Sprawiało im to przyjemność niemal równie wielką jak ciągłe kłótnie.

– Ale mój jest szerszy – stwierdził Ulf.

– Powinien być głębszy – upierał się jego brat. Hal zrezygnował z prób odróżnienia ich. Spojrzał na wykopane rowy. Całkiem możliwe, że bliźniacy już zdążyli zamienić się miejscami.

– A twój powinien być szerszy.

– Głębszy jest lepszy.

– Może dla takiego tępaka jak ty.

– Sam jesteś tępakiem! Chcesz, to stępię tę łopatę na twoim pustym łbie.

– Tylko spróbuj!

– Wyzywasz mnie?

– A chcesz?

– No, zaczynaj.

– Nie, ty zaczynaj.

– Nie, ty za...

– Do licha ciężkiego, zamknijcie się wreszcie! – Hal stracił cierpliwość. Bliźniacy spojrzeli na niego ze zdumieniem. Wkroczył między nich, wskazał palcem na jednego i zapytał: – Ty! Który to twój rów?

– Ten dobry – odparował chłopak, ale na widok niebezpiecznego błysku w oczach Hala zaraz dodał: – Ten głęboki.

– A czemu głęboki jest lepszy? – zapytał Hal.

Bliźniak wzruszył ramionami i z uśmiechem odpowiedział na proste pytanie:

– Bo mieści się w nim więcej wody.

Ton jego głosu sugerował, że Hal powinien zdawać sobie sprawę z tak oczywistej rzeczy. Jego brat prychnął pogardliwie. Teraz Hal zwrócił się do niego:

– A czemu lepszy jest szerszy rów?

Chłopak wzruszył ramionami w ten sam sposób jak jego brat. Nawet ruchy mieli identyczne.

– Szerszy mieści więcej wody.

– A więc – odparł Hal, z trudem zachowując spokój – głębszy mieści więcej wody... – Tu spojrzął na Bliźniaka Numer Jeden, który potwierdził jego słowa kiwnięciem głowy. – I szerszy też mieści więcej wody? – Tym razem spojrzął na Bliźniaka Numer Dwa. Ten również kiwnął głową. Hal wreszcie stracił cierpliwość. – Co z was za idioci! Jeden rów jest głębszy, drugi szerszy, to chyba znaczy, że mieszczą TAKĄ SAMĄ ILOŚĆ WODY!

Bracia byli wyraźnie zaskoczeni. Zmarszczyli brwi i w milczeniu poruszali wargami, przetrawiając słowa Hala.

– Zgadza się – stwierdził jeden. – Nie pomyślałem o tym.

– Ani ja – stwierdził drugi, po czym dodał pospiesznie: – Chociaż na pewno bym pomyślał.

– Ja też bym pomyślał! – zawtórował mu pierwszy.

– Aha, teraz tak mówisz...

– PRZESTAŃCIE! – wrzasnął Hal. – STOP! STOP! STOP! – Żaden się nie odezwał. Hal wskazał na bliżej stojącego bliźniaka. – Ty! Jak masz na imię?

– Jak to? Wulf, oczywiście. To chyba jasne dla wszystkich.

Hal rzucił mu złowieszcze spojrzenie. Na wypadek, gdyby bliźniaki znów zechciały zamienić się miejscami, nie odrywając wzroku od swego rozmówcy, zawołał:

– Stig! Mógłbyś przynieść mi kawałek sznura?

– Chcesz go związać? – zapytał Stig z szerokim uśmiechem.

– Może lepiej od razu go powiesić? – zaproponował z ironią Ulf.

Hal, wciąż wpatrując się w Wulfa, pstryknął palcami w stronę Stiga.

– Podaj sznur. Jakiś cienki. Pół metra, nie więcej.

Kiedy Stig wykonał polecenie, Hal podszedł do Wulfa i zawiązał sznurek wokół jego nadgarstka. Zwisające końce obciął nożem.

– Proszę. Teraz będziemy wiedzieć, kto jest kto – oznajmił. – Wulf ma sznurek na nadgarstku.

– To chyba trochę dziecinne, nie sądzisz? – spytał Edvin.

Hal spojrzął na niego.

– Masz jakiś lepszy pomysł, żeby ich odróżnić?

Uśmiech na twarzy Stiga stał się jeszcze szerszy niż przedtem.

– Chyba miałeś na myśli „rozłóżnić”?

– Nie, wcale nie to miałem na myśli – powiedział Hal dobitnie, po czym znów zwrócił się do Edvina: – Masz czy nie?

– Yyy... w gruncie rzeczy to nie – przyznał Edvin.

– Świetnie. W takim razie, póki czegoś nie wymyślisz, zatrzymaj krytyczne uwagi dla siebie.

Edvin zrobił pojednawczy gest.

– A teraz – podjął Hal – zamierzam wreszcie schować się przed deszczem. – Jeszcze raz spojrzął na bliźniaków. – To chyba będzie długa noc. Ale przynajmniej sucha.

A potem wszedł do namiotu. Reszta podążyła za nim, tylko bliźniacy zostali na deszczu. Wciąż był drobny, lecz z każdą minutą przybierał na sile. Powoli strumienie wody zaczęły spływać do rowu, by spotkać się z przodu, gdzie znajdował się odpływ.

Wulf powiódł wzrokiem za Halem i wyszczerzył się do brata.

– Bystry, co?

Ulf skinął głową.

– Owszem. Niezły jest. Ale z nami i tak nie ma szans.

– Nie ma – zgodził się Wulf. A potem odwiązał sznurek i zawiązał go na nadgarstku brata.

ROZDZIAŁ 16

Następnego ranka Czaple wyrwał ze snu przenikliwy metaliczny dźwięk. Zaalarmowani straszliwym hałasem, na wpół ogłuszeni, powyłazili spod koców. To Gort zgotował im pobudkę – stał tuż przy wejściu do namiotu, waląc kijem w starą obręcz od beczki.

– Wstawać! Dalej! Nie marudzić! Macie dziesięć minut na umycie się i ubranie. Potem marsz na miejsce zbiórki!

Chłopcy, zamroczeni snem, zaczęli szukać po omacku butów i spodni, z niechęcią myśląc o opuszczeniu ciepłych posłań. Gort rozejrzał się po wnętrzu namiotu. Był wyraźnie pod wrażeniem.

– Nieźle – stwierdził. – Znacznie bardziej sucho niż u pozostałych drużyn.

– Trochę przeciekało – odparł Hal, wskazując kilka miejsc, w których deszcz przesiąknął przez płótno. – Ale zaraz nad tym popracujemy.

Gort potrząsnął głową.

– Nie popracujecie. Czekają was inne zadania. A teraz ruszajcie się, jeśli nie chcecie przegapić śniadania.

Edvin, skacząc na jednej nodze i próbując wciągnąć spodnie, zmarszczył brwi i spojrzał na nauczyciela.

– Ale mówiłeś, że mamy cały wczorajszy i dzisiejszy dzień na zbudowanie baraków – zaprotestował.

Gort uśmiechnął się.

– Naprawdę? W takim razie skłamałem. – Nagle uśmiech znikł. – A teraz RUCHY!

Edvin i pozostali, przerażeni, pospieszyli nad strumień. Kiedy już umyli się i ubrali do końca, wciąż pod komendami Gorta, potruczali na miejsce zbiórki – to samo, w którym poprzedniego dnia odbyła się selekcja. Teraz stał tam duży, odkryty po bokach namiot, w środku znajdowały się ławy i trzy stoły – po jednym dla każdej drużyny. Czaple przybyły jako pierwsze. Czekwały już na nie smażone jajka, gorący bekon, świeży chleb, herbata i kawa.

Gorące jedzenie i picie szybko pomogło odzyskać chłopcom animusz. Z rozbawieniem patrzyli na członków pozostałych drużyn, przemoczonych i sztywnych od spania na wilgotnej ziemi. Przybyli rzucali im groźne spojrzenia, Czaple zaś odpowiadały, uśmiechając się i wznosząc toasty kubkami z kawą.

Tursgud zjawiał się jako jeden z ostatnich. Wyraźnie w złym humorze, rozcierał zesztyniały kark.

– Hej, Tursgud! – zawołał Stefan. – Popatrz tylko, kto cię uprzedził! Hal Jaki i jego Czaple!

Pozostałe Czaple zaśmiały się, nawet kilka Wilków zachichotało. Tursgud groźnie wyciągnął palec w stronę Stefana.

– Tylko tak dalej, dowcipnisiu! Uważaj, żebym cię nie przerobił na bekon!

Nie była to zbyt szczęśliwie dobrana uwaga, bo kiedy Tursgud dotarł do stołu z jedzeniem, okazało się, że bekon zniknął. Ci, którzy zjawili się wcześniej, nie zostawili ani kawałka dla maruderów. Tursgud rozejrzał się dokoła, po czym rozkazał dwóm członkom swej drużyny, by podzielili się z nim swoimi porcjami. Posłuchali niechętnie.

Hal przyglądał się tej scenie ze zmarszczonymi brwiami. Takie traktowanie raczej nie mogło wpłynąć pozytywnie na ducha drużyny Rekinów. Tursgud powinien był poczekać, na pewno ktoś sam by zaproponował, że się z nim podzieli. Członkowie drużyny Czapli nie lubili go, bo przez lata

dręczył ich i się z nich wyśmiewał, ale jego towarzysze wyraźnie darzyli swego przywódcę sympatią.

Tylko czy rzeczywiście?

Tymczasem Stefan z zadowoleniem napychał żołądek jedzeniem.

– Mmmm, ten bekon jest naprawdę wyśmienity – rzucił od niechcienia. Pozostali zaśmiali się, a Tursgud spiorunował go złowieszczym spojrzeniem.

Hal pochylił się nieco do przodu, widząc, że Stefan już ma na końcu języka kolejną dowcipną uwagę.

– Daj spokój – powiedział cicho.

Stefan spojrział na niego, zaskoczony. Spośród nich wszystkich Hal miał najwięcej powodów, by nienawidzić Tursguda. W rzeczywistości Stefan rzucał swe kąśliwe uwagi właśnie ze względu na Hala. Bardzo go podziwiał, zaimponowało mu, że tak zdecydowanie pokierował nimi poprzedniego dnia, nie mówiąc już o tym, jak poradził sobie z Ulfem i Wulfem. Czuł, że drużyna Czapli wiele zyska dzięki takiemu przywódcy.

– Przed nami trzy długie miesiące – wyjaśnił Hal. – Nie ma sensu drażnić rekina bez potrzeby.

– To prawda – zgodził się Stefan z uśmiechem. – W końcu jeszcze nieraz znajdzie się ku temu okazja.

Kiedy Czaple skończyły jeść, uprzątnęły naczynia i wrzuciły je do kociołka z gorącą wodą, Sigurd przywołał ich do siebie.

– Hal, przypuszczam, że zostałeś oficjalnie wybrany na skirla. Zgadza się?

Hal skinął głową. Sigurd popatrzył na pozostałych członków drużyny.

– Dobry wybór – stwierdził, ku zaskoczeniu Hala. Nie wiedział, że Sigurd i Erak poprzedniego dnia obserwowali go przy budowie baraku. Nie miał jednak czasu zastanawiać się nad słowami nauczyciela, gdyż w tym momencie Sigurd wręczył mu plik pergaminowych kart.

– Oto zadania, które czekają was w ciągu najbliższych dwóch miesięcy – powiedział. – Nie są ułożone chronologicznie. Będziecie dowiadywać się danego dnia, które zadanie macie do wykonania, więc musicie być stale przygotowani na wszystko. Każda z drużyn musi zaliczyć wszystkie zadania. Jasne?

Chłopcy pokiwali głowami. Czuli, że żarty się skończyły. Stig i Edvin stojący za Halem wyciągnęli szyje nad jego ramieniem, próbując odczytać listę. Sigurd natychmiast przywołał ich do porządku.

– Później sobie poczytacie! Nie dostaniecie żadnego planu, możemy wyznaczyć wam jedno z tych zadań równie dobrze jutro, jak w przyszłym tygodniu. Możecie dostać dwa zadania jednego dnia, potem żadnego przez kilka tygodni. Poza tym przez cały czas będziecie ćwiczyć się w przeróżnych umiejętnościach, tych, które już przyswoiliście, i całkiem nowych. Mogę tylko dodać, że pierwszy test macie już za sobą.

Tu urwał. Hal zadał pytanie, choć chyba znał już odpowiedź:

– Na czym on polegał?

– Na przygotowaniu miejsca do spania – odparł nauczyciel. – Dostaliście za to punkty. Poradziliście sobie najlepiej spośród wszystkich drużyn.

Czaple zamruczały z zadowoleniem.

Stig spojrział na przyjaciela.

– Dobra robota, Hal.

Hal wzruszył ramionami.

– Jeszcze wiele przed nami.

Sigurd odnotował tę wymianę zdań. Pomyślał, że Erak chyba nie pomylił się co do tego chłopaka. Erak rzadko się mylił. Sigurd odchrząknął i jeszcze raz zwrócił się do Czapli:

– Teraz wracajcie posprzątać w baraku. Potem zbierzcie broń. Dziś będziecie ćwiczyć się w walce bronią, więc za dwadzieścia minut macie być tu z powrotem.

Chłopcy pospiesznie opuścili namiot. Hal usłyszał jeszcze, jak Sigurd poucza pozostałych, którzy gorączkowo pochłaniali śniadanie.

– Pospieszcie się. Macie dwie minuty. Potem zgłóście się do mnie po listę zadań. A, tak przy okazji, dla własnego dobra przyjrzyjcie się potem barakowi, który zbudowały Czaple. Byłoby mądrze z waszej strony skopiować ich projekt. Dostali już za niego punkty.

Hal pomyślał, że teraz to dopiero Tursgud się ucieszy. Zanotował sobie w pamięci, by porozmawiać ze Stefanem i uprzedzić go, by trzymał język za zębami. Ciągłe dogryzanie Tursgudowi mogło tylko pogorszyć ich sytuację.

Kiedy już barak lśnił czystością, koce zostały zwinięte, a ubrania i rzeczy osobiste starannie ułożone przy każdym posłaniu, Hal postanowił dokonać szybkiej inspekcji. Zauważył, że Ingvar zwinął koc bardzo niedbale, jeden koniec wystawał jak niedogotowana kiełbaska. Pozostałe przedmioty leżały rozrzucone byle jak.

– Mógłbyś pomóc Ingvarowi? – zwrócił się do Edvina. – Pokaż mu, jak należy zwijać koc i układać rzeczy. – Gdy Edvin skinął głową, Hal krzyknął do Ingvara: – Hej! Tak nie może być! To wygląda jak psie śniadanie. Obserwuj Edvina i ułóż wszystko jak należy.

– Tak jest, skirlu – odparł Ingvar, lekko zmieszany. Przyczłapał do swego posłania i ze schyloną głową obserwował Edvina, który pokazywał mu, jak starannie zwinąć koc, zamiast robić z niego niekształtną belę. Potem Edvin ułożył starannie jego rzeczy, największe na spodzie, tłumacząc, że to najefektywniejsza metoda. Hal patrzył na Ingvara, który słuchał uważnie i od czasu do czasu kiwał głową. Jak wiele potężnie zbudowanych osób, także on bywał bardzo niezgrabny, a krótki wzrok dodatkowo pogarszał sytuację. Hal zauważył jednak, że Ingvar ma dobre serce. Inny chłopak mógłby mieć za złe, że musi wysłuchiwać pouczeń kogoś o połowę mniejszego, Ingvar jednak zdawał się doceniać pomocną krytykę Edvina.

Kiedy już przyjrzał się jego dziełu, Edvin rozwinął koc.

– Teraz ty spróbuj – polecił. – I nie zwijaj tak ciasno.

Tym razem Ingvarowi poszło znacznie lepiej. Może nie udało mu się zwinąć koca aż tak równo i starannie, jak to zrobił Edvin, ale postęp był znaczny. Edvin, uchwyciwszy spojrzenie Hala, uniósł pytająco brwi.

Hal krótko kiwnął głową.

– Wystarczy.

Edvin klepnął Ingvara w potężne ramię.

– Dobra robota. Jutro sprawdzę, czy na pewno załapałeś, o co chodzi.

– Dzięki, Edvin – powiedział młody olbrzym. Promieniał z zadowolenia. Hal uświadomił sobie, że nikt nigdy wcześniej nie udzielał mu pochwał. Ingvar spotykał się wyłącznie z krytyką. Hal postanowił zanotować to sobie w pamięci.

– Słyszeliście Sigurda – krzyknął do pozostałych. – Zbierzcie całą broń, jaką posiadacie, i przynieście ją tutaj, a potem ustawcie się w dwa szeregi.

– Czy to naprawdę konieczne? – zapytał Stefan z wahaniem.

– Pewnie nie – odparł Hal. – Ale tworzymy drużynę. Czyli zespół. Powinniśmy więc tak właśnie się zachowywać. W porządku?

– W porządku.

Hal przyglądał się Stefanowi przez chwilę. Jeszcze nie całkiem przyzwyczał się do tego, że wydaje innym rozkazy. Stefan jednak chyba przyjął jego argumentację, jak stwierdził Hal z ulgą.

Wrócił do namiotu i spośród rzeczy, leżących przy pośłaniu, wyjął kuszę.

Dostał ją w zeszłym roku od Thorny, który, jak każdy wilk morski, posiadał tajny składzik pieniędzy, klejnotów, broni i innych rzeczy, które „uwolnił”, jak to mówiono, podczas licznych zamorskich wypraw. Cóż, jego skarb stracił początkowe imponujące rozmiary, gdyż przez najgorsze lata Thorn wyprzedawał cenne przedmioty po śmiesznie niskich cenach, by mieć pieniądze na piwo i brandy. W końcu Erak postanowił zainterweniować i skonfiskował resztę, dzięki czemu Thorn nie stracił wszystkiego.

Kuszę zdobył podczas wyprawy do Gallii, wiele, wiele lat temu. Dał ją Halowi na piętnaste urodziny. Chłopiec był zachwycony, jego matka za to mniej, ale rzadko która matka cieszy się, kiedy ktoś daje jej synowi w prezencie broń o sile rażenia ponad dwustu metrów.

Kiedy minęła pierwsza fala zachwytu, Hal dostrzegł kilka błędów w konstrukcji kuszy i postanowił sam je naprawić.

Na przykład główna część, czyli łożo z kolbą, zostało zrobione z całkowicie prostego kawałka drewna, przez co trudno było wycelować – oko strzelającego znajdowało się zawsze nieco powyżej toru lotu bełtu. Zachował mechanizm spustowy, ale wyrzucił kolbę i zastąpił ją inną, własnego pomysłu, odgiętą od łoża w dół, dzięki czemu oko znajdowało się na równej linii z torem lotu. Wyokrąglił końcówkę nowej kolby, tak że ściśle przylegała do ramienia. Potem popracował jeszcze nad mechanizmem spustowym, który był dość sztywny i niedbale wykonany. Wygładził go i naoliwił, tak by łatwiej naciągało się cięciwę i wypuszczało bełt.

Po wypróbowaniu broni wprowadził jeszcze jedno bardzo istotne ulepszenie.

Początkowo trochę bał się pokazać tak odmienioną kuszę Thornowi. Nie chciał, by ten poczuł się urażony, że Halowi nie spodobał się prezent w pierwotnej postaci. Thorn jednak był zachwycony, poklepał go po ramieniu i stwierdził:

– Można się było spodziewać, że tak jej nie zostawisz! Zdziwiłbym się, gdyby stało się inaczej.

Pozostali chłopcy byli już gotowi. Przynieśli ze sobą broń wszelkiego rodzaju. Każdy nosił u pasa sakwę – długi ciężki nóż, który mógł być wykorzystywany zarówno jako broń, jak i przydatne narzędzie codziennego użytku. Jesper miał poza tym mały łuk myśliwski, o niewielkiej, w porównaniu z kuszą, sile rażenia. Bliźniaki przyniosły włócznie, a Stig topór, który należał do jego ojca, gdy ten był jeszcze chłopcem. Nie był to wprawdzie prawdziwy wielki topór bojowy – takiego nawet Stig nie zdołałby udźwignąć, ale tak czy inaczej mógł służyć jako całkiem skuteczny oręż. Stefan i Edvin nie mieli własnej broni.

Rodzina Ingvara nie mogła sobie pozwolić na zakup broni dla niego. Ingvar wyciął ogromną maczugę z gałęzi dębu – była to bardzo prosta broń, ale dzięki sile mięśni Ingvara mogła okazać się śmiertelna. Hal wyciągnął rękę, by bliżej jej się przyjrzeć.

– Mogę?

Ingvar podał mu maczugę. Hala zwiodła łatwość, z jaką Ingvar ją trzymał, i niemal upadł pod zaskakująco wielkim ciężarem. Prędko jednak doszedł do siebie i ujął maczugę w obie dłonie. Jak na tak prosty oręż była doskonale wyważona. Po chwili oddał ją właścicielowi.

– Dobra, ustawcie się w dwójkach. Stig, nadawaj rytm. Szybki marsz na pole.

Tym razem nikt nie pytał, czy to naprawdę konieczne. Hal zajął miejsce z przodu, Jesper po jego

prawej stronie. Pozostali ustawili się w dwóch rzędach za nimi, Stig na samym końcu. Potruchtali między drzewami na miejsce zbiórki.

Stracili trochę czasu, kiedy Edvin pouczał Ingvara, i gdy dotarli na pole treningowe, pozostałe drużyny już tam były. Ich członkowie patrzyli, jak wbiegają równym krokiem i zatrzymują się na hasło Stiga. Wyglądało to naprawdę imponująco. Tursgud zarechotał, ale Rollond trochę się zdenerwował, że sam nie wpadł na coś podobnego. Jego drużyna po prostu przyczłapała na pole jak stado krów.

– Od tej pory – powiedział do swego zastępcy – my też tak będziemy robić.

ROZDZIAŁ 17

Sigurdowi pomagali trzej inni nauczyciele: Gort, Jarst i Viggo, każdy z nich odpowiadał za jedną z drużyn. Gort, przypisany Czaplom, podszedł teraz i zmierzył chłopców wzrokiem. Nadal stali w dwóch rzędach, zwróceniu ku niemu twarzami.

– Ślicznie – powiedział z lekką nutą sarkazmu. – Ale za urodę nie dostaje się punktów, jeśli tak wam się wydawało. – Spojrzał na Hala. – Tak wam się wydawało?

– Nie – odparł Hal, postawiony w stan gotowości. – Pomyśleliśmy tylko, że będzie lepiej, jeśli przyjdziemy wszyscy razem.

– Hmm – mruknął Gort. Tak naprawdę i on, i pozostali nauczyciele byli pod dużym wrażeniem zdyscyplinowania, którego dowód dały Czaple. Nie zamierzał jednak dać niczego po sobie poznać. Przesunął po nich wzrokiem, spojrzał na dość przypadkowy zbiór broni w ich rękach. – Oczywiście, mamy dla was broń na czas treningu – powiedział. – Ale spójrzmy, co tu przynieśliście.

Zaczął przechadzać się powoli, przyglądając się uważnie. Koło Jespera przystanął. Wyciągnął rękę i Jesper podał mu łuk. Gort naciągnął go kilka razy, po czym odchrząknął i stwierdził:

– Na drobną zwierzynę może być, ale jako oręż wojenny stanowczo za słaby.

Oddał łuk Jesperowi i ruszył dalej, by zaraz znowu zatrzymać się na widok ogromnej maczugi, na której wspierał się Ingvar.

– A niech mnie! – wykrzyknął. – Toż to cały pniak! Zobaczmy, co potrafisz tym zdziałać.

Ingvar zerknął na niego, zamrugnął kilka razy, niepewny, czego się spodziewać.

– Tak? – zapytał.

Gort zrobił niecierpliwy gest.

– Podejdz tu i pokaż, jak tym machasz. O ile potrafisz – dodał z powątpiewaniem.

Ingvar znów zamrugnął i kilka razy kiwnął głową, po czym wystąpił przed szereg. Oczywiście, potknął się przy tym o własne stopy i zachwiał, na szczęście Ulf w ostatniej chwili chwycił go za łokieć. Ingvar uśmiechnął się przeproszająco, a Gort wzniósł oczy do nieba. Tego na szczęście Ingvar nie dostrzegł, twarz nauczyciela widział bowiem jako zamazaną plamę.

– Dobrze, zaczynaj! – nakazał Gort.

Ingvar zmrużył oczy.

– Ale co?

– No, dawaj! Machnij tym patykiem!

Aby oddać Ingvarowi sprawiedliwość, należy zaznaczyć, że polecenie to łatwo można było zrozumieć jako rozkaz zamachnięcia się na przeciwnika. Ingvar, niepewny, zawahał się i wlepił wzrok w zamazaną postać. Nie wiedział, czy Gort przygotował się do odparcia ataku.

Gort chciał po prostu sprawdzić, czy Ingvar potrafi zręcznie władać maczugą – wątpił, by było to możliwe, biorąc pod uwagę rozmiary i ciężar oręża. Widząc wahanie chłopaka, znów go ponaglił:

– No, dalej! Nie ma...

Miał powiedzieć „czasu”, ale w tym momencie ujrzał, jak gigantyczna maczuga ze świstem przecina powietrze i w oszalamiającym tempie zbliża się w jego kierunku. Jeszcze sekunda i pozbawi go głowy. Gort wrzasnął i rzucił się na ziemię, wciąż mokrą po nocnej ulewie. Maczuga przeleciała tuż nad jego czaszką, mijając się z celem dosłownie o kilka centymetrów.

– Na krwawe kły Lorgana, chłopcze! – ryknął. Lorgan był wyjątkowo nieprzyjemnym bóstwem

skandyjskim. Gort podniósł się i otrzepał kurtkę z błota i mokrej trawy. – Rzuć tę przeklętą maczugę! – wydarł się znowu. Ingvar zachwiał się niepewnie, nie wiedząc, czy ma wykonać kolejny zamach.

Posłusznie wypuścił z ręki maczugę, która spadła w trawę z głuchym łoskotem. Ciarki przeszły Gortowi po plecach. Przestraszony znalazł ujście w wybuchu gniewu.

– Ty idioto! Chcesz mnie zabić?!

– Ależ skąd – odparł Ingvar. – Kazałeś mi się zamachnąć...

– Ale nie na mnie! Myślisz, że lubię obrywać maczugą? – Głos Gorta przeszedł w nieprzyjemny skrzek. Czaple walczyły z rozbawieniem, co nie umknęło uwadze nauczyciela.

Hal wystąpił naprzód i powiedział przeproszającym tonem:

– Ingvar nie miał zamiaru cię uderzyć.

– Cóż, właściwie... Au! – Wulf przerwał Ingvarowi celnym ciosem pod żebra. Gort spojrzał nań podejrzliwie, więc Hal zaczął tłumaczyć pospiesznie, by odwrócić jego uwagę:

– On ma bardzo krótki wzrok. Nawet w odległości metra wszystko mu się zamazuje przed oczami.

– To prawda – wtrącił Stig. – W ogóle nie potrafi ocenić odległości. Na pewno myślał, że stoisz znacznie dalej.

– Nie, ja... Auu! – Łokieć Wulfa znów ukrócił zapędy Ingvara.

Stig spojrzał na niego i powiedział, z naciskiem na każde słowo:

– Tak właśnie myślałeś, prawda? Że Gort stoi o wiele dalej? Prawda?

– Eee... cóż... prawdopodobnie tak właśnie było. Tak. Tak właśnie pomyślałem, teraz, kiedy o tym wspomniałeś, wyraźnie zdałem sobie z tego sprawę.

Hal znowu włączył się do rozmowy:

– On ma naprawdę potwornie kiepski wzrok. Każdy to potwierdzi! – Spojrzał na pozostałych chłopców, którzy zgodnym chórem poparli jego słowa.

– Ślepy jak kret!

– Ledwo widzi czubek własnego nosa!

– Nawet czubka za bardzo nie widzi!

Gort zaczynał czuć się jak jeleń, zaatakowany przez stado psów. Ingvar spojrzał na swych towarzyszy z urażoną miną.

– Nie, no, nie przesadzajcie! Nie jest ze mną tak źle! – wtrącił się, ale Wulf wymierzył mu łokciem kolejny cios. – Auuuu!

– Owszem, jest. Zamknij się!

Ingvar, masując obolałe żebra, spojrzał w stronę swego dręczyciela.

– Przestań! To boli! Który to? – wiedział, że to jeden z bliźniaków, ale nie miał pojęcia, czy Wulf, czy Ulf.

Wulf na widok groźnego błysku w jego oczach odpowiedział pospiesznie:

– To Ulf.

– Później się z tobą rozmówię – obiecał Ingvar.

Gort, pod wpływem chóralnych zapewnień o niewinności Ingvara, w końcu uznał, że chłopak rzeczywiście nie chciał pozbawić go głowy. Machnął w jego stronę.

– Dobra. Podnieś maczugę i wracaj już do szeregu. A następnym razem, zanim zaczniesz nią wymachiwać, sprawdź najpierw, czy znajduję się co najmniej dziesięć metrów dalej.

– Tak jest – odparł Ingvar, zmartwiony incydentem.

Gort przyglądał się bacznie Ingvarowi, gdy ten podniósł maczugę i powrócił na swoje miejsce w szeregu. W końcu zapytał, wyraźnie rozluźniony:

– Dobrze, co tam dalej mamy? – Zatrzymał wzrok na włóczniach w dłoniach bliźniaków. –

Potrafiacie posługiwać się tymi wykałaczkami? Umiecie nimi rzucać? Byłe nie we mnie! – dodał pospiesznie.

– W sumie to jesteśmy raczej średni – odparł Ulf.

– On jest średni – wtrącił Wulf. – A ja... w sumie raczej przeciętny.

– To to samo! – wykrzyknął gniewnie Ulf.

Wulf od razu natarł na brata.

– Nieprawda! Średni znaczy gorszy, a przeciętny to... przeciętny.

– Też mi różnica!

Hal prędko interweniował:

– Zamknąć się! Obaj! W tej chwili!

Bliźniacy zamilkli. Poruszając ustami, posyłali sobie bezgłośnie obelgi. Hal zwrócił się do Gorta i rozłożył ręce w przeproszającym geście.

– Przepraszam. Oni ciągle się kłócą.

– Ach, tak – stwierdził Gort. – Niech Gorlog ma cię w opiece, jeśli tak jest przez cały czas.

Hal ponuro skinął głową.

– Przeważnie – przyznał.

Gort spojrzał na bliźniaków.

– Dobrze, już bez dalszych dyskusji, spróbujcie trafić w te plansze. – Pokazał na tarcze w kształcie ludzkiej sylwetki, stojące w odległości jakichś trzydziestu metrów. Bliźniaki popatrzyły za jego ręką.

– W którą? – zapytał Ulf.

Gort wzruszył ramionami.

– To nieistotne. Po prostu wybierz którąś i rzucaj.

– W takim razie wybieram... – zaczął Wulf, ale Hal, przeczuwając, że może się to stać powodem kolejnej sprzeczki, prędko wtrącił: – Wulf do prawej, Ulf do lewej!

Nawet na Gorcie zrobił wrażenie stanowczy, nieznoszący sprzeciwu ton jego głosu. Bliźniacy spojrzeli na Hala i zgodnie wzruszyli ramionami.

– Dobrze – odparli jednocześnie, po czym, również jednocześnie, unieśli ramiona, w których dzierżyli włócznie, przybrali odpowiednią postawę, zrobili krok do przodu i, nadal idealnie zsynchronizowani, wykonali rzut.

I obaj chybili.

Gort popatrzył na nich i stwierdził:

– Przed wami sporo pracy.

Ulf i Wulf ruszyli po włócznie, a Gort przesunął się dalej, w stronę Stiga. Obejrzał jego topór, zważył go w dłoni i z aprobatą skinął głową.

– Nieźle. Pokaż mi kilka ruchów. I pamiętaj o zasadach. Jeśli skrócisz nauczyciela o głowę, drużyna traci punkty.

„A nauczyciel głowę”, dodał Hal w myślach. Stig uśmiechnął się niemal niedostrzegalnie.

Ujął topór, ugiął kolana i zaczął machać toporem, jakby atakował nieprzyjaciela. Przez cały czas posuwał się przy tym do przodu, zataczał toporem kręgi nad głową i z boku, jedną ręką i dwiema. Odparował nawet kilka ciosów. Po chwili Gort kazał mu przestać.

– Nie najgorzej – oznajmił. – Musisz tylko poprawić tempo. I lepiej wykorzystać masę ciała. Topór nie odwali za ciebie całej roboty.

Stig spuścił wzrok, ale Gort klepnął go przyjaźnie po ramieniu i dodał:

– Przecież nikt nie wymaga, żebyś od razu wszystko wiedział. Jesteśmy tu po to, żeby cię uczyć. Masz podstawy do tego, by zostać dobrym wojownikiem. Musisz tylko poznać technikę. Daj mi dwa

miesiące, a zmienię cię w najlepszego topornika po tej stronie Morza Spokojnego.

Stig rozpromienił się na te słowa. Wizja siejącego strach wojownika bardzo przemówiła mu do wyobraźni – choć wolałby budzić przerażenie również po drugiej stronie Morza Spokojnego.

Następnie Gort spojrzał na kuszę na ramieniu Hala. Wydała mu się intrygującą nowinką. Skandianie raczej nie używali broni miotającej, najwyżej włóczni i oszczepów.

– Skąd to wzięłeś? – zapytał. Hal zdjął kuszę z ramienia i podał ją nauczycielowi.

– Dostałem od Thorny – odparł Hal, a Gort kiwnął głową z namysłem.

– Aaa, od Thorny. Tego starego pijaka – stwierdził, bardziej do siebie niż do Hala, ten jednak od razu się zjeżył.

– Thorn nie pije już od wielu lat! – powiedział gniewnie. – To mój przyjaciel. Może kiedyś był pijakiem, ale z tym skończył.

Gort zerknął na chłopca. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę. Milczący przekaz Gorta nie pozostawiał wątpliwości: w ten sposób nie należy zwracać się do nauczyciela. Hal poczerwieniał i spuścił wzrok.

– Przepraszam – wymamrotał.

Gort kilka razy kiwnął głową. Pomyślał, że chłopak dostał już swoją lekcję. Łagodniejszym tonem podjął:

– Lojalność wobec przyjaciela to bardzo dobra cecha, skirlu. Ale jeśli Thorn rzeczywiście jest twoim przyjacielem, powinieneś o czymś wiedzieć: pijak nigdy tak naprawdę z tym nie kończy. Zawsze istnieje ryzyko, że znów zacznie pić, kiedy przyjdą na niego ciężkie chwile. Nigdy nie można na kims takim do końca polegać.

„Nie znasz go tak jak ja”, pomyślał Hal ze złością i już miał powiedzieć to na głos, kiedy uświadomił sobie, że nigdy nie przekona Gorta. Za to kłócąc się z nim dalej, łatwo mógł doprowadzić do tego, że drużyna straci punkty. Przełknął więc gniew i powiedział:

– Rozumiem. Postaram się zapamiętać.

– Świetnie. A teraz rzućmy okiem na tę twoją kuszę.

Gort zaczął obracać ją w rękę i oglądać ze wszystkich stron. Nie przypominała żadnej z kusz, które miał okazję widzieć do tej pory. Wprawdzie Skandianie rzadko używali podobnej broni, lecz on widywał kusze nieraz.

– Myślałem, że wy, Araluńczycy, rodzicie się z długim łukiem w rękę? – zagaił żartobliwie.

Hal z trudem zachowywał spokój. Nie lubił, kiedy ktoś wślizgał go w schemat pod tytułem: „jesteś Araluńczykiem, więc musisz strzelać z długiego łuku”.

– Przyszedłem na świat tutaj – zauważył. – Skandianie raczej nie używają tego rodzaju łuków.

– Ale to wasza broń narodowa, prawda? – ciągnął Gort.

Hal z trudem powstrzymał się, by nie powiedzieć: „Jestem Skandianinem, nie Araluńczykiem”. Zdawał sobie sprawę, że ludzie zawsze będą zwracać uwagę na to, co go od nich różni, a nie na to, co łączy.

Gort zauważył jego milczenie, ale nie domyślał się, co było jego przyczyną.

– Nigdy nie miałeś ochoty wypróbować długiego łuku?

Hal potrząsnął głową. Od nieudanego ataku Temudżeinów na Skandię w Hallasholm stacjonowała grupa araluńskich łuczników – w ramach umowy, zawartej między krajami. Hal, świadom, że i tak wszyscy traktują go jak obcego, postanowił trzymać się od nich z daleka. Pewnego dnia jednak zapytał jednego z nich o długi łuk. Odpowiedź nie napawała optymizmem.

– Trening należy rozpocząć w bardzo młodym wieku – powtórzył teraz Gortowi tamte słowa. – Strzelanie powinno być całkowicie instynktowne. Należy jakby zlać się w jedno z łukiem, dostroić

się do niego i wyczuć, gdzie trafi strzała w momencie, kiedy wypuszcza się ją z cięciwy. Rozwinięcie takich umiejętności trwa całe lata.

– A z kuszą jest inaczej?

Hal przytaknął.

– O wiele łatwiej namierzyć cel. Również trzeba ćwiczyć, ale to znacznie prostsze niż w przypadku długiego łuku. Oczywiście, strzela się o wiele wolniej, bo wolniej naciąga się cięciwę.

Gort z podziwem oglądał piękną broń. Kusza była starannie wykonana z wypolerowanego drewna, prosta, pozbawiona ozdób, ale doskonale wykończona.

– Nigdy nie widziałem czegoś podobnego – stwierdził Gort. – Skąd Thorn ją wziął?

– Zdobył podczas wyprawy do Gallii, o ile mi wiadomo – odparł Hal.

Gort zmarszczył brwi z namysłem.

– Nie wygląda na dzieło tamtejszych rzemieślników.

Wiedział, że kusze, które robią Gallowie, są prostsze. Ta wyglądała znacznie bardziej imponująco.

– Dokonałem kilku poprawek – powiedział Hal, a Gort spojrzał na niego, unosząc brwi.

– Ach, tak? Gallowie robią takie kusze od setek lat, ale ty uznałeś, że możesz poprawić ich projekt?

– Zgadza się – odparł Hal, nadal nieco podminowany z powodu wcześniejszej uwagi na temat jego pochodzenia. – I tak zrobiłem – dodał.

Nauczyciel wyczuł niechęć chłopca. Podał mu kuszę i wskazując tarcze, powiedział:

– W takim razie pokaż, czego udało ci się dokonać.

Hal postawił kuszę na ziemi i umieścił stopę w metalowym strzemieniu z przodu. Używając obu rąk, odciągnął cięciwę, aż zaskoczyła z trzaskiem za odwiedziony spust. Potem wyjął bełt z kołczanu i umieścił go w karbie, opierając o naciągniętą cięciwę.

Obie tarcze znajdowały się w odległości zaledwie trzydziestu metrów – łatwy cel. Hal wymierzył, niemal od niechcienia, zaczerpnął powietrza, wstrzymał oddech, po czym zacisnął dłoń na spuście.

Cięciwa uwolniła się z głośnym brzękiem, kusza szarpnęła w dłoni Hala, bełt pomknął do celu, pokonał odległość trzydziestu metrów i utkwiał w miękkiej drewnianej tarczy.

Gort wysunął wargę, zaskoczony i pełen podziwu.

– Nieźle!

Hal wzruszył ramionami.

– To dość mała odległość – stwierdził.

Z tonu jego głosu Gort wywnioskował, że test nie należał do szczególnie trudnych. Rozejrzał się. Jego wzrok padł na tarczę umieszczoną na przeciwległym krańcu pola, która miała posłużyć chłopcom do ćwiczenia się w rzucaniu nożem i toporem.

– Ciekawe, czy trafisz w tamtą tarczę.

Hal nałożył kolejny bełt. Przez chwilę przyglądał się wyznaczonemu celowi i oceniał odległość, poruszając bezgłośnie wargami. Jakies siedemdziesiąt-osiemdziesiąt metrów. Uniósł kuszę i odciągnął celownik – również jego dzieło, ostatnia i najlepsza poprawka, jakiej dokonał przy kuszy.

– Zaczekaj! – krzyknął Gort. – Co to jest?

– To takie ulepszenie mojego własnego pomysłu. Namierzyć cel jest łatwo, w końcu patrzy się prosto przed siebie, zgodnie z torem lotu bełtu. Trudniej natomiast oszacować, w jakim stopniu bełt zboczy z wyznaczonego toru. – Dotknął celownika palcem, wskazując zaznaczone na nim linie. – Te kreski oznaczają kolejno sześćdziesiąt, osiemdziesiąt i sto metrów. Teraz ustawiam odpowiednią odległość za pomocą celownika... – tu pokazał na niewielki bolec umieszczony w przedniej części –...i już wiem, o ile wyżej mam wymierzyć. Widzisz?

Hal trzymał kuszę uniesioną nieco pod kątem. Ustawił celownik między kreskami wskazującymi sześćdziesiąt i osiemdziesiąt metrów. Rozluźnił mięśnie, opuścił nieco kuszę i zerknął z boku na Gorta.

– Strzelcy, posługujący się długim łukiem, uczą się takich obliczeń przez całe lata. Sprawdziłem wszystko, zanim zaznaczyłem te kreski. Pokazują dokładnie, o ile mam podnieść bełt, zależnie od odległości. Jeśli ręka mi nie drgnie, bełt trafi do celu.

Gort pokazał mu dłonią, by kontynuował. Hal ponownie uniósł kuszę. Wciągnął powietrze, potem wypuścił je, potem jeszcze raz wziął wdech, tym razem płyciej. Ustawił celownik, aż boleć znów znalazł się tuż nad kreską wskazującą osiemdziesiąt metrów, po czym wypuścił bełt.

Kusza znów stęknęła głośno i bełt pomknął do celu.

Trafił w dolną część tarczy, nieco na prawo od jej środka. Pod wpływem uderzenia tarcza spadła z podpórek, potoczyła się kilka metrów po ziemi, potem zawirowała i w końcu przewróciła się. Czaple zaczęły wiwatować na cześć swego przywódcy.

– Trochę za nisko wymierzyłem – stwierdził Hal i zacisnął wargi.

Gort uniósł brwi.

– Tak czy inaczej, to imponujące. – Gestem dłoni przywołał resztę drużyny. Chłopcy ustawili się w luźnym półkolu.

– Dobrze – zaczął. – Teraz rozdám wam broń, z którą również będziecie trenować. Wydaje mi się, że wielu z was bardziej będą pasować miecze. – Tu skinął głową w stronę Hala i Edvina, którzy byli najlżejszej budowy.

– Stig, zatrzymaj topór. To odpowiednia dla ciebie waga. Jesper, Stefan i bliźniaki, wy też dostaniecie topory. – Spojrzał na braci. – Zapomnijcie o włóczniach. Możecie użyć ich jako kijków do namiotu. A ty o łuku – zwrócił się do Jespera. – Nadaje się na polowanie, ale na nic więcej. Hal, kusza to dobra broń, ale będziesz musiał sam trenować strzelanie, nikt z nas nie może ci w tym pomóc.

Hal kiwnął głową.

– Zrozumiałem – odparł z lekką ulgą. Spodziewał się, że Gort poradzi mu, by nie marnował czasu na ćwiczenia z kuszą.

– Dobrze. – Gort klasnął w ręce. – Zbrojmistrzowie postawili namiot na końcu pola. Teraz pójdziemy tam i poszukamy dla was broni. Przez resztę dnia możecie dokończyć budowę baraku i przejrzeć listę czekających was zadań.

Hal nagle przypomniał sobie o liście. Ledwo zdążył na nią spojrzeć, bo zaraz musiał wcisnąć ją pod posłanie i biec na miejsce zbiórki. Zdał sobie sprawę, że sprawy zaczynają nabierać tempa. I nagle zorientował się, że pozostali już zmierzają w kierunku namiotu.

– Idziesz czy sam mam wybrać dla ciebie miecz? – zawołał nauczyciel.

Hal zarzucił kuszę na ramię i ruszył truchtem za towarzyszami.

Po południu, kiedy już zjedli obiad, udali się do obozowiska i zasiedli do przeglądu broni.

Była prosta, czysto praktyczna, bez żadnych zbędnych ozdób. I nie najnowsza. Rękojeści były wyszczerbione, klingi oznaczone plamkami rdzy i stępione. Chłopcy jednak oglądali miecze z niemal nabożną czcią. To nie były zwykłe miecze, lecz symbol, że wkroczyli na drogę do dorosłości. Że niedługo staną się mężczyznami, wojownikami. Prawdziwe miecze, a nie zabawki, jakich używali w dzieciństwie.

Miecz Hala był obosieczny, wykonany ze stali, miał rękojeść owiniętą skórą, a jelec i głowicę zrobione z mosiądzu. Tkwił w pochwie ze skóry, utwardzonej przez gotowanie do uzyskania pożądanego kształtu i wzmocnionej na końcach mosiężnymi okuciami.

Uniósł miecz, by sprawdzić, jak leży w dłoni. Sporo ważył, klinga ciążyła ku ziemi. Po chwili nadgarstek Hala zaczął cierpnąć. Ale Hal pomyślał, że może tak właśnie powinno być – kiedy wymierza się przeciwnikowi cios mieczem, to pewnie powinna iść za tym odpowiednia siła i ciężar.

Odłożył miecz. Zamierzał naostrzyć i nasmarować klingę, ale najpierw chciał przejrzeć listę czekających ich zadań. Nagle poczuł, że ktoś na niego patrzy. Kiedy uniósł wzrok, zobaczył Stiga.

– Mówiłeś, że trzeba pokryć dach gałęziami sosnowymi – przypomniał mu przyjaciel.

Hal skrzywił się lekko, po chwili namysłu potrząsnął głową.

– Płótno na razie wystarczy. Moglibyście najwyżej, ty i Jesper, podłożyć pod nie więcej ram.

Stig skinął głową i skierował wzrok w górę. Na obu końcach i pośrodku listwy kalenicowej umieścili wcześniej ramy w kształcie litery A, lecz deszcz przeciekał między nimi i płótno zaczynało opadać pod ciężarem wody.

– Zajmę się tym – powiedział, po czym odszedł i zawołał Jespera.

Hal rozejrzał się dokoła. Ingvar z lekko zmarszczonym czołem przyglądał się bliźniakom. Mogło to znaczyć, że myśli. Ale równie dobrze, że próbuje w ten sposób wyostrzyć sobie wzrok.

– Wszystko w porządku, Ingvar? – krzyknął. – Coś cię trapi?

Ingvar spojrział na niego, uśmiechnął się dobrotliwie i potrząsnął głową.

– Nie, po prostu przyglądam się bliźniakom – odparł i odwrócił się z powrotem w stronę braci, którzy, rzecz jasna, kłócili się, tym razem tłumiąc głosy. Dostali identyczne topory, ale Ulf koniecznie chciał ten, który należał do Wulfa, a Wulf ten, który do Ulfa.

Lub odwrotnie – doprawdy, nie robiło to różnicy. Hal uśmiechnął się na tę myśl.

– Czekają nas jakieś zabawne zadania? – zapytał Edvin siedzący opodal. Hal zdał sobie sprawę, że nadal wpatruje się w listę.

– Niespecjalnie – odparł. – Po prostu się zamyśliłem.

– Mogę spojrzeć? – zapytał Edvin, wyciągając rękę. Hal, wzruszywszy ramionami, podał mu listę. Edvin zaczął przeglądać kolejne karty.

– Hmm... Trening żeglarstwa i nawigacji. Czym popłyniemy?

Zwykle każda z drużyn dostawała niewielki okręt zbudowany specjalnie w celach treningowych na wzór wilczych okrętów, tyle że w mniejszej skali, mieszczący do sześciu wioślarzy przy każdej burcie.

– Zamierzam spytać, czy nie moglibyśmy wziąć „Czapli” – odparł Hal.

Edvin, po namyśle, skinął głową.

– Niezły pomysł. Jest lżejsza od tamtych okrętów, poza tym mamy tylko siedmiu żeglarzy, a Rekiny i Wilki po ośmiu lub dziewięciu. W dodatku pewnie będziemy musieli ograniczyć się do sześciu, żeby zachować równowagę.

Hal potrząsnął głową.

– Przy Ingvarze to nie będzie konieczne – zauważył, a Edvin mruknął z uznaniem.

– Nie pomyślałem o tym. – Znowu spojrział na listę. – Zapasy. Konkurencja indywidualna.

– Stig – powiedzieli jednocześnie, po czym spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się.

– Myślisz, że zdoła pokonać Rollonda i Tursguda? – zapytał Edvin, przypuszczając, że to właśnie ich wystawią przeciwne drużyny.

Hal potrząsnął głową z powątpiewaniem.

– Nie jestem pewien. Może, jeśli nauczy się nad sobą panować. Przeważnie ulega emocjom i to go

gubi.

- Sprawdzian siłowy – podjął Edvin. – Jak sądzisz, co to może być?
- W zeszłym roku było przeciąganie liny, o ile pamiętam. W tym pewnie będzie to samo.
- Niezbyt sprawiedliwe, wzięwszy pod uwagę, że mamy mniej ludzi – skomentował Edvin.
- Nic na to nie poradzimy. Szkoda, że to nie jest konkurencja indywidualna. Moglibyśmy wyznaczyć Ingvara.

Edvin ponownie spojrzął na listę.

– Niestety. Indywidualne są wyraźnie zaznaczone. Spójrz: zapasy, indywidualne, wyścigi, indywidualne. – Przerwał na chwilę, by przerzucić kartę. – Nocny atak – przeczytał. – To na pewno w drużynach. Ciekawe, o co chodzi?

– Pewnie wkrótce się dowiemy – odparł Hal z roztargnieniem. Spojrzawszy na niego, Edvin zobaczył, że znów przygląda się Ingvarowi.

– Coś ci chodzi po głowie?

Hal wzruszył ramionami.

– Zauważyłeś, że Ingvar od pół godziny nie odrywa wzroku od bliźniaków?

– Nie. Ale widzę, o co chodzi. Ciekawe, nad czym tak się zastanawia?

– Z Ingvarem nigdy nic nie wiadomo – stwierdził Hal. – Co jeszcze mamy na liście?

Zmusił się, by odwrócić wzrok od Ingvara, lecz już po kilku sekundach znów na niego spojrzął.

– Wyścig górski – odczytał Edvin. – Żadnych informacji. I bieg z przeszkodami. Brzmi nieźle. – Ton jego głosu świadczył o tym, że w ogóle tak nie uważa. – I to tyle. – Zauważył, że Hal znów przygląda się milczącej figurze kolegi. – Kark ci zeszywnieje, jak będziesz tak się na niego gapił.

Hal westchnął.

– Widzę, że coś mu chodzi po głowie. Po prostu to wiem. I chciałbym wiedzieć co.

Dowiedział się jeszcze tego samego wieczoru.

ROZDZIAŁ 18

Czuple siedziały w namiocie, czyszcząc broń. Hal podchodził do każdego z chłopców po kolei, by sprawdzić rezultaty pracy. Wiedział, że następnego dnia to samo zrobią nauczyciele. Większość pomyślnie przeszła próbę. Prócz Jespera. Hal, wskazując na ostrze topora, powiedział:

– Na brzegu dalej widać ryse. Musisz to wyszlifować. I trochę rdzy, tu, gdzie głowica łączy się ze styliskiem. – Hal już wcześniej zauważył, że Jesper lubi sobie odpuszczać, kiedy zadanie okazuje się trudniejsze, niż początkowo sądził. Jesper przyjrzał się ostrzu, marszcząc brwi.

– Wygląda dobrze – stwierdził. – To tylko plamka rdzy. Ledwo ją widać.

Hal zawahał się, po czym dodał, starając się zachować przyjazny ton:

– Może powinieneś jednak bliżej się przyjrzeć. Dobrze?

Jesper wzruszył ramionami.

– Dobrze, dobrze. Wszystko dla świętego spokoju. Później się tym zajmę, zgoda?

Hal stał przez chwilę, zakłopotany. Nie czuł się dobrze, wydając rozkazy, ale wiedział, że musi do tego przywyknąć. Gdyby tylko Jesper był bardziej skłonny do współpracy. Zanotował sobie w pamięci, by jeszcze raz obejrzeć topór przed pójściem na spoczynek.

Nagle Ingvar wstał i podszedł do bliźniaków, którzy czyścili swoje topory. Obaj podnieśli na niego wzrok, zaskoczeni. Ingvar rzadko inicjował rozmowy.

– O co chodzi? – zapytał Wulf.

Ingvar przeciągnął dłonią po swoim boku i powiedział:

– Żebra nadal mnie bołą.

Ton jego głosu przykuł uwagę wszystkich chłopców, którzy przerwali pracę i spojrzeli w jego stronę z zainteresowaniem.

Ulf zmarszczył brwi.

– Żebra? A co to ma wspólnego z nami?

Ingvar spojrział na niego i zamrugał.

– Tyle, że to ty walnałeś mnie dziś rano. Kilka razy. Pamiętasz? Zapytałem, kto to i ktokolwiek to był, odpowiedział: „Ulf”.

Wulf nagle uśmiechnął się od ucha do ucha. Już wiedział, o co chodzi. Parę razy walnął Ingvara pod żebra, kiedy Gort go przesłuchiwał, a potem zwałił wszystko na brata. Teraz, czując, że Ingvar przyszedł żądać satysfakcji, pogratulował sobie świetnego pomysłu.

– Zgadza się! – wykrzyknął. – To był Ulf!

– O czym ty mówisz? – zaprotestował Ulf. – To nie ja.

– Oczywiście, że to był Ulf – upierał się Wulf. – To jego szukasz.

Ingvar widział przed sobą tylko dwa niewyraźne kształty. Nie miał pojęcia, który z braci akurat mówi ani w ogóle który jest który. Wiedział jednak, jak to sprawdzić. Położył rękę na ramieniu siedzącego bliżej bliźniaka. Był to Wulf. Ingvar kompletnie go zaskoczył. Jak zauważył Gort tego ranka, potężny chłopak potrafił poruszać się z zadziwiającą prędkością – jeśli tylko tego chciał.

Pomógł Wulfowi wstać, mimo wrzasków i protestów, po czym drugą ręką sięgnął do jego nadgarstka. Nie odnalazłszy sznurka, uśmiechnął się. Nie był to bynajmniej przyjemny widok.

– Ty jesteś Ulf – stwierdził.

Wulf, próbując wyrwać się z uścisku, zaczął protestować:

– Nie! Nie! Jestem Wulf! Ulf siedzi tam! To nie ja! Ja jestem Wulf! – Wskazał palcem na brata, lecz Ulf tylko wzruszył ramionami i posłał mu złośliwy uśmiech.

– Ja? – powiedział. – Ja na pewno nie nazywam się Ulf. Jestem Wulf!

– Kłamca! – wrzasnął Wulf, ogarnięty paniką. Uścisk Ingvara stawał się naprawdę bolesny. – Przysięgam, jestem Wulf.

– Nieprawda – odparł Ingvar. – Pamiętasz, co powiedział Hal? „Wulf ma sznułek na nadgarstku”.

Wulf zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Za późno.

– Zamieniliśmy się! Dałem sznurek Ulfowi. Chcieliśmy nabrać Hala!

– Doprawdy? – wtrącił Hal z uśmiechem.

– Nie – upierał się Ingvar. – „Wulf ma sznułek na nadgarstku”. Tak powiedział Hal. A ja nie znalazłem żadnego „sznułka” na twoim „nadgarstku”.

– Powiedz mu! – zwrócił się Wulf do brata. – Powiedz, zanim...

Łup!

– Aaaa!

Ten ostatni dźwięk wydał mimo woli, kiedy Ingvar niespodziewanie przyciągnął go do siebie, zamknął w niedźwiedzim uścisku i podniósł do góry, aż nogi zamajtały mu w powietrzu, a powietrze uszło z płuc.

Wulf czuł, jak jego żebra odkształcają się w straszliwych objęciach Ingvara. Całe jego ciało wygięło się do tyłu, gdy olbrzym pochylił się, stale zwiększając nacisk ramion złączonych na plecach chłopca. Wulfowi ciemno zrobiło się przed oczami. Pomyślał jeszcze, że uścisk łap prawdziwego niedźwiedzia chyba nie może być mocniejszy – i bardziej bolesny. Próbował błagać o litość, ale w płucach brakło mu powietrza i zdołał wydać z siebie tylko krótki stłumiony okrzyk:

– A-a-a-a!

Ingvar ścisnął jeszcze mocniej. Teraz Wulf nie był w stanie wydać żadnego dźwięku. Jego stopy huśtały bezradnie w powietrzu.

– Wystarczy, Ingvarze – polecił Hal spokojnie.

Pozostali chłopcy stali dokoła, przyglądając się całej scenie z uśmiechami na twarzach. Ulf z wyjątkowo szerokim. Ingvar powoli rozluźnił uścisk. Rozległo się głucho rżenie, kiedy Wulf wciągnął powietrze do zmaltretowanych płuc.

– Jesteś pewien? – spytał Hala.

Hal przytaknął.

– Jestem pewien. Puść go.

– Dobra – zgodził się Ingvar i tak zrobił. Wulf spadł na ziemię jak pusty zwinięty worek. Z wdzięcznością zaczerpnął powietrza, zastanawiając się jednocześnie, czy jego żebra bardzo ucierpiały.

– Nie powinien był mnie szturchać – stwierdził Ingvar łagodnie, spoglądając po towarzyszach.

Hal nie mógł sobie darować złośliwego uśmieszku.

– Cóż, ja z pewnością nie zamierzam z tobą na ten temat dyskutować – powiedział, po czym dodał: – Ani na żaden inny, zresztą. – Ukucnął przy Wulfie, który pojękiwał i wciąż z trudem łapał powietrze.

– Naprawdę oddałeś bratu sznurek? Żeby mnie nabrać?

Wulf skinął głową. Nie miał ani siły, ani nastroju, by dalej zaprzeczać.

– Tak... – stęknął. – To był dowcip. Tylko dowcip.

Hal dał mu kuksańca pod żebra i zapytał:

– Boli?

Wulf kilka razy skinął głową.

– Tak. Boli. Bardzo boli.

Hal uśmiechnął się.

– Świetnie. Dobrze ci tak. – Podniósł się i spojrzał na Ingvara. – Ingvarze, mianuję cię podoficerem. Będiesz odpowiedzialny za dyscyplinę w drużynie.

Olbrzym rozpromienił się, ale zaraz zapytał niepewnie:

– Ale... co właściwie mam robić?

– Jeśli ktoś zalezie mi za skórę, przywal mu – odparł Hal, a Ingvar skinął głową, uszczęśliwiony.

– Dobrze. To na pewno potrafię.

W tym momencie rozległ się dźwięk rogu, sygnał, że za dwie minuty mają zgasić światło. Wszyscy zaczęli pospiesznie szykować się do snu. Kiedy już zgasili latarnię i wskoczyli pod koce, Hal przypomniał sobie, że nie sprawdził, czy Jesper wyczyścił topór jak należy. Wzruszył jednak ramionami i ziewnął. „Zrobię to jutro”, pomyślał jeszcze.

Trening rozpoczął się wcześniej rano.

Śniadanie pochłonęli w pośpiechu. W ciągu pół godziny musieli uporać się z jedzeniem, wrócić do baraku, posprzątać posłania, zwinąć koce i wysprzątać teren, zabrać broń i biec z powrotem na pole.

Dowiedzieli się nieco więcej o sposobie, w jaki nauczyciele mieli oceniać ich osiągnięcia. Najwięcej punktów przyznawano za zadania z listy. Zwycięska drużyna mogła dostać maksymalnie sto punktów – mniej, jeśli tak zdecydowali nauczyciele. Druga z kolei – dwadzieścia punktów. Przegrana – zero.

Jak już wcześniej zostali powiadomieni, punkty zdobywali również podczas codziennych treningów. Czaple już dostały kilka za zbudowanie baraku. Teraz nauczyciele poinformowali ich, że istnieją także punkty ujemne. Za niechlujnie wykonaną pracę, nieuwagę, spóźnienie na posiłek czy trening, a także, ku zmartwieniu Czapli, za kiepski stan broni.

Sigurd zarządził przegląd broni, zaraz jak tylko wrócili z baraków. Chłopcy prezentowali oręż, ustawieni w szereg, a on przechadzał się szybkim krokiem, pozornie ledwo patrząc na topory i miecze w ich dłoniach. Ale doszedłszy do Jespera, przystanął i spojrzał na niego. Rumieniec na twarzy chłopaka zdradził całą prawdę. Chłopak zdawał sobie sprawę, że jego topór nie spełnia wymaganych standardów. Sigurd pstryknął palcem w głowicę.

– Rdza – stwierdził krótko. – I zadraśnięcie na brzegu. – Rozejrzał się i uchwyciwszy zaleknione spojrzenie Hala, oznajmił: – Czaple dostają dwadzieścia punktów karnych. Co oznacza, że tracicie punkty zdobyte za zbudowanie obozowiska.

Potem spokojnie ruszył dalej, przy każdym z chłopców krótkim skinieniem głowy wyraził aprobatę i w końcu prędkim krokiem oddalił się, by sprawdzić broń pozostałych drużyn.

Kiedy zniknął, Czaple otoczyły Jespera i zaczęło się.

– Dobra robota, Jesper – stwierdził Stig.

– Taa. Nieźle nas wkopałeś – dodał Stefan.

– Straciliśmy punkty z powodu twojego lenistwa – zauważył Ulf.

Jesper zaczerwienił się ze złości.

– Nie czepiajcie się mnie! Skąd miałem wiedzieć, że Sigurd tak będzie marudził? W końcu to tylko plamka rdzy.

– A kogo mamy się czepiać jak nie ciebie? – zapytał Ingvar.

Na chwilę zapadła nieprzyjemna cisza. Popatrzyli po sobie. W końcu odezwał się Hal:

– Mnie. To moja wina.

Stał nieco dalej, teraz wszyscy, zaskoczeni, odwrócili się w jego kierunku.

– Ciebie? – zdziwił się Stig. – O co ci chodzi?

– Wybraliście mnie na skirla. Odpowiedzialność spada na mnie – wyjaśnił Hal. Oddech miał przyspieszony, serce też biło szybciej niż normalnie. Uświadomił sobie, że dotarł do krytycznego punktu. Przez całe życie starał się nie zwracać na siebie uwagi z obawy przed konfliktami. Zdecydował, że czas to zmienić.

Stig machnął ręką i powiedział:

– Owszem, wybraliśmy cię, ale tylko... – urwał na widok chłodnego spojrzenia Hala.

– Tylko co? Dla żartu? Dla zabawy? Żeby dokuczyć Tursgudowi?

– Nie, oczywiście, że nie – odparł niepewnie Stig, a pozostali zamruczeli dla potwierdzenia jego słów.

– Wybraliście mnie skirlem, a ja traktuję to poważnie, nawet jeżeli wy nie – oznajmił Hal. – Od tej pory, jeśli wydaję polecenie, to znaczy, że ma być wykonane. – Zwrócił się do Jespera: – Powiedziałem, żebyś wyczyścił topór, ale tego nie zrobiłeś. Jeśli jeszcze raz zlekceważysz moje polecenie, będę musiał cię ukarać.

– Co takiego? – zapytał Jesper z niedowierzaniem.

– Ukarzę cię. Wyznaczę do dodatkowej pracy. Sprzątanie wiader z pomyjami, kopanie rowów – wszystko, co ci każę. – Popatrzył na zaskoczone twarze pozostałych. – Ktoś ma jakieś zastrzeżenia?

Nikt na niego nie patrzył, wszyscy wbili wzrok w ziemię i szurali stopami.

– To nie jest zabawa! – podjął. – To trening drużyn. Nasza przyszłość. Jeśli chcecie mnie na skirla, musicie słuchać moich rozkazów, nie tylko tych, które wam odpowiadają czy z którymi się zgadzacie, ale wszystkich. A jeśli wam się to nie podoba, wybierzcie kogoś innego – urwał i milczał przez chwilę, by zdążyli przetrwać jego słowa. – To jak?

Zdziwił się, kiedy Jesper zabrał głos.

– W porządku. Jesteś skirlem.

Pozostali zamruczeli zgodnie.

– Dobrze – powiedział Hal. – Pamiętajcie, jesteśmy drużyną. Razem zdobywamy nagrody, razem dostajemy kary.

Znów zamruczeli na znak zgody. Popatrzył po twarzach towarzyszy, szukając oznak buntu czy niezadowolenia, lecz ich nie znalazł. Wreszcie mógł się rozluźnić. Z westchnieniem wypuścił powietrze. Ze zdumieniem zauważył, że ręce mu się trzęsą, pospiesznie schował je w kieszeniach.

Kątem oka dostrzegł zbliżającego się Gorta. Jego mina świadczyła o tym, że zamierza dać im wycisk.

– Koniec laby – stwierdził Hal.

Przez kolejną godzinę przechodzili prawdziwe tortury zwane ćwiczeniami fizycznymi.

Najpierw lekki bieg dokoła pola, potem pięćdziesiąt metrów szybkiego sprintu, potem znów lekki trucht. I sprint. I trucht, bez chwili przerwy, aż z trudem łapali oddech i zaczęło ich kłuć w boku.

Następnie, na dźwięk gwizdka (jak oni nienawidzili gwizdka Gorta!), na ziemię i dwadzieścia pompek. W wolnym tempie.

To było najgorsze. Przy dwudziestym powtórzeniu prawie wszystkim drżały ramiona, kiedy unosili się na nich, by znów, bardzo powoli, opuścić się na ziemię.

A kiedy zrobili już tę dwudziestą, nie było czasu na odpoczynek. Z powrotem na nogi i bieg

do celu – długiego, niedbale ociosanego pnia. Mieli podnieść go wysoko nad głowę, potem powoli opuścić do prawego ramienia, potem znowu do góry, powoli. I do lewego. Powtórzyć dziesięć razy, następnie znów podnieść pień wysoko i obrócić się twarzą w przeciwnym kierunku, co oznaczało, że jednocześnie musieli obrócić dłonie na pokrytym szorstką korą pniu, ciężkim i niewdzięcznym, cały czas utrzymując go w równowadze.

Stefan, widząc, że pozostałe drużyny już rozpoczęły ćwiczenie, prędko ustawił się za Ingvarem. Podczas gdy ten, znacznie od niego wyższy, podnosił pień nad głowę, Stefan ledwo dotykał go palcami. W gruncie rzeczy Ingvar pracował za nich obu. Jednakże Gort, dzięki wieloletniemu doświadczeniu, był przygotowany na takie sztuczki.

– Ty! – wrzasnął, wskazując Ingvara. – Przesuń się na sam koniec. I nie podnoś pniaka wyżej niż inni.

Ingvar posłusznie przeszedł na sam koniec i podniósł pień, zaledwie lekko zginając łokieć.

– Bardzo sprytnie – zwrócił się Gort do Stefana. – Dziesięć punktów karnych.

Wśród pozostałych chłopców przeszedł gniewny pomruk. Tylko Jesper, który stał za Stefanem, milczał, za to, upewniwszy się, że Gort nie patrzy, kopnął Stefana w siedzenie. Gdy ten odwrócił się, rozłoszczony, Jesper tylko skrzywił się i oznajmił:

– To od nas wszystkich.

Ćwiczyli z pniakiem tak długo, aż ramiona zaczęły boleć, a kolana drżeć z wysiłku. Udało się im utrzymać rytm do wtóru przenikliwych pisków znieawidzonego gwizdka. W końcu jeden długi gwizd oznajmił koniec ćwiczenia.

– Starczy! – zawołał Gort. – Połóżcie pień na ziemi.

Z ulgą przerzucili pień na jedną stronę i wypuścili go z rąk. Upadł w trawę z głuchym łoskotem. Nagle znów rozległ się przeklęty gwizdek – aż podskoczyli, przerażeni.

– Powiedziałem połóżcie, a nie rzućcie! Teraz podnieście pień z powrotem.

Bliscy wyczerpania ukucnęli, wsunęli palce pod szorstki pień, szukając dobrego punktu oparcia. Ponieważ byli bardzo zmęczeni, teraz znacznie trudniej przyszło im podnieść pień z ziemi. Ale udało się. Unieśli go na wysokość bioder.

– Teraz do ramienia! – rozkazał Gort. A kiedy wykonali polecenie, dodał: – Teraz do lewego! – Podkreślił swe słowa przeciągłym gwizdnięciem.

Chłopcy, skarżąc się i stękając, przenieśli pień ponad głowami i opuścili do lewego ramienia. Nie wiadomo dlaczego, ćwiczenie wymagało znacznie więcej wysiłku, kiedy musieli wykonać je jeszcze raz, choć już byli pewni, że mają je za sobą.

– Do prawego! Piiiiip! – Ponownie wykonali polecenie. – Do bioder! Piiiiip!

Opuścili pniak, zmieniając przy tym rękę.

– Teraz niżej! Pooowooli!

Piiiiiiiiiiip!

Posłusznie opuścili pień do wtóru przeciągłego gwizdu, aż znalazł się w odległości kilku cali od ziemi.

– Puścić! Pip!

Tym razem wypuścili pień, kiedy byli pewni, że znajduje się naprawdę tuż przy ziemi. Kilku z nich oczywiście nie uniknęło przy tym otarcia palców. Zaklęli po cichu. Potem wyprostowali się, rozcierając obolałe plecy i kręcąc ramionami, by ulżyć zeszywniałym mięśniom.

– Teraz zbierzcie broń! Biegiem na stanowiska!

Tak wyglądały kolejne dni. Ciężki trening, potem równie ciężkie ćwiczenia z bronią.

Trenowali przy pniakach okręconych starą wystrzępioną liną. Prócz miecza Hal otrzymał również

drewnianą tarczę. Trening polegał na wykonywaniu sekwencji ruchów naśladowujących atak i obronę. Najpierw musiał zamierzyć się mieczem i walnąć od góry w linę opasującą pień, następnie zaś unieść tarczę, jakby bronił się przed wyobrażonym przeciwnikiem. Potem znów walnąć mieczem, tym razem z boku, i znów trafić w linę. I znów tarcza. Potem odwrócić się i zadać cios od tyłu. I tarcza. Potem znów cios z góry i powtórzyć wszystko od początku.

Było tu nudne, monotonne i żmudne ćwiczenie. Pozostali chłopcy męczyli się podobnie ze swymi mieczami i toporami. Obszar wyznaczony do ćwiczeń z bronią rozbrzmiewał głuchymi uderzeniami oręża o pniaki obwiązane linami. Czasami rozlegał się bardziej przenikliwy ton, kiedy lina odpadała i klinga miecza czy ostrze topora trafiały w gołe drewno.

I cały czas powietrze przecinały wściekłe gwizdy, którymi nauczyciele nadawali tempo ćwiczeniom. Pip-pip-pip!

Pod koniec Hal czuł ból w prawym ramieniu i nadgarstku, spowodowany wymachiwaniem źle wyważonym mieczem i ciągłymi uderzeniami o pień. Lewe ramię zaś płonęło pod ciężarem masywnej tarczy. Większość chłopców przeżywała podobne katusze, choć niektórzy, jak Tursgud, Stig i Rollond, zdawali się traktować ćwiczenia jako miłą rozrywkę.

Ingvar, rzecz jasna, walił maczugą raz za razem, bez najmniejszych objawów zmęczenia. Pozostali nauczyli się, że lepiej nie podchodzić do niego, kiedy trenuje. Widzenie obwodowe miał również bardzo marne.

W ciągu dwudziestominutowej przerwy padali z wdzięcznością na ławy z miskami pełnymi gęstej zupy i grubymi pajdami chleba. Jedzenia nie brakowało, było ono smaczne i pożywne. Ale podczas krótkiej przerwy przepracowane mięśnie nie miały czasu odpocząć, sztywniały tylko i bolały przez resztę dnia, aż do samego wieczora.

Popołudniami uczyli się teorii żeglarstwa, handlu i nawigacji. Te zajęcia Hal lubił najbardziej, szczególnie dotyczące nawigacji.

Cieszył się na trzeci tydzień nauki, kiedy mieli przejść od teorii do praktyki. Rozmawiał już z Sigurdem na temat „Czapli” – przekazał on prośbę Hala Erakowi, który zgodził się, aczkolwiek niechętnie. Nadal nieufnie traktował rewolucyjny projekt ożagłowania, lecz musiał przyznać, że na większym okręcie Czaple, z powodu mniejszej liczby wioślarzy, miałyby nierówne szanse w stosunku do pozostałych drużyn.

Sigurd z zainteresowaniem obserwował, jak Hal nabiera pewności siebie w nowej roli przywódcy drużyny – i jak zdobywa coraz większy szacunek podwładnych. Niewiele rzeczy mogło umknąć uwadze nauczyciela. Najwyraźniej po incydencie z Jesperem Hal obrał właściwą strategię.

Po zajęciach, które kończyły się późnym popołudniem, chłopcy mogli wrócić do obozu i odpocząć, przejrzeć notatki bądź ćwiczyć techniki walki, które poznali danego dnia. Hal, mimo że wyczerpany, z obolałymi ramionami, udawał się nad strumień, gdzie stała przycumowana „Czapla”, i ćwiczył ciosy na worku, który dostał od Thorny. Pozostali, szczególnie Stig, zastanawiali się, gdzie znika ich przywódca, ale byli zbyt zmęczeni, by to sprawdzić.

Po pół godzinie intensywnego treningu Hal szedł do obozu, by ogarnąć się przed kolacją. Po posiłku drużyny wracały do baraków. Większość nie słyszała sygnału nakazującego zgaszenie świateł – nim w lesie rozległ się smętny głos rogu, od dawna spali.

ROZDZIAŁ 19

Thorn siedział oparty plecami o drzewo, przypatrując się trenującym chłopcom.

To znaczy, gwoli ścisłości, nie wszystkim. Skupiał uwagę na Halu, który z trudem wymachiwał ciężkim mieczem. Ruchy miał powolne i niezgrabne. Thorn zmarszczył brwi. Hal nie był tak potężnie zbudowany jak Stig czy Tursgud, ale był umięśniony i zręczny, a koordynację ręka-oko miał bez zarzutu – zwykle. Dziwne, że teraz tak kiepsko mu szło.

Thorn mruknął, niezadowolony, kiedy miecz uderzył w pień i odskoczył niezgrabnie, o mało nie wypadając przy tym Halowi z ręki. Potem przyszła kolej na tarczę.

– Za wolno, za wolno – wymamrotał Thorn do siebie.

Poszukał wzrokiem Gorta. Nauczyciel chyba w ogóle nie dostrzegał problemów Hala. Chodził wzdłuż stanowisk, przy których ćwiczyli chłopcy, wciąż dmuchając w ten swój irytujący gwizdek. Wydawał się zadowolony, jeśli tylko uczniowie utrzymywali wyznaczony rytm.

Thorn zdawał sobie sprawę, że jest jeszcze wcześniej. W końcu chłopcy trenowali tak naprawdę dopiero od trzech dni. Ćwiczenia miały w dużej części służyć rozwinięciu i wzmocnieniu muskulatury. Ale jednak...

„Jeśli nabierze złych nawyków, nigdy się ich nie pozbędzie”, pomyślał.

Znów spojrzał na chłopca, który stał na stopach mocno wbitych w ziemię i niezgrabnie wymachiwał mieczem. „Uczy chłopaka machać mieczem jak toporem”. Wzruszył ramionami. No tak, topór był ulubioną bronią większości Skandian. Gort pewnie do nich należał, wskazywała na to budowa jego ciała. Pewnie nigdy nie uczył się subtelniejszej techniki władania mieczem. Jego metoda polegała na tym, by walić w przeciwnika tak długo, aż się podda. Ćwiczenia wyraźnie miały na celu rozwój mięśni, a z pewnością według Gorta siła mięśni stanowiła klucz do zwycięstwa.

– W prawdziwej walce nie wytrzymałbyś nawet pięciu minut – powiedział Thorn. Hal był wymarzoną postacią przeciwnika. Poruszał się niezgrabnie, brakło mu umiejętności. Dla doświadczonych wojowników stanowiłby łatwą ofiarę. Ta myśl zaważyła na decyzji Thorn, który podniósł się i ruszył w kierunku stanowisk treningowych.

Nie zamierzał jednak od razu podejść do Hala. Gort odpowiadał za drużynę Czapli i na pewno nie byłby zachwycony, gdyby Thorn tak po prostu wtrącił się, nie pytając o pozwolenie. Tak więc stary wilk morski przystanął w odległości jakichś dwudziestu metrów od ćwiczących chłopców, poza linią ich wzroku, i czekał, aż uda mu się uchwycić spojrzenie Gorta.

Jego obecność nie przeszła jednak całkiem niezauważona. Tursgud zobaczył go z drugiego końca pola. Jego duma wciąż cierpiała na wspomnienie tamtego dnia w porcie, kiedy Thorn chwycił go za rękę i zmusił do odwrotu.

– Co tu robi ten brudny pijak? – rzucił.

Jeden z jego towarzyszy odwrócił się i stwierdził, szczerząc zęby:

– Może szuka pracy jako tarcza strzelnicza.

Tursgud gniewnie zamachnął się toporem, mierząc w miejsce, gdzie lina już zaczynała się przecierać. Ostrze trafiło w drewno ze wściekłym łupnięciem. Z trudem wyrwał je z powrotem.

– To niech tu podejdzie. Chętnie mu pomogę pozbyć się drugiej ręki!

Rekiny zaśmiały się nieprzyjemnie. Jarst, ich nauczyciel, który znajdował się przy odległym słupku, pouczając jednego z chłopców, uniósł wzrok i zmarszczył brwi na widok Thorn.

– Zamknijcie się i do roboty! – warknął na rozbawionych chłopców.

Tursgud popatrzył na kolegów z udawanym przerażeniem. Tłumiąc śmiech, wrócili do ćwiczeń.

Po kilku minutach Gort wreszcie zdecydował się porozmawiać z Thornem. Niemal od razu zauważył jego niedbale odzianą sylwetkę, lecz nie zwracał na niego uwagi w nadziei, że Thorn znudzi się i sobie pójdzie. Przyjaciele i krewni chłopców nie byli mile widziani na polu treningowym. A już na pewno nie mieli prawa przerywać ćwiczeń. W końcu jednak Gort uznał, że nie ma sensu udawać. Gdyby Thorn zaczął machać rękami, krzyczeć czy gwizdać, wówczas mógłby po prostu kazać mu odejść, ale Thorn stał i czekał cierpliwie, w milczeniu. Gort podszedł do niego i zapytał niezbyt uprzejmym tonem:

– Czego chcesz?

– Możemy przejść tam? – Thorn wskazał kciukiem miejsce opodal. – Nie chciałbym przeszkadzać w zajęciach.

– Już przeszkodziłeś – odparł Gort, ale Thorn pokręcił głową.

– Nieprawda – zaprotestował łagodnie. – Stałem sobie spokojnie, prawie nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Ale jeśli nie ściszysz nieco głosu, trudno będzie temu zapobiec.

Gort z irytacją musiał przyznać, że to prawda. Niecierpliwie ruszył w stronę miejsca, które wskazał Thorn.

– No to chodź – powiedział. Odwróciwszy się, stwierdził ze zdumieniem, że Thorn znajduje się tuż za nim. Nie słyszał jego kroków.

Thorn uśmiechnął się przepaszająco. Pomyślał, że lepiej nie denerwować Gorta.

– A więc czego chcesz?

Thorn, starając się zachować neutralny ton głosu, by nie sprowokować kłótni – choć nieuprzejme zachowanie Gorta zaczynało działać mu na nerwy – powiedział:

– Chodzi o Hala. Ten miecz jest dla niego za ciężki. A tarcza za duża.

Gort wzruszył ramionami.

– Dostał to, co było w magazynie. Nie mamy zbyt wiele mieczy do wyboru.

– Niektórzy chłopcy mają dobrą broń – zauważył Thorn.

– Niektórzy chłopcy mają rodziców, których stać na kupienie im przyzwoitego ekwipunku. – Gort zmierzył wzrokiem niedbale odzianego, nieogolonego Thornę i dodał złośliwie: – Jeśli chcesz, możesz kupić mu dobry miecz.

– Niekoniecznie. Ale na pewno mogę mu załatwić – odparł Thorn. Nawet jeśli wyczuł sarkazm w słowach Gorta, nie dał tego po sobie poznać.

– Doprawdy? A jakim to niby sposobem? – Gort zrobił kilka kroków w stronę tamtego, kciukiem założył za pas. Spodziewał się, że Thorn się cofnie, lecz ku jego zdziwieniu tak się nie stało.

– Ze składnicy Eraka – odparł Thorn. Gort szerzej otworzył oczy.

– Ze składnicy oberjarla? – zapytał z niedowierzaniem.

Thorn przytaknął.

– Znam tylko jednego Eraka i z tego co wiem, jest on oberjarlem.

Gort nie wiedział, co o tym sądzić. Jakoś nie mógł uwierzyć, że ten brudny obdartus ma dostęp do składnicy. Thorn mówił jednak z całkowitym przekonaniem. Gort pomyślał, że mądrzej będzie więcej się o nim dowiedzieć i na razie nie odrzucać propozycji. Kiedy tak się zastanawiał, Thorn podjął:

– Jeszcze jedna rzecz. Dlaczego właściwie kazałeś mu trenować z mieczem?

– To chyba oczywiste, jest zbyt drobny, by walczyć toporem.

Thorn skinął głową. Takiej właśnie odpowiedzi się spodziewał.

– W takim razie dlaczego dałeś mu tarczę wielkości koła od wozu?

Gort już otworzył usta, lecz nagle uświadomił sobie, że Thorn ma rację. Zawahał się. Tak naprawdę wcześniej w ogóle nie pomyślał o tej tarczy. Teraz poczuł się zepchnięty do pozycji obronnej, a to wcale nie przypadło mu do gustu.

– Przypuszczam, że tarczę też możesz mu załatwić? – zapytał prowokująco. – Ze składnicy Eraka? Jeśli sądził, że w ten sposób zdobędzie przewagę czy zmusi Thorna do odwrotu, to się pomylił.

– Tak, myślę, że lepsza tarcza też by się znalazła – odparł Thorn.

Teraz Gort miał prawdziwą zagwozdkę. Nie mógł odmówić, jeśli przyjaciel czy członek rodziny któregoś z chłopców zaofiarował się z kupnem sprzętu. Nie miał jednak ochoty tak od razu ustąpić temu dziwnemu, niepokojącemu mężczyźnie. Postanowił pograć na zwłokę.

– Muszę przedyskutować to z Sigurdem – odpowiedział. – Przyjdź po koniec przerwy na obiad, wtedy powiem ci, co ustaliliśmy.

– W porządku. W takim razie do zobaczenia.

Thorn odwrócił się i odszedł, a nauczyciel odprowadził go wzrokiem, niepewnie potrząsając głową.

Gort wspomniał Sigurdowi o prośbie Thorna, kiedy chłopcy zajadali obiad. Kpiącym tonem dodał, jakoby Thorn twierdził, że ma dostęp do składnicy oberjarla. Reakcja Sigurda kompletnie go zaskoczyła.

– Nie wiesz, kim on jest?

Gort wzruszył ramionami.

– To stary pijak i tyle.

Sigurd pokiwał głową.

– Jeszcze kilka dni temu też tak myślałem – powiedział. – Rozmawiałem o nim z oberjarlem. Ten człowiek ma za sobą niezwykłą przeszłość.

Gort od razu się zaciekawił. Jak większość Skandian, uwielbiał wszelkiego rodzaju opowieści. Gestem dał Sigurdowi do zrozumienia, że chętnie posłucha.

– Opowiedz.

Ale Sigurd już zaczął podnosić się z ławy – pierwsi uczniowie kierowali się do wyjścia z namiotu.

– Teraz nie ma czasu – odparł. – Prowadzę zajęcia z nawigacji. Zapytaj mnie kiedy indziej. To naprawdę fascynująca historia.

Gort, choć umierał z ciekawości, wiedział, że nie ma sensu naciskać na Sigurda. Zawołał tylko w stronę jego prędko oddalających się pleców:

– To co z tym mieczem i tarczą? Co mu powiedzieć?

Sigurd obejrzał się u wyjścia z namiotu.

– Powiedz, żeby robił, jak mu się podoba.

I Gort został sam z nierozwiązaną zagadką dziwnego jednorękiego człowieka.

ROZDZIAŁ 20

Po skończonych zajęciach Hal jak zwykle skierował się do swego miejsca nad strumieniem. Jakież było jego zaskoczenie, kiedy zastał tam czekającego nań Thorna.

Przyniósł ze sobą bochenek świeżego chleba i kilka plastrów zimnej wołowiny. Podał jedzenie chłopcu i z uśmiechem patrzył, jak szybko znika poczęstunek. Do popicia znalazła się butelka maślanki. Hal opróżnił ją do połowy, po czym usiadł wygodnie z westchnieniem zadowolenia.

– Głodny? – zapytał Thorn, wciąż się uśmiechając. Hal kiwnął głową. Pochłaniał jedzenie w takim tempie, że przez chwilę w ogóle nie mógł mówić. – Nie dają wam jeść?

– Owszem. Jedzenie nie jest złe – odparł w końcu Hal. – Ale treningi są bardzo ciężkie. No i nie dostajemy takiego chleba, jak piecze moja mama.

– Ściśle mówiąc, to ja upiekłem ten bochenek – wyznał Thorn z dumą. – Chociaż nie wiem, jakim sposobem zdołałeś poczuć jego smak, tak szybko łykałeś.

– Ty? – zdziwił się Hal.

– Mam różne ukryte talenty. Trenowałeś z workiem? – zapytał, skinieniem głowy wskazując szopę, w której Hal zawiesił worek wypchany wełną i ścinkami płótna.

– Codziennie. – Hal wyciągnął rękę, by Thorn zobaczył knykcie zaczerwienione i obtarte od uderzeń.

– Dobrze. W takim razie pokaż, co potrafisz. – Weszli do szopy. Z zadowoleniem patrzył, jak chłopak zachowuje równowagę, lekko poruszając się na palcach. Nagle pięść Hala wykonała szybką serię uderzeń.

Pac! Pac! Pac! Uniósł lewą rękę i trzy szybkie proste zabujały workiem. Potem doskoczył bliżej i wyprowadził mocny prawy sierpowy. Worek poleciał w bok. Hal od razu powtórzył całą sekwencję.

– Zawsze wyprowadzaj cios z ramienia – odezwał się Thorn. Zauważył, że czasami Hal przy zadawaniu ciosu nie wykorzystuje ciężaru całego ciała i siły ramienia. – Pamiętaj, większość walk wygrywa się jednym lub dwoma ciosami. Muszą być skuteczne.

Hal zacisnął zęby i wykonał sekwencję, tym razem wkładając w każdy cios więcej siły, aż worek podskakiwał gwałtownie, objając się o linę.

– Lepiej – skomentował Thorn. Po kilku kolejnych ciosach stwierdził, że chłopak dobrze sobie radzi. – W porządku. Wystarczy.

Hal wyprostował się i zrobił kilka kroków do tyłu. Otarł pot z czoła i spojrzał na Thorna z nadzieją. Ten wreszcie wydał werdykt:

– Dobrze ci idzie. Kiedy wyprowadzasz cios lewą pięścią, unieś prawą nieco wyżej. I chowaj podbródek, nie wystawiaj go na ciosy przeciwnika.

– Zapamiętam.

Thorn wiedział, że tak będzie. Chłopak stosował się do jego zaleceń.

– Jak tam treningi? – zapytał.

Hal skrzywił się i odparł:

– Ciężko. Podobają mi się zajęcia z nawigacji. Na razie przerabiamy teorię.

Nauka nawigacji składała się z dwóch części. Najpierw należało przyswoić wiedzę o pogodzie, głębokości wód, przyptywach i odpływach, prądach morskich i typach morskiego dna. Na przykład,

gdyby żeglarz znalazł się na wodach o głębokości dziesięciu sążni, o spadzistym łupkowym dnie, w czasie przyływu, przy wietrze z północy i prądzie płynącym w kierunku północno-zachodnim, mógłby wywnioskować, że znajduje się u południowo-wschodnich wybrzeży Sonderlandu. Informacje tego typu skandyjscy żeglarze zbierali od wielu setek lat w różnych częściach świata. Stanowiły one zazdrośnie strzeżony sekret znany wyłącznie nawigatorom.

Podczas drugiej części, praktycznej, chłopcy uczyli się określania pozycji okrętu za pomocą gwiazd, słońca i kompasu słonecznego, a także konstruowania tegoż.

Thorn potrząsnął głową. Tylko nieliczni potrafili opanować zawilą sztukę nawigacji. Dlatego właśnie Skandianie tak cenili wprawnych żeglarzy.

– Ja nigdy nie zdołałem tego wszystkiego spamiętać – przyznał. Hal tylko się uśmiechnął. – A jak ćwiczenia z bronią?

Hal westchnął.

– Bardzo ciężkie. Chyba nie idzie mi zbyt dobrze. Czuję, że poruszam się strasznie niezgrabnie i zbyt wolno.

– Bo to prawda – stwierdził Thorn, a chłopak spojrzał na niego, zaskoczony.

– Patrzyłeś?

Thorn nie odpowiedział, nie było takiej potrzeby.

– Co sądzisz o mieczu, który dostałeś? – spytał zamiast tego.

Hal wzruszył ramionami.

– Trochę ciężki. Ale pewnie do niego przywyknę – powiedział z nadzieją.

Thorn przyglądał mu się bacznie przez chwilę.

– Nie ma ku temu powodu. Wydaje się źle wyważony. Tarcza również jest za ciężka. To tarcza dla topornika.

– Nic na to nie poradzę – stwierdził Hal z rezygnacją.

Thorn tylko prychnął.

– Może ty nie, ale ja tak. Chodźmy.

Odwrócił się na pięcie i skierował ku ścieżce, prowadzącej do Hallasholm. Hal, zaskoczony, dogonił go po chwili.

– Co robimy? – zapytał. Thorn, zamiast odpowiedzieć, postanowił zmienić temat. Hal pomyślał, że chyba taki już ma zwyczaj.

– Problem polega na tym – zaczął – że twoi nauczyciele to topornicy i uczą cię używać miecza jak topora: mocny zamach i walić we wroga. Oczywiście, w taki sposób też się walczy na miecze, ale nie tylko. Musisz nauczyć się, jak wykorzystywać chwilową bezbronność przeciwnika i zadawać precyzyjne pchnięcia. Lekki ruch końcem miecza, na przykład tak na osiem centymetrów, może działać równie wiele jak zamach całą klingą z odległości pół metra.

– Tak jak ciosy, które mi pokazałeś? – zapytał Hal, a Thorn spojrzał na niego, zadowolony z tej uwagi.

– Dokładnie tak. Podobnie jak ciosu wyprowadzonego prosto trudniej uniknąć niż sierpowego, trudniej też zrobić unik w przypadku szybkiego pchnięcia z wypadem do przodu niż takiego, przy którym wykonujesz zamach. Przeciwnicy, walczący na topory, po prostu walą w siebie nawzajem i wygrywa ten silniejszy.

– A więc potężniej zbudowany mężczyzna zawsze będzie miał przewagę? – zapytał Hal.

– Niekoniecznie. W przypadku walki na topory również liczy się technika. Słabszy fizycznie wojownik może uzyskać więcej siły dzięki lepszemu refleksowi i skutecznemu wykorzystaniu ciężaru całego ciała. Tak samo jak przy zadawaniu ciosów pięścią.

Hal kiwnął głową, marszcząc z namysłem brwi. Znów zaczął się zastanawiać, skąd Thorn tyle wie o sposobach walki. Nauczył się jednak nie zadawać pytań. W odpowiedzi usłyszałby zapewne cierpką uwagę w stylu: „Nie zawsze byłem kaleką”.

Kiedy znaleźli się na obrzeżach miasta, Hal postanowił zapytać o coś innego.

– Dokąd idziemy, mówiłeś? – Miał nadzieję, że na pytanie zadane w ten sposób uzyska odpowiedź. Thorn spojrzął spode łba na grupkę dzieciaków, które, jego zdaniem, gapiły się na kikut.

– Nie mówiłem – odparował i zawarczał groźnie na dzieci, które rozbiegły się, chichocząc, po czym przyspieszył kroku. Hal musiał podbiec, by go dogonić. Wzruszył ramionami z filozoficznym spokojem. W końcu za chwilę i tak miał się dowiedzieć, dokąd zmierzają. Jednego był pewien – nie miało sensu dłuższe wypytywanie Thorna. Jeśli nie chciał odpowiedzieć, to nie odpowiadał, i tyle.

Zdziwił się, gdy Thorn przystanął przed halą oberjarla. Tu Erak odbywał posiedzenia z jarłami, wydawał uczyty, wysłuchiwał sporów, rozsądzał je i oznajmiał edykty. Część prywatna znajdowała się z tyłu – i Thorn zmierzał właśnie w jej kierunku. Wokół hali stało kilku wartowników, uważnie przyglądających się ludziom, nieustannie napływającym do wnętrza budynku. Eraka wprawdzie tam nie było, interesanci oddawali tylko prośby na piśmie do rąk hilfmann, który zasiadał za stołem, zawalonym papierami. Wartownicy obojętnie spojrzeli na Thorna i Hala, hilfmann podniósł wzrok, skinął im głową i wrócił do pracy. Wyglądało na to, że Thorn jest tu stałym bywalcem.

Przeszli przez boczne drzwi, na końcu hali, naprzeciw prostego sosnowego krzesła, które służyło oberjarłowi za tron, i znaleźli się w niskim korytarzu o belkowanych ścianach. Po obu jego stronach widniał szereg zamkniętych drzwi. Hal wiedział, że prowadzą one do części mieszkalnej, zajmowanej przez kilku młodszych jarłów. Wielu wolało mieszkać tu niż we własnych domach.

Doszli do końca korytarza i stanęli przed ogromnymi podwójnymi drzwiami z drewna dębowego, wzmocnionymi żelaznymi sztabami. Thorn machnął niedbale ręką.

– Mieszkanie Eraka – wyjaśnił, po czym wskazując mniejsze drzwi po prawej stronie korytarza, dodał: – Oto nasz cel. Składnica. – Wyjął wielki żelazny klucz z kieszeni zniszczonej kurtki i włożył go do zamka.

– Yyy... Thorn? Na pewno możemy? – zapytał Hal z niepokojem. Wiedział, że tu Erak trzyma wszystkie swoje skarby, łupy, które zebrał sam podczas zamorskich wypraw lub dostał od podwładnych. Thorn zatrzymał się i zerknął na chłopca.

– Boisz się oberjarla? – zapytał.

Hal, po krótkim zastanowieniu, odparł:

– Tak, właściwie tak.

Thorn zaśmiał się.

– I bardzo słusznie! Jest straszny, kiedy się wścieknie!

To bynajmniej nie rozwiało obaw Hala. Thorn jednak już przekręcił klucz i właśnie otwierał drzwi, gestem wskazując Halowi, by wszedł pierwszy. Chłopak zawahał się, lecz przestąpił próg.

I zaraz się zatrzymał. Było to duże nieumeblowane pomieszczenie, wypełnione po brzegi wszelkimi bogactwami. Klejnoty, złoto, srebro, skrzynie monet. Zbroje. Oręż. Posągi. Dzieła sztuki. Pośrodku królował ogromny świecznik z tysięcy kawałków fasetowanego szkła. Zwisał on z sufitu, lecz sufit był tak niski, że świecznik częściowo spoczywał na podłodze.

Thorn pobiegł za wzrokiem Hala i zachichotał.

– Komiczne, co? Wcześniej, nim Erak został oberjarłem i zażądał go dla siebie, należał do Ragnaka. Zdaniem Eraka to prawdziwe dzieło sztuki. Chodź.

Zaczęli torować sobie drogę pośród stosów przeróżnych skarbów. Niektóre, jak zauważył Hal, były niemal bezcenne, inne, jak świecznik czy kretyńskie figurki nimf i małych stworzeń,

wyglądających jak niemowlaki z przyczepionymi skrzydełkami, sprawiały wrażenie całkowitej tandety i zapewne nie przedstawiały żadnej wartości.

– Nie miałem pojęcia, że Erak jest tak bogaty – stwierdził Hal.

Thorn spojrział na niego przez ramię.

– I pozbawiony gustu. – Skarby Eraka zdawały się wyjątkowo go bawić. – Spójrz na to.

Wskazał na marmurowy posążek nagiego chłopca, stojącego na brzegu szerokiej misy, w pozie niepozostawiającej wątpliwości.

– To fontanna – wyjaśnił Thorn. – Erak skradł ją podczas wyprawy do Toscano. Chłopiec powinien siusiać do miski. Ale Erakowi nie udało się uruchomić fontanny. Drażliwy temat, nawiasem mówiąc.

– Faktycznie, koszmar – zgodził się Hal, po czym spojrział na Thorną, który właśnie pochylał się nad ogromną skrzynią, stojącą w głębi pomieszczenia i siłował się z zamkiem. – Masz prawo to otwierać?

– Tu są moje rzeczy – odparł Thorn, grzebiąc w skrzyni. – Erak schował je, kiedy byłem.. no wiesz, chory.

Hal kiwnął głową. Umówił się z matką, że pijacki okres w życiu Thorną będą określać jako chorobę. Thorn również chętnie przyswoił sobie tę zasadę. Nie lubił wspominać, jak nisko w tamtym czasie upadł.

– Aaa! Tu jest! – oznajmił triumfalnie stary wilk morski i wyciągnął ze skrzyni długi przedmiot, zawinięty w impregnowaną tkaninę. Przy okazji na podłogę spadło kilka naszyjników i miszek pełen srebrnych monet, lecz Thorn nie zwrócił na to uwagi.

– Oto miecz twojego ojca – powiedział, wręczając go Halowi.

Hal ujął miecz w obie wyciągnięte dłonie i przyglądał mu się przez chwilę. Była to prosta praktyczna broń. Trzon rękojeści wykonano z cienkiej plecionki, głowicę i jelec z mosiądzu. Miecz krył się w pochwie ze skóry i mosiądzu, przyczepionej do szerokiego skórzanego pasa. Hal zważył miecz w dłoni, kilka razy unosząc go i opuszczając.

– Wydaje się równie ciężki jak tamten – stwierdził.

– Miecz musi mieć odpowiedni ciężar, inaczej równie dobrze mógłbyś bić przeciwnika piórką. Cała tajemnica tkwi w tym, jak ten ciężar został wyważony. Wyjmij miecz z pochwy.

Hal wykonał polecenie. Metal zaskrzypiał lekko o skórę. Kiedy uniósł miecz do góry, oczy otworzyły mu się ze zdumienia.

W jakiś dziwny sposób miecz stracił swój ciężar, zdawał się lekki i zgrabny, łatwy w użytkowaniu. Sam czubek ciążył odrobinę, ale nie tak, by ciągnąć w dół ramię Hala. Doskonale leżał w jego dłoni, był wspaniale wyważony na całej długości. Hal miał wrażenie, że mógłby wymachiwać nim od rana do wieczora, niemal bez wysiłku.

– Naprawdę należał do mojego ojca? – zapytał, obracając broń w dłoniach. Stalowa klinga była pozbawiona ozdób, z wyjątkiem strudzin po obu stronach. Hal wiedział, że pełnią one podwójną funkcję: po pierwsze, usztywniają klingę, a po drugie, spływa nimi krew, tak by miecz dało się bez trudu wyciągnąć z ciała wroga.

– Twój ojciec potrafił rozpoznać dobry oręż. Ten na pewno będzie ci wiernie służył.

– Na pewno – powtórzył cicho Hal. Oczyma wyobraźni widział swego ojca dobywającego broń podczas ataku na obce wybrzeża. Pograżony w myślach, bezwiednie machnął mieczem nad głową.

Thorn zdołał uskoczyć w ostatniej chwili. Klinga przecięła powietrze tuż przed jego nosem.

Potknął się o stos futer i omal nie rąbnął na ziemię.

– Uwważaj! – warknął, a Hal, zaczerwieniony, ostrożnie opuścił miecz, po czym schował go

do pochwy.

– Przepraszam.

Thorn odzyskał panowanie nad sobą.

– I słusznie. To jest miecz, a nie czarodziejska różdżka. – Rozejrzawszy się po ciemnym pomieszczeniu, dodał: – Gdzie też Erak trzyma te...

Więcej nie zdążył powiedzieć, bo drzwi otworzyły się i stanął w nich Erak we własnej osobie. Potoczył dokoła podejrzliwym wzrokiem. Na widok Thorn'a i jego towarzysza twarz mu pojaśniała.

– A, to ty. I nasz wspaniały kapitan. Jak się miewasz, młody Halu?

– Dziękuję, oberjarlu, dobrze.

– To miecz Mikkela? – zapytał Erak, zmrużonymi oczami przypatrując się broni w rękach Hala.

– Tak. Na treningi dali chłopakowi jakiś wielki kawał żelastwa. Pomyślałem, że przecież mógłby dostać miecz po ojcu – odparł Thorn zajęty przestawianiem różnych przedmiotów i zagładaniem za nie.

– Dobry wybór – stwierdził Erak i spojrzał na Hala. – To doskonały miecz.

– Leży w ręku o wiele lepiej niż ten, którym trenowałem – przytaknął Hal.

Erak zaśmiał się krótko.

– Każdy byłby lepszy. Broń, której używacie podczas treningów, jest dość okropna. Poza tym nie tak łatwo o dobry miecz. Thorn! – Thorn nadal buszował między skarbami Eraka. – Szukasz czegoś konkretnego, czy zamierzasz zrabować, co ci wpadnie pod rękę?

– Miałeś takie trzy tarcze galijskie. Może mógłbyś oddać chłopcu jedną z nich. Ta, której musi używać na treningach, jest mniej więcej wielkości koła od wozu.

– Za wypchanym niedźwiedziem – odparł Erak.

Thorn zajrzał za zwierzaka, który znajdował się w posiadaniu oberjarla od jakiegoś czasu i widać było po nim, że ma już swoje lata – lub raczej swoje mole. Rozległ się szcęk metalu, kiedy Thorn wyciągnął tarczę. Przy okazji kilka innych spadło na podłogę. Zostawił je tak i podał wybraną tarczę Halowi. Była zrobiona z drewna, pokryta metalową płytą i pomalowana na ciemnoniebiesko, z białym pionowym pasem pośrodku. Górna krawędź była prosta, boki także zaczynały się linią prostą, ale w połowie wyginały się łukowato i zbiegały u dołu. Hal przeciągnął ramię przez skórzany pas i chwycił imasz.

– Wydaje się znacznie lżejsza – powiedział z uznaniem.

– Gallowie robią dobre tarcze – odparł Erak. – Tylko pamiętaj, jest lekka, nie zdołasz zablokować ciosu topora, jeżeli będziesz trzymać ją przed sobą. Powinieneś trzymać ją odchyloną.

– Jak? – zapytał Hal. Ku jego zdumieniu, Erak spojrzał na Thorn'a, który odpowiedział:

– Nie trzymaj tarczy prosto, kiedy pada cios. Skręć ją, tak by ostrze topora ześliznęło się po niej. W ostateczności możesz próbować zablokować uderzenie, ale raczej się tego wystrzegaj. – Zmarszczył brwi. – Nie słyszałem, byś podziękował oberjarlowi za tarczę.

– Och! Tak, oczywiście. Bardzo dziękuję, oberjarlu!

Erak wyszczerzył się szeroko.

– Chyba za bardzo nie miałem wyboru. Thorn mi kazał, i tyle.

Thorn prychnął i mruknął coś pod nosem. Teraz z kolei Hal się uśmiechnął.

– Cóż, tak czy inaczej, dziękuję. Tobie także, Thornie, za miecz.

Thorn tylko machnął ręką i ruszył w stronę drzwi.

– I tak należy do ciebie – rzucił. – A teraz chodź. Powinieneś już wrócić do obozu.

Erak powstrzymał ich gestem dłoni.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, chciałbym porozmawiać z Halem na osobności. Mógłbyś poczekać

na zewnątrz?

– A o czym chcesz z nim rozmawiać?

Erak spojrzał na Hala, przekrzywiając głowę.

– Hal, czy rozumiesz, co znaczy „na osobności”? – Kiedy Hal przytaknął, podjął: – Czy później mógłbyś wytłumaczyć to Thornowi?

– A, jasne – powiedział Thorn, choć umierał z ciekawości. – Już sobie idę. Tylko nie marudź za długo.

ROZDZIAŁ 21

Erak poczekał, aż za Thornem zamknęły się drzwi. Rozejrzał się i usiadł na drewnianej skrzyni z wyściełanym wiekiem, pokazując Halowi, by też znalazł sobie jakieś siedzisko. Kiedy chłopak zajął miejsce na niskim taborecie w kształcie słonia, oberjarl popatrzył na niego w milczeniu.

Hal domyślał się, że Erak nie wie, jak zacząć. „Możemy tak sobie siedzieć, aż ten słon ożyje”, pomyślał.

– A więc, oberjarlu? – zagaił.

Erak drgnął, nagle zdał sobie sprawę, że od dłuższej chwili wpatruje się w młodzieńca.

– Chciałem ci tylko podziękować – powiedział, na co Hal zmarszczył brwi, zdziwiony.

– Podziękować mi? Za co?

– Za to, co zrobiłeś dla Thorna.

– A co ja dla niego zrobiłem? To on wiele dla mnie robi, nie ja dla niego. – Hal wskazał na miecz i tarczę, po czym oparł się o posążek wąsatego króla Teutonii.

Erak jednak potrząsnął głową.

– Zrobiłeś dla niego znacznie więcej, niż przypuszczasz. Dałeś mu cel w życiu. Wiele dla niego znaczysz.

– Cóż, jesteśmy przyjaciółmi, ale...

– Nie tylko o to chodzi – przerwał mu Erak. – Thorn jest z ciebie dumny. Widzi w tobie potencjał i pragnie, byś odnosił sukcesy. Wyciągnąłeś go z otchłani depresji i uzalania się nad sobą, w której pograżył się po stracie ręki. O mało go to nie zabiło.

– Wyobrażam sobie – rzekł Hal z namysłem. – To musiało być dla niego potworne doświadczenie.

– Gorsze, niż myślisz. – Erak znów zamilkł. Hal czuł, że rozważa, czy mówić dalej. Potem oberjarl skinął lekko głową. Podjął decyzję.

– Co wiesz o Thornie? – zapytał.

Po namyśle Hal wzruszył ramionami.

– Cóż, niezbyt wiele. Przyjaźnił się z moim ojcem. Był członkiem twojej załogi. A potem stracił rękę i zaczął trochę pić...

– Łagodnie rzecz ujmując – wtrącił Erak.

– Tak. Moja mama wzięła go na rozmowę i jakoś wyciągnął się z...

– Ach, tak – uśmiechnął się Erak. Hal spojrzał na niego.

– Jak moja mama weźmie kogoś na rozmowę, to lepiej posłuchać – wyjaśnił z przekonaniem. Nieraz sprawdził ten fakt na własnej skórze. – Od tej pory pomaga mamie w prowadzeniu gospody, wykonuje różne drobne prace. Ale... – przerwał, szukając odpowiednich słów. Od pewnego czasu zaczął dostrzegać jeszcze inne oblicze Thorna.

– Ale co? – ponaglił go Erak.

Hal zmarszczył brwi.

– Thorn dużo wie na temat walki, broni i tak dalej. – Pokazał przy tym na miecz i tarczę.

– Nic dziwnego – zauważył Erak. – Swego czasu był Potężnym.

– Thorn? – Brwi Hala podskoczyły do góry. – Thorn był Potężnym?

Był to najwyższy stopień, szczyt osiągnięć i cel każdego skandyjskiego wojownika. By dostać taki tytuł, należało wykazać się nadzwyczajną siłą, zręcznością, szybkością i wytrzymałością, doskonale

władać orężem wszelkiego rodzaju – toporem, mieczem, włócznią i saksą. A także świetnie walczyć wręcz – pokonać wszystkich uczestników dorocznych zawodów. Zwycięzca stawał się sławny na cały kraj, tytuł ten czynił go równym bohaterom największych sag.

I na pewno nie pasował do obdartego, zarośniętego obwiesia, zamieszkującego brudną, cuchnącą norę.

– Na Gorloga i Orloga! – mruknął Hal. Orlog był mniej sławnym bratem Gorloga, przywoływanym tylko w chwilach największego wzburzenia czy zdumienia. – Thorn był Potężnym? – Hal nadal nie mógł w to uwierzyć.

– Trzy lata z rzędu.

– CO? – Głos Halowi się załamał. Z tego co wiedział, nikomu do tej pory nie udało się utrzymać tytułu dłużej niż przez rok. To było po prostu niemożliwe.

– Nikt inny nie potrafił tego dokonać – powiedział Erak, jakby czytając w jego myślach. – Za drugim razem pokonał swego najlepszego przyjaciela. Twojego ojca. Mikkel był świetny, lecz w walce na topory miał pewne braki. – Erak skinieniem głowy wskazał miecz. – To była jego ulubiona broń. Thorn jednak z równą biegłością radził sobie z każdym rodzajem broni. I był szybki. Bardzo szybki. Szybki, silny i niebezpieczny. Nie sądzę, by kiedykolwiek ktoś zdołał dorównać jego osiągnięciom.

Przez chwilę milczał, dając Halowi czas na przyswojenie tych sensacyjnych informacji. Potem podjął ze smutkiem w głosie:

– Dlatego tak mocno przeżył utratę ręki. Kiedy ktoś znajdzie się tak wysoko, spada również z wysoka. W jednej chwili Thorn stracił swą siłę, status i poczucie wartości. Z człowieka podziwianego przez wszystkich zmienił się w kogoś, kto we wszystkich budzi litość. Sprawę pogorszyło jeszcze to, że Mikkel w chwili śmierci poprosił Thorna, by zaopiekował się tobą i twoją matką. Thorn uznał, że jako kaleka nie zdoła dotrzymać danego słowa. Czuł, że zawiódł przyjaciela. A także ciebie i twoją mamę.

– Nic dziwnego, że zaczął pić – powiedział Hal, właściwie sam do siebie. Przesunął wzrokiem dokoła, zatrzymał go na skrzyni, należącej do Thorna. – Na szczęście ma ciebie za przyjaciela. Uratowałeś go przed utratą całego majątku.

Erak boleśnie zacisnął wargi.

– Byłem mu to winny.

– Jako jego skirl? – zapytał Hal. Zdążył się zorientować, że lojalność obowiązuje obie strony: i członków drużyny wobec skirla, i skirla wobec jego ludzi.

– Częściowo – odparł Erak – lecz przede wszystkim dlatego, że to ja odciąłem mu rękę.

Powiedział te słowa zupełnie zwyczajnym tonem. Dopiero po chwili Hal zdał sobie sprawę z ich znaczenia. Otworzył usta.

– Ty? Ale... Myślałem, że stracił ją w walce. Sądziłem, że... – urwał. Tak naprawdę nie wiedział, co sądził.

– To stało się podczas wyprawy, na której zginął twój ojciec. W drodze powrotnej złapał nas sztorm niedaleko Przylądka Schronienia. Nagle, ni stąd, ni zowąd, zerwał się wiatr. Nim zdążyłem zareagować, już nie mieliśmy masztu. Połamane drzewce ciągnęło nas w dół. Thorn jako pierwszy przyskoczył doń i zaczął rąbać. Kiedy sięgnął, by zepchnąć maszt do wody, prawa ręka zaplątała mu się w liny. Odcięliśmy je, lecz okazało się, że Thorn znalazł się w pułapce. Maszt już zsuwał się do wody, Thorn poszedłby na dno razem z nim. Miałem kilka sekund, by go uwolnić.

– I odciąłeś mu rękę? – powiedział Hal, z przerażeniem myśląc o tym, jak potworną decyzję musiał podjąć oberjarl.

Erak przytaknął z posępną miną.

– Musiałem wybierać. Skazać go na utratę ręki albo na utratę życia. Potem powiedział, że wolałby, gdybym pozwolił mu utonąć. – Potrzęsnał głową na to wspomnienie.

– Ja chyba nie miałbym odwagi postąpić tak jak ty – stwierdził Hal.

Erak tylko wzruszył ramionami.

– Wcale nie byłem taki odważny. W końcu nie swoją rękę musiałem odciąć. – Opanował się, odsunął wspomnienie tamtego straszego dnia i dodał: – W każdym razie dlatego tak się cieszę, że Thorn odzyskał cel w życiu. Widzi, że masz zdolności znacznie przekraczające jego własne i chce ci pomóc.

– Jakie zdolności? Przecież on był Potężnym! Cóż ja takiego mogę dokonać?

– Potrafisz myśleć. Planować. I z tego, co mówił mi Sigurd, prędko uczysz się, jak być prawdziwym przywódcą. Mogę wyjść na ulicę i znajdę co najmniej stu mężczyzn, którzy potrafią doskonale władać toporem. Ale przywódców? Ludzi myślących? Nie ma ich tak wielu, Thorn dobrze o tym wie. Dojrzał te cechy u ciebie. – Erak uśmiechnął się. – Kilka lat temu był tu taki kurdupeł, który pomógł nam pokonać Temudżeinów. Prawdziwy strateg i przywódca.

– To był zwiadowca z Araluenu, prawda?

– Zgadza się. Prawdę mówiąc, polubiłem go, mimo początkowej niechęci. Potrzebujemy takich ludzi jak on. Jak ty.

Hal z namysłem potrząsnął głową.

– Nigdy nie myślałem o sobie w ten sposób.

– To zacznij. W dodatku jesteś świetnym sternikiem. Niewielu potrafiłoby wprowadzić okręt do portu w taki sposób jak to zrobiłeś. Takich rzeczy nie można się nauczyć.

Hal uśmiechnął się szeroko.

– Kolana miałem jak z waty. Strasznie się bałem, że walniemy w „Wilczy Wicher”.

– I bardzo słusznie – przyznał Erak. – Nie powiedziałem, że jesteś mądry, tylko że jesteś zdolny.

Hal znów uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Zrozumiałem – oznajmił, po czym poważniejąc, dodał: – Dziękuję, że powiedziałeś mi o Thornie.

– Nie ma za co. Czuję, że nadszedł odpowiedni moment. Ale nie mów mu, że wiesz. Nie lubi, kiedy mu się przypomina, kim był dawniej. Sprawia mu to zbyt wielki ból.

– Jak ludzie mogli zapomnieć, że był Potężnym? – zastanawiał się Hal. Erak skrzywił się.

– To było dawno temu, jeszcze zanim się urodziłeś, od tego czasu minęło prawie dwadzieścia lat. Jedni się zestarzelili, inni zapomnieli. W końcu zachowanie Thornia nie skłaniało ludzi do zachowania pamięci o jego dawnej świetności. Ludzie nie lubią, gdy idole ich zawodzą.

– Pewnie nie – przyznał Hal. – Jeszcze raz dziękuję, że mi o tym powiedziałeś. Nie zdradzę się przed Thornem. – Zamilkł, po czym dodał: – Chyba powinienem już iść, inaczej przegapię wezwanie na kolację.

Erak machnął ręką w stronę wyjścia. Hal podniósł miecz i tarczę, po czym zaczął torować sobie drogę wśród skarbów oberjarla.

– Jak ci się podoba fontanna?! – krzyknął za nim Erak.

Hal jeszcze raz spojrział na gołego chłopca, stojącego na brzegu marmurowej misy.

– Bardzo... oryginalna – odparł.

Erak skrzywił się i powiedział:

– Jakoś nie potrafię jej uruchomić. Może mógłbyś spojrzeć na nią w wolnej chwili? Słyszałem, że dobrze sobie radzisz z takimi rzeczami.

– Może mógłbym – odparł Hal z powątpiewaniem, ujmując klamkę. Zaczęło mu się spieszyć. Ale kiedy otworzył drzwi, Erak zawołał go jeszcze raz:

– Hal! Thorn wiele po tobie oczekuje. Nie zawieź go. Thorn czekał na zewnątrz, z nudów kopiąc stopami ziemię i wzbijając przy tym chmury pyłu. W bezpiecznej odległości stała grupka dzieci i gapiła się na niego. Nigdy wcześniej nie widziały takiego obdartusa. Kiedy Hal podszedł bliżej, Thorn spojrział na niego podejrzliwie.

– No i o czym rozmawialiście? – zapytał.

– O niczym specjalnym – odparł Hal, wzruszając ramionami. – Pytał, jak mi idzie trening.

Ciekawość Thorną została chyba nieco zaspokojona, acz nie do końca. Przysunąwszy twarz do twarzy Hala, zapytał:

– Mówił coś o mnie?

Hal przybrał niewinną minkę. Jako nastolatek, często narażony na przesłuchania, potrafił dokonać tej sztuki niemalże bez wysiłku.

– O tobie? Skąd. W ogóle o tobie nie wspomniał.

Thorn zatrzymał na nim baczne spojrzenie. Hal nie tracił miny niewiniątka. W końcu stary wilk morski odwrócił się, zadowolony.

– No i dobrze – mruknął.

ROZDZIAŁ 22

Następnego dnia dostali pierwsze zadanie. Tak jak każdego ranka po śniadaniu udali się na pole i od razu ruszyli do swoich stanowisk, przygotowani na dwie godziny ciężkich ćwiczeń i treningu z bronią. Tym razem jednak rozkład dnia miał wyglądać inaczej.

Sigurd i trzech nauczyciele, wyznaczeni na opiekunów poszczególnych drużyn, wyszli z namiotu, w którym podawano posiłki, i skierowali się na sam środek pola. Dwadzieścia osiem par oczu śledziło ich z zaciekawieniem. Wszyscy zastanawiali się, co teraz nastąpi. Długo nie musieli czekać.

Sigurd skinął głową i na ten znak Gort wyjął zza pazuchy zniechęcony przez chłopców gwizdek i dmuchnął przeciągle. Było to jednak całkowicie zbędne, wszyscy czekali w skupieniu.

– Dobra! – ryknął straszliwie Sigurd. – Zbiórka! W drużynach! – A kiedy młodzi kandydaci na wojowników ruszyli posłusznie, rozkazał: – BIEGIEM!

To dodało im energii. Wiedzieli już, że po takiej komendzie drużyna tego, który przybiegnie na samym końcu, może stracić punkty. Nieszczęśnikiem okazał się członek drużyny Rollonda, który pośliznął się na mokrej trawie i upadł, skręcając przy tym kostkę. Hal, widząc to, zmówił bezgłośnie modlitwę dziękczynną. Do tej chwili to Ingvar był głównym kandydatem na ostatnie miejsce.

Sigurd spojrzał na spóźnionego Wilka, który utykając, w końcu dołączył do drużyny.

– Piętnaście punktów karnych – rzucił. Kilku członków drużyny zamruczało, spoglądając z irytacją na biednego chłopaka, choć przecież niczemu nie zawinił.

– Zamknijcie się! – warknął Rollond, za co Sigurd nagroził go pełnym uznania spojrzeniem.

– Jak dobrze, że to powiedziałaś, skirlu, przynajmniej ja nie musiałem tego robić. Poza tym to by oznaczało dodatkowe punkty karne.

Chłopcy zwiesili głowy, unikając wzroku Sigurda i Rollonda. Sigurd milczał przez chwilę, dając im czas na przyswojenie jego słów, po czym podjął:

– Dziś dostaniecie pierwsze zadanie. – Wśród zebranych przebiegł pomruk – i zaraz ucichł pod gniewnym spojrzeniem nauczyciela. – To wyścig górski – oznajmił. Chłopcy znów dali wyraz zaintrygowaniu i ponownie czym prędzej zamilkli, skarceni kolejnym spojrzeniem.

„Sigurd chyba świetnie się bawi”, pomyślał Hal. „Specjalnie wywołuje poruszenie, by zaraz nas uciszyć”.

Sigurd wyciągnął rękę, a Viggo podał mu plik kart pergaminowych. Sigurd podniósł je, by wszyscy mogli zobaczyć.

– Odbędzie się on na Górze Dzika. Na szczyt prowadzą trzy ścieżki. Na końcu każdej z nich stoi namiot, a w każdym z namiotów znajduje się figurka. Wilk, rekin i – tu pogardliwie skrzywił usta – ptaszek.

Czaple z zakłopotaniem przestąpiły z nogi na nogę. Pozostali zaśmiali się. Tym razem Sigurd nie próbował ich uciszyć.

– Konkurencja jest bardzo prosta – podjął, po czym wręczył mapę każdemu z trzech skirlów. – Każda trasa ma taką samą długość i skalę trudności jak pozostałe. Musicie dobiec do namiotu, zabrać figurkę i wrócić, również biegiem. My będziemy mierzyć czas. – Wskazał na trzy zegary wodne, stojące na stole przed namiotem. – Najszybsza drużyna wygrywa. Sto punktów. Druga dostaje dwadzieścia. Ostatnia... zero – urwał i spojrzał na Hala i jego drużynę. – Jakieś pytania? Nie? To wracajcie na swoje stanowiska, przestudujcie mapę i pomyślcie, kto z was pobiegnie. Za kilka minut

do was przyjdę.

Tursgud zaśmiał się i oznajmił:

– Żaden dylemat. Ja pobiegnę.

Sigurd spojrział na niego z zainteresowaniem.

– Doprawdy? Postarajcie się podjąć właściwą decyzję. Później nie można jej zmienić. A teraz ruchy!

Kiedy biegli w stronę stanowisk treningowych, Hal poczuł, że lęk ściska mu pierś. Nie miał pojęcia, kogo powinni wybrać. Ulf i Wulf byli równie szybcy. Jesper również osiągał dobre tempo w codziennych treningach, zarówno w sprincie, jak i biegach na długi dystans. Ale tu nie chodziło tylko o szybkość. Góra Dzika była stroma, teren trudny. Prócz szybkości zawodnika powinna cechować siła i wytrzymałość. Nagle Stig dogonił Hala i, jakby czytał w jego myślach, oznajmił:

– Ja pobiegnę.

Hal spojrział na przyjaciela. Stig wydawał się odpowiednim kandydatem. W każdym razie z pewnością ze wszystkich chłopców najbardziej nadawał się do tego, by konkurować z Tursgudem i Rollondem.

Dobiegłszy na miejsce, ustawili się w luźnym półokręgu dokoła Hala. Czuł na sobie ich spojrzenia. Czekali, aż podejmie decyzję. Przeklinał się w duchu. To była jego drużyna. Powinien był wcześniej dokładnie poznać ich talenty i możliwości. Stig wydawał się odpowiednim kandydatem, ale czy na pewno? Hal potrząsnął głową. „Jesteś przywódcą”, powiedział sobie. „Musisz podjąć decyzję i trzymać się jej”.

– Stig – zaczął. – Może ty... – Nie zdążył nic więcej powiedzieć, bo przerwał mu Edvin:

– Hal, musimy pobiec wszyscy. To jest konkurencja zespołowa. – Kiedy spojrzeli na niego, wyjaśnił: – Pamiętasz, kiedy przeglądaliśmy listę, zauważyliśmy, że konkurencje indywidualne są wyraźnie zaznaczone: „Zapasy, indywidualne. Wyścig, indywidualne. Nawigacja, indywidualne”. Ale przy wyścigu górskim nie było takiego zapisu. Co znaczy, że jest to konkurencja zespołowa.

Hal, marszcząc brwi, usiłował przypomnieć sobie listę.

– Chyba masz rację – stwierdził. – I jeśli masz, to znaczy, że dlatego właśnie wybrali to zadanie jako pierwsze. Gdybyśmy mieli już jakieś za sobą, zdążylibyśmy opanować wszystkie oznaczenia. Wszyscy szybko by się zorientowali, że nie jest to wyłącznie sprawdzian naszej szybkości i wytrzymałości...

– To test na inteligencję. Umiejętność czytania i interpretowania instrukcji – wtrącił Edvin. Spojrzeli na siebie, on i Hal, i skinęli zgodnie głowami. – Słyszeliście, co przed chwilą powiedział Sigurd do Tursguda? „Postarajcie się podjąć właściwą decyzję”. Nie: „Wybierzcie właściwą osobę”!

Hal z namysłem przygryzł wargi. Argumentacja Edvina w pełni go przekonała. Ale co, jeśli jednak się pomylił? Przybiegną jako ostatni i narażą się na pośmiewisko.

Pozostali chłopcy przysłuchiwali się w milczeniu ich dyskusji. Teraz głos zabrał Ulf:

– Lepiej się pospieszcie. Sigurd już tu idzie.

Odwrócili się i zobaczyli krzepką sylwetkę nauczyciela, który zmierzał w ich kierunku w towarzystwie trzech asystentów. Hal prędko podjął decyzję.

– Tak, pobiegniemy wszyscy – oznajmił. Na większości twarzy malował się wyraz powątpiewania. Tylko Edvin i Stig wyglądali na przekonanych o słuszności takiej decyzji. Ingvar sprawiał wrażenie nieobecnego duchem, ale on zwykle sprawiał takie wrażenie. Żył we własnym świecie, zapewne z powodu kiepskiego wzroku.

Nie było czasu na dyskusje. Sigurd już się zbliżał, trzej pozostali nauczyciele tuż za nim.

– Ustawcie się – rozkazał Hal. Chłopcy prędko uformowali dość nierówny szereg, twarzami do Sigurda. Hal rozważał, czy kazać im, by wyrównali linię, lecz odrzucił ten pomysł. Skandianie nie dbali znanadto o tego typu szczegóły.

Hal wystąpił naprzód i czekał, aż Sigurd do niego podejdzie.

– No, skirlu – zaczął nauczyciel. – Kto pobiegnie dla drużyny ptaszków?

Hal zacisnął wargi w jedną prostą kreskę. Nie zamierzał reagować na przycinek. Zaczepnął oddech, po czym oznajmił:

– Wszyscy pobiegniemy. Całą drużyną.

Sigurd, zaskoczony, uniósł głowę. Przez chwilę się nie odzywał, po czym zapytał:

– Jesteś pewien? Daję ci szansę na przemyślenie tej decyzji.

To umocniło Hala w jego wyborze. Sigurd nie był typem, który chętnie dawałby komuś szansę. Niby czemu miałby to robić? „Próbuje mnie przechytrzyć”, pomyślał Hal.

– Niepotrzebnie. Proszę zapisać nas wszystkich jako uczestników tej konkurencji.

Sigurd potrząsnął głową i zapisał coś na karcie.

– To wasz pogrzeb – mruknął. – Dobra, ustawcie się na starcie.

Hal kazał Czaplom uformować dwie kolumny, po czym pobiegli na start, czyli do namiotu, w którym jadali posiłki. Pozostałe drużyny już czekały. Rollond i Tursgud stali z boku, rozciągając się przed biegiem.

– Doskonale – powiedział Sigurd. – Oto zawodnicy. Drużyna Wilków, Rollond. Drużyna Rekinów, Tursgud. – Tu zatrzymał się. Wszyscy zwrócili spojrzenia na trzecią drużynę, zgodnie z jego intencją. – A Czaple twierdzą, że mają ochotę pobiec wszystkie razem.

Wilki i Rekiny wybuchnęły śmiechem.

– Świetny pomysł! – krzyknął Tursgud, ucieszony. – Może przynajmniej jeden dobiegnie do mety.

Znów rozległ się śmiech. Sigurd odczekał chwilę, po czym powiedział:

– Tak na pewno nie będzie. Każdy, kto zacznie, musi skończyć bieg. – Spojrzał na Rollonda. – Ty pierwszy podejdź do linii startowej.

Rollond jeszcze raz zerknął na mapę, po czym wsadził ją za pazuchę. Skinął głową na znak, że jest gotowy, a Sigurd z kolei skinął głową Gortowi.

Rozległ się dźwięk gwizdka i Rollond wystartował. Pobiegł jak jeleń, lekkim, wydłużonym krokiem, w stronę drzew u podnóża góry. Towarzysze dopingowali go dzielnie, póki nie zniknął między drzewami, otaczającymi pole. Jarst usunął trzpień z pierwszego zegara. Woda zaczęła kapać powoli do dolnego naczynia.

Teraz przyszła kolej na Tursguda. Truchtał w miejscu, czekając na sygnał. Biła od niego pewność siebie. A potem wystartował, żegnany okrzykami Rekinów.

I wreszcie Czaple.

– Dobra, ptaszki. Chcecie jeszcze raz przemyśleć swoją decyzję? – zapytał Sigurd Hala, ten jednak tylko potrząsnął głową. – Nie? Świetnie. Tylko nie próbujcie latać, to by było oszukaństwo. Wiecie, że...

Chyba musiał dać znak Gortowi ręką schowaną za plecami, bo sygnał rozległ się, nim dokończył zdanie. Hal, nieprzygotowany, zawahał się, po czym zaklął i rzucił się do biegu.

– Dalej! – krzyknął do pozostałych, którzy ruszyli za nim. Odprowadził ich śmiech pozostałych drużyn.

Podejście było bardzo trudne. Ścieżka okazała się wąska, stroma i kręta, miejscami zupełnie zanikała, tak że musieli wspinać się po łupkowych osuwiskach i gładkich skalnych ścianach. A gdy znów się ukazywała, często była tak zarośnięta, że biegnący na przedzie musiał dosłownie

przedzierać się między drzewami i krzakami. Hal ustalił, że on, Stig, Jesper i Stefan będą zmieniać się na wiodącej pozycji, gdyż ta osoba musiała wykonywać najcięższą pracę. Biedny Ingvar podczas pierwszych pięćdziesięciu metrów zdążył zaliczyć kilka upadków i Hal nakazał bliźniakom, by mu pomogli. Bracia wzięli go między siebie, ujęli za ręce i wciągali po stromej ścieżce.

Ale on i tak upadał raz po raz, często pociągając za sobą swych pomocników. Po pewnym czasie zastąpili ich Hal i Edvin.

Wreszcie Hal zauważył, że drzewa zaczynają rzednąć. Widział nad sobą coraz więcej nieba, wyraźniej czuł powiew wiatru. Na dole był on zaledwie delikatną bryzą, teraz przenikał pod wilgotne od potu ubrania i ciął niczym lodowate ostrze noża.

– Udało się! – wykrzyknął Stig, który prowadził. Pozostali wdrapali się z trudem za nim, Hal i Edvin na samym końcu, ciągnąc za sobą Ingvara. Pod osłoną skał stał niewielki, dwuosobowy namiot. Stig wskazał go Halowi, który stwierdził z zaskoczeniem, że wszyscy czekają, aż to on zajrzy do środka. Wyciągnął rękę do Stefana.

– Przynieś figurkę – powiedział, z trudem łapiąc oddech. Po prostu nie miał sił, żeby wejść do namiotu. Pomyślał, że gdyby już tam się znalazł, chyba położyłby się na ziemi i tak został.

Stefan wczuł się do środka. Chwilę później wynurzył się, uśmiechnięty szeroko, i uniósł rękę, w której trzymał drewnianą figurkę ptaka.

– Jest! – oznajmił i podniósłszy się, podał ją Halowi. Ten spojrział na zdobycz. Nie było w niej nic specjalnego, zwykły, niedbale wykonany ptak z drewna. Rozejrzał się, odetchnął głęboko i wsadził sobie figurkę za pazuchę.

– Świetnie – powiedział, wciąż zdyszany. – Wracamy. Ulf i Wulf, teraz wy zajmiecie się Ingvarem.

Sądził, że droga powrotna będzie łatwiejsza, lecz srodze się pomylił. Miejscami z trudem utrzymywali równowagę, ślizgali się i zaliczali upadki na łupkowych osypiskach. Schodzenie angażowało zupełnie inne partie mięśni, łydki i kostki bolały ich nieznośnie, a dodatkowych cierpień dostarczały im zadrapania i skaleczenia, których przybywało przy każdym upadku.

Po przejściu kilkuset metrów Hal stwierdził, że najlepiej będzie, jeśli Ingvar i jego dwaj pomocnicy pójdą przodem. Dzięki temu Ingvar w razie upadku nie pociągał za sobą wszystkich, idących przed nim. Zresztą i tak musieli dostosować się do jego tempa, bo mieli wrócić wszyscy razem, jako drużyna.

W końcu, potwornie zmęczeni, posiniaczeni i podrapani, z naciągniętymi mięśniami i poskręcanyimi kostkami, znaleźli się u podnóża góry. Od mety dzieliło ich jeszcze kilkaset metrów. Hal wprawdzie spodziewał się, że Tursgud i Rollond będą już na nich czekać, ale i tak poczuł rozczarowanie na ich widok. Mimo wszystko miał nadzieję że może zdołają wyprzedzić przynajmniej jednego z nich.

– Nie mógł któryś złamać nogi? – mruknął ze złością.

– Co? – zapytał Stig, biegnący obok niego.

Hal tylko potrząsnął głową.

Kiedy Czaple z trudem dobiegły do mety, powitały ich złośliwe gwizdy i wiwaty. Hal spojrział na tablicę, gdzie widniał wynik, wypisany węglem.

Rollond: 42 minuty.

Tursgud: 47 minut.

Gdy ostatni zawodnik przeciął linię mety – Ingvar rzecz jasna – Jarst zatrzymał zegar wodny. Hal zauważył z rozdrażnieniem, że musiał użyć dwóch zegarów, by zmierzyć ich czas. Jarst spojrział na poziom wody, która zebrała się w dolnym naczyniu.

– Czaple, godzina dwadzieścia minut.

Wilki i Rekiny zaczęły się śmiać – Wilki najgłośniej, bo to one miały najlepszy czas.

Sigurd wystąpił naprzód z kamienną twarzą, by ogłosić zwyciężcę.

– Najlepszy czas, Rollond. Tursgud był drugi. Ostatnia przybiegła drużyna Czapli.

Wilki zaczęły pokrzykiwać i poklepywać się wzajemnie po plecach, świętując zwycięstwo.

Dwóch członków drużyny podniosło Rollonda na ramionach i zaczęło paradować dokoła. Radość Rekinów była nieco bardziej powściągliwa. Hal pomyślał jednak, że ucieszyłby się nawet z tych dwudziestu punktów. Spojrzał na Edvina, który wzruszył ramionami i zwiesił głowę.

– Przykro mi – powiedział. – Moja wina.

Hal miał ochotę przyznać mu rację, ale wiedział, że to by było nie fair. To on podjął decyzję.

Edvin tylko próbował go ostrzec.

Już otworzył usta, by mu to powiedzieć, gdy Sigurd ryknął na cały głos:

– CISZA! CISZA! POSTAWIĆ GO NA ZIEMI!

Wyciągnął palec w stronę dwóch chłopców, którzy obnosili Rollonda na ramionach. Twarz miał czerwona ze złości. Radosne okrzyki triumfu stopniowo ucichły. Chłopcy, zmieszani, postawili Rollonda na ziemi. Ten spojrzał na Sigurda, wyraźnie zdumiony.

– Przepraszam, czy coś nie tak?

– Owszem, coś nie tak – odparł Sigurd, po czym wierzchem dłoni trzasnął w listę zadań. – To była konkurencja grupowa. Rollond i Tursgud zostają zdyskwalifikowani. Zwyciężyły Czaple. Sto punktów. Drugiego miejsca nie ma.

Skinął głową Halowi i pozostałym Czaplom, odwrócił się na pięcie i odszedł. Hal usłyszał triumfalny wrzask swych towarzyszy, a potem potężna pięść walnęła go w ramię, aż poleciał do przodu. Nawet nie musiał sprawdzać kto to.

– Dzięki, Ingvar.

ROZDZIAŁ 23

Od tej pory kolejne zadania pojawiały się w najmniej oczekiwanych momentach. Zaledwie cztery dni po pierwszej konkurencji Sigurd wkroczył na pole, gdzie właśnie rozpoczęli codzienne ćwiczenia, i zadął w róg, a gdy przybiegli na wezwanie, zawołał:

– Wyścig! Dziesięć minut!

Trasę przygotowano, kiedy spali. Oznaczona chorągiewkami, przyczepionymi do słupków z gałązek wierzbowych, prowadziła z pola treningowego w dół wzgórza, przez miasto, dokoła portu, w górę i znów na pole.

– Wyznaczcie biegaczy – rozkazał Sigurd, po czym, patrząc znacząco na Rollonda i Tursguda, dodał: – To jest konkurencja indywidualna.

Tursgud, zerknąwszy spode łba na Czaple, oznajmił:

– Ja pobiegnę.

Hal spodziewał się tego. Tursgud nie przeżyłby, gdyby musiał wyznaczyć kogoś innego. Zawsze musiał być najlepszy. Hal widział wahanie Rollonda. Na pewno miał on ochotę sam zmierzyć się z Tursgudem, potrzęsął jednak głową i wskazał na jednego z członków drużyny, długonogiego chłopaka, który wykazał się wielkim talentem podczas codziennych ćwiczeń w bieganiu.

– Henjak – powiedział. Wybrany chłopak uśmiechnął się szeroko i zaczął rozciągać mięśnie.

– Ja pobiegnę – usłyszał Hal tuż przy swoim uchu. Głos należał do Stiga. Hal jednak uniósł dłoń w odmownym geście. Tym razem postanowił, że nie da się zaskoczyć, i wiedząc, że na liście znajduje się wyścig na czas, wcześniej obserwował osiągnięcia członków drużyny podczas codziennego treningu, sprintu i biegów na długi dystans. Stig był szybki, ale Jesper jeszcze szybszy.

Hal pomyślał z rozbawieniem, że to zapewne kariera niepoprawnego złodziejaska pomogła mu w rozwinięciu tego talentu.

– Wyznaczam Jespera – odparł, tłumiąc głos. Nie chciał zawstydzać Stiga przy pozostałych. Twarz przyjaciela poczerwieniała ze złości.

– Potrafię wygrać z Tursgudem – powiedział.

– Możliwe. Pytanie tylko, czy potrafisz wygrać z Henjakiem.

Hal nie tylko obserwował członków własnej drużyny, przyglądał się również oponentom, by przekonać się, który z nich jest najlepszym biegaczem. Owszem, niewiele wiedział na temat Henjaka, widział jednak, czego potrafi dokonać Rollond. Skoro uznał on, że Henjak będzie lepiej od niego reprezentował drużynę Wilków, znaczyło to, że chłopak musi być naprawdę szybki.

Stig patrzył przez chwilę na Hala. „Ten jego temperament”, pomyślał Hal. Nagle przyjaciel odwrócił się na pięcie. Odchodząc, gniewnie rzucił przez ramię: – Świetnie.

– No, dalej, skirlu! Czas ucieka! – zniecierpliwiał się Sigurd.

Hal podniósł wzrok.

– Pobiegnie Jesper.

Na twarzy Jespera pojawił się wyraz zaskoczenia, potem czujności. Widział, jak Stig rozmawia z Halem i przypuszczał, że to on pobiegnie. Teraz już wiedział, jaka była przyczyna gniewnej reakcji. Miał nadzieję, że Stig go za to nie znieawidzi. Źle byłoby mieć kogoś takiego za wroga.

Hal kiwnął zachęcająco głową i Jesper, wrzuciwszy ramionami, podszedł do linii startowej, gdzie już czekali Tursgud i Henjak. Ten drugi z uśmiechem podał mu dłoń i wywrócił oczami,

wskazując skinieniem głowy dowódcę Rekinów, który zignorował obu przeciwników.

Jesper pomyślał, że od Henjaka bije pewność siebie. Widać było, że nie boi się Tursguda, wierzy, że pokona go bez trudu. Był groźnym przeciwnikiem.

Jesper wyprostował się jednak i pomyślał, że przecież Hal w niego wierzy. Poczł determinację, by nagrodzić jego zaufanie i pokonać tego patykowatego, pewnego siebie chłopaka. Pobić go dotkliwie.

– Do biegu gotowi... – zaczął Sigurd – ...START!

Żadnego przygotowania, odliczania, nic. Od razu sygnał do biegu, z zaskoczenia.

Jesper nie na darmo był złodziejem. Potrafił wystartować w ciągu ułamka sekundy i teraz też wystrzelił jak spłoszony zając, dzięki czemu zyskał przewagę pięciu metrów nad pozostałymi zawodnikami, którzy nadal wpatrywali się w Sigurda, czekając, aż potwierdzi, że bieg rzeczywiście się rozpoczął. Po chwili obaj zerwali się do biegu i popędzili za prędko oddalającym się Jesperem.

Pozostali zaczęli wznosić głośne okrzyki, po czym, kiedy Jesper – wciąż na przedzie – Tursgud i Henjak opuścili teren treningowy i ruszyli w dół ścieżką wiodącą w stronę miasta, pobiegli za nimi, by nie stracić zawodników z oczu.

Hal już chciał pójść w ich ślady, kiedy ktoś położył mu rękę na ramieniu. Spojrzał w zagniewaną twarz Stiga.

– Ale z ciebie przyjaciel – powiedział z goryczą.

Hal potrząsnął głową.

– Stig, to, że cię nie wybrałem, nie znaczy, że nie jestem twoim przyjacielem. Starałem się wybrać najodpowiedniejszą osobę.

– Jespera? – powiedział Stig z powątpiewaniem.

– Tak, Jespera.

– Wczoraj go pokonałem.

Hal skinął głową.

– Tak, widziałem to, ale wydaje mi się, że wczoraj nie dał z siebie wszystkiego. Prócz wczorajszego treningu, wyprzedzał cię za każdym razem.

Stig milczał niepewnie. Najwyraźniej o tym nie pomyślał.

– Cóż, lepiej, żeby tym razem mu się udało – powiedział w końcu.

Hal rozłożył ręce w ugodowym geście.

– Stig, nie zrobiłem tego, żeby ci dokuczyć. Dowodzę drużyną, od moich decyzji zależy jej sukces. Mówiłem już, musisz stosować się do wszystkich moich poleceń, nie tylko tych, które przypadną ci do gustu.

Twarc Stiga powoli traciła gniewny wyraz. Przemyślawszy słowa przyjaciela, powiedział w końcu niechętnie:

– Pewnie tak. Miejmy nadzieję, że się nie pomyliłeś.

– Chodź – odparł Hal i klepnął go po ramieniu. – Popatrzmy, jak sobie radzą.

I dołączyli do pozostałych. Treningi odbywały się na rozległej łące, na wzniesieniu, z którego rozciągał się widok na Hallasholm. Trasa wyścigu biegła ścieżką w dół wzgórza, miejscami ukrytą wśród drzew, potem przez miasto – ten odcinek mogli zobaczyć ze swego miejsca tylko częściowo – i z powrotem w górę wzniesienia.

Kiedy stracili biegaczy z oczu, ucichły okrzyki, wznoszone na ich cześć.

– Gdzie oni są? – zapytał Hal najbliższą stojącą osobę, po czym, kiedy zobaczył, że jest to Ingvar, patrzący w odwrotnym kierunku, mruknął: – Nieważne. – A potem pchnął Edvina łokciem w bok i powtórzył pytanie.

– Za drzewami – odparł Edvin, wskazując sporą kępę opodal miasta.

W tym samym momencie biegacze znów się pokazali i znów rozległy się okrzyki dopingujących ich towarzyszy. Biegli tuż obok siebie, nie dało się dostrzec, kto prowadzi – o ile w ogóle ktoś prowadził. Łeb w łeb zmierzali ku miastu. Potem znów zniknęli. Od strony miasta napłynęły okrzyki, stłumione przez odległość. Mieszkańcy Hallasholm najwidoczniej dowiedzieli się o wyścigu, pewnie poprzedniego dnia widzieli, jak nauczyciele przygotowują trasę.

Chłopcy z niepokojem wypatrywali zawodników. Niekiedy dostrzegali jakieś mignięcie między budynkami, ale nie byli w stanie stwierdzić, kto prowadzi. Widzieli tylko, że jeden z biegaczy znacznie wyprzedził pozostałych. Któryś z Rekinów zaczął wznosić triumfalne okrzyki, ale zaraz umilkł, uświadomiwszy sobie, że tak naprawdę nie jest pewien, czy to Tursgud wysunął się na prowadzenie.

Nagle na ścieżce prowadzącej w górę wzniesienia pojawił się Henjak. Biegł jak jeleń. Teraz Wilki oszalały ze szczęścia i zaczęły dopingować swego zawodnika. Rekiny i Czaple milczały, z niepokojem wypatrując kolejnego biegacza. Nagle na ścieżce ukazali się Jesper i Tursgud. Biegli łeb w łeb. Czasami jeden z nich wyprzedzał drugiego, ale ten drugi zaraz go doganiał i wysuwał się na prowadzenie, nim ten pierwszy znów nie nadrobił zaległości.

– Dawaj, Jesper! – wrzasnął ktoś Halowi koło ucha. Ten aż podskoczył. To Stig tak dopingował zawodnika Czapli. Hal uśmiechnął się od ucha do ucha. „Cały Stig”, pomyślał. Najpierw gwałtowny wybuch gniewu, a potem wszystko prędko wraca do normy. Pozostałe Czaple poszły w jego ślady i zaczęły wznosić okrzyki. Wilki i Rekiny również wrzeszczały, Wilki najgłośniej – Henjak jeszcze bardziej zwiększył odległość między sobą i pozostałymi zawodnikami, a potem zniknął, kiedy ścieżka opadła w dół.

– Henjak chyba wygra – stwierdził Stefan.

Stig spojrział na niego z ukosa.

– To jeszcze nie koniec – stwierdził. – Jesper nadal może go dogonić.

– Drugie miejsce też byłoby niezłe – dodał Ulf. Teraz Stig przeniósł spojrzenie na niego.

– Co tam drugie! Jesper nadal ma szansę na wygraną. Dawaj, Jesper!

Ingvar pociągnął Hala za rękaw i zapytał, zaniepokojony:

– Co się dzieje? Wygrywamy?

Hal prędko zdał mu raport z sytuacji. Ingvar skinął głową i ryknął bez ostrzeżenia:

– JESPER! TEMPO!

Hal podskoczył, ogłuszony przerażającym dźwiękiem. Potężna klata Ingvara okazała się niezłym pudłem rezonansowym.

– Uprzedź mnie, zanim znów to zrobisz – poprosił.

Ingvar wzruszył ramionami z przeproszającą miną.

– Wybacz, Hal. – A potem dodał: – Teraz znów to zrobię.

– Proszę bardzo – odparł Hal, a wtedy Ingvar ryknął jeszcze raz:

– DAWAJ, JESPER! TEMPO! TEMPO!

Hal odsunął się dyskretnie.

Nagle Henjak znów znalazł się w ich polu widzenia. Niemal przefunął nad szczytem wzniesienia tuż pod nimi, jakieś sto pięćdziesiąt metrów od mety. Wilki zaczęły drzeć się jeszcze głośniej, zaś zamilkły pozostałe drużyny. Jesper i Tursgud nadal byli ukryci przed ich wzrokiem, wciąż poniżej wzniesienia, które właśnie pokonał Henjak.

– Aha, to by było na tyle w kwestii szans na wygraną – stwierdził Wulf. Stig spojrział na niego spođe łba.

– Drugie miejsce też nie jest złe – powiedział Stefan.

Powietrze aż zgęstniało od napięcia. Henjak zmierzał ku mecie, przy wtórze wiwatów i zachęcających okrzyków swych towarzyszy. Przeciwników zostawił daleko w tyle, teraz liczyło się tylko, kto przybiegnie drugi – Tursgud czy Jesper. Rekiny i Czaple czekały w pełnym napięcia milczeniu, aż zawodnicy znów się pokażą.

– Tam są!

Nie wiadomo, kto krzyknął. Nagle Tursgud i Jesper wynurzyli się zza porośniętego trawą wzniesienia. Ich ramiona i nogi pracowały rytmicznie, stopy biły o ziemię. Biegli równo obok siebie.

Kiedy się zbliżyli, krzyki przybrały na sile. Zostało tylko sto metrów, a oni nadal szli łeb w łeb. Siedemdziesiąt metrów. Pięćdziesiąt.

A potem, centymetr po centymetrze, Tursgud zaczął wyprzedzać Jespera.

Henjak przeciął metę i Wilki oszalały. Wszyscy otoczyli zwycięzcę, klepali go po plecach i gratulowali. Henjak przyjmował te hołdy z uśmiechem. Nawet jakoś szczególnie się nie zadyszał. Czaple i Rekiny wciąż dopingowały swoich zawodników.

– Jesper!

– Tursgud!

– Jesper!

– Tursgud!

Okrzyki to przeplatały się ze sobą, to nakładały na siebie. A biegacze byli coraz bliżej. Hal zaczął tracić nadzieję. Tursgud zdołał już o cały metr wyprzedzić reprezentanta Czapli. Hal pomyślał, że owszem, Tursgud może i jest arogancki, wyniosły i niesympatyczny, ale jednego nie można było mu odmówić – jest również świetnym zawodnikiem. Ma ducha zwycięzcy, nigdy się nie poddaje.

Wbiegli na metę, Tursgud półtora metra przed Jesperem. W ostatniej chwili Jesper rzucił się przed siebie, lecz na próżno. Potknął się, przetoczył po ziemi i upadł na plecy, z trudem łapiąc oddech.

Tursgud, przebiegłszy metę, zwolnił i w końcu zatrzymał się, pochylił, kładąc ręce na kolanach i łapiąc urywany oddech. Henjak podszedł do niego i wyciągnął rękę. Tursgud potrząsnął nią krótko i bez przekonania, po czym odwrócił się ku swym towarzyszom.

Hal ruszył w stronę Jespera, który wciąż leżał na ziemi, zasłaniając oczy ramieniem. Stig okazał się jednak szybszy. Pochylił się, otoczył plecy kolegi ramieniem i pomógł mu wstać.

– Dałeś z siebie wszystko – powiedział.

Przygnębiony Jesper potrząsnął głową.

– Ale jednak za mało – odparł żałośnie. – Ty powinieneś być pobiec.

Stig spojrział na Hala i uśmiechnął się blado.

– Nie poradziłbym sobie lepiej od ciebie.

Hal skinął głową z uznaniem. Nie wiedział, czy Stig powiedział to szczerze, cieszył się jednak z jego postawy.

Sigurd zanotował punkty na karcie. Tym razem nie musiał ogłaszać wyniku. Wszyscy widzieli, kto wygrał. Potem spojrział na chłopców, którzy stali w trzech grupach, niektórzy gratulując zwycięzcy, inni pocieszając przegranego.

– Uwaga! – wrzasnęła i wszyscy natychmiast się odwrócili. – Dziś obiad godzinę wcześniej.

Odczekał, aż ucichną pomruki zadowolenia. „Chłopcy”, pomyślał, „wystarczy wspomnieć o jedzeniu i od razu zapominają o wszelkich troskach”. Potem podjął:

– Zawodnikom radzę odpocząć. Po południu odbędzie się konkurencja siłowa.

ROZDZIAŁ 24

Podczas gdy chłopcy pospiesznie jedli obiad – choć niektórzy stracili apetyt na myśl o kolejnej konkurencji – Gort, Viggo i Jarst przygotowali stanowisko.

Nie wymagało to specjalnego wysiłku. Po prostu namalowali na trawie białą linię i pod kątem prostym ułożyli na niej grubą linę długości około piętnastu metrów.

Skończywszy jeść, chłopcy pospieszyli na miejsce. Sigurd poczekał, aż się zbiorą i stanął naprzeciwko nich.

– Test siłowy jest bardzo prosty – zaczął. – To przeciąganie liny. Jedna drużyna chwyta za jeden koniec liny, druga za drugi. Potem, na dany sygnał, obie drużyny próbują przeciągnąć linę przez tę białą kreskę. Jeśli przekroczy ją któryś z zawodników, choćby tylko palcem u nogi, drużyna przegrywa. Każda z drużyn zmierzy się z dwiema pozostałymi. Ta, która wygra dwa razy, dostanie sto punktów. Drugie miejsce – dwadzieścia. W przypadku remisu – dogrywka. Jasne?

Wszyscy pokiwali głowami, tu i tam rozległy się głosy, że tak, wszystko jasne. Twarz Sigurda przybrała gniewny wyraz.

– PYTAM, CZY TO JASNE! – ryknął, na co dwudziestu ośmiu chłopców odparło energicznie:

– Tak jest!

– Świetnie – warknął i powiódł groźnie wzrokiem. – Wylosuję nazwy drużyn, które będą się ze sobą mierzyć.

Sięgnął do starego zniszczonego hełmu i wyciągnął z niego dwa paski pergaminu.

– Pierwsza runda – oznajmił. – Rekiny i Wilki.

Wśród zgromadzonych przeszedł pomruk. Hal poczuł ulgę. Ucieszył się, że będzie mógł popatrzeć na zawody, nim nadejdzie kolej Czapl. Tursgud i Rollond podczas obiadu ustalili z członkami swoich drużyn, kto jaką zajmie pozycję. Najważniejsi byli dwaj zawodnicy: ten z przodu i ten na samym końcu. Jako tego ostatniego każda z drużyn wyznaczyła najpotężniejszego i najcięższego spośród swych członków. Tursgud i Rollond zajęli miejsca na samym przedzie.

Jesper podszedł do Hala i razem przypatrywali się przygotowaniom.

– To nie fair – stwierdził. – Ich drużyny mają po dziesięciu członków, a nasza tylko ośmiu.

Hal skinął głową.

– Wiedzieliśmy o tym od samego początku. Zobaczę, czy da się coś zrobić.

Podszedł prędkim krokiem do Sigurda, który przypatrywał się drużynom. Podniósł wzrok i zmarszczył brwi. Hal nie dał się zbić z tropu. Już jakiś czas temu odkrył, że Sigurd zawsze ma wściekłą minę.

– Czego chcesz? – zapytał nauczyciel.

Hal wskazał na swoją drużynę.

– Zastanawiałem się, skoro jest nas tylko ośmiu, czy pozostałe drużyny nie zgodziłyby się również ograniczyć liczby zawodników.

– To zależy od skirlów – odparł Sigurd, po czym zwrócił się do nich, unosząc głos: – Wilki, Rekiny, Hal pyta, czy zechcecie ograniczyć liczbę zawodników do ośmiu, kiedy będziecie walczyć przeciw Czaplom.

Hal domyślał się, jakiej odpowiedzi udzieli Tursgud. Patrzył jednak wyczekująco na Rollonda. Widział, że przywódca Wilków zastanawia się nad propozycją, ale czeka, co powie Tursgud.

– Nie ma mowy! – odparował przywódca Rekinów. – Wiedzieli o tym od samego początku. To nie moja wina, że nikt ich nie chciał.

Odwrócił się obojętnie. Hal uchwycił spojrzenie Rollonda. Wcześniej czuł, że skłonny był przystać na jego propozycję. Teraz jednak, kiedy Turgsud ją odrzucił i istniało spore prawdopodobieństwo, że Rekiny wygrają przynajmniej jedną rundę, również musiał odmówić. Nie mógł dać Turgsudowi forów. Wzruszył ramionami z przeproszącą miną.

– Nie. Przykro mi, ale przystąpimy całą drużyną.

Sigurd skinął głową. Też się tego spodziewał.

– Słyszałeś odpowiedź – zwrócił się do Hala. Ten jednak nie zamierzał tak szybko się poddać.

– A więc zawsze, przy każdej konkurencji, będziemy na gorszej pozycji? To chcesz powiedzieć?

Sigurd rozejrzał się, czy nikt nie słucha, po czym odparł stłumionym głosem:

– Na to wygląda. Chyba że wymyślicie, jak to zrekompensować.

– Co niby mielibyśmy zrobić?

Nauczyciel wzruszył ramionami.

– Słyszałem, że jesteś bardzo pomysłowy, wykorzystaj ten talent. Zastanów się, jak mógłbyś podnieść wasze szanse. Rozumiesz, co mam na myśli? – Palcem wskazującym potarł nos znaczącym gestem.

Hal zmarszczył brwi.

– Chcesz powiedzieć, że mamy oszukiwać?

Sigurd potrząsnął głową.

– Nie, powiedziałem, że masz wykorzystać swoją pomysłowość. Słuchaj, trenujemy was tutaj do walki. Pewnego dnia możesz stanąć naprzeciw liczniejszego przeciwnika. Jeśli znajdziesz sposób, by przekonać ich, że was jest więcej, czy to będzie oszustwo?

– Chyba nie – odparł powoli Hal, niepewny, do czego zmierza nauczyciel. Sigurd kiwnął głową i jeszcze raz konspiracyjnie postukał palcem w nos.

– Ujmę to tak: jak cię złapią, to znaczy, że oszukiwałeś. Jak nie, to znaczy, że posłużyłeś się odpowiednią taktyką.

– Rozumiem. W każdym razie tak mi się wydaje. Chyba już do nich pójde.

– Chyba tak.

Hal odwrócił się i dołączył do swojej drużyny. Jesper przekrzywił głowę z zaciekawieniem.

– Co powiedział?

– Powiedział, że mamy wykorzystać swoją pomysłowość.

Stig zmarszczył brwi.

– Co to ma znaczyć?

– To znaczy, że mamy oszukiwać, ale nie dać się na tym złapać – odparł Hal. Jesper prychnął z rozbawieniem, ale kiedy Hal spojrzał na niego, ten już odszedł, nie patrząc w jego stronę.

Hal znów spojrzał na drużyny, szykujące się do walki. Dwaj zawodnicy obwiązali się liną w pasie. Pozostali członkowie drużyn ustawili się wzdłuż liny, szukając najlepszego oparcia dla stóp. Wszyscy wpatrywali się w Sigurda. Tym razem nie zamierzali dać się zaskoczyć, jak to miało miejsce podczas wyścigu.

– Na mój sygnał zaczynacie – powiedział Sigurd. – Viggo i Jarst będą was obserwować, żeby nie było żadnego oszukaństwa... – urwał, a Hal zastanawiał się, jak można oszukiwać podczas przeciągania liny. Sigurd przerwał jego rozmyślenia: – Gort będzie obserwował linię. Jeśli znajdzie się poza nią choćby czubek stopy któregoś z zawodników, Gort gwizdnie na znak, że runda skończona.

Gestem ręki poprosił swego pomocnika, by dokonał prezentacji. Gort wyciągnął gwizdek z kieszeni i dmuchnął z całych sił. Kilku członków drużyny Czapli jęknęło cicho.

– Również na mój sygnał – ciągnął Sigurd – kończycie walkę.

– Na twój sygnał – powiedział Stefan, zniżając głos – skończę w obłędzie.

Czaple zaśmiały się, lecz zaraz, pod groźnym spojrzeniem Sigurda, prędko starły oznaki rozbawienia z twarzy.

– Dobrze... – podjął Sigurd, popatrzył w lewo i w prawo, po czym, zadowolony, że obie drużyny są gotowe, wrzasnął: – START!

Zawodnicy jednocześnie pociągnęli linę, która wyprężyla się jak struna. Czaple pochylały się nieco do przodu, niepewne, czy zagrzewać zawodników do walki, czy nie. Z powodu antypatii do Tursguda miały nadzieję że wygra drużyna Rollonda, nie wiedziały jednak, jak to może wpłynąć na ostateczny wynik zawodów.

Rekiny mocno ciągnęły linę i Wilki zaczęły tracić oparcie w stopach. Coraz bardziej zbliżały się do białej linii, z całej siły odchylone do tyłu, z wysiłku zaciskając powieki i stękając z bólu, za wszelką cenę próbując powstrzymać swój upadek.

I udało im się, choć zaledwie jeden metr dzielił ich od porażki. Niespodziewanie Rollond zebrał siły i szarpnął linę, powstrzymując ruch Rekinów do tyłu. Obie drużyny ciągnęły z całej mocy. Lina ani drgnęła. Rekiny przy pierwszej próbie przyciągnięcia przeciwników do linii zużyły mnóstwo energii, teraz nic im nie zostało w zapasie. Kiedy Wilki pociągnęły linę jeszcze mocniej, Rekiny zaczęły zbliżać się do białej linii. Metr, potem jeszcze jeden. W coraz szybszym tempie.

Tursgud darł się i wyzywał swoich podwładnych, ze wszystkich sił walcząc, by nie przekroczyć linii.

– W ten sposób tylko traci oddech – powiedział Stig cicho tuż przy uchu Hala.

Ten przytaknął.

– Nigdy się nie nauczy, co?

– TERAZ! – ryknął Rollond. Widocznie wcześniej ustalił plan działania ze swymi towarzyszami, bo na ten znak Wilki jeszcze raz desperacko zebrały siły, ostatni zawodnik odchylił się do tyłu tak mocno, że jego pośladki niemal dotknęły ziemi.

I udało się.

Ten jeden zespołowy wysiłek okazał się bardziej skuteczny od bezładnych działań Rekinów. Jedno szarpnięcie i Tursgud poleciał za białą linię.

PIIIIIIP!

Gwizdek Gorta oznajmił zakończenie pierwszej części zawodów. Wszyscy jednocześnie puścili linę i rozsypali się po trawie, Wilki, śmiejąc się i żartując, Rekiny, wyraźnie przybite i wściekłe.

Sigurd wystąpił naprzód.

– Dobra robota, Wilki – stwierdził, po czym jeszcze raz sięgnął do hełmu i wyjął z niego następny pasek papieru, jeden, bo było wiadomo, że do kolejnej rundy przystąpią Czaple. – Piętnaście minut odpoczynku. Potem Wilki przeciwko Czaplom.

– Mamy szczęście – powiedział Ulf sarkastycznie. Wszyscy widzieli wygraną Wilków nad Rekinami, a przecież obie drużyny liczyły tyle samo zawodników. Czaple miały niewielkie szanse.

Ich przeczucia sprawdziły się. Po zaledwie piętnastu sekundach Stig przejechał przez białą linię.

Członkowie drużyny Rekinów zaśmiali się złośliwie, widząc porażkę Czapli. Nie wygrali pierwszej potyczki, ale teraz byli pewni drugiego miejsca.

– Piętnaście minut! – zwrócił się Sigurd do przygnębionych Czapli. – Potem walczycie przeciw Rekinom.

– Znów mamy szczęście – powiedział tym razem Wulf.

Jego brat rzucił mu gniewne spojrzenie.

– Ja powiedziałem to pierwszy – warknął.

Wulf wyprężył pierś w jego stronę.

– A ja drugi! Chcesz podyskutować?

– A ty?

– Och, przestańcie! – wtrącił się Hal. Obaj spojrzeli na niego ze zdumieniem. Chyba sami nie wiedzieli, o co się kłóca, po prostu robili to z przyzwyczajenia. – Nie traćmy czasu na spory – powiedział. – Musimy pomyśleć, jak pokonać Tursguda.

Stig zaśmiał się.

– Daj znak, jak coś wymyślisz.

– Co on robi? – zapytał nagle Edvin. Spojrzawszy w tę samą stronę co on, zobaczyli, jak Jesper podchodzi do Gorta, kładzie mu rękę na ramieniu, by zwrócić jego uwagę i coś do niego mówi. Gort strząsnął jego rękę i gniewnym gestem pokazał, by wracał do swych towarzyszy. Jesper wzruszył ramionami i nieśpiesznie wrócił na miejsce.

– Co to było? – spytał Hal.

– A, po prostu zapytałem naszego szacownego nauczyciela, czy nie znajdzie w ostatniej chwili jakiejś rady, która mogłaby nam pomóc, ale kazał mi iść do diabła.

– Nic dziwnego – stwierdził Hal. – A co sobie wyobrażałeś?

Jesper rozejrzał się dokoła, by upewnić się, że nikt na nich nie patrzy, po czym wyszczerzył się od ucha do ucha.

– Postanowiłem wykorzystać swoją pomysłowość. Doszedłem do wniosku, że może to nam się przyda – oznajmił, wyciągając srebrny gwizdek. – Kiedy położyłem Gortowi rękę na ramieniu, drugą wyjąłem to z jego kieszeni.

Chłopcy prędko otoczyli go zwartym kręgiem, by osłonić gwizdek przed wzrokiem niepowołanych osób. Hal przez chwilę myślał intensywnie, a potem uśmiech rozjaśnił jego twarz.

– Dobra. Zrobimy tak: Jesper, trzymaj gwizdek schowany w ręku. Ustaw się za mną. Kiedy zaczniemy przesuwać się w stronę linii, poczekaj, aż znajdziemy się naprawdę blisko i dmuchnij w gwizdek. Powiem ci kiedy. – Spojrzał po zaciekawionych twarzach. – Na ten sygnał wstajemy, tak jakby runda naprawdę się skończyła. Puszczamy linę i zaczynamy marudzić, jakbyśmy przegrali. Rekiny pójdą w nasze ślady, tyle że będą cieszyć się i poklepywać po plecach. Wstajemy wszyscy za wyjątkiem Ingvara. – Tu zwrócił się do siłacza: – Ty ustawisz się na końcu. Jak tylko usłyszysz gwizdek, nie puszczaj liny, tylko odwróć się i zacznij biec, jakby gonili cię wszyscy bogowie.

Ingvar zmarszczył czoło, a potem uśmiechnął się i skinął głową.

Hal widział, że kilku chłopców nie rozumiało, o co chodzi w jego planie.

– Ostatni z ich zawodników nie będzie mógł od razu puścić liny, bo walczy, przewiązany nią w pasie, ale Ingvar jest od niego dwa razy większy. Przeciągnie go przez białą linię i wygramy. – Spojrzał znów na Jespera. – Potem od razu pozbądź się gwizdka. – Przerwał, widząc po uśmiechniętych twarzach, że teraz pozostali również zrozumieli. – Wszyscy gotowi?

– Gotowi! – odpowiedzieli, zgodnie kiwając głowami.

– Ingvar?

Ingvar przytaknął.

– Nie martw się, Hal. Mam wadę wzroku, a nie defekt mózgu. Zrozumiałem.

– W takim razie zaczynamy – powiedział Hal. Sigurd już zmierzał w ich kierunku.

Podeszli do liny, by zająć miejsca. Stig stanął pierwszy, za nim Hal, następnie Jesper, Stefan

i bliźniaki, Edvin i wreszcie, na samym końcu, Ingvar, który owinał sobie linę wokół pasa.

Ostatni zawodnik Rekinów zrobił to samo, pozostałych dziewięciu zajęło stanowiska, Tursgud na samym przedzie, naprzeciw Stiga.

– Jak tam, ptaszki gotowe na rzeź? – zapytał złośliwie.

Stig już miał odpowiedzieć, ale Hal, stojący za nim, ostrzegł go, zniżając głos: – Nie zwracaj uwagi!

Stig skinął głową. Opanowanie gniewu kosztowało go wiele wysiłku. Uśmiechnął się jednak do Tursguda i pomyślał ze zdumieniem, że chyba zdenerwowało go to bardziej niż kąśliwa odpowiedź. Zanotował to sobie w pamięci na przyszłość.

Sigurd wystąpił naprzód, spojrzał w lewo, potem w prawo. Gort czujnie wbił wzrok w białą linę, rękę trzymał w pobliżu kieszeni.

„Nie wyciągaj na razie gwizdka”, błagał Hal w myślach. Dłoń Gorta dotknęła brzegu kieszeni. Hal wstrzymał oddech. Ale nim do niej sięgnęła, rozległ się głos Sigurda:

– START!

Lina ponownie napięła się z głośnym trzaskiem. Kurz i paprochy uniosły się w powietrzu. Obie drużyny ciągnęły z całej mocy. Żadna nie posunęła się nawet o cal. Każda mierzyła siłę przeciwnika. Potem Czaple, jak to było do przewidzenia, zaczęły przesuwać się w przód. Niewiele dało wbijanie stóp w ziemię, odchylenie się do tyłu ani wysilanie mięśni do granic wytrzymałości – powoli, lecz nieuniknienie zmierzali ku przegranej.

Stig drobił po ziemi, coraz bliżej linii. Hal zauważył kątem oka, jak Gort pochyła się do przodu, wkłada rękę do kieszeni i marszczy brwi.

– Teraz! – krzyknął Hal.

Jesper pochylił się tak, by Viggo niczego nie zauważył, i przytknął gwizdek do warg.

PIIIIIIP!

Na przenikliwy gwizd siedemnastu zawodników puściło linę. Rekiny zaczęły wiwatować, pewne, że wygrały. Czaple bezradnie rozłożyły ramiona. Niektórzy zawodnicy padli na ziemię. Jesper, wyczerpany, odskoczył niezgrabnie od liny, wpadając przy tym na Gorta, który odsunął go ze złością.

Tymczasem osiemnasty zawodnik, Ingvar, odwrócił się i rzucił do biegu. Pociągnął linę ze wszystkich sił, wysilając potężne mięśnie nóg, ramion i klatki piersiowej.

Zawodnik Rekinów, zajmujący ostatnią pozycję, nagle wystrzelił do przodu i przemknął koło swoich towarzyszy, wznoszących okrzyki triumfu. Kiedy usiłował rozplątać linę, zawiązaną dokoła talii, potknął się i upadł. Na plecach przejechał białą linę.

Pandemonium.

Członkowie drużyny Czapli zaczęli wiwatować na cześć Ingvara i szydzić z Rekinów. Twarz Tursguda pociemniała z wściekłości.

Sigurd wkroczył między nich i zarządził ciszę. Wrzawa stopniowo ucichła.

– Gort! Dlaczego dmuchnąłeś w gwizdek?

Gort potrząsnął głową, zdumiony.

– Nie dmuchnąłem. Szukałem go, ale nie mogłem znaleźć. – Uderzył się po kieszeni, pomacał, zmarszczył brwi. – Czekaj... Jest. Chyba wsadziłem nie do tej kieszeni.

Hal spojrzał na Jespera, który konspiracyjnie zmrużył jedną powiekę.

– Kto w takim razie dmuchnął? – zapytał Gort. Odpowiedziały mu niewinne spojrzenia. – Viggo? Widziałeś coś?

Viggo wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Nie widziałem, żeby ktoś użył gwizdka. Widziałem tylko, jak zawodnik Rekinów przekroczył

linię. To chyba znaczy, że Czaple wygrały.

– CO? – Tursgudowi głos załamał się z gniewu i oburzenia. – Oni oszukiwali! – Oskarżycielsko wyciągnął palec w stronę Hala i jego towarzyszy, którzy wyszczerzyli się w odpowiedzi.

Sigurd pacnął go w rękę

– A co dokładnie zrobili?

– Oni... oni... – wyjąkał Tursgud, po czym wbił spojrzenie w Hala. Już wiedział. – Na pewno mieli własny gwizdek.

Nagle Hal wystąpił naprzód, oburzony nie mniej niż Tursgud, i rozkazał członkom swojej drużyny:

– Dobra, Czaple. Wywróćcie kieszenie. Już!

Na ziemię spadł deszcz przeróżnych drobnych przedmiotów. Kawałki sznurka, grzebień, kilka monet, grudka bursztynu, drewniana figurka i gładki biały rzeczny kamyk, duma Wulfa.

Ani jednego gwizdka. Hal spojrzał na Sigurda i rozłożył ręce.

– Gdzieś go ukryli! – upierał się Tursgud.

Sigurd jednak tylko potrząsnął głową.

– To srebrny bosmański gwizdek, chłopcze. One nie rosną na drzewach. Jakim niby sposobem drużyna Hala miałyby zdobyć taki gwizdek?

– Nie wiem. Ale... może... no, nie wiem, ale na pewno...

Teraz wystąpił Edvin. Podniósł palec jak uczeń w barnskole.

– Nauczycielu? – zaczął niepewnie.

Sigurd odwrócił się do niego.

– O co chodzi?

Edvin podjął, niemal przeproszającym tonem:

– Chodzi o to, że... Widziałem tu niedaleko parę kawek. One potrafią naśladować dźwięki, chyba wiesz o tym?

Sigurd przytaknął. Była to prawda.

– Wiem. I co z tego?

– No... – Edvin zawahał się i zerknął nerwowo na Gorta. – Po prostu Gort strasznie często dmucha w ten swój gwizdek... Przepraszam – zwrócił się do niego pospiesznie.

Gort tylko prychnął. W końcu nie było to dla nikogo tajemnicą.

Sigurd wydał werdykt:

– Cóż, w takim razie mamy jedyne sensowne wyjaśnienie całej sprawy. Wszystko przez kawki. Tak więc, zwycięstwo należy do Czapli...

– Nie! – zaprotestował Tursgud.

Sigurd jednak całkowicie go zignorował.

– Wilki mają na koncie dwa zwycięstwa, Czaple jedno. Rekiny zero. Taki wynik zanotuję.

– Nie! To nie fair! Żądam powtórki! Protestuję! – Tursgud niemal wrzeszczał z wściekłości.

W kącikach jego ust pokazała się piana. Sigurd odwrócił się powoli w jego stronę.

– Protestujesz? – powtórzył chłodnym tonem, który niczego dobrego nie wróżył.

Tursgud opanował się i przytaknął.

– Tak, protestuję!

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo Sigurd podszedł do niego, zbliżając twarz na odległość kilku centymetrów od jego twarzy.

– Słuchaj, wyjaśnijmy sobie raz na zawsze. Ty nie protestujesz, tylko słuchasz rozkazów. Zrozumiano?

– Ale mój ojciec... – zaczął Tursgud, ale na widok groźnego błysku w oczach Sigurda

zrezygnował. – Tak jest.

– Wynik pozostaje bez zmian – oznajmił Sigurd, po czym zaczął torować sobie drogę między uczniami. Przechodząc koło Hala, powiedział zniżonym głosem: – Nie wiem, jak to zrobiliście. I nie chcę wiedzieć. Ale gratuluję.

ROZDZIAŁ 25

Jeżeli Hal sądził, że na tym sprawa się skończyła, to się pomylił.

W tym dniu nie mieli więcej zajęć i pozwolono im rozejść się do kwater i zająć się sprzątaniami, naprawą sprzętu i tak dalej. Czaple zamierzały wreszcie pokryć dach baraku sosnowymi gałęziami. Odkładali to już od dawna, płótno na razie spełniało swoją funkcję, ale mieli świadomość, że wraz z nadchodzącymi chłodami zaczną się też wichury i ulewy, a w końcu zamiecie śnieżne.

W dodatku, o czym wiedział Hal, warstwa gałęzi zapewni im ciepło podczas zimnych nocy.

Nacięli spory stos gałęzi, po czym przenieśli je do obozu i odpowiednio skrócili. Następnie zaczęli podawać je Edwinowi i Stefanowi, którzy jako najlżejsi z całej grupy najlepiej nadawali się do łożenia po dachu. Ingvar również zaoferował się z pomocą. Hal widział, jak pozostali odwracają się, by ukryć uśmiech. Z kamienną twarzą podziękował Ingvarowi i zasugerował, że może lepiej wykorzysta swe warunki fizyczne przy noszeniu gałęzi z lasu.

Wyobraził sobie, jak Ingvar chwieje się na niestabilnym dachu, a w końcu spada, pociągając za sobą lawinę z porwanego płótna i połamanych kawałków drewnianej ramy.

Prawie kończyli, kiedy na polanę wkroczyli Tursgud i jego towarzysze.

Czaple nie były przygotowane na konfrontację. Dwóch członków drużyny siedziało na dachu o dość lichej, oględnie mówiąc, konstrukcji. Ulf i Wulf stali na drabinach obładowani gałęziami, które podawali Edwinowi i Stefanowi. Stig, Hal i Jesper przycinali gałęzie do równej długości, a Ingvar akurat poszedł do lasu.

Rekiny za to nadeszły w zwartej grupie, w dodatku miały przewagę liczebną. Prędko otoczyły Hala, Stiga i Jespera, odcinając przy tym Hala od jego towarzyszy.

– Chciałbym zamienić z tobą słówko – zaczął gniewnie Tursgud.

Hal wyczuł, że stojący obok Stig aż buzuje ze złości.

– Spokojnie – powiedział cicho, kładąc mu rękę na ramieniu. Wytrzymał wzrok Tursguda i zwrócił się do niego: – Mów, co masz do powiedzenia i odejdźcie stąd.

Tursgud zaśmiał się krótko i gniewnie.

– Jasne. Chciałbyś, co? Cóż, nie zamierzamy stąd odejść. Oszustwem pozbawiliście nas drugiego miejsca i zapłacicie za to.

Ulf i Wulf zeszli z drabin i stanęli twarzą w twarz z dwoma dobrze zbudowanymi kompanami Tursguda, którzy odłączyli od grupy otaczającej Hala, Stiga i Jespera. Trzeci z Rekinów podbiegł i kopniakiem przewrócił obie drabiny, w ten sposób zmuszając Edvina i Stefana do pozostania na dachu.

– Oszukaliście nas – powiedział Tursgud ze złością.

Hal znowu wyczuł, że Stig ma ochotę zareagować, więc mocniej ścisnął jego ramię. Pomyślał, że niczego nie zyskają, jeśli Stig straci panowanie nad sobą. Rekiny miały znaczną przewagę liczebną. Tursgud dokładnie wszystko zaplanował. Na pewno czekał między drzewami, obserwując ich przy pracy, i wybrał moment, kiedy drużyna Czapli była najsłabsza.

– A dokładnie jak tego dokonaliśmy? – zapytał Hal.

Chłopak potrząsnął głową ze złością.

– Nie kłóć się, Halu Jaki – odparł z pogardą w głosie. – Oszukaliście nas i wszyscy doskonale o tym wiemy.

– Wolalbym nazwać to „przechytrzyliśmy was” – powiedział Hal ostrożnie.

– I nie było to wcale trudne – wtrącił Stefan z dachu.

Tursgud rzucił mu wściekłe spojrzenie. Hal pomyślał, że Stefan powinien nauczyć się trzymać głowę na kłódkę. Tursgud przeniósł wzrok na Hala.

– Nieważne, jak to nazwiesz – powiedział. – W każdym razie zasłużyłeś na lanie. A ja zamierzam ci je sprawić.

Tym razem Stig, rozwścieczony na dobre, wyszarpnął ramię z uścisku i podszedł do Tursguda.

– Może mnie uderzysz, ty przerośnięty buhaju! – zaproponował.

Tursgud rzucił mu pogardliwe spojrzenie.

– To twoje zadanie, bić się za Hala? – zapytał, a potem zwrócił się do Hala z szyderczym uśmiechem. – A ty? Lubisz chować się za przyjacielem, co?

Teraz Hal poczuł, że ogarnia go nieopanowany gniew. Wiedział, że nie może pozwolić Stigowi, żeby bił się za niego. Musiał sam stawić czoło Tursgudowi. Przypomniał sobie słowa Thorna: „Wcześniej czy później dojdzie między wami do konfrontacji, ponieważ się siebie boi”.

– W porządku, Stig – powiedział. – To moja walka.

Stig spojrzał na niego.

– Zawsze powtarzasz, że jesteśmy drużyną. Że powinniśmy wybierać do wykonania zadania osobę najlepiej się do niego nadającą. Teraz wybieram siebie. Od dawna czekałem, żeby się z nim rozprawić. Ja będę z tobą walczył – te słowa skierował do Tursguda.

Ten tylko się uśmiechnął.

– Ale ja nie chcę z tobą walczyć. To fakt, jesteś dość głupi i irytujący, ale jakoś się z tym pogodziłem. Za to twój przyjaciel Araluńczyk to kłamca i oszust. Słyszałem, że większość Araluńczyków taka właśnie jest. Nie chcemy takich w Hallasholm.

– Niedobrze. Bo jeśli zamierzasz uderzyć Hala, najpierw musisz rozprawić się ze mną – oznajmił Stig. Jego twarz płonęła z gniewu. Podszedł blisko do Tursguda, aż ich klatki piersiowe niemal się zetknęły. Skirl Rekinów spojrzał na niego z pełnym znużenia rozbawieniem.

– Cóż, skoro nalegasz – odparł, po czym pstryknął palcami.

Hal pomyślał, że na pewno wcześniej ustalili ten sygnał. Każdy, kto znał Stiga, wiedział, że zechce on stanąć do walki z Tursgudem. Rekiny na pewno wcześniej wszystko zaplanowały. Dwaj napastnicy skoczyli do przodu, narzucili Stigowi pętlę na barki i zacisnęli ją, unieruchamiając jego ramiona. Stig wrzasnął z wściekłością i zaczął się wyrywać, lecz oni tylko okręcili linę kilka razy wokół jego ciała, potem jeden z nich podciął mu nogi kopniakiem i Stig padł na ziemię. Zaczął obrzucać ich przekleństwami, lecz nic więcej nie mógł zrobić.

Wulf ruszył Stigowi na ratunek, ale wysoki chłopak, który wciąż stał przed nim, zagroził mu drogę i pchnął go do tyłu, na co Ulf pchnął z kolei jego.

– Zostaw mojego brata! – wrzasnął, ale w tym momencie inny z Rekinów też zastąpił mu drogę.

Hal zdawał sobie sprawę, że w atmosferze napiętej do granic wytrzymałości w każdej chwili może nastąpić wybuch. Członkowie drużyny Rekinów byli potężniejsi i silniejsi od członków drużyny Czapli. W końcu nie bez powodu zostali wybrani na samym początku. Teraz Stig leżał bezsilnie na ziemi, Edvin i Stefan siedzieli na dachu, a Ulf i Wulf stali twarzą w twarz z przeciwnikami znacznie większymi od siebie. Co znaczyło, że zostali tylko on i Jesper.

No i Ingvar, rzecz jasna. Właśnie wynurzył się z lasu z naręczem gałęzi w ramionach. Powiódł wzrokiem dokoła jak dezorientowany niedźwiedź. Z kształtów, które widział, wywnioskował, że w obozie znajduje się więcej osób niż wcześniej.

– Hal? Co się dzieje? – zapytał.

– Spokojnie, Ingvar – odparł Hal. Gdyby Ingvar zaczął rozdawać ciosy, zapewne znokautowałby zarówno wrogów, jak i członków własnej drużyny. Hal znów pomyślał, że Tursgud naprawdę dokładnie wszystko zaplanował.

Wystąpił naprzód i zatrzymał się jakiś metr od Tursguda. Widział triumf w oczach przeciwnika, który rozumiał, że dzięki jego działaniom Hal postanowił podjąć walkę.

„Większość walk wygrywa się jednym lub dwoma ciosami”, przypomniał sobie słowa Thorna.

– Dobrze – oznajmił z lekkim ociąganiem – będę z tobą walczyć, jeśli tego właśnie chcesz.

I bez ostrzeżenia, błyskawicznie posłał Tursgudowi dwa ciosy lewą pięścią. Przy drugim nos przeciwnika chrupnął groźnie. Hal cofnął się i doprawił prawym sierpowym prosto w szczękę Tursguda, z nadzieją, że na tym się skończy.

Niestety, dwa pierwsze ciosy okazały się aż nazbyt skuteczne – Tursgud zatoczył się do tyłu, zamroczony bólem, i ten ostatni ledwo musnął jego szczękę zamiast dokonać dzieła zniszczenia, jak planował Hal.

Chłopcy z obu drużyn zawyli i otoczyli walczących skirlów. Ci z drużyny Rekinów chwycili Tursguda, kiedy poleciał w tył, przytrzymali, po czym popchnęli z powrotem do przodu.

Rzucił się na Hala niczym wściekły byk i wyprowadził dwa ciosy, zataczając szeroko półkola prawym i lewym ramieniem. Hal zrobił unik przed pierwszym, zablokował drugi lewą ręką, oddał uderzenie prawą i znów trafił Tursguda.

Słyszał krzyki pozostałych chłopców, te zagrzewające do walki i te pełne nienawiści. W tym momencie trafiła go prawa pięść Tursguda. W ostatniej sekundzie przypomniał sobie radę Thorna i schował brodę. Gdyby dostał w szczękę, walka byłaby skończona. Ale na szczęście łapa Tursguda wylądowała na kości policzkowej, pod okiem. Hal miał wrażenie, że oberwał potężnym młotem. Zatoczył się w tył, poczuł, jak łapią go czyjeś ręce i popychają z powrotem do przodu.

Tursgud czekał na niego. Złączywszy dłonie, wymierzył cios w głowę Hala. Ten, wciąż oszołomiony, zdążył zrobić unik w bok. Poczul podmuch, kiedy pięści przemknęły dosłownie kilka milimetrów od jego twarzy. Przyszło mu do głowy, że teraz, po oddanym ciosie, Tursgud stoi niezbyt stabilnie, skoczył na niego i znów wyprowadził lewy prosty.

Pach! Pach! Zadał dwa celne ciosy, jeden trafił Tursguda tuż nad okiem. Krew zalała mu twarz, kiedy pięść Hala rozcięła skórę na łuku brwiowym. Chciał znów przyłożyć prawym sierpowym, ale Tursgud już zorientował się w jego taktyce i zablokował cios prawą ręką.

Potem z rykiem rzucił się na Hala. Od ciosu w policzek oko Halowi spuchło, nic teraz nie widział. Schylił się, robiąc unik, ale nie potrafił dobrze ocenić odległości i nie udało mu się całkiem uniknąć ciosu, który trafił go w czubek głowy i posłał do tyłu. Hal znów wpadł na dwóch widzów. I tym razem go złapali, lecz nim zdążyli popchnąć go z powrotem w stronę Tursguda, ten krzyknął:

– Przytrzymajcie go!

Okazało się, że tym razem Hal wpadł na członków drużyny Rekinów. Teraz poczuł, jak ich dłonie zaciskają się na jego ramionach i unieruchamiają go. Cekał bezradnie, kiedy Tursgud podszedł do niego, mierząc odległość, z prawą pięścią wyciągniętą do ciosu.

Hal przekręcił się w bok, by uniknąć uderzenia, schylił głowę. Udało mu się tylko po części. Jęknął z bólu pod ciosem. Skulił się, ale wtedy usłyszał:

– Podciągnijcie go!

Głos należał do Tursguda, wydawało się jednak, że dochodzi z bardzo daleka. Halowi brzęczało w uszach, zdał sobie sprawę, że traci przytomność. Czyjaś ręka chwyciła go za włosy i podciągnęła jego głowę do góry, aż łzy bólu pociekły mu po twarzy. Otworzył nieuszkodzone oko i przez mgłę zobaczył, jak Tursgud znów unosi prawą pięść do ciosu, powoli i metodycznie. Tym razem chciał

mieć pewność, że trafi.

W ostatnim momencie Hal znów zrobił unik w bok, poczuł tylko, jak pięść boleśnie ociera się o jego policzek i trafia w ucho, aż krew pociekła z rozerwanego płatka.

– Trzymajcie go, do licha!

Dłonie, trzymające Hala za ramiona, zacisnęły się jeszcze mocniej. Znów ktoś pociągnął go za włosy, znów Tursgud, którego widział teraz jako zamazany kształt, zamierzył się do kolejnego ciosu.

„Pewnie tak właśnie Ingvar widzi świat”, pomyślał Hal. Słyszał krzyki. Czaple wymyślały Tursgudowi za jego tchórzowskie postępowanie, ale niczego nie mogły zrobić, było ich za mało. Rekiny z kolei darły się dziko, zachęcając swego przywódcę okrzykami pełnymi zwierzęcej nienawiści:

– Zabij go! Zabij go!

Hal rozpoznawał pojedyncze głosy. Rozpaczliwy krzyk Stiga, bez słów, ale Hal wiedział, że to on. Stefan wydzierał się na Tursguda:

– Ty tchórze! Walcz fair!

– Zabij go! Zabij go! – znów któryś z Rekinów, Hal nie wiedział który.

– Hal? Wszystko w porządku? – tym razem był to głos Ingvara. Hal, mimo beznadziei całej sytuacji, a może właśnie z powodu tejże, uśmiechnął się. Spuchnięte wargi przeszył ból.

„Nie, zdecydowanie nie w porządku”, pomyślał. Że też ludzie zawsze zadają to pytanie, kiedy wyraźnie widać, że odpowiedź musi być negatywna. „Zdecydowanie nie w porządku, a on zaraz znowu mnie walnie”.

Nagle jakaś wysoka postać pojawiła się znikąd i stanęła między nim a Tursgudem. Nim przywódca Rekinów zdążył zadać ostatni cios, potężna pięść spadła na jego ramię i powaliła go na ziemię.

– Wystarczy, tchórze!

„Rollond”, pomyślał Hal. „Co on tu robi?”

– Puście go! – rozkazał Rollond. Chłopcy przytrzymujący Hala puścili go posłusznie i odsunęli się, zabierając ręce, na których miejscu pojawiły się jakieś inne, by go przytrzymać.

– Hal? Wszystko w porządku? – To był Jesper.

Hal odwrócił głowę i spojrzał na niego półprzytomnie.

– Oczywiście, że nie. Co, u licha, robi tu Rollond?

Potrząsnął głową, by odzyskać ostrość widzenia. Tursgud, z twarzą zalaną krwią i nosem pod bardzo dziwnym kątem, niezgrabnie stanął na nogi.

– Nie mieszaj się, Rollond! To nie twoja walka! – Głos Tursguda brzmiał dość niepewnie. Skirl zdawał sobie sprawę, że Rollond nie jest sam. Przyprowadził ze sobą dziewięciu członków drużyny, co bynajmniej nie wróżyło dobrze Tursgudowi.

– To nie jest zwykła walka – odparł Rollond tonem pełnym potępienia. – To zwykły tchórzowski napad. Mogłem się domyślić, że będziesz próbował czegoś podobnego.

Tursgud wymierzył palcem w półprzytomnego Hala, którego podtrzymywali Jesper i Ulf. „A może Wulf”, pomyślał Hal. Właściwie było mu wszystko jedno.

– Udzielam temu aralueńskiemu śmieciowi bardzo pouczającej lekcji! – warknął Tursgud.

Rollond przez dłuższą chwilę przyglądał się złamanemu, krwawiącemu nosowi Tursguda. W końcu odpowiedział, z pogardliwym śmiechem:

– Ale jak? Waląc nosem w jego pięść?

Wilki zaśmiały się, niektórzy członkowie Czapli zawtórowali im, przede wszystkim jednak czuli wściekłość na Tursguda za to, jak potraktował ich przywódcę. Stig, którego chwilę wcześniej

rozwiązało dwóch podwładnych Rollonda, podniósł się teraz, czerwony ze złości, i rzucił się na Tursguda.

– Ty tchórz! Zaraz ci pokażę! – zaczął, lecz Rollond zagroził mu drogę.

– Daj spokój, Stig – powiedział rozsądnie. – Wystarczy bijatyki jak na jeden dzień. – Pochylił się ku niemu i dodał, zniżając głos: – Poza tym nigdy nie powinieneś przystępować do walki, kiedy jesteś wściekły.

– Ale...

– Stig! Jesteś mi poszebnym! – krzyknął Hal. Nie mógł wyraźnie wypowiadać słów, wargi miał spuchnięte i rozbite. Stig odwrócił się na głos przyjaciela i pospieszył ku niemu. Na jego twarzy malowały się silne emocje, wściekłość na Tursguda walczyła w nim z troską o przyjaciela.

– Tak mi przykro, Hal! Podeszli mnie podstępem! Nie mogłem nic zrobić! – Łzy płynęły mu z oczu, kiedy patrzył na porozbijaną twarz przyjaciela. Hal położył mu rękę na ramieniu.

– Daj spoój – powiedział. – Rollą tu est.

– Ale... – Stig odwrócił się i spojrzał na zgiętego w pół Tursguda, który wpatrywał się z kolei w Rollonda – właśnie dotarło do niego, że walka jest skończona.

– Daj spoój – powtórzył Hal.

Stig w końcu się opanował.

– Dobrze, skoro tego sobie życzysz.

Hal więcej się nie odezwał, mówienie sprawiało mu zbyt wielki ból. Poklepał Stiga po ramieniu, spróbował się uśmiechnąć i skrzywił się z bólu.

– A teraz wynocha stąd, tchórzliwe śmiecie! – powiedział Rollond do Tursguda i jego bandy. – Następnym razem będziecie musieli stawić czoło dwóm drużynom naraz.

Teraz, kiedy minęło podniecenie towarzyszące walce, niektórych członków drużyny Rekinów ogarnął wstyd – za przywódcę i z powodu własnego zachowania. Odwrócili się i ruszyli przed siebie ze zwieszonymi głowami. Tursgud jeszcze raz rzucił spojrzenie w stronę Hala, po czym poszedł w ich ślady.

Stig pomógł Halowi usiąść na ziemi, podpierając ramieniem jego plecy. Hal powiódł wzrokiem dokoła. Wciąż kręciło mu się w głowie, oko miał tak spuchnięte, że właściwie nic nim nie widział. Rollond podszedł do niego i ukucnął obok.

– Przykro mi, że tak późno się zjawiliśmy. Ktoś z mojej drużyny zobaczył, jak Tursgud wraz z resztą Rekinów skrada się przez las w kierunku waszego obozu. Pomyślałem sobie, że pewnie ma złe zamiary, zebrałem drużynę i przybiegliśmy najszybciej, jak się dało.

– Dzięki. A już było z nami źle – powiedział Stig. Hal skinął głową i ruchem ręki pokazał, że Stig będzie za niego mówił. Rollond potrząsnął głową i spojrzał na Hala z czymś na kształt podziwu.

– Nieźle przestawiłeś Tursgudowi facjatę. Nos zupełnie mu się wykrzywił. Zaboli, kiedy będą mu go nastawiać.

Hal ponownie skinął głową, a potem, z wielkim wysiłkiem, powiedział:

– I dobre.

Rollond wyszczerzył się szeroko.

– Nie sądzę, by drugi raz próbował, ale w razie czego będziemy czujni. – Ostrożnie dotknął palcem wskazującym spuchniętego oka Hala. – Lepiej przyłóż zimny kompres. – Potem podniósł się i machnięciem ręki przywołał drużynę. – Chodźcie, wracamy do domu.

ROZDZIAŁ 26

Następnego dnia Hala wszystko bolało i bardzo było mu żal samego siebie. Przecięta warga i naderwane ucho ćmiły nieprzyjemnie, a siniak pod lewym okiem, pomimo wszelkich wysiłków Stiga i Edvina oraz kompresów z lodowatej wody, zmienił się w wielką fioletową kulę, przez którą Hal w ogóle nie mógł otworzyć oka.

Obtarte knykcie również bolały, ale ból wydawał się znacznie mniejszy, kiedy Hal przypominał sobie moment, w którym zmiażdżyły nos Tursguda. Wspomnienie to niosło sporą pociechę.

– Co się stało? – zapytał Sigurd, patrząc na poturbowaną twarz Hala, kiedy po porannych ćwiczeniach zebrali się na trening z bronią.

– Wpadłem na drzewo – odparł Hal. Sigurd z namysłem potarł podbródek.

– Pewnie na to samo co Tursgud. Jakieś bardzo waleczne drzewo.

– Tak jest – odparł Hal, patrząc prosto przed siebie, by uniknąć wzroku nauczyciela.

– Niech to się więcej nie powtórzy.

Ton jego głosu wyraźnie dawał do zrozumienia, że jest to rozkaz. Sigurd spodziewał się, że wśród uczniów mogą zdarzyć się bójkki. Często taka konfrontacja działała bardzo oczyszczająco. Nie zamierzał jednak tolerować ciągłej przemocy czy wrogości. Takie rzeczy były niezgodne z ideą drużyn. Między drużynami powinna istnieć chęć rywalizacji, a nie nienawiść czy strach. W przyszłości ich członkowie mieli przecież razem walczyć i pracować.

– Tak jest – odparł Hal. Sigurd odchrząknął i poszedł dalej, skinieniem głowy dając Gortowi znak, by zaczynał.

Po kilkutygodniowym treningu przy słupach chłopcy przeszli do kolejnego etapu – pozorowanej walki na drewnianą broń, wykonaną dokładnie na wzór prawdziwej. Po tygodniach codziennych biegów, ćwiczeń i treningów z orężem ich mięśnie były twarde i napięte. Podczas porannych ćwiczeń nie dostawali już zadyszki, jak na początku. Byli silni i zahartowani, ścierając się w walce dowodzili szybkości i siły.

Hal bardzo się rozwinął, władał już mieczem z ponadprzeciętną sprawnością. Bardzo pomogła mu pewna umiejętność – postrzeganie przestrzenne – zdolność do oceny odległości, kątów i szybkości, dzięki której był tak dobrym sternikiem. Kiedy przeciwnik zamierzał się na niego, instynktownie wiedział, jak uniknąć ciosu.

Niewątpliwie najlepszym wojownikiem w ich drużynie był Stig. Muskularna budowa ciała i siła czyniły zeń wspaniałego topornika. Do tego był szybki i miał świetną koordynację ręka-oko, której często brakowało wysokim i mocno zbudowanym chłopcom. Wulf i Ulf także się wyróżniali.

Pozostali radzili sobie zadowalająco – choć „zadowalający” w kraju, gdzie umiejętność władania bronią stawia się tak wysoko, w innych krajach znaczyłoby raczej „świetni, niebezpieczni wojownicy”.

Ingvar, rzecz jasna, był niebezpieczny dla każdego, kto znalazł się w pobliżu, zarówno wroga, jak i przyjaciela.

Hal ćwiczył tego dnia z Ulfem. Mieli na sobie pikowane kurtki, rękawice z grubej skóry i skórzane hełmy, również wzmocnione pikowaniem. Ćwiczyli, jak się zadaje i odparowuje ciosy, blokuje, robi uniki oraz – w przypadku Hala – jak naciera się na przeciwnika.

Każde uderzenie drewnianego miecza, czy to oddane, czy przyjęte na tarczę, sprawiało Halowi

okropny ból. W dodatku, ponieważ jedno oko miał zamknięte, nie mógł tak sprawnie jak zwykle dojrzeć ruchów Ulfa i udawało mu się blokować jedynie część ciosów. W pewnym momencie zarządził przerwę, unosząc dłoń, zdjął hełm i otarł pot z czoła, krzywiąc się przy tym z bólu, kiedy niechcący dotknął spuchniętego oka. Rozejrzał się. Żaden z nauczycieli nie patrzył, podszedł więc bliżej do Ulfa.

– Moglibyśmy trochę przystopować? – zapytał. – Głowa mi pęka za każdym razem, kiedy uderzam w twoją tarczę albo kiedy ty uderzasz w moją.

Ulf skinął głową z przeproszącą miną. Głupio mu było, że poprzedniego dnia tak łatwo dał się obezwładnić. Czuł, że on i jego brat powinni byli bardziej się postarać, choć nie wiedział tak naprawdę, co konkretnie mieliby zrobić.

– Oczywiście. Nie pomyślałem o tym.

– I nie wal za bardzo w tę stronę – dodał Hal, pokazując spuchnięte lewe oko. – Prawie nic nie widzę.

Ulf jeszcze raz skinął głową. Hal włożył hełm i znów przystąpili do ćwiczeń.

Ulf machnął toporem nad głową, ale w ostatnim momencie przyhamował, tak że topór spadł na tarczę z minimalną siłą. Hal zrobił podobnie, zatoczył mieczem łagodny łuk i w chwili, gdy miecz miał uderzyć w tarczę Ulfa, zmniejszył siłę ciosu. Następnie Ulf zadał cios z lewej strony – dzięki temu Hal wyraźnie widział, co się dzieje – również o zredukowanej sile. Hal już gotował się do następnego uderzenia, gdy usłyszał ryk za plecami:

– NA WIELKIEGO WIELORYBA, CO WY, PANIENKI, WYPRAWIACIE?

Odskoczyli od siebie i stanęli na baczność. Sigurd podszedł do nich niezauważenie, zaalarmowany zbyt cichym odgłosem ich broni. Dokoła rozlegało się głośnie trzaskanie drewnianych mieczy i toporów o tarcze. Hal zdał sobie sprawę, że popełnili błąd.

Sigurd stał z nosem tuż przy twarzy Ulfa, pochylony nad przerażonym chłopakiem.

– Opuuszczasz, bo twój przyjaciel ma limo na oku?

Ulf spojrzał nerwowo na Hala, zaraz jednak z powrotem zwrócił spojrzenie na nauczyciela, kiedy ten wrzasnął:

– PATRZ NA MNIE!

– Ummmm... – zaczął Ulf niepewnie. Hal zauważył, że pozostali chłopcy przerwali ćwiczenia i przyglądają się im. Sigurd też się przyglądał. Odwrócił się gwałtownie.

– WRACAĆ DO ĆWICZEŃ, BO ZARAZ SAM WAS PRZEĆWICZE! – zagroził. Tego nikt by sobie nie życzył. Sigurd doskonale posługiwał się toporem, każdy zdawał sobie sprawę, że jego przeciwnik skończyłby z poważnymi obrażeniami. Znów rozległo się szcęknięcie drewnianych toporów o tarcze. Sigurd ponownie zwrócił spojrzenie na Ulfa, który cofnął się o kilka kroków, kiedy nauczyciel był zajęty dyscyplinowaniem reszty uczniów.

– NIE SŁYSZAŁEM ODPOWIEDZI! – ryknął.

Hal wystąpił naprzód i powiedział:

– To ja poprosiłem Ulfa, żeby przyhamował. Oko bardzo mnie boli.

Sigurd spojrzał na niego z troską.

– Oko cię boli? To straszne.

Hal domyślał się, że to zatroskanie bynajmniej nie jest szczere. Uznał, że najlepiej będzie nic więcej nie mówić. Sigurd wyciągnął rękę w stronę Ulfa, niecierpliwie pstrykając palcami.

– Topór – powiedział. Ulf podał mu oręż, a Sigurd obejrzał go, zważył w dłoni, po czym jeszcze raz spojrzał na Hala.

– Bolało, kiedy Ulf zrobił tak? – zapytał, wymierzając mocny cios z boku w tarczę Hala. Hal

skrzywił się z bólu.

– Tak.

– A co powiesz na to?

Tym razem uderzenie spadło z góry, oddane z ogromną prędkością i miażdżącą siłą. Halowi aż się ugięły kolana.

– Tak – sapnął.

– A to? A to? A to?

Trzy potężne ciosy, wymierzone w błyskawicznym tempie, pod trzema różnymi kątami, spadły na tarczę. Hal zachwiał się pod ich siłą.

– Tak! – odparł, kiedy Sigurd zatrzymał się i spojrzał na niego, lekko przekrzywiając głowę, w oczekiwaniu na odpowiedź. Uśmiechnął się złowieszczo.

– To doskonale – powiedział, po czym rzucił topór Ulfowi, który chwycił go niezręcznie. – Trenujcie dalej. Jeżeli zobaczę, że znów sobie odpuszczacie, stracieście dwadzieścia punktów. Dziesięć za to, że oszukujecie, i dziesięć za to, że bierzecie mnie za durnia.

– Tak jest! – odparli chórem chłopcy. A kiedy Sigurd sobie poszedł, popatrzyli po sobie i z ulgą przewrócili oczami.

Po kilku krokach nauczyciel zawrócił, a oni prędko przybrali odpowiednie miny.

– Może zainteresuje was – powiedział – że Tursgud próbował tego samego numeru. Jemu też nie wyszedł na zdrowie.

Hal był pewien, że kiedy Sigurd się odwrócił, na jego twarzy widniał uśmiech.

ROZDZIAŁ 27

Po południu w porcie Hallasholm pojawił się czarny okręt.

Było to okręt wojenny i normalnie nie dostałby pozwolenia na wejście do portu. Został jednak poważnie uszkodzony, stracił maszt, który załoga zastąpiła mniejszym drzewcem, zapewne zapasową reją. Z tego powodu mocno zrefowano żagiel, aż do połowy normalnej wielkości. Gdy okręt przepływał koło falochronu, widać było, jak członkowie załogi wygarniają wodę wiadrami.

Hallasholm z pewnością nie musiało obawiać się nagłego ataku.

Okręt był wielkości dużego wilczego okrętu, zaopatrzony w dziesięć par wiosł. Dziób, w przeciwieństwie do wdzięcznie wygiętego dzioba wilczego okrętu, stanowił linię prostą. Ponad powierzchnią wody wznosił się taran – przyczepiony z przodu, okuty żelazem drewniany trzpień.

Kapitan, po otrzymaniu pozwolenia na wejście do portu, podpłynął do żwirowej plaży. Członkowie załogi przysiedli na ławkach, wyczerpani wybieraniem wody.

Kapitan zszedł na brzeg. Komandor straży portowej i jego dwóch ludzi zaprowadzili obcego do oberjarla.

Erak w milczeniu przyglądał się stojącemu przed nim mężczyźnie. Był on wysoki, dobrze zbudowany, ale nie tak potężny jak przeciętny Skandianin. Długie czarne włosy spływały puklami po obu stronach jego twarzy, gładko ogolonej, o smagłej cerze i wystających kościach policzkowych. Miał prosty długi nos i ciemne oczy. Uśmiechnął się, lecz Erak pomyślał, że w tym uśmiechu jest coś wyniosłego.

– Mam na imię Zovac – powiedział obcy. – Jestem kapitanem, mój okręt nazywa się „Kruk”.

Erak zerknął z boku na Borsę, swego hilfmanną.

– Ostatnio to chyba modne nadawać okrętom imiona ptaków – stwierdził sucho. Z przyjemnością patrzył, jak uśmiech zastyga na twarzy Zavaca, ustępując miejsca lekkiemu zdezorientowaniu. Erak machnął niedbale ręką. – Nieważne. To taki żarcik. Co możemy dla was zrobić? Podobno wasz okręt został uszkodzony.

Zovac nie od razu odpowiedział. Najpierw rozejrzał się po hali. Była to prosta konstrukcja z belek i sosnowych desek, o niskim stropie i skromnym wystroju, lecz wygodna i ciepła. Na końcu pomieszczenia, za krzesłem Eraka, płonął ogień. Krzesło, pełniące funkcję tronu, także zrobiono z pozbawionego ozdób drewna wygładzonego na kolor złotego miodu przez lata użytkowania.

– Przypuszczam, że rozmawiam z jarlem tej wioski? – spytał Zovac z wyższością w głosie.

Erak przez kilka sekund przyglądał mu się nieruchomym wzrokiem, po czym ziewnął. Borsą wystąpił naprzód i wyjaśnił z nieskrywanym oburzeniem:

– Mówisz do oberjarla Skanii. Radzę ci zmienić ton. W każdej chwili możesz wrócić swoją dziurawą łajbą na morze.

Zovac skłonił się, prawą dłonią przesuwając po ciele pełnym wdzięku gestem, po czym podniósł wzrok.

– Proszę o wybaczenie, oberjarlu – powiedział przymilnie. – Nie miałem pojęcia gdzie jesteście. Kilka dni temu złapał nas sztorm i zmiotł z kursu. Całkowicie straciliśmy rozeznanie. Maszt złamał się i wpadł do wody, nim zdążyliśmy go odrąbać, przedziurawił kilka desek pod powierzchnią wody.

– Brzmi nieciekawie – stwierdził Erak.

– Znaleźliśmy się w bardzo marnym położeniu – przytaknął Zovac. Nie mogłem uwierzyć naszemu

szczęściu, kiedy ujrzelśmy dym unoszący się z kominów nad waszym miastem. Przypuszczam, że skoro jesteś oberjarlem, to znajdujemy się w Hallasholm?

„Łżesz”, pomyślał Erak. „Wiesz, że to Hallasholm. Dlaczego kłamiesz?”

– Skąd jesteście? – zapytał.

Zavac machnął ręką gdzieś w kierunku południowo-wschodnim.

– Z Madziarii – odparł. – To na wschód od Teutonii. Słyszałeś?

– Tak, wiem, gdzie to jest – odparł Erak obojętnie. – Ale nigdy tam nie byłem.

– Jesteśmy kupcami. Wyłynęliśmy trzy tygodnie temu, kierując się na Przylądek Schronienia.

Mieliśmy nadzieję, że uda nam się sprzedać towary na wybrzeżu Sonderlandu i...

– Jakie towary? – przerwał mu Erak, a wtedy kapitan zawahał się. Nie był przygotowany na takie pytanie.

– Yyy... wino... i sery. Sonderlandczycy uwielbiają nasze sery. Zamierzaliśmy wymienić je na onyks i macicę perłową. – Na chwilę odwrócił wzrok, ale zaraz znów spojrzął w oczy Eraka, wpatrzone w niego nieruchomo. – Oczywiście, musieliśmy wszystko wyrzucić za burtę, kiedy nasz statek zaczął tonąć – dodał zaraz, jakby nagle zdał sobie sprawę, że Erak mógłby poprosić o pokazanie mu towarów.

– Szkoda – rzekł Erak. – Przydałoby się trochę wina.

Zavac uśmiechnął się przepaszająco i bezradnie rozłożył ramiona. Erak nic nie powiedział. Cisza wydłużała się nieprzyjemnie. W końcu oberjarl poprawił się na krześle i znów przemówił:

– A więc przypuszczam, że potrzebujecie desek i lin do naprawy statku i jedzenia dla załogi?

Zavac skinął głową.

– Zapłacimy za wszystko. Nie poniesiecie strat, pomagając nam.

Erak potarł podbródek. Nie wierzył temu człowiekowi. Ale jego statek z pewnością wymagał naprawy, żaden Skandianin nie wysłałby go na morze w takim stanie. W takich kwestiach obowiązywały niepisane prawa. W końcu Erak skinął głową.

– Dobrze. Omów z Borsą wszystkie szczegóły i wysokość opłaty portowej – powiedział i machnął ręką. Kiedy Zavac odwrócił się do wyjścia, Erak zatrzymał go.

– Jedna sprawa. Powiedz swoim ludziom, żeby zachowywali się przyzwoicie. Nie chcę kłopotów.

Zavac kiwnął głową z uśmiechem.

– Rozumiem. To spokojne miasto i nie chcesz, by coś ten spokój zburzyło.

Erak uśmiechnął się w odpowiedzi, ale był to uśmiech rekina.

– Nie. To bardzo niespokojne miasto i jeśli twoi ludzie będą sprawiać jakieś kłopoty, moi ludzie się z nimi rozprawią. Nie mam ochoty płacić wam za ewentualne straty. Jasne?

Uśmiech zgasł na twarzy Zavaca. Przez chwilę łudził się, że oberjarl tylko żartował, nic jednak na to nie wskazywało. Znów kiwnął głową, tym razem powoli.

– Jasne – odparł i wyszedł za Borsą z hali.

Erak, odczekawszy, aż drzwi zamkną się za nimi, odwrócił się i krzyknął przez ramię:

– Co o tym sądzisz, Svengalu?

Svengal, przez wiele lat pełniący funkcję jego zastępcy, a obecnie skirla na „Wilczym Wichrze”, wyszedł zza zasłony, gdzie stał ukryty przez cały czas.

– Jeśli to jest zwykły kupiec, to ja jestem ciocia Winfredia – odparł.

Erak uniósł brwi.

– Masz ciocię o imieniu Winfredia?

Svengal machnął ręką.

– To tylko takie wyrażenie, wodzu. Ten człowiek jest piratem, dałbym sobie za to głowę uciąć.

– Zgadzam się z tobą – powiedział Erak, krzywiąc się z niesmakiem. – Większość Madziarów to piraci.

– Na pewno byliby zdolni do tego, by uszkodzić własny statek i w ten sposób dostać się do portu – dodał Svengal. – To byłaby typowa dla nich sztuczka. Wpłynąć do portu, naprawić okręt, złupić nas i zwiać.

Skandianie również trudnili się rabunkiem. Napadali na obce miasta i wsie, rabowali wszystkie cenne przedmioty. Nazywali to „uwalnianiem”. Najczęściej mieszkańcy uciekali, gdy tylko zorientowali się w sytuacji, czasami przystępowali do walki. I czasami wygrywali. Erak i Svengal uważali, że postępują jak najbardziej uczciwie. W przypadku wygranej nie brali odwetu na mieszkańcach, nie karali ich za to, że mieli czelność bronić swojej własności.

Ale piractwo to była zupełnie inna sprawa. Piraci – i Erak miał rację, rzeczywiście wielu Madziarów trudniło się tym procederem – polowali na samotne statki na morzu, zwykle mniejsze od ich statków i nieprzygotowane do walki. Kiedy już napadli taki statek i zabrali towar, zwykle zatapiali go, a załogę wybijali, by nie został ślad po ich niecznych czynach.

– Miej na niego oko – powiedział Erak. – Jak tylko zaczniesz coś kombinować, daj mi znać.

– Załatwione – odparł Svengal i rozciągnął wargi w uśmiechu. – Chcesz, żebym się przebrał do tej roboty?

Erak zmarszczył brwi.

– Żebyś się przebrał? Ale za kogo?

– Za ciocię Winfredię. Żaden się nie zorientuje.

Erak przyglądał mu się w milczeniu. Pomyślał, że kiedy był zwykłym skirlem, Svengal nigdy nie odnosił się do niego w sposób tak obcesowy. Ale po namyśle stwierdził, że na chwilę pamięć go zawiodła. Potrząsnął głową.

– Wynoś się.

– Tak jest, wodzu. A jeśli spotkasz w mieście starą utykającą kobietę, bądź dla niej uprzejmy. Zapewne będę to ja.

– Jeszcze tu jesteś? – zapytał Erak, lecz tym razem nie uzyskał odpowiedzi.

ROZDZIAŁ 28

Po skończonym treningu chłopcy tylko czekali na sygnał, by rozejść się do kwater i odpocząć. Sigurd postanowił jednak sprawić im niezbyt miłą niespodziankę.

– Zawody w drużynach! – oznajmił, wkraczając na pole. Chłopcy popatrzyli po sobie z konsternacją. Mieli za sobą długi dzień. Po południu ćwiczyli wiosłowanie, a była to ciężka i wyczerpująca praca. Wszystkich bolały mięśnie. Niespodzianka okazała się jeszcze mniej przyjemna, niż przypuszczali.

– Bieg z przeszkodami! Konkurencja zespołowa! Dziesięć minut! Zbierzcie sprzęt!

Ze wszystkich stron dobiegły pomruki niezadowolenia. Trasa, licząca siedem kilometrów, wiodła dokoła pola treningowego, przez gęsty las, w górę i w dół licznych wzniesień. Bieg nie tylko wymagał siły mięśni, lecz również narażał uczestników na rozliczne tortury związane z pokonywaniem przeszkód naturalnych i sztucznych, jak: stroma skała, dwa strumienie, które należało przebyć w bród, oraz sadzawka pełna ohydnej kleistej mazi, którą z kolei trzeba było pokonać na zawieszanej ponad nią linie, a także drewniany, ponad dwumetrowy mur – w tym wypadku panowała całkowita swoboda, zawodnicy mieli prawo przeskoczyć go, wspinać się nań bądź wgramolić. Dalej gruba lina, rozciągnięta jakieś pół metra nad ziemią – zawodnicy mieli przeczołgać się pod nią na brzuchu, przez całą jej długość, czyli piętnaście metrów.

Żeby było jeszcze ciekawiej, jak ujął to Sigurd, musieli wykonać te wszystkie zadania w pełnym uzbrojeniu.

– Tak to wygląda podczas prawdziwej bitwy – wyjaśnił. – Powinniście się przyzwyczajać.

Tak więc Czaple podwieszały się na linie, wspinały się i czołgały, ślizgały, zjeżdżały i brodziły w wodzie. Już raz pokonywali tę trasę podczas treningu, Hal wiedział, że potrafią uzyskać całkiem dobry czas. Sprawniejsi i silniejsi zawodnicy, jak Stig, Jesper i bliźniaki, pomagali tym słabszym. Jednak ostatnia przeszkoda okazała się ich zgubą. Był to gruby pniak długości sześciu metrów, zawieszony nad kolejnym błotnistym bajorem. W każdym razie wszyscy mieli nadzieję, że błotnistym, odzywały się bowiem głosy, że to coś znacznie mniej przyjemnego niż błoto. Dobywający się z niego ohydny smród raczej nie mógł rozwiać tych obaw. Edvin mruknął, że słyszał, jakoby wszystkie chlewy w mieście zrobiły się nagle bardzo czyste.

Siedmiu z ośmiu członków drużyny zdołało przejść na drugą stronę – w różnym stylu. Stig i Hal biegiem, bez większego wysiłku, Jesper także – nic dziwnego, wzięwszy pod uwagę jego sławne upodobania. Bliźniaki nieco bardziej statecznie, przez cały czas obrzucając się wzajemnie obelgami. Stefan bokiem, zgięty niemal w pół, z językiem wyciągniętym na brodę i mruczając sobie pod nosem dla dodania otuchy. Edvin, który spadł z pniaka i dosłownie w ostatniej chwili uniknął katastrofy, chwytając się go – po czym musiał niezgrabnie wdrapać się z powrotem i okrakiem, bardzo powoli posuwać się ku zbawczemu brzegowi.

Natomiast Ingvara ostatnia przeszkoda doprowadziła do upadku – dosłownie.

Wkroczył na gładki pień niczym wielki niezgrabny niedźwiedź. Przykucnął, wyraźnie przerażony. Był boso, widzieli, jak instynktownie podkurczył palce, próbując znaleźć oparcie na śliskiej powierzchni. Potem wyprostował się, rozkładając ramiona na boki i chwiejąc się złowieszczo.

– Dalej, Ingvar! – krzyczeli.

Zrobił niepewny, chybliwy krok. Zamachał ramionami. I znów ukucnął, tym razem podpierając

się rękami.

– Jak daleko do ziemi? – zawołał.

Hal zawahał się, po czym, wiedząc, że Ingvar i tak nie może tego zweryfikować, odkrzyknął:

– Jakieś dwadzieścia centymetrów!

Uznał, że Ingvar łatwiej pokona przeszkodę, jeśli nie będzie myślał o zięjącej pod nim dwumetrowej przepaści. Ale on nie dał się nabrać. Pamiętał, że musiał wspiąć się znacznie wyżej, by wejść na pień.

– Wiem, że kłamiesz! – krzyknął, desperacko przywierając do pnia. – Nie mogę. Bardzo mi przykro.

– Zrób tak jak Edvin! – krzyknął Stig.

Ingvar zmarszczył brwi. Oczywiście nie widział, w jaki sposób Edvin przedostał się na drugą stronę.

– To znaczy jak? – zapytał drżącym głosem.

– Siądź okrakiem i przesuwaj się na zadku! – wyjaśnił Edvin. Ingvar kiwnął głową po krótkim namyśle.

– Niegłupie – stwierdził. Usiadł ostrożnie, zwieszając nogi po obu stronach pniaka, złapał go rękami i zaczął się przesuwac. Nagle, gdzieś w jednej trzeciej drogi, wrzasnął: – Au! Au! Au! Auauau!

– Co znowu? – zapytał Hal, spoglądając nerwowo w stronę końcowego odcinka trasy. Przez Ingvara tracili czas. A nie mieli go zbyt wiele.

– Drzazgi. Drzazgi. Nic z tego – zawołał żałośnie Ingvar. Halowi ręce opadły. Spojrzał na Stiga.

– Musimy go przeprowadzić – powiedział. Stig aż się cofnął z przerażenia. Spojrzał na złowrogą kleistą maź.

– Chyba żartujesz. Jeśli spadnie, spadniemy razem z nim.

– Musimy to zrobić, to jedyne wyjście. Każdy uczeń musi pokonać każdą z przeszkód.

Słowa Stiga okazały się prorocze. Ingvar rzeczywiście spadł, a oni spadli razem z nim. I stało się to trzy razy. Kiedy w końcu dotarli do celu, ociekali cuchnącym błockiem. Pozostali chłopcy cofnęli się, robiąc im bardzo dużo wolnego miejsca.

– Dzięki, chłopaki – powiedział Ingvar.

Hal ze znużeniem machnął ręką, z której kapała paskudna breja.

– Zrobiłbyś to samo dla nas.

Ingvar spojrział po sobie, potem na swych dwóch wybawicieli. Wzrok wprawdzie miał nie najlepszy, za to zmysł węchu jak najbardziej sprawny.

– Nie – oznajmił dobitnie. – Na pewno nie.

Potem dochlupotali do mety, gdzie pozostałe drużyny powitały ich gromkim śmiechem. Nawet Tursgud odzyskał poczucie humoru, które zdawało się szwankować od czasu bójki z Halem.

– Hal Jaki wpadł do kloaki – zawołał, wywołując kolejny wybuch wesołości. Hal, choć kipiał z wściekłości, musiał przyznać, że to mu się udało. Dochlupotał do Sigurda, który cofnął się i skrzywił okropnie.

– Czuple meldują ukończenie biegu. Jak nam poszło?

Sigurd spojrział na niego, przekrzywiając głowę.

– Żartujesz?

Hal wzruszył ramionami.

– Rozumiem, że jesteśmy ostatni?

Sigurd zanotował coś na jednej z licznych pergaminowych kart.

– Jesteście tak bardzo ostatni – odparł – że jeszcze w przyszłym roku będziecie ostatni.

Dwa dni później Hal zabrał „Czapłę” do portu. Mieli za sobą próbny sprawdzian z nawigacji i ich drużyna poradziła sobie najlepiej. „Czapla” okazała się szybsza we wszystkich próbach za wyjątkiem dwóch: pod wiosłami oraz przy pełnym wietrze. Hal był zadowolony z osiągnięć załogi. Wszyscy przyzwyczaili się już do niezwykłego żagla, nawet Gort, z początku dość sceptyczny, był pod wrażeniem wynalazku Hala. „Czapla” mogła znacznie bardziej zbliżyć się do linii wiatru niż okręty o prostokątnych żaglach. A Hal nie zdradził dotychczas wszystkich możliwości okrętu w tym zakresie. Wolał, żeby Rollond i Tursgud nie wiedzieli, co ich czeka.

Kiedy znaleźli się w porcie, Hal wskazał na długi czarny kształt, zacumowany nieco dalej przy samym brzegu. Zauważył go już poprzednim razem, kiedy byli w porcie, ale wtedy nie miał czasu o niego zapytać.

– Czyj to?

Gort skrzywił się niechętnie.

– Madziarów. Stracili maszt podczas sztormu. Erak pozwolił im tu zostać, by dokonali koniecznych napraw. – Mina nauczyciela nie pozostawiła wątpliwości co do tego, jakie jest jego zdanie na ten temat. Hal już otworzył usta, by zadać kolejne pytanie, lecz ubiegł go Sigurd, który właśnie zjawił się na pomoście.

– Konkurencja! – wrzasnął. – Zapasy! Za piętnaście minut na Błoniach!

Wszyscy zaczęli w pośpiechu zwijać żagle, opuszczać maszty i cumować okręty, po czym pobiegli na Błonia, rozległy, porośnięty trawą obszar w centrum Hallasholm, gdzie każdy z mieszkańców miał prawo do wypasu dwóch sztuk bydła.

Zaznaczono na nim kredą koło o średnicy czterech metrów. Ta konkurencja, w przeciwieństwie do pozostałych, była otwarta dla publiczności i przyciągała tłumy widzów. Skandianie uwielbiali wszelkiego rodzaju zawody, a zapasy w szczególności. Hal był pewien, że porobili zakłady. Dostrzegłszy Thornę, który siedział w pobliżu, pomachał do niego. Thorn podniósł się i ruszył w jego stronę.

– Słyszałem, że doskonale ubawiłeś się podczas biegu z przeszkodami – powiedział.

Hal potrząsnął głową z wymuszonym uśmiechem. Wciąż czuł gorycz porażki. Domyślał się jednak, że dla każdego, kto przyglądał się im z boku, sytuacja musiała wyglądać zabawnie.

– Nie za bardzo się popisaliśmy.

Thorn, wskazując na biały krąg, odparł:

– Ale może dzisiaj lepiej wam pójdzie. Stig będzie walczył?

– A któżby inny? – Stig zdecydowanie najlepiej nadawał się do tego typu konkurencji.

Thorn pokiwał głową.

– Oby tylko nie poddał się emocjom, a będzie dobrze. Powodzenia.

Odszedł, powłócząc nogami, i przysiadł opodal na starym pniaku. Hal zauważył, że pozostali starają się trzymać od niego z daleka. Uśmiechnął się smętnie. Sam doświadczył czegoś podobnego po pamiętnym biegu z przeszkodami.

Sigurd stanął obok wyznaczonego koła. Wylosował dwóch pierwszych zawodników, również tym razem posługując się swoim starym hełmem.

– Wilki i Czaple! – oznajmił. – Pięć minut!

Czaple skupiły się w ciasnym kręgu dokoła Stiga, który usiadł na stołku i oddychał głęboko.

Wcześniej zdjął koszulę i teraz miał na sobie tylko spodnie do kolan. Stefan stanął za nim i zaczął masować mu ramiona i kark, by rozluźnić mięśnie.

– Sprawdź, kogo wyznaczyły Wilki – zwrócił się Hal do Jespera, który skinął głową i pospieszył wykonać polecenie.

Hal przyklęknął obok Stiga i cichym stanowczym głosem zaczął udzielać mu wskazówek:

– Pamiętaj, nie spiesz się. W pośpiechu możesz popełnić błąd. A przede wszystkim...

– Wiem, wiem – przerwał mu Stig z irytacją. – Mam nie tracić panowania nad sobą, tak?

Hal przypisał jego zdenerwowanie napięciu przed walką i odpowiedział jak gdyby nigdy nic, uspokajającym tonem:

– Będzie dobrze.

Spojrzał na Jespera, który właśnie przepychał się między chłopcami, otaczającymi Stiga ścisłym kręgiem.

– To Bjorn – oznajmił. Ktoś jęknął. Bjorn był silny i potężnie zbudowany. A do tego szybki.

– Dajcie spokój – powiedział Hal. – Spodziewaliśmy się, że to jego wybiorą. Jest dobry. Ale moim zdaniem, Stig, ty jesteś lepszy. Tylko pamiętaj...

– Wiem! Powiedziałeś to już pięć razy! Nie jestem głuchy! Mam nie tracić panowania nad sobą! – twarz Stiga poczerwieniała.

„Już straciłeś”, pomyślał Hal, czując, że ich szanse na wygraną maleją. Nic jednak nie powiedział.

– Trzydzieści sekund! – zawołał Sigurd.

Stig podniósł się, strącając dłonie Stefana, i podszedł do białego kręgu. Bjorn zajął miejsce naprzeciw niego. Hal bacznie zmierzył go wzrokiem. Mimo wiary w możliwości Stiga, zdawał sobie sprawę, że to będzie wyrównana walka. Bjorn był nieco cięższy. Stig za to szybszy. I odznaczał się lepszym balansem, a to miało duże znaczenie w zapasach. Zasady były proste. Jeśli zawodnik wyrzucił lub wypchnął przeciwnika poza ring, znaczyło to, że wygrał. Podobnie, jeśli zdołał przygwoździć go do ziemi na pięć sekund.

Gdyby któryś z zawodników zastosował chwyt uznawany za niebezpieczny lub wyjątkowo bolesny, a drugi zawodnik na to zareagował, sędziowie mogli interweniować i uznać zwycięzcą tego ostatniego.

To była walka bez żadnych półśrodków. Jak wygrałeś, to wygrałeś.

– Wilki gotowe? – zapytał Sigurd.

– Gotowe – odparł Bjorn lekko, z pewnością siebie.

– Czaple?

– Gotowe – głos Stiga zdradzał napięcie. Hal zmarszczył brwi. Nie najlepszy początek.

– Sędziowie? – zapytał znowu Sigurd. Hal uśmiechnął się, kiedy Gort, pełniący rolę arbitra, sięgnął do kieszeni, by upewnić się, że gwizdek znajduje się na miejscu. Potem zerknął prędko w kierunku Czapli.

– Gotowi – odparł, a pozostali dwaj nauczyciele, którzy również mieli obserwować walkę i ewentualne zgłaszać różne nieprawidłowości, powtórzyli za nim.

– W takim razie... ZACZYNAMY!

Głos Sigurda rozszedł się po szerokich Błoniach, odbił słabym echem od otaczających je budynków – i walka się rozpoczęła.

ROZDZIAŁ 29

Zawodnicy przekroczyli linię i zaczęli krążyć dokoła siebie. Każdy z nich obserwował postawę tego drugiego, szukając słabych punktów. Bjorn, rozluźniony, poruszał się lekko. Hal widział, że Stig jest spięty i nieco sztywny, każdy jego mięsień gotował się do reakcji na atak.

Zamarkował cios, a Bjorn cofnął się płynnym ruchem, po czym zrobił to samo. Stig odskoczył do tyłu jak spłoszony jelonek, na co Bjorn zaczął się śmiać.

Kark Stiga poczerwieniał.

– Zachowaj spokój, Stig – mruknął Hal pod nosem. Pozostali członkowie drużyny tłoczyli się obok niego, w napięciu obserwując zawodników. Na razie panowało milczenie, nikt nie próbował ich dopingować.

Milczenie przerwał Bjorn. Wyprostował się i pomachał ręką przed nosem, jakby odganiał nieprzyjemny zapach.

– Uuu! Coś tu padło czy jak? Okropnie cuchnie.

Wśród zebranych, nie tylko Rekinów i Wilków, lecz także mieszkańców miasta, przeszedł szmer rozbawienia. Bjorn wyszczerzył się w ich stronę, po czym zwrócił się ze śmiertelną powagą do Sigurda:

– Przepraszam, czy ten chłopak wziął kąpiel po biegu z przeszkodami?

Twarz Stiga coraz bardziej ciemniała z wściekłości. Najbardziej ze wszystkiego nienawidził, kiedy ktoś się z niego śmiał.

– Daruj sobie, Bjorn – odparł Sigurd. – Nie trać energii na pogaduszki.

Bjorn nie zamierzał jednak tak łatwo się poddać. Wciąż szeroko uśmiechnięty, całkowicie ignorując swego przeciwnika, ponownie powiedział do nauczyciela:

– Ciężko tu oddychać. Muszę wnieść skargę. Ta walka jest nie fair.

Hal widział, że Stig ma ochotę odpowiedzieć na zaczepki. Jego cierpliwość była na wyczerpaniu.

– Zachowaj spokój, Stig! – krzyknął ostrzegawczo. Bjorn spojrzał na niego i zapytał:

– Ach, więc on ma na imię Stig? Myślałem, że Rzyg. – Nagrodził go kolejny wybuch śmiechu.

Nagle Stig rzucił się na przeciwnika, rycząc z wściekłości.

Właśnie na to Bjorn liczył przez cały czas. Choć zdawał się zajęty rozmową z Sigurdem, a potem z Halem, przez cały czas obserwował swego przeciwnika niczym drapieżny ptak, w każdej chwili gotów na odparcie ataku. Hal jęknął, widząc, jak Bjorn łapie Stiga za ramiona, którymi ten wymachiwał dziko, i cofa się, wykorzystując przeciw Stigowi jego własną siłę rozpędu.

Potem Bjorn uniósł prawą stopę i kopnął Stiga w brzuch, następnie osunął się miękko na trawę, wyprostował nogę, jeszcze raz wymierzył kopniaka, tym razem obiema nogami, i upadł na plecy.

Był to idealnie skoordynowany i wykonany cios. Stig wystrzelił wysoko do góry i zatoczył wielki łuk. Następnie, w idealnie obliczonym momencie, Bjorn puścił nadgarstki Stiga, który przeleciał kilka metrów w powietrzu i wylądował ciężko na plecach. Pod wpływem uderzenia aż mu dech w piersi zaparło.

Nim zdążył się podnieść, Bjorn stał już nad nim. Chwycił go za prawą stopę i rzucił nim z całych sił. Stig znów zatoczył łuk i przejechał ślizgiem po mokrej trawie.

Próbował się zatrzymać, lecz był całkowicie bezradny. Wyjechał poza białą linię i znalazł się poza ringiem. Rozległ się przenikliwy gwizd, ogłaszający zakończenie walki.

Po czterdziestominutowej przerwie Bjorn przystąpił do walki z zawodnikiem Rekinów – Tursgudem rzecz jasna. Bjorn twierdził wprawdzie, że nie jest zmęczony i nie potrzebuje przerwy, lecz Sigurd gniewnie odrzucił jego sugestie. Kiedy tak czekali, towarzysze Stiga otoczyli go ciasnym kręgiem i próbowali podnieść go na duchu. Stig siedział zrozpaczony na ziemi, z łokciami na kolanach i głową schowaną w dłoniach. Hal próbował z nim porozmawiać, lecz on tylko potrząsnął głową.

Hal poczuł czyjąś rękę na ramieniu, a kiedy się odwrócił, zobaczył brodatą twarz Thorną. Mężczyzna pokazał ruchem głowy, żeby Hal zrobił mu miejsce, i przyklęknął naprzeciw Stiga.

– Stig – powiedział. – Spójrz na mnie. Natychmiast. – Jego głos brzmiał łagodnie, lecz rozkazująco. Stig podniósł wzrok i napotkał spokojne spojrzenie mężczyzny. – Możesz pobić Tursguda – powiedział Thorn.

Oczy Stiga zdradzały powątpiewanie. Po błyskawicznej porażce w starciu z Bjornem stracił całą pewność siebie. Walka ledwo się rozpoczęła, a już było po wszystkim.

– Jak niby mam to zrobić? – zapytał sarkastycznie. Przez chwilę Thorn nic nie mówił, wpatrywał się tylko w chłopca. Twarz Stiga oblała się rumieńcem.

– To nie Bjorn cię pokonał – podjął Thorn. – Sam siebie pokonałeś. Pozwoliłeś, żeby wytrącił cię z równowagi...

– Nie zaczynaj! Gadasz jak Hal! „Nie trać panowania nad sobą, zachowaj spokój” – przedrzeźniał.

– Hal ma rację – powiedział Thorn nadal łagodnym tonem, nadal nie okazując emocji. – Tursgud też będzie usiłował cię sprowokować. A wie, że go nienawidzisz, więc tym łatwiej mu pójdzie. Musisz walczyć mądrze. Śmieję się z niego. Ty doprowadź jego do wściekłości. Nie daj się złapać na jego sztuczki. Wtedy go pokonasz, uwierz mi.

Ale Stig znów uległ swemu temperamentowi. W głębi duszy wiedział, że Thorn ma rację, lecz zaślepiony gniewem, odczytał jego słowa jako krytykę, a nie dobrą radę. Oddał cios – nie dosłownie, lecz również słowami.

– Uwierzyć ci? – zapytał pogardliwie. – Powiedz mi, skoro jesteś taki mądry, czemu niby miałbym słuchać starego kaleki-pijaka?

Thorn cofnął się, jakby Stig go uderzył. Krew odpłynęła z jego twarzy. Przez chwilę Halowi zdawało się, że uderzy Stiga, lecz nagle podniósł się i odszedł, torując sobie drogę między zaszokowanymi Czaplami. Hal, wściekły, chwycił Stiga za koszulę i podciągnął go do pozycji stojącej. Przyjaciel był od niego wyższy o głowę, lecz Hal nieustraszenie zbliżył twarz do jego twarzy. Jego oczy ciskały błyskawice.

– Niech cię Gorlog! Jak mogłeś? Thorn próbuje nam pomóc, a ty odwdzięczasz się takimi słowami?

Stig popatrzył na krąg otaczających go twarzy. Dostrzegł na nich jedynie potępienie. Już w chwili, gdy wypowiedział tamte słowa, wiedział, że popełnił błąd, że bardzo zranił człowieka, który okazał mu przyjaźń. Nie mógł jednak się do tego przyznać.

– Co ty powiesz, Hal? A cóż on wie o walce wręcz? W porządku, to twój przyjaciel, ale czemu niby miałbym słuchać jego rad? Znasz go przecież. To stary pijak, włóczęga.

Hal powiódł wzrokiem po twarzach towarzyszy.

– Zostawcie nas samych – rozkazał głosem nieznoszącym sprzeciwu. Chłopcy, nie patrząc mu w oczy, rozeszli się. Kiedy Hal uznał, że nie mogą go usłyszeć, puścił koszulę Stiga i powiedział cicho:

– Wytlumaczę ci, co Thorn wie o walce wręcz. Jak myślisz, kto nauczył mnie ciosu, którym

złamałem nos Tursgudowi? Thorn. Jak myślisz, kto mi powiedział, żebym nie cofał się przed ciosami? Thorn. A wiesz, skąd on tyle wie na podobne tematy? Ponieważ kiedyś był Potężnym. Trzy lata z rządu.

Stigowi szczęka opadła. Mimowolnie rozejrzał się, szukając wzrokiem Thorną.

– Thorn? Thorn był Potę...

Hal uciszył go, nim zdążył dokończyć zdanie.

– Zamknij się! Thorn nie chce, żeby ludzie o tym pamiętali. Prawdopodobnie nie powinienem ci o tym mówić, więc, na litość, nie wspominaj mu, że wiesz. Pomyśl tylko, że przed chwilą udzielił ci rady najwspanialszy wojownik, jakiego znała Skandia. Jeśli jej nie posłuchasz, to jesteś głupcem. I zdrajcą drużyny.

Stig potrząsał głową, skruszony.

– Hal, wybac. Nie wiedziałem... No bo skąd miałem wiedzieć? Brzmi to prawie niewiarygodnie. Źle, to brzmi niewiarygodnie! Thorn był...

– Powiedziałem, że masz trzymać gębę na kłódkę! – przerwał mu Hal.

Stig żałośnie skinął głową.

– Powinienem odszukać go i przeprosić – powiedział, ale jeszcze zanim dokończył, Hal już kręcił głową.

– Później. Pozwól mu ochłonąć. Najlepszy sposób, by pokazać mu, że jest ci przykro, to wygrać walkę z Tursgudem. Panuj nad emocjami, walcz mądrze, zgodnie z jego radą.

– Ale jak mam to zrobić? – zapytał Stig żałośnie. – Zawsze tracę panowanie nad sobą, kiedy ktoś się ze mnie wyśmiewa, nic na to nie poradzę.

Hal złapał go za ramię i mocno nim potrząsnął.

– Rób tak, jak powiedział Thorn. Doprowadź Tursguda do wściekłości! Kiedy będzie próbował cię prowokować, ty prowokuj jego.

– Ale... jak?

Po chwili namysłu Hal powiedział:

– Kiedy poczujesz, że tracisz panowanie nad sobą, weź głęboki oddech i przypomnij sobie minę Tursguda, kiedy Rekiny przegrały z nami w przeciąganiu liny. Pamiętasz, jaki był wściekły?

Stig skinął głową i uśmiechnął się słabo.

– Nie da się ukryć, był wściekły – przyznał.

– A potem wykorzystaj ten obraz – podjął Hal, coraz bardziej się zagrzewając. – A pamiętasz, jaki był szokowany, kiedy złamałem mu nos? Pomyśl, że taką minę chcesz znów zobaczyć na jego twarzy.

– Hal widział, że jego słowa zaczynają trafiać do Stiga. – I jeszcze jedna sprawa – dodał ostrożnie. – Wiesz, że wspomni o tym, że twoja matka trudni się praniem.

Po tym, jak ojciec Stiga zostawił ich samych, jego matka zarabiała na życie jako praczka. Była to praca prosta i niewymagająca kwalifikacji, ale też w żaden sposób nieprzynosząca ujmy. Z jakiegoś powodu jednak Stig bardzo się tego wstydził, a Tursgud nieraz wykorzystywał jego słaby punkt, wytykając mu, że jego matka to zwykły wół roboczy, że jest niewiele lepsza od niewolnicy. Teraz też twarz Stiga pociemniała. Hal znów potrząsnął jego ramieniem.

– Musisz być na to przygotowany. Pomyśl, co mógłbyś na to odpowiedzieć.

Stig bezradnie rozłożył ręce. Nie potrafił wymyślać celnych ripost i dobrze o tym wiedział.

– Nie mam pojęcia – odparł. – Jego matka nie trudni się praniem cudzych ubrań. Co mam powiedzieć?

Hal z namysłem zagryzł wargi. Nagle oczy mu błysnęły.

– Wiesz, chyba mam coś dla ciebie.

ROZDZIAŁ 30

Jarst uderzył w dzwon, ogłaszając rozpoczęcie kolejnej walki – między Bjornem i Tursgudem. Czaple prędko pospieszyły z powrotem na miejsca.

Ta walka trwała nieco dłużej niż błyskawiczny nokaut Bjorna na Stigu. Chłopcy krążyli dokoła siebie, mierząc się baczными spojrzeniami. Tym razem Bjorn się nie odzywał. Nie chciał się rozpraszać, Tursgud był niebezpiecznym przeciwnikiem. Zwarli się, wczepili w siebie, stękając z wysiłkiem i wzajemnie mierząc swoje siły. Każdy z nich liczył się z tym, że przeciwnik może próbować podstawić mu nogę czy przewrócić go.

W pewnym momencie Bjorn złapał Tursguda w pasie i chciał go podnieść, szykując się do rzutu przez biodro. Tursgud jednak, kiedy tylko poczuł, że traci równowagę, rzucił się w bok i odskoczył. Znalazł się niebezpiecznie blisko białej linii, ale nie wyszedł poza nią. Kiedy Bjorn ponownie spróbował podobnego chwytu, Tursgud odpowiedział, zadając mu cios łokciem pod brodę, aż głowa Bjorna odskoczyła, a on sam zatoczył się do tyłu.

Cios taki był niedozwolony, trudno jednak byłoby dowieść, że został zadany specjalnie.

Viggo wpadł między zawodników, nim Tursgud zdążył wykorzystać przewagę. Ostrzegł Tursguda, by więcej nie próbował podobnych numerów, przez ten czas Bjorn doszedł do siebie, a potem Viggo dał sygnał do podjęcia walki.

Koniec nadszedł nagle i niespodziewanie. Tursgud zamarkował kopniaka lewą nogą, mierząc w splot słoneczny Bjorna, a gdy ten machnął prawym ramieniem, by zablokować uderzenie, Tursgud rzucił się do przodu, chwycił ramię Bjorna i pchnął go na ziemię, nie puszczając przy tym jego nadgarstków.

Bjorn wylądował płasko na plecach, Tursgud na kolanach, z jego prawej strony. Nim Bjorn zdążył zareagować, Tursgud przeciągnął prawe ramię zawodnika ponad swoją nogą, tak że jego udo znalazło się pod łokciem Bjorna, potem zablokował rękę Bjorna swoją prawą stopą. Ciężar ciała Bjorna dodatkowo zwiększał nacisk, a ręka była unieruchomiona. Kiedy próbował się uwolnić, Tursgud tylko odchylił się do tyłu, tym samym unosząc nogę, którą blokował od dołu łokieć Bjorna. Ból był nie do wytrzymania. Bjorn stęknął, znów spróbował się podnieść. Tursgud ponownie odchylił się do tyłu – tym razem mocniej.

– Złamię ci rękę – ostrzegł. Bjorn spojrzał na niego, mrużąc oczy z bólu. Widział, że Tursgud mówi poważnie. Naprawdę był gotów złamać mu ramię. Bjorn nie zamierzał jednak się poddać. Zamknął oczy, przygotowując się na rozdzierający ból, kiedy rozbrzmiał gwizdek Gorta.

– Wystarczy! Wygrałeś. A teraz go puść.

Bjorn z ulgą otworzył oczy i zobaczył nad sobą uśmiechniętą twarz Tursguda, który po raz ostatni odchylił się w lewo – nie tak mocno, by złamać rękę Bjorna w łokciu, ale wystarczająco, by przeszył ją obezwładniający ból. Dopiero wtedy rozluźnił uścisk.

Hal i Stig patrzyli w milczeniu, jak Tursgud dumnym krokiem dołącza do wiwatujących Rekinów, podczas gdy Rollond i kilku innych członków drużyny Wilków pomaga Bjornowi wstać. Przegrany zawodnik przycisnął uszkodzone, naciągnięte ramię lewą ręką.

– Musisz uważać, żeby nie zastosował tego chwytu na tobie – powiedział Hal. Stig z namysłem kiwnął głową.

– Jeśli zdąży zareagować odpowiednio szybko, przerwę go i mogę zyskać bardzo korzystną

pozycję.

– Albo przyplącić to złamaniem ręki – zauważył Hal.

Stig po namyśle przyznał:

– Owszem. Istnieje takie ryzyko.

– Zaczynajcie! – krzyknął Sigurd.

Tursgud i Stig ruszyli do środka kręgu, obserwując się bacznie nawzajem, zatrzymali się w odległości dwóch metrów od siebie i zaczęli krążyć, z rękami rozczapierzonymi na kształt szponów. Na ugiętych kolanach przesuwali się w bok, wciąż utrzymując balans całego ciała. Nie spuszczały z siebie oczu, by uchwycić zapowiedź nadchodzącego ataku.

Tursgud pomachał ręką przed swoją twarzą, naśladując skuteczną taktykę Bjorna, i uśmiechnął się.

– Fu! Bjorn miał rację! Rzeczywiście coś tu śmierdzi!

Kilka Rekinów nagrodziło go śmiechem. Ale tym razem Stig był przygotowany. Również uśmiechnął się i powiedział przyjacielskim tonem:

– Dziwne, że coś czujesz z tym plastrem na nosie.

Twarz Tursguda poczerwieniała z wściekłości. Bjorn zaśmiał się głośno.

– Nieźle, Stig! – zawołał, a Tursgud zerknął w jego stronę.

– Jak doszło do tego nieszczęścia? – podjął Stig, kiedy znów zaczęli krążyć, od czasu do czasu markując ciosy i parując markowane ciosy przeciwnika, to doskakując, to odskakując od siebie. – Podobno jakiś cherlawy Araluńczyk przestawił ci facjatę. To prawda?

Hal uśmiechnął się. Tym razem nie przeszkadzało mu, że ktoś tak go nazwał. Wiedział, że to porządnie zdenerwuje Tursguda.

Teraz śmiały się i Czaple, i Wilki, a Tursgud rzucił się wściekle na Stiga, sięgając rękami do jego gardła. W ostatnim momencie Stig uniósł prawe ramię i przedramieniem uderzył Tursguda w szczękę, aż ten poleciał do tyłu. Nie był to zabroniony ruch, ale jednak na granicy.

– Więcej tak nie rób, Stig! – ostrzegł Viggo. Stig skinął głową.

– Przepraszam – powiedział, choć nieszczercze.

Tursgud potrząsnął głową i zrobił kilka kroków do tyłu. Mrużąc oczy, przyglądał się przeciwnikowi. Pomyślał, że to nie było w stylu Stiga. Stig, kiedy z niego żartowano, nie udzielał złośliwej odpowiedzi, lecz tracił panowanie nad sobą i wpadał we wściekłość. Tursgud uśmiechnął się do siebie. Oczywiście, Bjorn użył tej samej zaczepki. Czaple zapewne domyśliły się, że Tursgud ją powtórzy, i Stig przygotował się na to. Istniała jednak wypróbowana metoda na wytrącenie go z równowagi – Tursgud postanowił teraz nią się posłużyć.

– Twoja mamusia nadal pierze cudze brudy? – zapytał, lecz ku jego zaskoczeniu Stig i tym razem się uśmiechnął.

– Nie. Powiedziała, że ma dosyć, odkąd zobaczyła gacie twojego tatusia. Wyglądały, jakby nosił je tak długo, aż same spadły mu z tyłka.

Wszyscy ryknęli śmiechem, nie tylko członkowie drużyn, lecz również widzowie. Tursgud stracił panowanie nad sobą i zaatakował, zgodnie z przewidywaniami Stiga.

Przywódca Rekinów nie odznaczał się szczególną bystrością umysłu. Wypróbował stare sprawdzone teksty, a one zawiodły, ponieważ Stig był na nie przygotowany. Teraz, również tak jak Stig przypuszczał, postanowił zastosować ten sam chwyt, którym pokonał Bjorna. Chwycił Stiga za lewe ramię i przerzucił go przez biodro, dość niezgrabnie i Stig mógłby z łatwością tego uniknąć,

ale przeciwnie, poddał się, jednak w chwili, gdy padał na ziemię, a Tursgud już miał zablokować jego ramię kolanem, prędko przetoczył się w prawo, uwalniając ramię, nim Tursgud zdążył je unieruchomić.

Teraz znajdował się za plecami Tursguda – dokładnie tak jak zaplanował. Prędko przycisnął lewe ramię do jego gardła, tak że głowa przeciwnika znalazła się w zgięciu łokcia, po czym prawym ramieniem zablokował ją od tyłu. Tursgud próbował opuścić brodę, by temu zapobiec, lecz za późno. Jego głowa znalazła się w kleszczach.

Nim Tursgud zdążył zareagować, Stig oplótł jego ciało nogami i trzymał, choć skirl Rekinów wyginał się we wszystkie strony, szarpał i miotał. Stig jednocześnie coraz mocniej ścisnął jego szyję z dwóch stron, odcinając dopływ powietrza do płuc. Tursgud na próżno próbował odciągnąć blokujące ramię – było jak ze stali. Chciał krzyknąć, ale zdołał wydać zaledwie zduszony jęk. Słabł coraz bardziej, brakowało mu powietrza. Zamachał bezradnie rękami. Stig wciąż nie zwalniał uścisku.

– Wystarczy! – krzyknął w końcu Sigurd, a Gort dla pewności dmuchnął w gwizdek.

Stig puścił Tursguda, przetoczył się na bok i podniósł się powoli, po czym wyszczerzył się do Hala. Tursgud dalej leżał na ziemi, kaszląc i krztusząc się, kiedy powietrze wreszcie dotarło do jego nadwerężonych płuc. Hal odnotował, że dopiero po chwili dwaj członkowie jego drużyny podeszli i pomogli mu wstać. „Interesujące”, pomyślał.

Kiedy Czaple otoczyły Stiga, gratulując mu i chwając jego wyczyn, Hal klepnął przyjaciela po ramieniu i powiedział:

– Dobra robota. Widzisz, że opłaca się panować nad emocjami?

Stig uśmiechnął się i smętnie potrząsnął głową.

– Jestem winny podziękowania tobie i Thornowi. A, i dzięki za pomysł z gaciami. Rzeczywiście podzielał. – Rozejrzawszy się, zapytał: – Właśnie, gdzie jest Thorn? Muszę się przed nim pokajać.

Hal nie zdążył jednak odpowiedzieć, bo Sigurd wystąpił naprzód, by wygłosić oświadczenie, jakiego nikt się nie spodziewał.

– Uwaga, hałas!tro!

Wszyscy chłopcy odwrócili się i otoczyli nauczyciela. Powiódł wzrokiem po wpatrzonych w niego twarzach, na których malowało się napięcie.

– Dzisiejsza konkurencja zakończyła się remisem. Każda z drużyn wygrała jedną walkę, więc nie ma sensu przyznawać punktów. Ciężko pracowaliście przez kilka ostatnich tygodni i dobrze się spisywaliście. Jest koniec tygodnia, macie dwa dni wolnego. Możecie wrócić do domów, odpocząć, spędzić czas z rodziną i nakłamać swoim dziewczynom, jacy to z was niezrównani wojownicy. W przyszłym tygodniu... – urwał, pozwalając dwudziestu ośmiu chłopakom dać wyraz radości, po czym uniósł dłoń. – W przyszłym tygodniu przechodzimy do ćwiczeń z żeglarstwa. Będzie ciężko, więc lepiej wypocznijcie porządnie.

Po tych słowach odwrócił się i odszedł, a wraz z nim pozostali nauczyciele. Kiedy przechodzili, Hal usłyszał, jak Sigurd mówi do Viggo:

– Niech myślą, że to ich święto. Tak naprawdę to nam potrzebna jest ta przerwa.

Hal odwrócił się, ale Stiga nie było u jego boku. Rozejrzawszy się, zobaczył, jak zmierza przez Błonia w kierunku obszarpanej postaci, siedzącej pod drzewami. Hal, tknięty przecuciem, pospieszył za nim. Stig był już jednak za daleko i nie słyszał jego wołania, które zagłuszyły głosy pozostałych chłopców i mieszkańców miasta. Zaczął biec, przeciskając się przez tłum.

Thorn podniósł wzrok, gdy chłopak podszedł do niego. Minę miał całkowicie neutralną, ani zachęcającą, ani odpychającą. Stig stanął naprzeciw niego, z rękami na biodrach, potrząsnął głową,

szukając odpowiednich słów. W końcu uznał, że najlepiej powiedzieć to prosto i zwyczajnie.

– Thorn, bardzo mi przykro. Żałuję tamtych słów. To nie byłem ja, znowu mnie poniosło. Chciałbym podziękować ci za pomoc i rady. Zachowałem się jak głupia arogancka świnia. Przepraszam cię z całego serca.

Thorn przyglądał mu się przez chwilę. Wiedział, że Stig to dobry chłopak. Tyle że jego nieokiełznany temperament zawsze wpędzał go w kłopoty. Thorn czuł, że mówi szczerze.

„Może wyciągnie z tego jakąś naukę”, pomyślał, po czym podniósł się, uśmiechnął i wyciągnął do niego lewą rękę. Stig z wdzięcznością pochylił głowę i uściśnął dłoń Thorną.

– Kiedy miałem szesnaście lat, pewnie też bywałem głupi i arogancki – powiedział Thorn. Nie mógł odrzucić przeprosin, które wyraźnie płynęły prosto z serca. Kiedyś, dawno temu, ktoś powiedział mu: „Tylko wielkiego człowieka stać na przeprosiny”. Może to był jego ojciec? Nie pamiętał dokładnie, ale te słowa towarzyszyły mu przez wszystkie lata.

– A więc nie gniewasz się na mnie? – zapytał Stig z niepokojem.

– Nie gniewam.

Stig wydał westchnienie ulgi.

– Chwała Gorlogowi! Hał nieźle zmył mi uszy, kiedy poszedłeś. Muszę przyznać, że obaj daliście mi niezłą nauzkę.

– Jeśli rzeczywiście czegoś się nauczyłeś, to dobrze. Tylko teraz postaraj się o tym nie zapomnieć.

Stig uśmiechał się teraz szeroko. Tak jak Thorn przypuszczał, był dobrym chłopakiem i nie miał ochoty wdawać się z nikim w konflikty – no, może za wyjątkiem Tursguda. Niestety, pod wpływem doznanej ulgi stał się też bardzo gadatliwy.

– Nie zapomnę – zapewnił. – W końcu nie co dzień dostaje się radę od samego Potężnego, prawda?

Thorn uniósł głowę. Krew odpłynęła mu z policzków, dosłownie zbieleł z wściekłości.

– Co? – Jego głos zabrzmiał jak trzaśnięcie biczem. – Co powiedziałeś?

Stig zrobił krok w tył, zmieszany i niepewny. W tym momencie nadbiegł Hał, akurat by usłyszeć jego kolejne słowa.

– Hał powiedział, że byłeś Potężnym. Trzy razy.

– Stig! Zamknij się! – wrzasnął Hał. Oczywiście, było za późno. Thorn spojrzał na niego, wyciągnął lewą rękę i wymierzył w niego palcem wskazującym jak włócznią.

– Mogłem się domyślić, że to twoja sprawka! – warknął. – Kto ci kazał grzebać w mojej przeszłości? Pewnie ta papla Erak ci powiedział. A ty Stigowi. Komu jeszcze?

Hał zrobił bezradny gest.

– Tylko Stigowi, nikomu więcej. I zaznaczyłem, żeby o tym nie wspominał – dodał, rzucając przyjacielowi udręczone spojrzenie.

Thorn prychnął, wściekły.

– I nawet posłuchał, co? – Powiódł wzrokiem od jednego do drugiego, kipiąc ze złości. Hał wyciągnął rękę i zrobił krok w przód.

– Thorn, nie chciałem..

– Zamknij się! Dostyc już narobiłeś szkód przez swój długi jęzor. Po prostu milcz! Milcz i nie zbliżaj się do mnie!

I z tymi słowy Thorn odwrócił się i odszedł. Cała jego sylwetka wyrażała tylko jedno – wściekłość.

ROZDZIAŁ 31

Nie wiem, mam, czemu tak się wściekł – tłumaczył Hal ponurym głosem. – Powinien być dumny ze swojej przeszłości.

Było późne popołudnie, Hal właśnie pomagał mamie przygotować kurczaki do upieczenia na gorących węglach. Najpierw należało ostrożnie usunąć kręgosłup, następnie rozplaszczyc kurczaka, tak by upiekł się szybko i równo. Matka sprawnie przecinała żebra tasakiem, Hal saksą. Kobieta spojrzała z powątpiewaniem na jego nóż.

– Mam nadzieję, że jest czysty? Nie przecinałeś nim liny umazanej smołą ani niczego takiego?

Uśmiechnął się, nie przerywając pracy.

– Nie, mam. Nawet zmyłem z niego wrzątkiem olej. – By zapobiec rdzy, ostrza saks pokrywano cienką warstwą oleju.

Skinęła głową, zadowolona, po czym podjęła przerwany wątek.

– Właśnie z powodu dumy wolałby, żeby ludzie zapomnieli, kim był niegdyś. – Kiedy Hal zmarszczył brwi na tę argumentację, wyjaśniła: – Widzisz, Thorn potrafi znieść, że ludzie mają go za pijaka i łazęgę. Chociaż z trudem – dodała, przypomniawszy sobie, jak tamtej zimowej nocy Thorn o mało nie zapadł w sen wieczny. – Nie zniósłby jednak, gdyby porównywali go z tym, kim był w przeszłości. Gdyby mówili: „Spójrzcie na niego. Teraz to bezużyteczny kaleka, ale kiedyś był największym wojownikiem Skandii”, ciągle musiałby przypominać sobie, ile utracił. I wciąż na nowo przeżywać wstyd, że tak nisko upadł i że wszyscy o tym wiedzą.

– Chyba rozumiem – powiedział Hal z wahaniem. – Ale dziwi mnie coś jeszcze. Nadal jest niesamowicie szybki, a lewe ramię ma niezwykle silne. Wciąż mógłby być z niego dobry wojownik, co z tego, że jednoręki.

Karina uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Zapytałam o to kiedyś Eraka. Thorn mógł zostać w załodze, gdyby tylko zechciał. Powiedział jednak tak: „Być dobrym to nie to samo co być najlepszym”. Właśnie tej różnicy Thorn nie potrafi zaakceptować.

– Chyba rozumiem – powtórzył Hal.

Na chwilę zapadła cisza. Karina domyślała się, że jej syna nadal trapi sprzeczka z Thornem. Wiedziała też jednak, że ich przyjaźń przetrwa. Hal zbyt wiele znaczył dla Thorna, by ten gniewał się na niego bez końca. Hal oczywiście tego nie dostrzegał. Z westchnieniem pomyślała, że dla młodych ludzi wszystko zawsze jest czarne albo białe. A każda sprawa wymaga natychmiastowej interwencji.

– No, a co porabiałeś przez ostatnie dwa dni? – zapytała, by zająć jego myśli czym innym. – Prawie cię nie widziałam, zjawiałeś się tylko na posiłki. Godzinami przesiadujesz w tym swoim warsztacie.

Hal zrobił skruszoną minę.

– Przykro mi. Pracowałem nad prezentem dla Thorna. Na przeprosiny.

Uśmiechnęła się.

– Na pewno mu się spodoba. A teraz uważaj, żebyś nie wyciął za dużo mięsa. Coś muszę podać gościom, sam rozumiesz.

– Tak, mam – odparł posłusznie.

Kiedy uporali się z kurczakami, Hal rozgarnął żar, na którym miały się piec, a Karina natarła je

olejem i przyprawami. Wiedział, że pod wpływem gorąca skórka stwardnieje i utworzy chrupiącą brązową skorupkę, kryjącą w środku soczyste mięso.

– Obiad będzie za półtorej godziny – powiedziała matka, zakopując ziemniaki w gorącym żarze. Pierwsze kurczaki powędrowały na rożen, sok zasyczał w ogniu, dokoła rozszedł się apetyczny zapach. Halowi ślinka momentalnie napłynęła do ust.

– Półtorej godziny? Dobrze. Mam jeszcze coś do zrobienia – powiedział.

Karina uśmiechnęła się, gdy jej syn wybiegł z kuchni. Była pewna, że chodzi o Thorną i prezent, nad którym pracował Hal.

A Hal pobiegł do warsztatu, stojącego na samym końcu działki, na której znajdowała się gospoda. Odsunął rygiel i wszedł do środka. W pomieszczeniu panował półmrok, przez niewielkie okienko, umieszczone wysoko pod sufitem, docierało niewiele popołudniowego światła. Nie musiał jednak zapalać lampy. Wszystko, czego potrzebował, leżało na stole, zawinięte w grube woskowane płótno żeglarskie.

Wziął pakunki pod pachę, wyszedł i zasunął rygiel z powrotem, po czym ruszył w stronę przybudówki przy wschodniej ścianie gospody.

Dokoła ciężkiej skórzanej zasłony, służącej za drzwi jaśniało pasmo żółtego światła świecy. A więc Thorn był u siebie. Hal zawahał się. Z niechęcią myślał o tym, że zaraz ujrzy tę zimną, wrogą twarz, którą widział wtedy na Błoniach, zebrał się jednak w sobie i zapukał we framugę.

– Kto tam? – głos brzmiał odpychająco. Hal przełknął ślinę, nagle zaschło mu w ustach. Znow przełknął ślinę i z wysiłkiem powiedział:

– Thorn... to ja. Hal. Mogę wejść?

Nie dostał odpowiedzi. Nagle skórzana zasłona przesunęła się. Thorn popatrzył na niego chłodnym wzrokiem.

– Czego chcesz?

Widać było, że nadal jest wściekły. Hal zapytał, wyciągając rękę przed siebie:

– Mogę wejść? Zabiorę ci dosłownie kilka sekund. – Pokazał mu dwa zawiniątka. – Mam coś dla ciebie.

Thorn odsunął się na bok i gestem zaprosił go do środka. Rzeczywiście, nadal gniewał się na Halą, żałował jednak swego wybuchu na Błoniach. Czuł, że potraktował chłopca za surowo, ale był zbyt dumny, by wyciągnąć rękę na zgodę. Uważał, że to Hal zawinił. Nie miał prawa nikomu opowiadać o jego przeszłości.

Choć z drugiej strony, to nie on powiedział Halowi, że kiedyś był Potężnym. Nie wymógł też na nim przysięgi milczenia. Tak naprawdę nie mógł więc oskarżać go o to, że złamał dane słowo. Thorn od dawna nie musiał rozwiązywać tego typu problemów. I tym razem, rzecz jasna, postąpił tak jak to miał w zwyczaju przez ostatnie lata: odciął się od wszystkiego.

Wskazał Halowi trójnogie krzesło, jeden z nielicznych mebli, stojących w jego ciasnym, nisko sklepionym domostwie. Prócz niego miał jeszcze stół i pryczę. Resztę przestrzeni zajmowały ubrania i przeróżne przedmioty wyrzucone przez morze na brzeg, które wpadły mu w oko – kawałki sieci, korkowe pływaki i koszyk trzciniowy, który zaczynał się strzępić z jednej strony.

Hal usiadł na krześle, a Thorn na brzegu łóżka, naprzeciwko niego. Nastąpiła długa chwila milczenia. W końcu Hal powiedział:

– Thorn, jest mi bardzo przykro.

Thorn nadal milczał. Poczł jednak ogromną ulgę, że otworzyła się przed nim możliwość pogodzenia się z tym młodzieńcem, którego tak podziwiał i na którego przyjaźni bardzo mu zależało. Wiedział, że sam nigdy nie zrobiłby pierwszego kroku, choćby nie wiem jak bardzo tego pragnął.

Odchrząknął i poruszył się niepewnie.

– W porządku – powiedział szorstko. – Nie ma o czym mówić.

Hal przygotował jednak wcześniej całą przemowę i prawie nie zwrócił uwagi na reakcję Thorna.

– Wiem, że słowa niewiele znaczą. Dlatego zrobiłem ci prezent na przeprosiny. – Podał Thornowi jeden z pakunków. – To dla ciebie – dodał niepotrzebnie. Thorn popatrzył na zawiniątko, lecz w końcu wyciągnął rękę, wziął je i położył sobie na kolanach.

– Sam zrobiłeś? – zapytał, wpatrując się w prezent.

Hal przytaknął.

– Specjalnie dla ciebie. Rozpakuj.

Thorn powoli rozwinął płótno. Jego oczom ukazało się dziwne urządzenie.

Jeden koniec tworzyła skórzana miseczka głębokości około piętnastu centymetrów, usztywniona fiszbinami i zaopatrzona w dwa paski, zakończone klamerkami. Tkwił w niej wypolerowany kawałek gałęzi, wygięty na końcu. Przyjrzawszy się dokładniej, Thorn stwierdził, że tak naprawdę urządzenie składa się z dwóch części – ta druga była doczepiona zawiasami do głównej. Thorn zmarszczył brwi. Nic z tego nie rozumiał.

– To pasuje na twoje prawe ramię – wyjaśnił Hal. Wziął urządzenie z rąk Thorna i założył skórzany element na kikut. Pasował doskonale, szczególnie kiedy Hal zacisnął paski. Thorn poczuł, że w środku miseczka jest wyמושczona baranym futrem. Poruszył ręką na próbę, podniósł do oczu drewnianą pałkę.

– To hak – powiedział.

Hal przytaknął z zapałem.

– Ale nie jakiś tam zwykły hak. Spójrz.

Poluzował rzemień z boku haka, uwalniając część przyczepioną na zawiasach.

– Możesz chwytać tym różne przedmioty – wyjaśnił. Umieścił końcówki po obu stronach kubka, stojącego na stole, po czym zacisnął rzemień, aż obie części zbliżyły się do siebie niczym szczęki bądź szczypce. Na rzemieniu widniał szereg węzłów. Hal włożył jeden z nich w wyżłobienie na haku, by unieruchomić szczypce.

Thorn uniósł kubek i zatoczył nim koło. Jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Niesamowite – powiedział cicho.

Obracał ramieniem na wszystkie strony, zachwycony jego nowymi możliwościami. Potem postawił kubek na stole, wyciągnął węzeł z rowka i puścił kubek, następnie ściśle obwiązał szczypce rzemieniem, aż dwie połówki na powrót utworzyły hak.

– Niesamowite – powtórzył. Żadne inne słowo nie mogło oddać tego, co czuł. Spojrzał na Hala. Na twarzy chłopca malowała się ulga. – Naprawdę sam to zrobiłeś?

Hal przytaknął.

– Zacząłem już jakiś czas temu, ale potem odłożyłem i skończyłem dzisiaj. – Tu przerwał, sięgnął po drugi płócienny pakunek i położył go przed Thornem. Ten rozwinął płótno lewą ręką, przytrzymując je swoim nowym ramieniem z drewna.

Drugi przedmiot również składał się z drzewca i podobnej skórzanej miseczki na fiszbinach, ale drzewce nie wyginało się w formie haka, lecz, grube i proste, kończyło się pałką, wzmocnioną żelaznymi okuciami i mosiężnymi ćwiekami długimi na centymetr.

– To jest broń – wyjaśnił Hal. – Jeśli przywiążesz ją do ramienia, będziesz miał prawdziwą maczugę zamiast ręki. Co o tym sądzisz?

Thorn kilka razy obrócił prezent w dłoniach, potrząsając głową w milczącym zachwycie. W końcu powiedział:

– Co o tym sędzę? Dostałem nową rękę. Mogę chwycić nią przedmioty, trzymać w niej wiosło. A jeśli ktoś mnie zdenerwuje, mogę zmiażdżyć mu czerep maczugą. – Urwał, jeszcze raz potrząsnął głową, spojrzał na Hala. Zniszczoną twarz rozjaśnił uśmiech. – Czegóż więcej mi potrzeba?

ROZDZIAŁ 32

„Czapla” wznosiła się i opadała na niewielkiej fali. Żagle były opuszczone, ale Hal na wszelki wypadek umieścił po dwóch wioślarzy przy obu burtach, by przypadkiem nie przepłynęła przez linię startową przed rozpoczęciem wyścigu.

To było ich pierwsze poważne ćwiczenie z żeglarstwa, test wiedzy zdobytej podczas zajęć i umiejętności pracy zespołowej. Mieli ścigać się po trasie w kształcie rombu. Pięćdziesiąt metrów dalej leżał na falach „Delfin”, z Tursgudem u steru, a za nim „Ryś”, okręt Rollonda, oba nieruchome tak jak „Czapla”, również z wiosłami wystawionymi za burtę, by w razie czego powstrzymać ruch okrętu w stronę linii startowej.

Ale podczas gdy „Czapla” miała tylko cztery pary wiosel, one miały po sześć, a do tego duży prostokątny żagiel. Niegdyś używano ich jako przybrzeżnych statków handlowych, potem przeznaczono do celów edukacyjnych. Był jeszcze trzeci, ale Hal wolał posłużyć się na treningach „Czaplą” – poprosił o pozwolenie i uzyskał je.

– No, nie wiem – powiedział Erak z powątpiewaniem, spoglądając na łódź. – Wygląda dość lichy. – W końcu jednak zrezygnował z krytyki i dodał zagadkowo: – Jak coś pójdzie źle, znaczy, że miałeś pecha.

„Dlaczego miałoby pójść źle?”, pomyślał Hal, przypatrując się „Delfinowi”. Budową bardzo przypominał wilczy okręt, tyle że był mniejszy i szerszy. Choć przeznaczony na statek handlowy, podobnie jak wszystkie skandyjskie okręty został zbudowany w ten sposób, by w razie potrzeby zasilić zasoby floty wojkowej. „Ryś” wyglądał niemal identycznie. Hal pomyślał, że z pewnością oba potrafią rozwinąć sporą prędkość, szczególnie przy wietrze od rufy, choć nie tak wielką jak „Czapla” – lecz w tym przypadku nie mógł być całkiem obiektywny.

– Obie wstecz – zawołał cicho. Uznał, że znaleźli się niebezpiecznie blisko linii startu. Gdyby przekroczyli ją, nim rozlegnie się sygnał, musieliby zrobić obrót, zawrócić i wystartować na nowo, a to wszystko kosztowałoby mnóstwo czasu. Wioślarze posłusznie wykonali polecenie.

Hal spojrzął na wskaźnik wiatru, długi proporczyk, przyczepiony na rufie. Mieli wiatr od sterburty – do pierwszego punktu, w którym będą musieli wykonać zwrot.

Sędziowie siedzieli w niewielkiej łodzi rybackiej, kołyszącej się gdzieś pośrodku trasy. Z tej pozycji mogli z łatwością ich obserwować i w razie czego zauważyć, czy któryś z okrętów nie przekroczył przedwcześnie linii startowej.

Hal skierował wzrok przed siebie. Lewy maszt czekał wzniesiony. Hal zobaczył, jak Jarst przykłada róg do ust. Rozległo się smętne buczenie.

– Trzydzieści dwie sekundy! – krzyknął sędzia. – Edvin, zacznij odliczanie.

– Jeden brzydki troll. Dwa brzydkie trolle. Trzy brzydkie trolle – zaczął liczyć Edvin monotonnym głosem, używając wymyślonej przez siebie formuły.

Hal rozbieranym wzrokiem starał się objąć wszystko naraz: pozycję „Czapli”, pozycję pozostałych dwóch okrętów, linię startową i członków załogi. Stig i Ingvar znajdowali się z przodu, gotując się do podniesienia rejki z żaglem.

– ...szesnaście brzydkich trolli – ciągnął Edvin.

Hal rozejrzał się prędko na lewo i prawo.

– Ulf i Wulf. Przygotujcie się do ustawienia żagla. Jesper, Stefan, dwa pociągnięcia w tył.

– ...dwadzieścia brzydkich trolli. Dwadzieścia jeden brzydkich trolli...

– Wciągnąć wiosła!

Stefan i Jesper wykonali polecenie. Rozległo się charakterystyczne stuknięcie drewna o drewno.

Potem prędko podnieśli się z ławek i stanęli obok bliźniaków, gotowi do pomocy.

– ...dwadzieścia sześć brzydkich trolli...

– Teraz! – krzyknął Hal.

Ingvar i Stig pociągnęli za fały. Rejka z żaglem uniosła się do góry. Płótno załopotowało na wietrze.

Ulf i Wulf sięgnęli po liny, którymi wybierało się żagiel.

– Zaczekajcie! – krzyknął Hal. Gdyby zrobili to zbyt wcześnie, łódź mogłaby przekroczyć linię startową przed czasem.

– ...trzydzieści brzydkich trolli. Trzydzieści jeden brzydkich trolli.

Już powinien rozbrzmieć sygnał. Pewnie Edvin liczył za szybko. A może to sędziowie źle wyliczyli czas. W każdym razie „Czapla” znajdowała się już niebezpiecznie blisko linii. Jeszcze kilka sekund i ją przekroczą. Hal rozważał, czy nie posłać załogi z powrotem do wiosła. Ale gdyby w tym momencie rozległ się sygnał, nastąpiłoby niezłe zamieszanie. A jednak...

– Trzydzieści cztery brzydkie trolle – w głosie Edvina słychać było napięcie. – Trzydzieści pięć... Lorganowi niech będą dzięki!

Ostatnie słowa niemal zagłuszył dźwięk rogu.

– Teraz! – krzyknął Hal. Jego towarzysze pociągnęli za liny, by ustawić rejkę w najlepszej pozycji do wiatru i wybrali żagiel, aż utworzył piękny łuk.

„Czapla” wyskoczyła do przodu, pchnięta siłą wiatru, zaprzęgniętego do pracy przez żagiel. Rześko pruć fale, tuż pod linią wody ukazały się bąble powietrza. Hal pomyślał, że za mocno pochylają się do przodu.

– Wyluzujcie trochę żagiel! – polecił. Po chwili dziób uniósł się nieco. Teraz łódź stabilniej trzymała się na falach, a dryf został zredukowany. Hal przesunął wiosło sterowe w lewo, aż dziób łodzi ustawił się pod wiatr. Przecięli fale, woda bryzgnęła na Hala.

– Edvin! – zawołał.

Edvin miał obserwować okręty przeciwników i zgłaszać wszelkie istotne uwagi na ich temat.

– Na obu wciągnęli żagle – odpowiedział. – „Delfin” był szybszy i trochę zyskał na czasie, ale teraz „Ryś” go dogania. – Urwał, pochylił się nieco do przodu i przysłonił oczy dłonią. – Znosi ich.

Hal skinął głową z zadowoleniem. Dzięki trójkątnemu żaglowi wiatr nie znosił „Czapli” z kursu tak szybko jak okrętów wyposażonych w żagle prostokątne. To znaczyło, że ich przeciwnicy będą musieli pokonać dłuższy odcinek, by wykonać zwrot przy pierwszej boi. Poruszył dłońmi, zaciśniętymi na wiosła sterowym. Poczł ogromną radość. „Wygląda jakoś lichy... Jasne, Erak! Teraz się przekonasz”.

Hal poszukał wzrokiem pozostałych okrętów. Nadal nie mogły go dogonić, choć poruszały się z dużą prędkością. Spojrzał w prawo. Łódka sędziów przesunęła się w stronę znaku, przy którym mieli zawrócić.

„Czapla” będzie musiała wykonać skręt w prawo. Wtedy wiatr zacznie wiać już nie od rufy, lecz ukośnie od dziobu, z prawej strony. Do następnego punktu musieliby płynąć niemal pod wiatr. A tak się nie da. Muszą ustawić się pod kątem do linii wiatru, a potem, we właściwym momencie, wykonać odpowiedni zwrot, by okrążyć kolejny punkt.

Widział już pierwszą boję, kołysała się przed dziobem „Czapli”. Kiedy ją minęli, Hal wykrzyknął:

– Wybrać żagiel! – Przesunął wiosło sterowe, aż dziób zatoczył krąg w prawo, a za „Czaplą” został biały grzebień piany. Chłopcy pociągnęli za liny, kontrolujące rejkę i żagiel. Żaden okręt nie

potrafiłby ostrzyć tak jak „Czapla”. Hal obejrzał się przez ramię, by sprawdzić, jak sobie radzą ich przeciwnicy.

Żagiel „Delfina” spłynął w dół masztu. Na pokładzie zaczął się jakiś wzmożony ruch.

Biegli do wiosła. Słońce zabłysło na piórach. Wiosła zanurzyły się w wodzie. I znów się wynurzyły, a słońce ponownie zapłonęło na białym drewnie.

– Wiosłuj! – krzyknął Edvin. – „Delfin” płynie prosto pod wiatr!

„Interesujące”, pomyślał Hal. Posługując się wiosłami, drużyna Tursguda mogła płynąć w linii prostej. „Delfin” nie musiał zataczać szerokiego koła, tak jak oni. W gruncie rzeczy mógłby ich z łatwością prześcignąć. Wioślarze byli na razie pełni energii. Tylko na jak długo im jej wystarczy? Wkrótce się zmęczą, „Czapla” za to dalej będzie posuwać się naprzód pchana siłą wiatru.

– A co z „Rysiem”? – zapytał. Nie mógł ciągle rozglądać się na boki, w końcu Edvin miał go informować.

– Żagiel nadal wciągnięty – odparł Edvin. – Ale zostali daleko w tyle.

Nic dziwnego. Nie potrafili płynąć tak ostro do linii wiatru jak „Czapla”.

– „Delfin” nas dogania! – Głos Edvina załamał się z przejęcia. Hal spojrział na niego.

– Spokojnie. Zobaczymy, na ile starczy im sił – powiedział.

Spojrzął na okręt Rekinów, ocenił kąty i odległość. Rzeczywiście, doganiali ich. Przesunął ster w lewo, ale w tym momencie Stig krzyknął ostrzegawczo:

– Wchodzimy w łopot!

To znaczyło, że żagiel zaczął łopotać – czyli znaleźli się za blisko linii wiatru i tracą prędkość. Hal przesunął ster, by łódź odpadła i żagiel znów się naprężył. Cóż, musieli jedynie liczyć na to, że ludzie Tursguda zmęczą się przed dotarciem do następnej boi. Na kolejnym odcinku „Czapla” powinna zyskać przewagę. To była jej szansa, by wysunąć się na prowadzenie. Tylko że Tursgud mógł te plany pokrzyżować. Hal poczuł ukłucie niepewności, ale zaraz stanowczo zacisnął wargi. Pomyślał, że musi zrobić wszystko, by wygrać, a co będzie, to będzie.

„Czapla” przecięła kolejną falę, woda prysnęła na pokład. Hal z namysłem skinął głową. Fale były coraz większe. To mogło powstrzymać „Delfina”. Wioślarze szybciej się zmęczą, jeśli będą musieli walczyć nie tylko z wiatrem, lecz również z silnymi falami.

– Zostają w tyle! – krzyknął Edvin triumfalnie. Przez cały czas mierzył pozycję okrętu przeciwnika, mrużąc jedno oko i posługując się baksztagiem jako punktem odniesienia. Po jakichś dwudziestu sekundach mógł wyraźnie stwierdzić, że „Delfin” traci prędkość.

– A gdzie jest „Rys”? – zapytał Hal.

Edvin wyciągnął rękę w lewo.

– Nadal schodzi z kursu. Płynie szybko, ale za bardzo dryfuje.

Wiatr coraz bardziej spychał okręt Wilków z kursu. Możliwe, że poruszali się ze sporą prędkością, ale zdecydowanie oddalali się od boi.

Hal zmrużył oczy i w skupieniu spoglądał na chorągiewkę oznaczającą kolejny punkt, przy którym mieli zawrócić. Znajdowała się jeszcze dość daleko, czasami znikwała, kiedy boja chowała się za falą. Tym razem mieli okrążyć boję, zanim ją miną. Hal musiał wyliczyć odpowiedni moment i zmienić kurs tak, by chorągiewka została po ich prawej stronie.

Przez chwilę obliczał kąty, prąd i odległości. Musieli być gotowi.

– Przygotujcie się do zwrotu! – krzyknął. Ingvar i Stig przebiegli do przodu, Stig trzymając Ingvara za ramię i prowadząc za sobą między wiosłami i zwojami lin i żagli. Pozostali chłopcy pochylili się nad linami, gotowi na kolejny rozkaz.

– Teraz! – krzyknął Hal. Żagiel dziko załopotał. – Lewy w dół, prawy w górę!

Ingvar i Stig pociągnęli za fały na lewym żaglu, aż rejka uwolniła się z zaczepu na maszcie. Potem, kiedy lewa rejka z żaglem zjeżdżała w dół, podnieśli prawy żagiel. W tym czasie Hal przesunął wiosło sterowe w lewo, aż dziób skręcił w prawo, pod wiatr, po czym przeciął linię wiatru. „Czapla” zatoczyła zgrabny łuk.

Teraz lewy żagiel powędrował w dół, a prawy w górę. Załomotał dziko na wietrze. Chłopcy pociągnęli za odpowiednie liny i po chwili żagiel napiął się, a łódź nabrała prędkości.

– Wyluzujcie! – rozbrzmiał głos Stiga. Pozostali unieruchomili liny, obwiązując je prędko dookoła przeznaczonych do tego kołków.

Hal obejrzał się przez ramię i zaśmiał się głośno. Przecięli „Delfinowi” drogę i zostawili go za sobą. Wiosła nie poruszały się już tak równo jak na początku, wiosłarze byli zmęczeni i stracili rytm.

„Czapla” za to po prostu frunęła, z każdą sekundą zyskując przewagę nad przeciwnikiem. Minęła boję, zachowując odległość dwudziestu metrów. Hal przesunął ster. Dziób skręcił w prawo. Stig i jego pomocnicy znów pociągnęli za liny, by żagiel się naprężył.

Z łatwością pokonywali trzeci odcinek wyścigu. Nim ich rywale dotrą do drugiej boi, oni powinni mieć za sobą co najmniej połowę jego długości.

– „Rys” ma kłopoty! – krzyknął Edvin.

Hal odwrócił się. Prostokątny żagiel skurczył się, maszt przechylił się i spadł na sterburłę.

– Co się stało?

Edvin tylko potrząsnął głową.

– Próbowali zrobić taki sam manewr jak my. Rollond chciał pewnie nadrobić stracony czas.

Hal znów spojrzął na okręt rywali. Ostre halsowanie nie było najlepszym pomysłem w przypadku okrętu o prostokątnym kształcie żagla. „Rys” musiał wykonać o wiele większy obrót, a podczas całego manewru z powodu swego ogromnego żagla był wystawiony na większą siłę wiatru. Nie mógł dokończyć zwrotu i utknął tak, wystawiony na silne podmuchy wiatru. Konstrukcja masztu nie wytrzymała i drzewce pękło.

Co gorsza, maszt, żagiel i całe splątane olinowanie spadły na prawą burłę, nadburcie rozszczepiło się pod ich ciężarem, a okręt mocno się przechylił. Woda wlewała się do środka mimo wysiłków drużyny. Nie wszystkich dało się zauważyć na pokładzie, niektórzy zapewne doznali obrażeń, może leżeli pod przewróconym masztem.

„Delfin” właśnie okrążał drugą boję. Załoga wciągnęła żagiel na maszt. Zupełnie obojętny na los rywala, okręt pokonywał trzeci odcinek trasy. Hal poczuł wibrowanie pokładu pod stopami, gdy Stig podszedł do niego i zapytał:

– Co się dzieje?

Hal wskazał na okręt Wilków.

– „Rys” tonie. Musimy im pomóc.

ROZDZIAŁ 33

Skierowali się w stronę nieszczęsnego „Rysia”. „Delfin” trzymał się swego kursu, zmierzając prosto przed siebie pod rozpiętym żaglem. Minęli się w odległości jakichś trzydziestu metrów. Tursgud, stojący przy sterze, wpatrywał się przed siebie, nieporuszony, nie zwracając uwagi na Czaple, które krzyczały i machały do niego.

– Zostawił ich na pastwę losu! – powiedział Stig z niedowierzaniem.

Hal wzruszył ramionami. Nie spodziewał się po Tursgudzie niczego innego.

– Chce wygrać – stwierdził krótko. Jeszcze raz zmrużył oczy, oceniając prędkość i kąty. Podpłynęli już niedaleko „Rysia”, ich oczom ukazało się więcej szczegółów. Pod ciężarem masztu, rei i żagla okręt przechylił się niebezpiecznie. Splątane liny przytrzymały połamane kawałki drewna. Prawa burta została rozbита na długości dwóch metrów, przez wyrwę dostawała się woda. Czterech chłopców gorączkowo próbowało ją wylewać, Rollond i trzech inni odcinali liny przy zwałonym maszcie.

„Czapla” minęła rozbity okręt. Hal skręcił błyskawicznie o sto osiemdziesiąt stopni.

– Opuśćcie żagiel! – rozkazał. Po chwili rejka i żagiel opadły na pokład. „Czapla” wykonała zwrot z niemal idealną precyzją, stopniowo wytracając prędkość. Stig stanął na dziobie i rzucił drapacz w stronę „Rysia”. Kotwiczka zaczepiła o burtę. Ingvar pociągnął linkę, aż dziób „Czapli” i rufa „Rysia” zbliżyły się do siebie.

Hal pomyślał, że Ingvar może i wiele nie widzi, ale w pewnych sytuacjach jest nie do zastąpienia. Pozostali członkowie drużyny nie potrzebowali rozkazów. Ustawili się za Stigiem i Ingvarem. Kiedy „Czapla” i „Rys” zetknęły się burtami, przeskoczyli na okręt rywali, spiesząc im z pomocą. Ulf, Wulf i Jesper dołączyli do tych, którzy wybierali wodę, Stig, Edvin i Stefan dobyli saks i zajęli się odcinaniem lin. Ingvar został na dziobie. Z racji kiepskiego wzroku tylko by przeszkadzał na pokładzie uszkodzonego okrętu. Hal zaciągnął ster i pobiegł na dziób.

– Trzymaj je tak! – rzucił, przeskakując na „Rysia”. Ingvar skinął głową w milczeniu. Zaciskając zęby, mocno naprężył linkę, łączącą oba okręty. Hal nie zamierzał jej odwiązywać. Gdyby „Rys” zaczął tonąć, Ingvar zawsze zdążyłby ją puścić.

Kiedy Hal znalazł się na pokładzie „Rysia”, okręt drgnął i przechylił się groźnie. Rollandowi i jego pomocnikom wreszcie udało się odciąć połamane drzewce rei. Pływało teraz po powierzchni wody. Topory i saksy wznosiły się i opadały rytmicznie, robiąc porządek z resztą zgruchotanego drewna. Dla Hala nie było tam miejsca. Rozejrzał się. Spod masy płótna żaglowego wystawała ręka. Odsunął ciężką tkaninę i zobaczył nieprzytomnego chłopaka. Ostrożnie wyplątał go spomiędzy lin i położył na pokładzie, jak najbliżej burty, stykającej się z „Czapłą”, w razie gdyby musieli się ewakuować. Potem wrócił, odsunął płótno i znalazł kolejnego członka załogi. Był to Bjorn. Nie stracił przytomności, ale zaplątał się w liny i nie mógł się ruszyć. Hal wyciągnął sakse i uwolnił go kilkoma ruchami. Bjorn skinął głową w podzięcie. Zaczął się podnosić i wrzasnął z bólu. Skrzywił się, napotkawszy zdumione spojrzenie Hala.

– Znów je wybiłem – wysyczał przez zęby, pokazując prawe ramię. Hal pomógł mu wstać. Oczywiście, Tursgud uszkodził Bjornowi ramię podczas walki.

– A dopiero co zaczęło się goić – powiedział chłopak. – Teraz znów trzeba będzie je nastawiać.

Hal pomógł mu przejść na rufę, potem odwrócił się, by sprawdzić, jak sobie radzą pozostali.

Dzięki pomocy ich drużyny pokład był już niemal uprzątnięty. Stig właśnie wyrzucał za burtę wielki zwój splątanej liny. Rollond, Stefan i Jesper zdołali odciąć połamany maszt. Pozostali wyrzucali kawałki drewna do wody, odsuwając je wiosłami od burty, by nie uszkodziły okrętu. „Ryś” już nie przechylał się tak mocno, lecz woda nadal dostawała się na pokład. Hal rozejrzał się, szukając czegoś, czym dałoby się przytknąć dziurę.

– Użyj żagla! – krzyknął.

Rollond spojrział na niego, a wtedy Hal wskazał na wyrwę w nadburciu. Rollond zrozumiał. Razem zwinęli fragment ciężkiego żagla i wepchnęli w dziurę, a niepotrzebne końce obcięli ostrymi saksami. Widząc to, Stig chwycił wiosło i przycisnął nim płótno. Strumień wody zmienił się w cienką strużkę. Podnieśli się z uśmiechami ulgi na twarzach. Kilku członków drużyny Wilków opadło na ławki. Mieli za sobą bardzo wyczerpujące dziesięć minut. Rollond powiódł wzrokiem dokoła, szukając dwóch towarzyszy, których przygniótł spadający maszt.

– Gdzie są...?

Hal położył mu rękę na ramieniu.

– Są na rufie. Jeden nieprzytomny, ale żyje. Bjorn znowu uszkodził sobie bark.

Rollond powiódł wzrokiem we wskazanym kierunku. Zobaczywszy brakujących towarzyszy, z ulgą odetchnął.

– Bałem się, że wypadli za burtę – przyznał. – Dzięki za pomoc. Bez was chyba nie dalibyśmy rady.

Hal wzruszył ramionami.

– Każdy zrobiłby to samo na naszym miejscu.

Rollond uśmiechnął się cierpko.

– Nie każdy. – Mimo woli obaj spojrzeli w kierunku mety, którą właśnie przecinał prostokątny żagiel.

– Rekiny chyba zdobyły punkty – zauważył Hal. Rollond prychnął z niesmakiem.

– Niech im będzie. Nie mam nic przeciwko twardej walce, ale zostawić przeciwnika na pewną śmierć to zupełnie inna sprawa. Skandianie tak nie postępują.

– Może nie zdawali sobie sprawy z powagi sytuacji – powiedział Hal, jednocześnie zastanawiając się, czemu szuka usprawiedliwienia dla Tursguda.

Rollond potrząsnął głową.

– Byli bliżej niż wy. – Spojrział ponad ramieniem Hala i uśmiechnął się. – Patrzcie no, w samą porę.

Hal odwrócił się. Zbliżała się do nich łódka, w której siedzieli czterej sędziowie. Wiosłowali dzielnie, walcząc z wiatrem i falami. Podpłynawszy bliżej, z wyraźną ulgą oparli się ciężko na wiosłach. Sigurd wstał i przyciągnął łódkę do burty okrętu.

– Potrzebna wam pomoc? – krzyknął.

Rollond podszedł do burty, przyłożył zwinięte w trąbkę dłonie do ust i krzyknął w odpowiedzi:

– Dostaliśmy pomoc! Wszystko w porządku. Dwóch ludzi odniosło lekkie obrażenia, ale wrócimy bez problemu.

– Na wszelki wypadek będziemy ich eskortować – dodał Hal.

Sigurd popatrzył na niego.

– To była dobra robota, Hala Mikkelsonie! I wszystkie Czaple! – zawołał. Potem sędziowie postawili niewielki maszt, wciągnęli żagiel i zawrócili w stronę portu.

– Wszystko w porządku, Hal?

To był Ingvar. Hal odwrócił się. Zapomniał o nim w zamieszaniu.

– Teraz już tak.

– Mogę już odwiązać linę? Zaczynam być zmęczony.

– Jeszcze parę minut. – Hal spojrział na Rollonda. – Poradzicie sobie?

Skirl Wilków skinął głową.

– Na pewno. Możemy wiosłować w drodze powrotnej. Chociaż, gdybyś mógł pożyczyć nam paru ludzi do pomocy, byłbym wdzięczny. Straciliśmy dwóch wioślarzy.

Hal popatrzył na swych towarzyszy. Stig był najlepszym wioślarzem, ale Hal chciał go mieć na pokładzie „Czapli”, skoro i tak miało ich być o dwóch mniej.

– Ulf i Wulf! – zawołał. Bliźniacy spojrzeli na niego z zaciekawieniem. – Zostaniecie tu i pomożecie Rollondowi i jego ludziom przy wiosłach. Reszta, wracamy na pokład „Czapli”.

Stig i pozostali przeszli na rufę „Rysia”, a potem na pokład „Czapli”, bliźniacy zaś ruszyli w stronę ławek. Ulf skierował się na prawo.

– A ty dokąd? – zapytał Wulf ze złością.

Brat spojrział na niego, marszcząc brwi.

– Zawsze siedzę po tej stronie.

Wulf pokiwał głową, wciąż zły.

– A nie przyszło ci do głowy, że może ja chciałbym dla odmiany siedzieć z tej strony?

– Nie. Nie przyszło. Ponieważ zawsze siedzisz po tamtej – odparł Ulf.

Hal uniósł brwi i zerknął na Rollonda.

– Sam sobie radź – powiedział i wyszczerzył się od ucha do ucha.

Rollond przyglądał się bliźniakom ze zdumieniem.

– Oni tak zawsze?

Hal wzruszył ramionami.

– Przeważnie.

Kiedy wrócili do Hallasholm, odbyło się dochodzenie w sprawie wypadku i tego, co nastąpiło potem. Tursgud rzecz jasna twierdził, że nie miał o niczym pojęcia.

– Ale widziałeś, że Czaple zawróciły nam pomoc! – zauważył Rollond. Jego ton świadczył o tym, że nie wierzy w zapewnienia Tursguda. Ten z kolei tylko wzruszył ramionami.

– Nie wiedziałem, po co zawracają. To był wyścig. Ja postanowiłem go ukończyć. Jeśli popełniłem błąd, to bardzo mi przykro.

Ponieważ niczego nie można było mu dowieść, nie spotkała go też żadna kara. Hal wyczuwał jednak wyraźnie, co sądzą na ten temat nauczyciele. A także mieszkańcy miasta, którzy akurat znaleźli się w pobliżu. Sigurd niechętnie przyznał punkty Rekinom. Tym razem dość powściągliwie cieszyły się ze zwycięstwa. Miał wrażenie, że podwładni Tursguda również potępiają jego decyzję.

A kiedy Hal wraz z towarzyszami szedł w stronę obozowiska, mieszkańcy miasta podchodzili, klepali go po plecach i życzyli wszystkiego dobrego. Szybko rozniosły się wieści o wypadku i drużynie Czapli, które zrezygnowały ze zwycięstwa, by pomóc kolegom.

W połowie drogi minęli obdartą postać, siedzącą na niskim murku. Thorn dumnie pomachał swoją nową ręką i z uznaniem kiwnął głową. Hal odłączył od grupy i podszedł do niego.

– Przegraliśmy – powiedział.

Thorn potrząsnął głową.

– Może. Ale za to zdobyliście przyjaciół. – Klepnął chłopca w ramię. Na szczęście lewą ręką,

a nie tą z hakiem. – Punkty zawsze zdążycie zdobyć. Ale zyskać ludzki szacunek, to o wiele cenniejsze. A teraz biegnij do obozu.

ROZDZIAŁ 34

Erak przyglądał się, jak „Kruk” miękko osiada dziobem na zwirowej plaży. Członkowie załogi zaczęli zwijać liny i kotwiczyć okręt. Zovac przeskoczył przez burtę i ruszył w stronę oberjarla.

– Dzień dobry! – powiedział przyjaźnie. – Chcesz ze mną porozmawiać czy po prostu wybrałeś się na spacer?

– Jak idzie naprawa? – spytał Erak. Nie miał ochoty na próżne pogaduszki.

Zovac zacisnął wargi i spojrzał na statek. Kilku członków załogi wiadrami wylewało wodę.

– Nadal przecieka – powiedział. – Właśnie wróciliśmy z czterogodzinnego próbnego rejsu, przez cały czas musieliśmy wylewać wodę. Wydaje mi się, że gdzieś przy stępce jest szczelina. Musimy odwrócić okręt na bok, by to sprawdzić. Może to zająć kilka dni.

– To lepiej bierzcie się do pracy. Nie ma co tracić czasu na gadanie.

Zovac uśmiechnął się i przekrzywił głowę na bok.

– Można by pomyśleć, oberjarlu, że chcesz się nas czym prędzej pozbyć.

Erak kiwnął głową.

– Bo tak jest. Siedzicie tu już wystarczająco długo. Czas ruszać w drogę.

Z tymi słowami odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie. Uśmiech zniknął z twarzy Zovaca. Zaczął iść w stronę okrętu, gdy nagle rozległ się gniewny głos oberjarla. Zovac odwrócił się, zaciekawiony.

– A ty znowu się obijasz, pijanico? – wrzasnął Erak do obdartej postaci, która leżała bezwładnie na ziemi, wsparta o pień drzewa, wyrzuconego na brzeg. Zovac przypomniał sobie, że przez ostatnie dni często widywał tego człowieka w porcie. Pomyślał jednak, że to jakiś zwykły żebrak. I pijak, co można było wywnioskować ze słów oberjarla. Nikt ważny. Zovac wrócił do swoich towarzyszy.

Thorn uśmiechnął się szeroko do Eraka i potrząsnął butelką, którą trzymał w swej nowej ręce. Była pusta. Była pusta również koło południa, kiedy Thorn zjawił się na plaży.

– Jakież wnioski? – zapytał Erak, tłumiąc głos i skinieniem głowy wskazując czarny okręt.

Thorn zacisnął wargi, po czym odparł:

– Moim zdaniem, oszukują. Obserwuję ich od kilku dni, ich okręt nie wygląda na uszkodzony.

– Zovac twierdzi, że przecieka. Wciąż wylewają z niego wodę – zauważył Erak.

– Której zapewne specjalnie nabrali, kiedy byli na pełnym morzu. Moim zdaniem, szukają pretekstu, żeby zostać w Hallasholm jeszcze kilka dni.

– Tylko w jakim celu?

– Na pewno nie w uczciwym.

Erak zacisnął usta. Po chwili zdecydował:

– Dam im jeszcze dzień lub dwa. Miej na nich oko. – Kiedy Thorn skinął głową, zapytał jeszcze, wskazując dziwny kawałek drewna, przyczepiony do jego prawego ramienia. – Co to?

– Moja nowa ręka. Mogę chwytać nią przedmioty. Widzisz? – Thorn wypuścił butelkę z drewnianych szczypiec.

Erak potrząsnął głową.

– Niech zgadnę. Ha! ją zrobił.

– Niezwykły chłopak, co? Wczoraj też doskonale się spisał – Thorn pochwalił wychowanka z nieskrywaną dumą. Erak przytaknął.

– Owszem. Zachował się jak prawdziwy Skandianin.

– On jest Skandianinem – zjeżył się Thorn.

Erak wzruszył ramionami.

– W połowie Aralueńczykiem.

– Dobra mieszanka – odparował Thorn. Nie zamierzał ustąpić. Erak skinął głową.

– Całkiem możliwe. Obserwuj ich – nakazał, wskazując skinieniem głowy madziarski okręt, po czym ruszył w kierunku swej siedziby.

Tego popołudnia nie mieli zajęć, poszła jednak fama, że Sigurd zamierza dokonać niezapowiedzianej inspekcji w kwaterach i przeglądu broni. Czaple uwijały się gorączkowo, sprzątając, czyszcząc oręż, ścieląc prycze i składając rzeczy osobiste w równe stosiki.

Hal przechadzał się pośród nich, szukając ewentualnych niedociągnięć i najdrobniejszych błędów. Jak zwykle musiał zatrzymać się przy Ingvarze, którego posłanie często pozostawiało wiele do życzenia, koc był zwinięty byle jak, a jego końce sterczały na wszystkie strony. Hal uważnie szukał śladów brudu na podłodze oraz plamek rdzy na mieczach i toporach. W końcu stwierdził:

– Nie znalazłem żadnych nieprawidłowości.

– Ale Sigurd na pewno znajdzie – Stig wywrócił oczami.

Hal wzruszył ramionami.

– Zawsze coś znajduje. – Przygryzł wargi z namysłem i dodał: – Kilka konkurencji skończyło się remisem, teraz moglibyśmy zyskać dodatkowe punkty. Tak więc niech każdy jeszcze raz wszystko sprawdzi. A potem jeszcze raz. – Spojrzał na Edvina, który podliczał punkty wszystkich drużyn.

– Jak wygląda nasza sytuacja?

Edvin uniósł wzrok.

– Nadal mamy szansę na zwycięstwo.

Stefan uśmiechnął się szeroko.

– Założę się, że co poniektórzy się tego nie spodziewali.

Edvin zerknął na niego i podjął:

– Po wczorajszych zawodach sytuacja wygląda następująco: Rekiny zdobyły dwieście dwadzieścia punktów. Wilki dwieście pięć. My sto pięćdziesiąt.

– A zostały jeszcze dwie konkurencje – stwierdził Stig.

– Nocny atak i końcowy test z nawigacji.

– A więc musimy wygrać obie – powiedział Hal.

– Co to jest „nocny atak”? – zapytał Ingvar.

– To proste. Na szczycie jednego ze wzgórz znajduje się niewielka chatka, w chatce zamknięte pudełko z otworem w pokrywce. Jedna z drużyn broni chaty, druga próbuje złamać obronę i umieścić w pudełku specjalny przedmiot – zapewne wyobrażający symbol drużyny. Każda z drużyn po kolei gra rolę obrońców i napastników.

Jesper słuchał ze ściągniętymi brwiami i teraz powiedział:

– Jesteśmy w niekorzystnej sytuacji. Mamy dwóch ludzi mniej niż pozostałe drużyny.

– Zgadza się – odparł Hal. – A o ile znam Tursguda, nie posłuży się subtelными metodami. Zapewne postanowi pokonać nas za pomocą przewagi liczebnej. Jeśli każdy z nich weźmie na siebie po jednym członku naszej drużyny, zostanie im jeszcze dwóch, którzy w tym czasie dostaną się do chaty i umieszczą swój symbol w pudełku.

– W takim razie musisz wymyślić jakiś sprytny plan, dzięki któremu wygramy – powiedział Stig.

– Dzięki za ten dowód zaufania – odparł Hal sarkastycznie. – A nie przyszło ci do głowy, że sam też mógłbyś wymyślić jakiś sprytny plan?

– Nie jestem szczególnie bystry – odparł Stig wesoło. – Znam swoje ograniczenia.

– Jak my wszyscy – dodał Ingvar. Hal uśmiechnął się do niego.

– Oto słowa mędrca. Usłyszemy więcej? Chłopak kiwnął głową z powagą.

– Jestem z tego znany. A druga konkurencja? Test nawigacji?

– Musimy odnaleźć flagę, umieszczoną na którejś z wysepek. Dostaniemy zestaw wskazówek dotyczącym kursu w formie zagadki, którą najpierw musimy rozszyfrować. Jeśli zrobimy to prawidłowo, dotrzemy do miejsca, w którym umieszczono flagę. Zabieramy ją i wracamy zwycięsko do portu.

– Och, to z pewnością nam się uda – stwierdził Stig z przekonaniem. – Hal to najlepszy żeglarz z nas wszystkich.

– Skoro tak, można założyć, że pozostałe drużyny po prostu ruszą naszym śladem – zauważył Jesper.

Stig jednak potrzaskał głową.

– Nie. Każda z drużyn musi odgadnąć inny zestaw wskazówek i pokonać inną trasę. Tak więc, jako że mamy Hala, wygramy z pewnością.

– Nie bądź taki pewien – ostrzegł Hal. – Tursgud również jest niezłym żeglarzem, a Rollond nawet lepszym.

Stig lekceważąco machnął ręką.

– Może i tak, ale ja stawiam na ciebie.

– Problem polega na tym – zauważył Hal – że jeśli przegramy nocny atak, a Rekiny go wygrają, zdobędą tyle punktów, że już ich nie przegonimy, nawet jeżeli wygramy drugą konkurencję.

– Cóż – stwierdził Edvin filozoficznie – najgorsze, co może nas spotkać, to drugie miejsce.

Gdy w namiocie zapadła cisza, uniósł głowę, zaniepokojony dziwną atmosferą.

– Nie, Edwinie – poprawił go Stig – najgorsze, co może nas spotkać, to przegrana. Nie jesteśmy na nią gotowi. – Spojrzał na Hala. – Widzisz? Naprawdę musisz wymyślić jakiś sprytny plan.

– Powtarzasz to już któryś raz – zauważył Hal.

Stig wzruszył ramionami.

– I będę dalej powtarzał, póki go nie wymyślisz.

ROZDZIAŁ 35

Skromnie tu – stwierdził Stig, rozglądając się po wnętrzu chaty.

Wraz z Halem wybrali się, by obejrzyć miejsce, w którym miała rozegrać się kolejna konkurencja – wyznaczona na ten wieczór. Była to stara chata pasterska, zbudowana z bali sosnowych, pokryta łupkowym dachem, stojąca na niewielkim wzniesieniu pośrodku wrzosowiska. Teren znaczyły kępy krzaków i drzew, ale wokół chaty, w promieniu jakichś trzydziestu metrów, rosło ich znacznie mniej.

Pośrodku chaty stał stary rozklekotany stół, przy ścianie naprzeciwko drzwi – łóżko z ramą sznurową i gnijącym materacem, które raczej nie wytrzymałoby ciężaru ludzkiego ciała. Na łóżku leżały jakieś koce i kawałki płótna.

Drzwi stanowiły jedyny otwór, przez który można było dostać się do środka. Hal wykrzywił wargi.

– Miałem nadzieję – powiedział Hal – że z tyłu jest jakieś okienko, przez które Jesper mógłby się zakraść.

Stig potrząsnął głową.

– Ale w ten sposób łatwiej się bronić. Napastnicy mogą dostać się tu tylko jedną drogą.

Hal spojrzał na niego. W głowie zaczął mu świtać pewien pomysł.

– Jedną drogą. Właśnie. Tego nie możemy zmienić. Ale możemy zmienić czas.

– Czas? Co masz na myśli? Zawody odbędą się dziś wieczorem. – Nagle Stig urwał. Zaczynał się domyślać. – Niech zgadnę. Wpadłeś na jakiś sprytny pomysł!

Hal zmarszczył brwi z namysłem. Nagle uniósł głowę. Ktoś ich wołał.

– Co ten Stefan taki podekscytowany?

A Stefan biegł w górę wzniesienia, krzycząc i machając rękami. Dotarłszy do chaty, przystanął i pochylił się, kładąc ręce na kolanach i z trudem łapiąc oddech.

– O co chodzi? – zapytał Stig.

Stefan odetchnął jeszcze kilka razy, po czym wydyszał:

– Wilki... odpadły...

– CO? – wykrzyknęli chórem Stig i Hal. Stig pokiwał głową na znak, że się nie przesłyszeli.

– „Ryś” jest mocno uszkodzony. Nie zdążą go naprawić przed testem z nawigacji, a żeby wygrać całość zawodów, należy wziąć udział we wszystkich konkurencjach. Sigurd powiedział, że w związku z tym nie mogą przystąpić również do dzisiejszych zawodów, bo ich udział mógłby zmniejszyć szanse na wygraną którejs z drużyn.

Hal i Stig popatrzyli na siebie.

– A więc to będzie rozgrywka między nami i Tursgudem – stwierdził Hal.

– A jeśli Rekiny dziś wygrają, nie zdołamy ich przegonić – dodał Stig. – Co z tym twoim pomysłem? – zapytał z niepokojem. – Wierzę w ciebie, ale czas ucieka.

– Powinno się udać – odparł Hal. – Muszę tylko dopilnować, żeby drużyna Tursguda atakowała jako pierwsza.

Właśnie gasły ostatnie promienie słońca. Sigurd stanął pośrodku, między drużynami Rekinów

i Czapli, po obu stronach mając ich przywódców. Podał im plakietki z namalowanym symbolem – Halowi z ptakiem, a Tursgudowi z rekinem.

– Dobrze. Znacie zasady. Tuż przed startem umieścimy w chacie pudełko. Drużyna atakująca musi włożyć swój emblemat do pudełka przez szparę w wieczku. Będziecie ciągnąć losy. Tursgud, twoja drużyna prowadzi, więc wybieraj. Orzeł czy reszka?

Hal przyglądał się bacznie Tursgudowi. Znał go już trochę i wiedział, że jeśli będzie mógł zdecydować, na pewno wybierze rolę bardziej aktywną. To by było do niego niepodobne – wybrać rolę obrońcy. A jeśli to Hal miałby decydować, po prostu wybierze obronę. Istniało jednak pewne ryzyko, że Tursgud mimo wszystko zdecyduje się na obronę. Hal postanowił, że trzeba naprowadzić go na właściwą decyzję.

Sigurd wyrzucił monetę w górę.

– Orzeł – powiedział Tursgud.

Sigurd złapał monetę, przycisnął do nadgarstka i odsłonił.

– Orzeł.

Nim Tursgud zdążył się odezwać, Hal powiedział pospiesznie.

– Dobrze. W takim razie my atakujemy pierwsi.

Tursgud zareagował momentalnie.

– Zaraz, zaraz. Przegrałeś. To ja decyduję. Skoro to dla ciebie takie ważne, to my zaatakujemy pierwsi. Wy będziecie obrońcami.

Hal z trudem powstrzymał się od triumfalnego uśmiechu. Starał się wyglądać na zmieszanego i zdezorientowanego.

– Oj, przepraszam. Myślałem...

– Myślałeś, że nadal możesz decydować, mimo że przegrałeś przy rzucie monetą? Typowe. Miałeś pecha. Wy bronicie.

– Hej, nie rób z tego takiej afery – powiedział Hal.

Tursgud zrobił krok w jego stronę, ale Sigurd zagroził mu drogę.

– Wystarczy! Wracajcie na stanowiska i ustawcie się. Macie trzydzieści minut.

– Idziemy, chłopaki – rzucił Hal. Tursgud zawołał za nimi:

– Znajdź sobie porządną kryjówkę, Halu Jaki. Będę cię szukał.

– Powodzenia, Krzywy Kinolu – odparował Stig – ale uważaj, żebyś ja ciebie pierwszy nie znalazł.

Czapple zaśmiały się, a Tursgud zaklął ze złością.

Czapple ustawiły się w półkolu, w odległości jakichś dwudziestu metrów od chaty. Hal skrył się za pnem leżącym między dwoma blokami skalnymi. Kiedy leżał tak, wpatrując się w gęstniejącą ciemność, poczuł czyjąś rękę na ramieniu. Podskoczył jak oparzony i zobaczył Jespera.

– Jak ty to robisz? – zapytał. Wciąż nie mógł ochłonać.

Jesper uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Jestem złodziejem. To moja praca. Masz plakietkę?

Hal sięgnął za pazuchę i podał mu niewielki przedmiot. Jesper schował go do kieszeni i odwrócił się.

– Daj mi dwadzieścia sekund – powiedział – i zacznij akcję.

Potem zaczął czołgać się na brzuchu w stronę chaty. Po chwili Hal niemal stracił go z oczu. Potrząsnął głową i odwrócił się. Uznawszy, że dwadzieścia sekund już minęło, gwizdnął cicho.

Stig, kryjący się za krzakiem pięć metrów dalej podniósł się na kolana i krzyknął głośno:

– Czapple! Wszyscy na stanowiskach?

Gdzieś z prawej strony doszedł głos Wulfa:

– Tu jestem, Hal!

– A ja tu! – zawtórował mu Ulf.

– Gotów! – Ingvar pomachał zza swojego krzaka. Początkowo Hal planował postawić go u wejścia do chaty, jako ostatnią linię obrony, ale reguły na to nie pozwalały.

– Jesper, tutaj! – krzyknął Jesper. Głos dochodził zaskakująco daleko od miejsca, w którym Hal widział go po raz ostatni. Sekundę później z tego samego kierunku dobiegł głos Stefana.

– Jestem na stanowisku!

Hal uśmiechnął się. Sława doskonałego naśladowcy była całkowicie zasłużona. Hal spojrzął na chatę. Jakiś cień przemknął w drzwiach. „Jesper jest na miejscu”, pomyślał.

– Edvin! Tu jestem! – Czyli gdzieś niedaleko. Tylko Stig milczał, jako że krzyknął swoje imię na samym początku.

– I ja – mruknął Hal.

W ten sposób zdradzili swoje pozycje i, jak przypuszczał, osiągnęli cel – odwrócili uwagę Rekinów od chaty, do której tymczasem wśliznął się Jesper. Hal wzruszył ramionami. To naprawdę nie miało znaczenia, że Rekiny poznały ich pozycje. Było niemal pewne, że pokonają obrońców.

Choć Czaple zamierzały zrobić wszystko, by do tego nie dopuścić.

Rozbrzmiał róg, obwieszczający rozpoczęcie ataku. Hal ukląkł za swoim pniakiem i wyglądał napastników w ciemnościach.

Po kilku minutach zobaczył cienie po swojej lewej stronie. Zawołał na Stiga. Nim ten spojrzął, cienie przypadły do ziemi.

Teraz zaszeleściły krzaki, rosnące przed nimi. Hal spojrzął w tamtym kierunku i zawołał cicho:

– Widzisz coś?

Stig potrząsnął głową.

– To zmyłka – powiedział.

Nagle podobny dźwięk rozległ się nieco dalej z lewej strony, pomiędzy tymi dwoma miejscami, gdzie Hal wcześniej widział atakujących.

– Po prawej! – krzyknął Wulf. Hal odwrócił się błyskawicznie i zobaczył ciemne postaci, znikające za kępą niskich krzaków. Serce podskoczyło mu w piersi. Ludzie Tursguda mieli niezłą taktykę. Próbowali odwrócić ich uwagę, przemieszczając się między różnymi punktami, a jednocześnie zbliżając się coraz bardziej do celu. Hal wiedział, że kiedy tylko znajdą się naprawdę blisko, wychyną z ukrycia i rozpoczną atak na mniej liczną drużynę Czapli.

Nagle coś mu przyszło do głowy.

– Uważaj na Tursguda! – zawołał do Stiga. – To na pewno on ma plakietkę.

Dziwne, gdyby przywódca Rekinów chciał podzielić się z kimś chwałą zwycięstwa. Do tej pory we wszystkich konkurencjach obejmował najważniejszą rolę. Nieważne, ile Rekinów przebije się przez linię obrony. Jeśli tylko Czaplom uda się zatrzymać Tursguda, wygrają.

Znów jakiś ruch z przodu. Potem z lewej strony. Zbliżali się. W każdej chwili...

W ciemnościach rozległ się głośny gwizd i nagle napastnicy pojawili się z trzech stron naraz.

Trzech biegło po prawej stronie. Ulf i Wulf podnieśli się i pobiegli im na spotkanie. Dwóch zwałili na ziemię, ale trzeci uciekł. Stefan wyszedł zza krzaka i próbował go zatrzymać, lecz tamten pchnął go w tył, aż Stefan stracił równowagę. Szybko podniósł się i ruszył w pogoń.

Ale teraz, wykorzystując moment, gdy Edvin opuścił kryjówkę, by pomóc Stefanowi, wybiegły ku nim dwa kolejne cienie, tym razem środkiem polany. Gdy przypadły do ziemi, dwa pokazały się z kolei po lewej stronie, przebiegły w ciemności niczym sarny. Nagle jeden stracił równowagę

i przewrócił się. Szybko jednak wstał i pobiegł dalej.

Stig zaczął się podnosić.

– Zaczekaj! – krzyknął Hal. – Zaczekaj, aż zobaczysz Tursguda!

Dwaj, którzy pokazali się po lewej, znów się schowali. Hal rozejrzał się dokoła. Wszystkie Czaple walczyły teraz z napastnikami, prócz niego i Stiga. No i Ingvara oczywiście, zagapionego w ciemność jak krótkowzroczny niedźwiedź. Wszystko przebiegało zgodnie z przewidywaniami Hala. Ale ponieważ Jesper chował się w chacie, mieli jeszcze mniej ludzi do obrony, niż przypuszczali przeciwnicy.

Siedmiu napastników wyszło już z ukrycia, trzech jeszcze się chowało. Wśród nich Tursgud.

Hal wstał i pobiegł w stronę Stiga, który przeszukiwał teren z przodu. Wiedział, że Stig to ich największa szansa.

– Pójdę za tymi dwoma po lewej stronie – powiedział. – Poczekaj, aż zobaczysz Tursguda. Powinien gdzieś tu być. Ci z prawej i lewej służą tylko odwróceniu uwagi. Nie reaguj na nich, zatrzymaj Tursguda. Rozumiesz?

Stig odsłonił zęby w uśmiechu.

– Zrobię to z rozkoszą.

Hal poczuł przyływ nadziei. Do tej pory liczył na remis, ale gdyby rzeczywiście udało im się zatrzymać Tursguda, mieliby szansę nawet na zwycięstwo.

Podniósł się i pobiegł w lewo, kierując się tam, gdzie dwaj napastnicy zniknęli mu wcześniej z oczu. Miał nadzieję, że w ten sposób wywabi Tursguda z kryjówki. A resztę załatwi Stig.

Napastnicy zobaczyli go, podnieśli się i zaczęli biec w prawą – jego lewą – stronę. Zmienił kierunek, by odciąć im drogę. Nagle Stig krzyknął triumfalnie:

– Tursgud!

Tursgud i dwaj pozostali napastnicy wreszcie wyszli z ukrycia. Zaledwie kilka metrów od miejsca, gdzie czekał Stig. Hal zobaczył, jak jego przyjaciel biegnie w stronę przywódcy Rekinów. Ale Tursgud pochylił się i zaatakował. Hal uświadomił sobie, że się przeliczył. Tursgud walnął w Stiga całym ciężarem ciała. Potoczyli się na ziemię i zaczęli mocować. Tymczasem dwaj towarzysze Tursguda pobiegli w stronę chaty. Hal usłyszał triumfalny śmiech skirla.

Odwrócił się i pobiegł, by odciąć im drogę. Nagle jednak ten, który biegł przodem, skręcił i rzucił się na Hala. Wbił mu łokieć pod żebra. Hal padł na ziemię, z trudem łapiąc oddech.

Patrzył bezsilnie, jak drugi napastnik, machając nad głową białą plaketką, wbiega do chaty.

Rozdzierający ryk rogu oznajmił zakończenie pierwszej części zawodów.

ROZDZIAŁ 36

Sigurd wyniósł pudełko z chaty i postawił je na ziemi.

Dokoła stali członkowie obu drużyn. Większość miała sińce i zadrapania. Sigurd tylko wzruszył ramionami. Wedle reguł gry nie powinni nawalać się na pięści, ale cóż, on sam nie przypominał sobie, by któregoś roku ta konkurencja skończyła się inaczej.

Otworzył pudełko. Oczom wszystkich ukazała się biała plakietka z obrazkiem rekina. Tursgud i jego towarzysze wzniesli okrzyk triumfu. Czaple z ponurymi minami zaszurały tylko nogami.

– Co za pech – powiedział Tursgud wesoło do Stiga. Po spotkaniu z nim miał otarty policzek, ale słodycz zwycięstwa uśmierzyła ból. Stig spojrział na niego spode łba. Hal położył przyjacielowi rękę na ramieniu.

– Daj spokój – powiedział cicho.

Sigurd wręczył plakietkę Tursgudowi, zamknął pudełko i podał je Viggowi, by ten zaniósł je do chaty.

– Zwyciężyły Rekiny. Teraz zmiana miejsc. Czaple atakują, Rekiny bronią. Trzydzieści minut.

Hal odszedł na bok, a za nim reszta drużyny. Zatrzymał się jakieś dwadzieścia pięć metrów od chaty, koło kępy niskich, gęsto rosnących krzaków. Już wcześniej zwrócił na nie uwagę.

– Do mnie – polecił i Czaple zbliżyły się posłusznie. Hal spojrział na Stefana, potem wskazał krzaki.

– Schowaj się tam i czekaj, aż krzyknę: „Ingvar, biegnij!”. Wtedy możesz zacząć przedstawienie. Ale wcześniej siedź cicho. Będziesz otoczony ze wszystkich stron.

Schowany za plecami przyjaciół Stefan padł na kolana i wczołgał się pod krzaki.

Kiedy tylko znalazł się w kryjówce, pozostali ruszyli przed siebie, rozproszeni. Ingvar, idący obok Hala, dotknął jego rękawa.

– Hal, muszę zapytać na wszelki wypadek. Tak naprawdę nie chcesz, żebym gdzieś pobiegł?

– Nie – odparł Hal z uśmiechem. – Musiałem wymyślić sygnał, którego normalnie bym nie użył.

Ingvar kiwnął głową.

– Dobry pomysł.

– Trzymaj się blisko mnie. Mam inne plany co do ciebie.

Czaple rozeszły się w poszukiwaniu odpowiednich kryjówek. Hal nie szukał daleko. Wraz z Ingvarem schował się w kępie niskich krzaków, zaledwie pięć metrów od kryjówki Stefana. Stig i bliźniaki poszli w lewo, Edvin w prawo. Hal skrzywił się. „Cienka linia ataku”, pomyślał. Ale zaraz wzruszył ramionami. Prawdziwy atakujący znajdował się już w środku chaty, oni mieli jedynie narobić jak najwięcej hałasu i zamieszania.

– Podejdziemy kawałek, potem się cofniemy – tłumaczył drużynie wcześniej tego wieczoru. – Nie pozwólcie, żeby za bardzo się do nas zbliżyli. Zmieniajcie pozycje tak często, jak tylko się da, by nie wiedzieli, który z nas gdzie się znajduje.

Zdjął kurtkę i udrapował ją na głowie i ramionach Ingvara, tak by jego sylwetka stała się bezkształtna i nie do rozpoznania. Potem naciągnął rękawy, aż skryły jego dłonie.

– Gotowy?

Ingvar odpowiedział uśmiechem.

– Czeka nas niezła zabawa.

Hal kiwnął głową.

– Miejmy nadzieję. Pamiętaj, kiedy wykonasz zadanie, zostawiam cię samego. Siedź cicho i się nie ruszaj. Jeśli któryś na ciebie nadeptnie, to w mordę.

– A jeśli to będziesz ty? – zapytał Ingvar ze szczerą troską.

Hal zaśmiał się.

– Na pewno nie.

A potem Sigurd zadał w róg, oznajmiając początek drugiej części zawodów. Hal uniósł rękę, dając znak, żeby byli cicho. Znajdowali się blisko linii obrony. Słyszał szepty i szelest liści. Tursgud i jego towarzysze zajmowali pozycje.

Przez kilka minut obaj siedzieli bez ruchu, ledwo mając odwagę odetchnąć. Pozostałe Czaple podobnie, zastygły nieruchome i milczące w swoich kryjówkach. Minęło kolejnych kilka minut. Wreszcie, zgodnie z przewidywaniami Hala, obrońcy zaczęli się niecierpliwić.

– Ktoś coś widzi? – syknął jakiś głos. Zdumiewająco blisko. Inny głos, nieco dalej z lewej strony, odparł:

– Zamknij się! Mogą cię usłyszeć!

Hal uśmiechnął się. Spojrzał na potężny nieforemny kształt obok siebie. „Teraz, zaraz”, pomyślał. Policzył do pięćdziesięciu, a potem wyciągnął rękę, ujął Ingvara pod ramię i pomógł mu wstać.

Ingvar zaczął gwałtownie potrząsać krzakami.

Niemal w tej samej chwili jeden z Rekinów zawołał na widok potężnej sylwetki:

– Tam jest jeden! Chodźcie!

Hal usłyszał tupot biegnących stóp i wrzasnął z całych sił:

– Ingvar, biegiem!

Ingvar nadal potrząsał groźnie gałęziami. Stefan, ukryty w pobliżu, wydał przejmujący wrzask, idealnie imitujący ryk atakującego niedźwiedzia. Tupot biegnących stóp urwał się gwałtownie, rozległ się ostrzegawczy okrzyk, kiedy dwaj członkowie drużyny Rekinów wpadli na siebie w zamieszaniu.

Stefan znów zaryczał. Tym razem z jeszcze większą wściekłością.

– Na Orloga i Gorloga! To niedźwiedź!

– Uciekamy!

Rozległ się tupot, tym razem oddalających się stóp. Dwaj obrońcy wycofali się, wrzeszcząc z przerażenia. Hal, krztusząc się ze śmiechu, popchnął Ingvara do pozycji siedzącej. Wielkolud uśmiechnął się promiennie.

– Gdybym nie wiedział, że to Stefan, chyba narobiłbym w portki – powiedział, a potem dodał, marszcząc brwi. – To był Stefan, prawda?

A Stefan dopiero zaczynał się rozkręcać. Teraz krzyknął, idealnie imitując głos Tursguda:

– Uwaga! Tu krąży niedźwiedź! Wycofujemy się!

– Kto to? – krzyknął prawdziwy Tursgud gdzieś z lewej strony.

– Kto to? – powtórzył Stefan głosem Tursguda. – Uwaga! W pobliżu krąży niedźwiedź!

– Nie ma żadnego niedźwiedzia! – krzyknął Tursgud.

Stefan wydał kolejny przejmujący ryk, a potem dodał głosem Tursguda:

– A co to niby było? Wściekła wiewiórka? – A potem Stefan doznał nagłego olśnienia. – To ty, Stefan, prawda? – zawołał. – Zaraz cię dopadnę, ty kłapouchy kurduplu!

Hal w myślach zaczął bić brawo. To był genialny pomysł. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że to powiedział prawdziwy Stefan. Teraz Rekiny już naprawdę nie wiedziały, o co chodzi, i którego Tursguda mają słuchać. Stefan postanowił wykorzystać ich pomieszenie do końca.

– Nacierają z prawej strony! – krzyknął! – Pedra! Knut! Ennit! Biegnijcie tam natychmiast!

– Zostańcie na miejscach!

– Zamknij się, Stefan!

– Zamknij się, Stefan, bo cię zabiję!

– To ja cię zabiję!

Hal klepnął Ingvara po ramieniu.

– Idę jeszcze bardziej namieszać. Zostań tutaj. Po wszystkim wrócę po ciebie.

Przemknął między drzewami do miejsca, skąd dochodził głos prawdziwego Tursguda. Hal schylił się, pomacał dokoła i znalazł kilka sporych kamieni. Prawdziwy Tursgud i ten fałszywy nadal obrzucali się obelgami i już naprawdę trudno było rozpoznać, który jest który. Hal nadal jednak pamiętał, skąd dochodzi głos tego prawdziwego. Podszedł bliżej i rzucił kamieniem.

Z krzaków kilka metrów dalej wynurzyła się jakaś postać. Rozpoznał w niej Tursguda. Cisnął jeszcze dwa kamienie i rzucił się do biegu. Tursgud zawył z bólu, trafiony w ramię drugim kamieniem, i krzyknął:

– To Hal! Karl, chodź tu i pomóż mi go złapać!

– Co ty wygadujesz, podróbo? Karl, nie słuchaj Stefana! Już złapałem Hala!

Halowi ciarki przeszły po plecach, kiedy usłyszał własny głos:

– Auuuu! Przestań, Tursgud! Złamiesz mi rękę!

Nastał kompletny chaos. Nagle z lewej strony wypadł Stig i skierował się w stronę chaty. Trzech obrońców ruszyło za nim, wykrzykując do siebie polecenia. Stefan zaś zaczął wykrzykiwać sprzeczne z nimi wskazówki, by pomieszać im szyki. Stig rzucił się na ziemię i prędko wpełzł między krzaki. Do ogólnego zamieszania dołączyły głosy bliźniaków.

– Hej! Tutaj jestem! – krzyknął Wulf.

– Nieprawda! Jestem tutaj! – zaprotestował Ulf, jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. A ich głosy brzmiały, rzecz jasna, identycznie.

Hal, uznawszy, że nadszedł odpowiedni moment, wetknął palce do ust i gwizdnął głośno. Nagle fałszywy Tursgud krzyknął:

– Kto to gwizdże? Zamknij się, bo jak cię trzasnę!

Gwizd stanowił umówiony sygnał, na który Czaple miały cofnąć się, przejść na prawo i tam się zebrać.

Stig, bliźniaki, Edvin i Hal skulili się za krzakami. Ingvar i Stefan zostali oczywiście na swoich miejscach. Hal liczył po cichu metodą Edvina.

– ...osiemdziesiąt dziewięć brzydkich trolli, ...sto brzydkich trolli.

Stefan, ukryty w krzakach, również odliczał. Doszedłszy do stu, wytoczył się z ukrycia, wstał i zaczął biec w lewo – jak najdalej od miejsca, gdzie chowali się jego towarzysze.

– Są po naszej prawej! – krzyknął. – Rekiny! Wszyscy do mnie!

Ciemne cienie podniosły się z ziemi i ruszyły za nim. Tylko jeden z Rekinów wiedział, że to nie jest prawdziwy Tursgud. Prawdziwy Tursgud czekał niecierpliwie, by wreszcie zobaczyć, kto go naśladuje, i teraz także ruszył za biegnącą postacią. Dogonił Stefana, rzucił się na niego i powalił go na ziemię. Stefan zwinął się, wystawiając na boki łokcie i kolana, by w ten sposób obronić się przed ciosami. Nagle Tursgud zdał sobie sprawę, że padł ofiarą podstępu. Z przerażeniem spojrzął w lewo i zobaczył kilka niewyraźnych postaci, biegnących w stronę chaty. Zostawił Stefana na ziemi, posiniaczonego i stękającego z bólu, skoczył na równe nogi i wrzasnął:

– Wracajcie! Wracajcie! Są już prawie w chacie! Powstrzymajcie ich!

Trzech członków jego drużyny usłyszało go i pobiegło pospiesznie za Czaplami. Dwa metry

od chaty drużyny spotkały się i starły, ciała splątały się w chaotycznej masie. Od czasu do czasu ktoś z drużyny Czapli wrywał się i biegł w stronę wejścia, lecz za każdym razem Rekiny go powstrzymały. Rekiny zaczynały osiągać przewagę – na pomoc przybiegli im kolejni członkowie drużyny. W końcu zdołali obezwładnić wszystkich przeciwników. Hal, ciężko dysząc, powiódł wzrokiem dokoła, licząc towarzyszy. Serce na chwilę przestało mu bić, kiedy zobaczył Jespera, trzymanego przez dwóch przeciwników. Ale Jesper, widząc go, powoli zmrużył jedno oko. Przez cały czas krył się w chacie, a kiedy na zewnątrz wybuchło zamieszanie, wymknął się stamtąd i niezauważenie dołączył do pozostałych.

Znowu zabrzmiał róg Sigurda – niepotrzebnie, jak pomyślał Hal, bo zawody już się skończyły. Czterech sędziów podeszło do chłopców. Sigurd pokazał gestem, że Rekiny mają uwolnić Czaple.

– Puśćcie ich – powiedział. – To koniec. Wygląda na to, że Rekiny znowu wygrały. Nikt z drużyny Czapli nie zdołał dostać się do wnętrza chaty.

Rekiny wydały wrzask triumfu. Na ich twarzach pojawiły się szerokie uśmiechy. Teraz mieli ostateczną wygraną w kieszeni. Właściwie już zaczęli ją świętować.

Nagle jednak Jesper wystąpił naprzód i oznajmił:

– Ściśle rzecz ujmując, mnie się udało.

Zapadła cisza. Wszystkie spojrzenia skierowały się na niego. Twarz Tursguda zdradzała wielką koncentrację – próbował sobie przypomnieć, czy widział Jespera, kiedy wybuchło zamieszanie przed chatą. Ale wszystko było takie chaotyczne, ciosy, bijatyka, przemieszane ciała walczących Rekinów i Czapli. Po prostu nie pamiętał. Jego towarzysze także nie. Uśmiechy powoli znikły z ich twarzy. Zdali sobie sprawę, że radość była przedwczesna.

– Jest tylko jeden sposób, by to sprawdzić. Przynies pudełko – zwrócił się Sigurd do Vigga.

Wszyscy w milczeniu patrzyli, jak nauczyciel wchodzi do chaty, a potem podaje pudełko Sigurdowi. Ten otworzył je i odwrócił do góry dnem. Na ziemię spadła mała biała plakietka z prostym rysunkiem czapli. Zwycięzcy zaczęli skakać i krzyczeć z radości. Hal i Jesper wyszczerzyli się do siebie, a Stig wielką piąchą klepnął przyjaciela w ramię.

– Mówiłem, że na pewno wymyślisz jakiś sprytny plan.

– Zamknij się – powiedział Hal ostrzegawczo, ale nie mógł przestać się uśmiechać.

Tursgud z twarzą jak chmura gradowa zaklął pod nosem, kiedy Sigurd oznajmił, że konkurencja zakończyła się remisem.

– A więc wszystko zależy od sprawdzianu z nawigacji. Pojutrze. Teraz wracajcie do kwater i odpocznijcie.

Czaple zebrały się w ciasną gromadkę i powędrowały do obozu, zabierając po drodze Ingvara i Stefana, który lekko utykał.

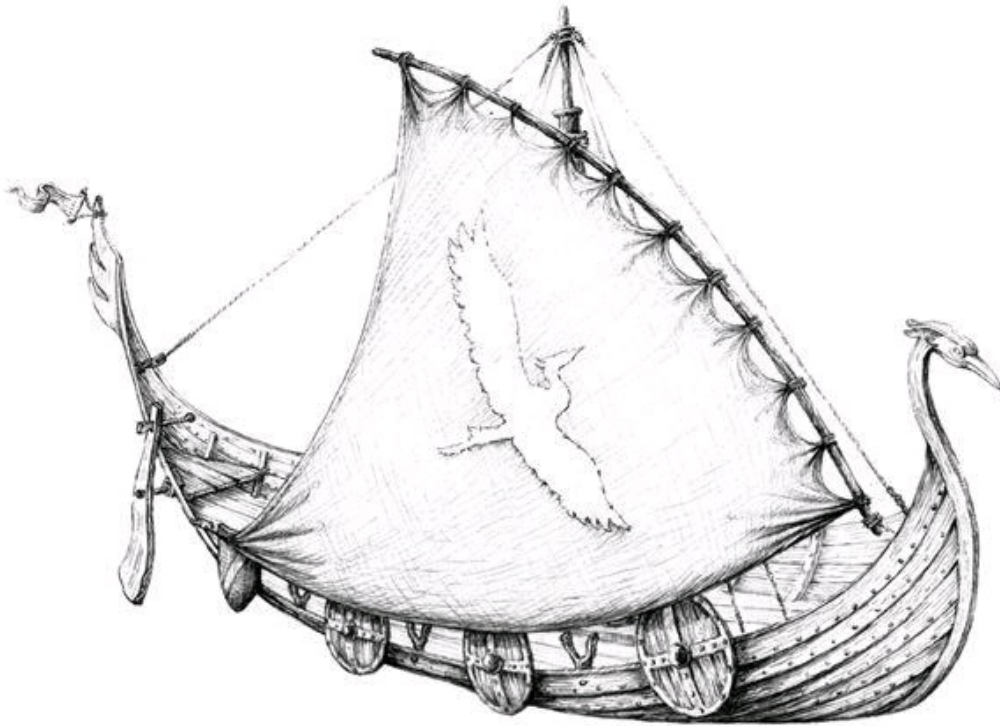
– Wszystko w porządku? – zapytał go Hal.

Stefan uśmiechnął się ostrożnie.

– Nieźle mi przyłożył. Ale warto było. A ty – zwrócił się do Jespera – Pewnie się cieszysz, że wreszcie mogłeś wyleźć spod tego wyra?

– No, ostatnio raczej nikt tam nie sprzątał – przyznał z szerokim uśmiechem. – Ale, jak sam zauważyłeś, warto było.

CZĘŚĆ 4



WYRZUTKI

ROZDZIAŁ 37

Chłopcy stali na brzegu, przyglądając się ze zdumieniem, jak czarny okręt powoli wypływa z portu. Po chwili „Wilczy Wicher” ze Svengalem u steru podążył za nim jak cień. Nauczyciele byli równie zaintrygowani jak uczniowie.

– Co się dzieje? – zapytał Sigurd dowódcę straży, wskazując na dwa okręty.

Dowódca uśmiechnął się.

– Erak kazał im zjeżdżać. Lub raczej spływać – odpowiedział spokojnie. Nie życzy sobie dłużej ich obecności w Hallasholm.

Hal podszedł do Thorny i zadał mu to samo pytanie. I dostał podobną odpowiedź.

– Obserwowałem ich przez cały tydzień – powiedział Thorn. – Twierdzili, że ich okręt przecieka, ale nie zauważyłem, żeby coś przy nim naprawiali.

– To co tu robili? – zapytał Stig.

Thorn wzruszył ramionami.

– Jak znam Madziarów, to pewnie węszyli, czy jest tu co ukraść. – Uśmiechnął się i dodał z innej beczki: – Tak przy okazji, gratuluję wczorajszego wyczynu. Przypuszczam, że Jesper przez cały czas był w chacie?

Hal przytaknął i również się uśmiechnął.

– Tak. Ale nie mów nikomu.

– Gęba na kłódkę – Thorn uniósł prawą rękę do ust.

Stig wskazał hak.

– Niezłe oprzyrządowanie.

Thorn potrząsnął z dumą swoją nową ręką.

– Tak. Mógłbym dodać, że zawsze pod ręką, ale byłaby to niezbyt wyrafinowana gra słów.

– Tak się cieszę, że tego nie powiedziałeś – stwierdził Hal z kamienną twarzą.

Thorn wskazał na stojącego opodal Sigurda.

– Lepiej ruszajcie. Sigurd chyba rozdaje kartki ze wskazówkami. Powodzenia. – Zrobił gest drewnianą protezą, jakby chciał ich przegonić, po czym spojrzał na nią z pełnym zadowolenia uśmiechem. – Cudowne uczucie. – Nagle spoważniał i dodał: – Powodzenia, Hal. I tobie też, Stigu.

Przyjaciele odwrócili się i ruszyli z powrotem na miejsce zbiórki. Sigurd spojrzał na nich i powiedział:

– Jak miło, że postanowiliście do nas dołączyć. Przypuszczam, że zamierzacie wziąć udział w dzisiejszych zawodach?

Hal i Stig zerknęli na siebie. Przez moment Hal miał ochotę odpowiedzieć w podobnym stylu, ale bał się, że Sigurd odejmie im punkty za sarkastyczne uwagi – to byłoby w jego stylu. A wtedy Rekiny miałyby wygraną w kieszeni.

– Tak jest – mruknęli chórem.

Sigurd tylko prychnął, po czym wyciągnął rękę do stojącego obok Jarsta.

– Podaj mi instrukcje.

Jarst wręczył mu dwa zwoje pergaminu, opatrzone czerwonymi pieczęciami. Sigurd sprawdził pierwszą i podał ją Tursgudowi.

– Ta jest dla was. – Kiedy Tursgud chciał rozerwać pieczęć, dodał pośpiesznie: – Jeszcze nie

teraz. Poczekaj, aż znajdziecie się kilometr od brzegu. Dopiero wtedy macie prawo je odczytać. Wasi nauczyciele popłyną z wami i dopilnują, żebyście nie oszukiwali. Zostały tylko dwie drużyny, przegrani nie dostają punktów. Zwycięzca bierze wszystko.

Potem odwrócił się do Hala i wręczył mu drugi zwój. Hal spojrzął z ciekawością, zastanawiając się, co jest w środku. Nie miał pojęcia, czego może się spodziewać. Wiedział tylko, że instrukcje będą podane w zagadkowej formie. Był bardzo ciekaw, co w rzeczywistości to znaczy.

Stał niepewnie, czekając, aż Sigurd powie coś jeszcze. Albo zadmie w róg. W ten właśnie sposób zwykle obwieszczał rozpoczęcie zawodów. Hal spojrzął na Tursguda i zobaczył, że on też wpatruje się w nauczyciela. Sigurd chyba zauważył wzmożone zainteresowanie swoją osobą, bo, unosząc brwi, zapytał:

– Coś jeszcze? – A kiedy potrząsnęli głowami, podjął: – W takim razie może wreszcie zaczniecie. To nie tylko test nawigacji, ale również wyścig, w razie gdybyście zapomnieli.

Stali tak jeszcze przez sekundę, po czym Hal przystąpił do czynu.

– Ruszamy! – krzyknął na towarzyszy, schował zwój za pazuchą i pognął na brzeg, gdzie stała przycumowana „Czapla”. Reszta drużyny pobiegła za nim. W tym momencie również Tursgud skrzyknął swoich towarzyszy. Hal odwrócił się i zobaczył, że oni również zaczęli biec.

– Edvin! Wyciągnij kotwicę! – polecił. Edvin był z nich najdrobniejszy, dlatego została mu oszczędzona ciężka praca przy spychaniu „Czapli” na wodę. Pozostali ustawili się i przystąpili do dzieła.

W takich momentach Ingvar okazywał się niezastąpiony. Kiedy się męczyli, stękając z wysiłku, on splunął w dłonie, przystawił ramię do kadłuba, zaparł się mocno o ziemię i pchnął.

Łódź od razu ruszyła z miejsca, szorując po piachu i kamykach, które chrzęściły pod stępką. Znalazłszy się częściowo w wodzie, jeszcze nabrała tempa. Hal, uznawszy, że jego pomoc już jest niepotrzebna, wskoczył na pokład i pobiegł do wiosła sterowego. Obejrzał się. „Delfin” również kołysał się na wodzie. Pozostali członkowie drużyny wgramolili się na pokład i zajęli miejsca na ławkach. „Czapla” unosiła się lekko na falach, kołysana bryzą, obracając się rufą w stronę ładu.

– Do wiosła! – krzyknął Hal i chwycił za ster. Wiosła zastukały w dulkach i zawisły nad powierzchnią wody, gotowe na pierwsze uderzenie.

– Hal! – zawołał Edvin, pokazując coś na łądzie.

Hal odwrócił się i zaklął. Gort stał po kolana w wodzie, szczerząc się od ucha do ucha. Zapomnieli zabrać go na pokład! Spojrzął na „Delfina”. Tursgud popełnił ten sam błąd. Jarst również został na brzegu.

– Lewa wstecz! – krzyknął Hal. Wioślarze, siedzący po lewej stronie, zaczęli wiosłować do tyłu, aż „Czapla” wykonała obrót. Hal przechylił się przez nadburcie i krzyknął do nauczyciela:

– Jak chcesz się z nami zabrać, to wskakuj!

Sposób, w jaki się do niego zwrócił, oznaczał pewną zmianę w ich dotychczasowych relacjach. Owszem, Gort był nauczycielem, ale Hal skirlem i na pokładzie to on wydawał rozkazy. Gort nie mógł się skarżyć na niezbyt uprzejme zachowanie swego ucznia. To on popełnił ciężki grzech, wykraczając przeciw niepisanyemu regułom, obowiązującym wśród Skandian – opóźnił wypłynięcie w morze.

Wciąż uśmiechnięty, zrobił kilka kroków do przodu, aż woda sięgnęła mu do ud, potem podskoczył, chwycił się nadburcia i wgramolił się na pokład, rozbryzgując wodę dokoła. Hal nawet na niego nie spojrział.

– Lewa wstecz, prawa naprzód! – rozkazał i łódź obróciła się zgrabnie dziobem w stronę wyjścia z portu.

– Myślałem, że o mnie zapomniałeś – powiedział Gort.

Hal tylko na niego popatrzył.

– Obie naprzód – rozkazał i łódź pomknęła naprzód.

Była szybka, lecz „Delfin”, napędzany siłą mięśni ośmiu wioślarzy, jeszcze szybszy. I znajdował się bliżej wyjścia z portu. Przez kilka minut płynęli obok siebie, lecz „Czapla” zaczęła zostawać w tyle. Tursgud skręcił w prawo i przeciął jej drogę.

– Wiosła! – krzyknął gniewnie Hal. Była to jedyna rada, by uniknąć zderzenia z „Delfinem”.

Przerwali wiosłowanie. „Delfin” pomknął do wyjścia. W skali całego wyścigu, który miał trwać sześć-siedem godzin, był to właściwie drobiazg, ale miał wpływ na morale drużyny. Czaple poczuły gorzki smak porażki.

– Obie naprzód – rozkazał Hal, kiedy „Delfin” już się oddalił. „Czapla” wyrwała do przodu po białym śladzie kilwateru, który zostawiał za sobą „Delfin”.

Wyszli z portu na pełne morze. Hal momentalnie poczuł, jak pokład unosi się pod jego stopami. Pokonał gładko falę, spojrzał na wskaźnik wiatru. Proporczyk sterczał prostopadle. Mieli wiatr prosto od dziobu. Przez chwilę Hal rozważał, czy postawić żagiel, uznał jednak, że szybciej pokonają ten pierwszy kilometr, wiosłując w prostej linii, zamiast płynąć zygzakiem pod żaglem. „Delfin” znajdował się teraz po ich lewej stronie. Zwiększył tempo, popychany do przodu uderzeniami wiosel bijących wodę na białą pianę. Zazdrościł Rekinom, że mają dwóch wioślarzy więcej. Ale i on miał coś w zanadru.

– Edvin! Zaczynj wiosłować. – Hal spojrzał na Ingvara, siedzącego na drugiej ławce od dziobu po lewej stronie i dodał: – Po prawej!

Hal poczekał chwilę, aż Edvin zajmie miejsce, po czym krzyknął:

– Dobra, Ingvar, wiosłuj, jakby goniła cię sama Hulde!

Hulde była boginią śmierci i raczej nikt nie miał ochoty dać się jej dogonić. Hal zauważył, że Gort ukradkiem dotknął amuletu na szyi. Ingvar za to tylko się uśmiechnął i mocno pchnął wiosłem. Choć po drugiej stronie także siedział wioślarz, Hal poczuł, jak dziób „Czapli” przesuwa się lekko w prawo.

Gort uniósł brwi. On też zauważył ten ruch, a także to, że Hal przesunął odpowiednio wiosło sterowe, by wyrównać kurs.

– Co ten chłopak je? – zapytał.

– Wszystko, co mu smakuje – odparł krótko Hal.

Mimo nadzwyczajnej siły Ingvara i pomocy Edvina, „Delfin” wciąż ich wyprzedzał. Znajdował się jakieś dwieście metrów przed nimi. Wioślarze przerwali pracę, okręt zatrzymał się i kołysał się teraz na fali.

– Przekroczyli pierwszy kilometr – stwierdził Hal.

Gort skinął głową i skierował wzrok na dwa przyładki, które zostawili za sobą.

– Płyńcie dalej – powiedział. – Dam wam znak, kiedy macie się zatrzymać.

Hal niecierpliwie postukał palcami o wiosło sterowe.

– Przypuszczam, że nie zamierzasz się do wiosel? – zapytał Gorta.

Nauczyciel spojrzał na niego z politowaniem,

– Przypuszczam, że nie – odparł.

– A może stanąłbyś przy sterze, a ja będę wiosłował?

– Chyba nie muszę odpowiadać na tę propozycję.

Hal wzruszył ramionami.

– Cóż, nigdy nie zaszkodzi spróbować.

Gort był nieporuszony.

– Owszem, nie zaszkodzi. – Kilka sekund później zmrużył oczy, sprawdził punkty odniesienia i oznajmił: – Dobra. Jesteśmy.

– Wiosła! – krzyknął Hal. Wyczerpani członkowie załogi przerwali wiosłowanie i wsparli się ciężko na drzewcach. Zwykle mogli wiosłować godzinami, ale przy zachowaniu równego umiarkowanego tempa, a teraz musieli rozwinąć maksymalną prędkość.

Łódź zatrzymała się. Chlupotanie wody o burty ucichło. „Czapla” spokojnie unosiła się i opadała na fali.

Hal wyjął zwój zza pazuchy, spojrzął na Gorta, który kiwnął głową, i złamał pieczęć. Stig i Edvin podeszli bliżej. Hal spojrzął w kierunku okrętu przeciwników. Z rozpaczą patrzył, jak „Delfin” rusza dalej, popychany rytmicznymi uderzeniami wiosła, zwrócony do nich rufą, widoczny już tylko, gdy unosił się na fali.

– Co tam jest napisane? – zapytał Stig niecierpliwie.

Hal zmusił się, by nie myśleć chwilowo o Tursgudzie i jego okręcie, i rozwinął pergamin. Stig i Edvin pochylili się, patrząc mu przez ramię.

– To wiersz – stwierdził Hal, głosem zdradzającym wielkie zaskoczenie. Zmarszczył brwi. – Instrukcje zawsze są w formie wiersza? – zapytał Gort. Ten jednak tylko wzruszył ramionami i uniósł lekko brwi. „Od niego niczego się nie dowiem”, pomyślał Hal, po czym odczytał krótki poemat, składający się z dwunastu wersów.

„Jeśli wygrać chcecie szczerze,
niech z północnego wschodu łódź was zabierze
tam, gdzie ryby łowi Łgarz
i na wschodni południowy wschód aż
przełyniecie mile dwie.
Tam palenisko ukaże się,
lecz nie płonie na nim ogień
i już nigdy nie zapłonie.
Zostawcie je za plecami.
Teraz namiar – punkty dwa.
Aż brzeg wyrośnie przed wami,
a na brzegu drzewa w V”.

„Cóż, trzeba przyznać, że to niezwykle pomocne wskazówki” – stwierdził w myślach Hal.

ROZDZIAŁ 38

Hal jeszcze raz przeczytał wiersz, starając się odgadnąć znaczenie, kryjące się za słowami.

– Gdzie Łgarz łowi ryby?

Stig zacisnął wargi z namysłem.

– Wszyscy rybacy to łgarze.

Hal spojrzał na niego.

– Dzięki tej uwadze raczej nie rozwiążemy zagadki.

– Ja tylko próbuję pomóc – odparł Stig, robiąc obrażoną minę.

– Cóż, nieskutecznie.

– Może pomogłoby, gdybyście przestali się kłócić – wtrącił kwaśno Edvin. Hal i Stig mieli na tyle przyzwoitości, by zrobić skruszone miny.

– Dobra – zaczął Hal. – Kim jest Łgarz?

– To nie ja – mruknął Stig, pewien, że Hal znowu go krytykuje.

– Może to Loki? – zaproponował Edvin. Loki był skandyjskim bogiem-oszustem.

Hal ponownie spojrzał na kartę.

– Łgarz jest napisane wielką literą! Na pewno chodzi właśnie o tego łgarza! – stwierdził. –

A teraz, gdzie Loki łowi ryby?

Jednocześnie doznali olśnienia.

– Ławica Lokiego! – wykrzyknęli chórem. Było to popularne miejsce połowu dorsza. Morze przechodziło tam niespodziewanie w rozległą płyciznę. Ta nagła zmiana ukształtowania dna morskiego zwiódła niejednego żeglarza – stąd nazwa.

– To na południowy zachód stąd! – wykrzyknął Hal, przypominając sobie jedną z wielu map, które musiał zapamiętać podczas zajęć z nawigacji.

Wiatr wiał z północnego zachodu. Proporczyk unosił się niemal w poziomie.

– Przygotować się! Podnieść lewy żagiel!

Dzięki praktyce radzili sobie już naprawdę nieźle i rejka szybko powędrowała do góry. „Czapla” ożyła, pomknęła na południowy zachód pchana wiatrem od sterburty, pod właściwym kątem w stosunku do obranego kursu. Wiatr spychał ich w lewo. Hal przesunął wiosło sterowe, by zapobiec znoszeniu.

„Czapla” sunęła przed siebie, czasami, kiedy przecinała fale, na pokład pryskały strumienie wody, lecz oni prawie nie zwracali na to uwagi. Wrażenie pędu było upajające. Hal czuł wibrowanie łodzi pod stopami, wsłuchiwał się w głębokie ciche mruczenie. Uśmiechnął się do Stiga stojącego obok.

– Słyszysz? Śpiewa?

Stig również się uśmiechnął. Jego długie włosy powiewały na wietrze.

Stefan, który miał najlepsze oczy, wdrapał się na maszt. Po czterdziestu minutach zakrzyknął:

– Zbliżamy się do ławicy!

Ze swego punktu obserwacyjnego widział, jak morze zmienia kolor z granatowego na jasnozielony, tam gdzie piaszczyste dno wznosiło się z głębiny. Minęli kilka łodzi rybackich, które płynęły powoli, ciągnąc za sobą sieci. Po chwili znaleźli się na miejscu. Na płyciźnie fale były krótsze i bardziej wzburzone niż na głębini. „Czapla” brykała po nich niczym nerwowy rumak.

– Wyluzujcie żagiel – polecił Hal. Stig poszedł na dziób, by wydać rozkazy. Po chwili łódź

zwolniła nieco, nie kołysała się tak gwałtownie. Hal jeszcze raz zerknął na pergaminową kartę.

– „I na wschodni południowy wschód, aż przepłyniecie mile dwie” – przeczytał na głos. Uświadomił sobie, że musi jakoś zmierzyć odległość. – Przygotuj linę – zwrócił się do Edvina.

Teraz musieli wykonać obrót o dziewięćdziesiąt stopni w lewo. Hal wydał rozkaz. Członkowie załogi sprawnie wykonali manewr, prawy żagiel powędrował w górę, a lewy w dół. Gort, który milczał od pewnego czasu, kiwnął głową z uznaniem.

– Nieźle ich wytrenowałeś – stwierdził.

– Dzięki – odparł krótko Hal. Nie miał czasu na uprzejme pogaduszki. Spojrzał na kompas słoneczny. Kiedy „Czapla” obrała prawidłowy kurs i wiatr zaczął wiać od tyłu lewej burty, skinął głową w stronę Edvina.

– Teraz!

Edvin, który stał tuż za nim, na samej rufie, wyrzucił za burtę drewniany przedmiot w kształcie X. Przywiązana była do niego cienka lina przyczepiona do nawijaka, który Edvin trzymał w ręku. Drewniane X zniknęło pod powierzchnią wody, linka zaczęła się odwijać, a Edvin rozpoczął odliczanie.

– Jeden brzydki troll, dwa brzydkie trolle...

Na całej długości linki, w równych odstępach, widniały węzły, co piąty był zaznaczony kawałkiem kolorowej tkaniny. Kiedy Edvin doszedł do „trzydziestu brzydkich trolli”, zatrzymał linę i sprawdził, do jakiej długości się rozwinęła.

– Sześć z kawałkiem – oznajmił.

Hal skinął głową, a kiedy Edvin zwijał linę, dokonał szybkich obliczeń. Jeśli tylko wiatr się nie zmieni, powinni dotrzeć do punktu wyznaczonego w instrukcji w ciągu półtorej godziny.

– Siadajcie, wszyscy. Mamy prawie dwie godziny. Korzystajcie z okazji do odpoczynku. – Sięgnął po klepsydrę umieszczoną na nadburciu i odwrócił ją. – Pilnuj czasu – powiedział do Edvina.

„Czapla” mknęła przed siebie, wznosząc się na grzbietach fal i opadając, cięła wodę dziobem niby toporem, srebrne pióropusze piany tryskały wzdłuż burt. Hal od czasu do czasu spoglądał za siebie, by się upewnić, czy zostawiają za sobą równy kilwater.

Gort przyglądał mu się z uznaniem. Chłopak okazał się nie tylko dobrym żeglarzem, ale również doskonałym sternikiem. Gort zauważył drobne, niemal niedostrzegalne ruchy wiosła sterowego, którymi Hal równoważył ciągle zmiany siły wiatru, fal i prądu. Stig stał obok, Edvin opodal, obserwując klepsydrę, by odwrócić ją w odpowiednim momencie. Pozostali członkowie załogi odpoczywali na ławkach.

– Minęła godzina! – zawołał Edvin, kiedy spadło ostatnie ziarenko piasku. Prędko odwrócił klepsydrę i piasek znów zaczął przesypywać się do dolnego naczynia. Hal spojrzał na niego.

– Daj znać w połowie – poprosił, a Edvin skinął głową.

Gort oparł głowę o nadburcie, rozkoszując się ciepłem porannego słońca. Od paru miesięcy trenował i obserwował tych chłopców i zaczynał podziwiać ich odwagę i pomysłowość. Powinien wprawdzie zachować bezstronność, ale w głębi serca miał nadzieję, że drużyna „Czapli” wygra. Może to by wreszcie ukróciło ciągle przechwałki ojca Tursguda. Owszem, miał tytuł Potężnego, ale czasami naprawdę zasługiwał na miano potężnego nudziarza.

– Już!

Głos Edvina wyrwał go z drzemki – bo zdrzemnął się, rozleniwiony słońcem, wsparty o nadburcie. Uśmiechnął się. Przydatna umiejętność każdego doświadczanego wojownika – spanie na stojąco.

Hal rozkazał, by opuścili żagiel i skierował łódź bliżej linii wiatru. Zakołysała się miękko na fali. Gort spojrzał na horyzont, wciągnął powietrze. Żeglarski nos podpowiadał mu, że wiatr przybrał

na sile. Zastanawiał się, czy Hal to zauważył.

Hal, Edvin i Stig stali obok siebie, znów zastanawiając się nad zagadkowymi wskazówkami.

– „Tam palenisko ukaże się, lecz nie płonie na nim ogień i już nigdy nie zapłonie”. Co to może znaczyć? – mruknął Hal. Zauważył, że Gort patrzy na nich i spytał oskarżycielsko: – Kto stworzył to bzdurne wierszydło?

Gort wzruszył ramionami.

– Chyba Sigurd. Uważa się za prawdziwego barda.

– To miło. Niestety, nie podzielam jego zdania – powiedział Hal.

Stig, który przez cały czas wpatrywał się w horyzont, osłaniając oczy dłonią, nagle dotknął rękawa Hala.

– Co ci to przypomina? – zapytał, wskazując punkt po ich prawej stronie. – Tam. Ta wyspa.

Wyspa odcinała się czarną plamą od lśniącego tła oceanu.

Hal zawahał się, ale Edvin pospieszył z odpowiedzią: – Dom. Dom z wysokim kominem. – Po chwili dodał z namysłem: – Palenisko, na którym nie płonie ogień?

– Właśnie tak – zgodził się Stig. – Kamienny komin. A tam, gdzie jest komin, jest też palenisko. A w palenisku, które widzimy, nie ma ognia.

Hal z namysłem potarł podbródek.

– Może – powiedział. – Może... – Rozejrzał się w poszukiwaniu innych znaków, ale na horyzoncie było pusto. Tylko wyspa pasowała do opisu z wiersza. – Jeżeli się mylimy... – zaczął, ale Stig przerwał mu niecierpliwie:

– Nie mylimy się! Co innego mogłoby to być? To na pewno to! Palenisko, na którym nigdy nie płonie ogień! I już nie zapłonie!

Hal podjął decyzję. Stig miał rację. Nie istniała żadna inna możliwość.

– Dobrze! – oznajmił. – To musi być to.

Ponownie wyjął kompas słoneczny. Był to instrument podobny do zegara słonecznego, wskazujący północ. Urządzenie wymagało nieustannego skalowania, ale Hal przeprowadził niezbędne operacje zaledwie dwa dni wcześniej, więc mógł polegać na jego wskazaniach. Teraz ustawił przyrząd, zwrócony plecami do wyspy, po czym określił namiar na dwa punkty od północy. Przed nimi rozpościerało się otwarte morze, nie miał żadnych punktów odniesienia i wiedział, że będzie musiał ciągle powtarzać pomiary.

– Podnieście prawy żagiel! – polecił.

Kiedy załoga zabrała się do wykonania rozkazu, łódź zaczęła powoli obracać się w prawą stronę. Stig i reszta pociągnęli liny i Hal znów poczuł z zachwytem, jak łódź ożywa pod jego stopami. Począł, aż dziób ustawi się w ustalonym położeniu. „Czapla” przechyliła się, woda prysnęła na pokład. Stig wyluzował żagiel i łódź odzyskała równowagę. Polecił bliźniakom wybrać wodę.

Kierowali się na północny wschód. Hal zauważył, że wiatr przybrał na sile. Na niebie pokazała się ciemna linia chmur. Zmarszczył brwi.

– Mam nadzieję, że zdążymy – powiedział, właściwie do siebie, a potem podniósł głos: – Słuchajcie! Wypatrujcie drzew w kształcie V. Zapewne rosną one na jakiejś wyspie. Nie ty, Ingvar – dodał prędko, kiedy potężny chłopak podniósł się i zachwiał niebezpiecznie. Ingvar usiadł z powrotem, uśmiechając się z wdzięcznością.

– Stefan! – podjął Hal. – Na maszt. Miej oczy dookoła głowy.

Stefan skinął głową i wdrapał się na maszt. Stig i Edvin stanęli na rufie, po przeciwnych stronach, Ulf i Wulf podobnie na dziobie.

Minęła godzina. Hal co piętnaście minut sprawdzał położenie za pomocą kompasu. Nigdzie nie

było widać tajemniczych drzew w kształcie V. Minęło kolejne pół godziny. Hal zaczynał czuć nieprzyjemny ucisk w żołądku. A jeśli pomylił się przy obliczeniach? Jeśli to jednak była zwykła wyspa, a nie palenisko bez ognia? Ale przebyli zbyt długi odcinek, by teraz zmieniać zdanie. Musieli dalej płynąć przed siebie, wypatrywać drzew i liczyć na to, że jednak nie popełnili tak okropnej pomyłki.

Zerknął na Gorta w nadziei, że jakimś gestem lub miną zdradzi, czy robią dobrze, czy źle. Ale niestety, Gort stał swobodnie wsparty o reling, z przymkniętymi oczami.

– Wyspa!

Stefan stojący przy sterburcie wyciągnął rękę. Hal przysłonił oczy i spojrzał w tym samym kierunku. Ciemny kształt rósł przed nimi powoli. Kiedy już byli blisko, Stig boleśnie wbił rękę w jego ramię.

– Spójrz! – wrzasnął. – Spójrz na te drzewa!

Na szczycie skarpy, wznoszącej się na krańcu wyspy rosły obok siebie dwie potężne sosny. Kiedyś, dawno temu, ta z lewej strony, zapewne kiedy jeszcze była małym drzewkiem, uległa sile wiatru i odchyliła się w bok. Teraz rosła pod kątem w stosunku do swojej towarzyszki.

– Drzewa w kształcie V! – zawołał Hal triumfalnie. Pozostali zaczęli skakać, krzyżeć, wiwatować i machać rękami jak szaleńcy. Nawet Ingvar do nich dołączył – kiedy już wytłumaczyli mu, co jest powodem ich radości. Hal nakierował „Czapłę”, by szła z wiatrem, dając znak Stigowi, aby odpowiednio ustawił żagiel.

Kiedy podpłynęli bliżej, zobaczyli dwie niewielkie flagi powiewające pod drzewami. Klif, na którym rosły sosny, wznosił się ponad zatoczką, obramowaną pasmem piaszczystej plaży. Trzydzieści metrów od wyspy opuścili żagiel i „Czapla” zgrabnie wyhamowała przy brzegu, szorując dnem o piach. Hal posłał reszcie triumfalny uśmiech.

– Dobra. Zabieramy flagę i wracamy.

– Ja ją przyniosę! – krzyknął Stig, przeskoczył przez burtę i ruszył biegiem przez plażę.

Hal, z którego twarzy nie zniknął uśmiech, z ulgą oparł się na wiosła sterowym. Nagle Stefan krzyknął:

– Hal!

Hal odwrócił się i spojrzał we wskazanym kierunku. Do brzegu zbliżał się „Delfin”, napędzany rytmicznymi uderzeniami wiosła.

ROZDZIAŁ 39

Hal znów spojrzał na klif. Stig znajdował się w połowie wzniesienia, zwolnił na stromym podejściu. Hal przyłożył dłonie do ust i krzyknął z całych sił:

– Stig! Pospiesz się!

Słyszał już szuranie dziobu o piasek. Obejrzał się prędko i zobaczył, jak Tursgud zeskakuje na plażę, po czym rusza biegiem w stronę klifu, w ogóle nie zwracając uwagi na drużynę Czapli. Stawka była zbyt wysoka, by tracić czas na obrzucanie się obelgami. Dobięgl do podnóża i zaczął się wspinać. Oczywiście, znalazł łatwiejszą ścieżkę od tej, którą wybrał Stig, i prędko pokonywał wzniesienie.

Hal z niepokojem spojrzał na Stiga. Ten nie usłyszał jego wołania i zwolnił, z trudem łapiąc oddech. Po wcześniejszym wybuchu entuzjazmu nie zostało śladu. Hal stał ze zwieszoną głową i rękami na biodrach. Tursgud nie zwalniał, skakał brawurowo z kamienia na kamień, prędko zbliżając się do celu. A Stig nie miał o niczym pojęcia.

Hal zarządził:

– Krzyczymy wszyscy razem. Raz... dwa... trzy...

– STIIIG!

Ich głosy odbiły się echem od skał. Tym razem Stig usłyszał ich i spojrzał w dół. Na jego twarzy najpierw pojawił się wyraz zaskoczenia, kiedy ujrzał „Delfina”, potem zaś przerażenie na widok Tursguda, który znajdował się w odległości zaledwie czterdziestu metrów od niego i zbliżał z dużą szybkością. Tursgud minął go, biegnąc swoją ścieżką. Teraz dzieliło ich już tylko kilka metrów.

Nagle Stig potknął się, upadł i potoczył w dół, a wszystkie Czaple spontanicznie krzyknęły z przerażenia.

– Co się stało? – zapytał Ingvar.

– Stig upadł. Ale już wstał – wyjaśnił Stefan.

I tak rzeczywiście było. Stracił jednak nieco cennego czasu. Ruszył dalej zdradliwym podejściem. Po chwili Tursgud dosłownie deptał mu po piętach.

– Ostrożnie... ostrożnie – mamrotał Hal, do głębi przejęty. Kolejny upadek Stiga oznaczałby katastrofę. A co gorsza, gdyby odniósł przy tym obrażenia...

Ale Stig nie upadł. Pokazał się na szczycie wzniesienia, Tursgud tuż za nim.

– Przygotujcie się! Zaraz spychamy łódź na wodę! – krzyknął Hal.

Sześciu chłopców zeskoczyło na plażę. Ingvar tak niezgrabnie, że upadł ciężko na piach, ale zaraz pozbierał się i stanął u dziobu.

Przeciwna drużyna czyniła podobne przygotowania.

Stig, z trudem brnąc przez miękki piach, wreszcie dotarł do celu. Rzucił flagę na pokład i, wyczerpany, oparł się ramieniem o burtę.

– Pchamy! – krzyknął Jesper, zorientowawszy się, że Stig nie jest w stanie wydać żadnego polecenia. Wsparli się o kadłub i łódź przesunęła się powoli o kilka centymetrów.

– Jeszcze raz! – krzyknął Jesper. Znowu kilka centymetrów. – Dawaj, Ingvar!

Wielkolud zaparł się mocno stopami, wziął głęboki wdech i zaczął pchać z całych sił. Nagle łódź zakołysała się na wodzie. Ulf, Wulf i Stefan padli na ziemię. Zaraz jednak podnieśli się, a bracia oczywiście rozpoczęli sprzeczkę, obwiniając się wzajemnie o ten wypadek.

– Milczeć i na pokład! – wrzasnął Hal.

„Delfin” nadal stał przy brzegu.

Ingvar, wsiadając, stracił równowagę i wylądował na piachu. Wulf i Stefan rzucili się równocześnie w jego stronę, chwycili go i przerzucili przez burzę.

– Do wiosła! – krzyknął Hal. W zatoczce było całkowicie bezwietrznie. Na razie nie mogli postawić żagla, najpierw musieli się z niej wydostać. Wszyscy posłusznie dopadli swoich ławek i wyciągnęli wiosła. Przez chwilę słychać było ogłuszające trzaskanie drewna o drewno.

– Obie wstecz! – krzyknął Hal. Kątem oka obserwował, jak „Delfin” ześlizguje się na wodę. „Czapla” zaczęła nabierać prędkości. Hal odczekał chwilę, aż znaleźli się w miejscu, gdzie mógł ją obrócić.

– Prawa wstecz, lewa naprzód! – rozkazał. Wiosła zaczęły pracować w przeciwnych kierunkach i łódź obróciła się zgrabnie. – Obie naprzód! – Kiedy łódź zaczęła płynąć przed siebie, prędko przesunął wiosło sterowe, aż dziób mierzył w stronę otwartego morza.

Jesper, zdając sobie sprawę, że Stig nadal nie może złapać tchu, zastąpił go w obowiązkach i zaczął podawać rytm wiosłarzom. Hal zobaczył, że „Delfin” odbija od brzegu i zwraca się na pełne morze. Wiosła biły o wodę niczym długie jasne skrzydła.

– Szybciej, Jesper!

Jesper zwiększył tempo. Wiosłarze wyteżali mięśnie ze wszystkich sił. „Czapla” nabrała tempa, drobne fale chlupotały o burty.

– Ingvar, daj z siebie wszystko! – prosił Hal.

Ingvar przymknął oczy i pchnął, wyteżając całą swoją moc. Hal przesunął wiosło sterowe, by zbalansować nierówno rozłożone siły. „Czapla” pomknęła szybciej do przodu.

Ale nie mogła wyprzedzić „Delfina”. Hal słyszał za plecami głos Tursguda, wydającego komendy. I głos wioslarza, który nadawał szybkie tempo. Zerknął kątem oka. „Delfin” ich doganiał. Jego dziób znajdował się już na wysokości rufy „Czapli”. A potem przesunął się obok, zostawiając ich w tyle. Tursgud posłał im szydercze pozdrowienie.

Kiedy wreszcie wydostali się z zatoki i Hal poczuł na prawym policzku silny powiew z północnego zachodu, „Delfin” znajdował się już trzydzieści metrów dalej.

– Wciągnąć wiosła! Podnieść lewy żagiel!

Rozległo się szczękanie drewna. Chłopcy odłożyli wiosła i chwycili za szoty i fały. Po chwili lewa rejka uniosła się, zaczepiła o maszt i żagiel załopotał na wietrze.

Kiedy tylko wybrali żagiel, „Czapla” skrzyła gwałtownie w lewo. Wiatr znacznie przybrał na sile, szare chmury były coraz bliżej.

– Wyluzować żagiel! – krzyknął Hal. Stig i jego pomocnicy wykonali polecenie. „Czapla” odzyskała prawidłowy kurs. I zaczęła frunąć. Wiatr im sprzyjał.

Hal nie potrzebował kompasu, by określić położenie. Po sterburcie widział wybrzeże Skandii, widział też słońce. Kierowali się na zachód.

„Czapla” zjechała po grzbiecie fali, wzbijając bryzgi wody. Na chwilę jakby wytraciła prędkość, ale zaraz ją odzyskała i pokonała miękko kolejną falę w rozpryskach piany, jedną trzecią długości uniosła się ponad powierzchnię wody, po czym łagodnie zjechała w dół i wszystko powtórzyło się od początku.

Hal zauważył, że na „Delfinie” też wciągnęli żagiel. Okręt przeciwników prędko posuwał się do przodu. Cóż, oni też mieli sprzyjający wiatr. Ale „Czapla” była szybsza i lepiej przeciwstawiała się sile dryfu. Kiedy minęli „Delfina”, Czaple zaczęły wznosić triumfalne okrzyki i obrzucać rywali obelgami. Dzielili ich jednak zbyt wielka odległość, by tamci mogli cokolwiek usłyszeć. Stopniowo

oddalali się od siebie, „Delfina” wciąż znosiło z kursu.

Hal odetchnął, po raz pierwszy od chwili, gdy zobaczył, jak „Delfin” zawija do zatoki. Z ulgą oparł się na sterze. Stig podszedł do niego i nawzajem klepnęli się po ramieniu. Stig spojrzał na okręt przeciwnika.

– Już nas nie dogonią – stwierdził z satysfakcją. Hal ostrzegawczo uniósł palec. Wiedział, że nigdy nie należy cieszyć się przedwcześnie.

– Obyś nie zapeszył – powiedział i na wszelki wypadek postukał w wiosło sterowe.

– Aha – Stig wyszczerzył się i delikatnie pukał Hala w czubek głowy.

Wiatr nagle przybrał na sile. „Czapla” przechyliła się, woda zaczęła wlewać się na pokład. Stig zaczerpnął powietrza, by wydać rozkazy, ale bliźniaki już się zwijały, wylewając wodę za burtę. Spojrzał na niebo, po którym pędziły chmury z północnego zachodu.

– Wiatr się wzmaga – stwierdził.

Czoło Hala przecięła zmarszczka.

– Powinno się udać – odparł. – Teraz płyniemy wzdłuż brzegu, potem robimy zwrot do portu. Będziemy bezpieczni, zanim zacznie się na dobre.

– Obyś nie zapeszył – pokręcił głową Stig.

Nagle rejka, lekko wygięte drzewce, na którym był rozpięty żagiel, zatrzeszczała groźnie. Spojrzeli w górę.

– Nie za bardzo się wygięła?

Hal potrząsnął głową.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił z przekonaniem.

Gort podszedł do nich. On również wpatrywał się w rejkę, wygiętą silnym podmuchem wiatru. Jeszcze jeden podmuch i drewno znów zaskrzypiało złowieszczo.

– Nie sądzisz, że rejka jest ciut za lekka? – spytał Gort. – Bardzo mocno się wygięła.

Hal zacisnął wargi.

– Będzie dobrze – odparł krótko.

– Może powinieneś zrefować żagiel? – zasugerował Gort.

Hal spojrzał prędko na niego, potem odwrócił wzrok.

– Nie zdążyłem dorobić reflin – powiedział.

Gort uniósł brwi.

– Ach, tak?

Hal poczuł na sobie spojrzenie Stiga, który powiedział:

– To taki drobny szczegół, który przegapiliśmy.

Hal spojrzał na przyjaciela.

– Może powinniśmy wyluzować żagiel.

Stig, wciąż przyglądając się rejce, wydał polecenie załodze. Hal poczuł, jak wytracają prędkość. Spojrzał z niepokojem w lewo, szukając wzrokiem „Delfina”. Nadal mieli nad nim przewagę. Unieśli się na fali, wiatr, który ucichł na chwilę, uderzył ze zdwojoną siłą.

A potem rozległ się ogłuszający trzask i rejka złamała się na dwoje.

ROZDZIAŁ 40

Na pokładzie zapanowało zamieszanie. Chłopcy rozpierzchli się na wszystkie strony, ratując się ucieczką.

Rejka, złamana w połowie, zwisała z masztu, dwie połówki trzymał w całości jedynie żagiel, który, jeszcze chwilę temu wygięty w mocny piękny łuk, teraz opadł w niechlujnych zwojach. Szoty i brasy wisiały splątane nad pokładem.

„Czapla”, gwałtownie utraciwszy moc, kołysała się niebezpiecznie na fali, dziobem zwrócona pod wiatr.

Wszyscy krzyczeli naraz i nikt nikogo nie słuchał. Ingvar, który wciąż siedział na swojej ławce, rozglądał się dokoła i powtarzał raz po raz:

– Co się stało?

Nie doczekał się jednak odpowiedzi.

– Spokój! – krzyknął Hal do spanikowanych towarzyszy. Potem jeszcze raz, lecz krzyki przerażenia zagłuszyły jego głos. Spojrzał na Stiga i zrobił bezradny gest, który miał znaczyć: „Spróbuj, może tobie się uda”.

I udało się. Stig wskoczył na nadburcie, trzymając się jednej z lin, podtrzymujących maszt.

– CISZA! – ryknął. Wszyscy momentalnie zamilkli i zwrócili się w jego stronę. – Uspokójcie się. Trzeba pomyśleć, co teraz. Co rozkażesz? – zwrócił się do Hala.

Hal wskazał na zwisającą rejkę, żagiel i płataninę lin.

– Ściągnijcie rejkę na dół, uprzątnijcie żagiel – polecił. Cieszył się, że przynajmniej maszt nie został uszkodzony, że nie złamał się pod ciężarem rejki i żagla. Członkowie załogi, gdy tylko dostali konkretne zadanie do wykonania, prędko zabrali się do pracy. Ściągnęli rejkę i zwinęli żagiel u stóp masztu. Stig spojrział na Hala, czekając na dalsze instrukcje.

– Może wyciągniemy wiosła? – zaproponował.

Hal zawahał się, spojrział w lewo. „Delfin” nadal znajdował się za nimi, ledwo widoczny w oddali. Szybko podjął decyzję.

– Nie. Postawcie prawy żagiel.

Stig spojrział na niego ze zdumieniem.

– Prawy żagiel? – powtórzył. – Ale przecież mamy wiatr od sterburty. Żagiel nie rozwinie się, tylko przyklei do masztu.

Hal skinął głową.

– Wiem. Będzie działał z bardzo ograniczoną mocą. Ale wiatr jest silny, nawet nie w pełni rozwinięty żagiel i tak coś nam da. Nie osiągniemy dużej prędkości, ale lepsze to niż nic.

Stig potrząsnął głową.

– Skoro tak twierdzisz – powiedział i pobiegł z powrotem.

Po chwili prawy żagiel powędrował do góry i natychmiast złapał wiatr. Dziób „Czapli” zwrócił się gwałtownie w lewą stronę. Hal wyrównał kurs. Tak jak przewidział Stig, żagiel okleił drzewce masztu i łopotał na wietrze. Hal polecił chłopcom naciągnąć liny najmocniej jak tylko się da. „Czapla” zaczęła płynąć przed siebie, powoli i jakby niepewnie. Hal mocował się z wiosłem sterowym. Trudno było utrzymać kurs w takich warunkach, ale po kilku minutach jakoś opanował sytuację.

„Czapla” posuwała się naprzód powoli, ale i tak szybciej niż gdyby musieli wiosłować. Hal co i raz odwracał się i patrzył na „Delfina”. Wciąż płynął, spychany wiatrem z kursu, ale stopniowo zmniejszała się dzieląca ich odległość.

– Doganiają nas – stwierdził Stig.

– Nie są wystarczająco szybcy. Na pewno nie wyprzedzą nas przed wejściem do portu.

– Może – powiedział Stig.

Hal uśmiechnął się ze znużeniem.

– Obyś nie zapeszył.

Stig wywrócił oczami. Poprzednim razem, kiedy Hal wymówił te słowa, złamała się rejka.

Wbrew temu, co powiedział Stigowi, Hal nadal z niepokojem obserwował „Delfina”.

„Przynajmniej nie musimy się martwić, że tego żagla też nie da się zrefować”, pomyślał drwiąco. Nie groziła im taka katastrofa jak w przypadku lewego żagla; słabo naciągnięty, nie mógł nadmiernie obciążyć rejki czy masztu.

Gort podszedł do nich, także zaniepokojony widokiem „Delfina”, który doganiał ich powoli, choć wiatr nadal znosił go z kursu. Wszyscy byli ciekawi, czy zdążą się zrównać, nim „Czapla” wykona ostatni zwrot przez sztag i wpłynie do portu.

Po prawej stronie ukazały się już zabudowania Hallasholm. Z kominów unosił się dym, niemal natychmiast rozganiany wiatrem, który wciąż przybierał na sile.

– Teraz? – zapytał Stig z niepokojem.

Hal potrząsnął głową.

– Płynęlibyśmy prosto pod wiatr, bo wieje od lądu. Nie możemy halsować. Chcę przepłynąć kawałek dalej, żeby mieć wystarczająco dużo miejsca i wykonać jeden zwrot. Miejmy nadzieję, że będziemy szybsi od wiosłarzy na „Delfinie”.

Obaj byli pewni, że gdy „Delfin” znajdzie się w pobliżu wejścia do portu, Tursgud i jego ludzie ustawią go pod wiatr i ostatni odcinek pokonają, wiosłując. „Delfin” będzie miał więc do przebycia krótszą odległość niż oni. Gort już chciał coś powiedzieć, ale przypomniał sobie, że powinien siedzieć cicho. Pomyślał tylko, że to dość ryzykowna decyzja.

– „Delfin” skręca! – wykrzyknął Wulf, który obserwował sytuację, stojąc na nadburciu. Wszyscy spojrzeli w tę samą stronę i zobaczyli, jak „Delfin” zmienia kurs i zaczyna płynąć pod wiatr. Załoga poluzowała szoty i fały i opuściła żagiel. Po obu stronach wzdłuż kadłuba pokazały się rzędy wiosła, zaczęły unosić się i opadać rytmicznie.

– Teraz? – zapytał znowu Stig, niecierpliwie i zupełnie bez udziału świadomości przestępując z nogi na nogę.

Hal zmrużył oczy, dokonał szybkich obliczeń.

– Jeszcze nie. Potrzebujemy więcej miejsca. Ale bądźcie w gotowości.

Stig kiwnął głową i przeszedł na śródokręcie rozmówić się z załogą. Ostrzegł, że mają być gotowi, bo Hal w każdej chwili może wydać rozkaz. Spojrzał na Wulfa, który nadal stał na nadburciu.

– Gdzie oni są?

Wulf przysłonił oczy ręką. Zmarszczył brwi.

– Zbliżają się bardzo szybko – powiedział głosem zdradzającym napięcie.

Stig spojrział błagalnie na Hala, ten jednak potrząsnął głową. Potrzebowali jeszcze trochę miejsca, by zawrócić. Chciał zrobić tylko jeden zwrot. Nie mógł pomylić się w obliczeniach, bo nie mieli czasu na poprawki. Gdyby próbowali wykonać kolejny manewr, Tursgud zdążyłby ich wyprzedzić i wygrałby wyścig.

Hal powoli oderwał lewą rękę od wiosła sterowego i uniósł ją, w skupieniu marszcząc czoło

i dokonując koniecznych obliczeń. Jeszcze trochę.

– Jeszcze trochę – powiedział na głos bezwiednie – tak jak Stig bezwiednie przestępował z nogi na nogę.

– Teraz! – wykrzyknął i całym ciężarem ciała rzucił się na wiosło sterowe. Dziób skręcił w prawo.

„Czapla” wytraciła prędkość. Przez chwilę bał się, że zostaną tak na linii wiatru, spychani coraz dalej do tyłu. Ale zaraz usłyszał głośny łopot – żagiel napęłnił się wiatrem, dziób zaczął się obracać w coraz szybszym tempie.

– Wybrać żagiel! – krzyknął, całkiem niepotrzebnie. Stig i pozostali wiedzieli, co mają robić. Teraz, gdy już wykonali zwrot, żagiel wydał się i napiął do maksimum. „Czapla” pruła wysokie poprzeczne fale, aż woda bryzgała na pokład.

Jakby z konia pociągowego nagle zmieniła się w pełnokrwistego rumaka. Jej kadłub drżał lekko, takielunek szumiał na wietrze. Hal przechylił się przez reling. „Delfin” znajdował się już blisko wejścia do portu, ale nadal po ich prawej stronie. Wiosła były wodę na białą pianę. Hal zmrużył jedno oko i obliczył odległość.

Żaden z nich nie miał szansy wyprzedzić drugiego. Czekają ich zderzenie, za mniej więcej sto metrów. Ten, któryby teraz zrezygnował, przegrałby wyścig – a tym samym całość zawodów.

Hal spojrział z nadzieją na żagiel, ale został już wybrany do końca. Nie mieli jak zwiększyć prędkości.

Pięćdziesiąt metrów. Czterdzieści. Wizja zderzenia stawała się coraz bardziej realna. Hal przełknął ślinę. W gardle mu zaschło. Gort stanął obok, przypatrując mu się z uwagą. Skirl czuł, że nauczyciel zaraz wyrwie mu ster i zacznie zawracać.

A potem zdarzyło się coś nieprzewidzianego. Znajdowali się zaledwie osiemdziesiąt metrów od wejścia do portu, gdy z północnego zachodu napłynęła jakaś dzika fala, większa od poprzednich. „Czapla” wśliznęła się na nią zgrabnie i zsunęła po jej grzbiecie. Kilka sekund później fala uderzyła w dziób „Delfina”, który momentalnie wytracił prędkość. Jeden z wioślarzy poleciał w tył i wpadł na siedzącego za nim kolegę. Okręt, nagle pozbawiony części napędu, skręcił gwałtownie w bok. Wioślarze pracowali gorączkowo. Tursgud pociągnął desperacko wiosło sterowe, by naprowadzić „Delfina” z powrotem na właściwy kurs, ale ta krótka chwila wystarczyła. „Czapla” nieodwołalnie zyskała przewagę. Minęła „Delfina” i skierowała się wprost do portu.

Hal w ostatnim momencie przekręcił ster, naprowadził dziób łodzi na wejście do portu i przemknął przez nie z wdziękiem. Zewsząd rozległy się okrzyki radości. Nagle z przerażeniem stwierdził, że „Wilczy Wichur” znów stoi na dawnym miejscu. Płynęli prosto na niego.

– Opuśćcie żagiel! – wrzasnął. Rejka zjechała w dół. Skręcił mocniej w lewo i minął wilczy okręt w odległości zaledwie jednego metra, niemal ocierając się o niego.

Hal odetchnął z niepomierną ulgą. I nagle wszystko do niego dotarło.

Wygrali. Czaple zwyciężyły w tegorocznych zawodach.

Owacje. Gratulacje. Laudacje.

Ośmiu odrzuconych, chłopców, których nikt nie chciał przyjąć do drużyny, odniosło prawdziwy triumf. Hallasholm zamierzało uczcić ich sukces w odpowiednim stylu, wielką ucztą na Błoniach. Ten dzień przypominał jakiś szalony oszałamiający wir. Wszyscy uśmiechali się, pozdrawiali ich i klepali po plecach. Jakaś jasnowłosa dziewczyna zarzuciła Halowi ramiona na szyję i ucałowała go

prosto w usta. Hal był zachwycony. Jeszcze większy zachwyty przeżył na widok zachmurzonej twarzy Tursguda, kiedy to samo zrobiła Lotte.

Tursgud wyraźnie odstawał od rozradowanego tłumu. Tylko on nie pogratulował im zwycięstwa, choć zrobili to wszyscy członkowie jego drużyny.

A pierwszy powinszował im Gort. Klepnął Hala po plecach, aż drobny chłopak poleciał bezwładnie do przodu.

– Dobra robota! – krzyknął. – Wiedziałem, że macie w sobie to coś! – Urwał i dodał w przyływie szczerości: – Nie, właściwie to nie wiedziałem. Ale miałem nadzieję, że wam się uda! I udało się!

Ku zaskoczeniu wszystkich jako drugi z gratulacjami zjawił się Rollond. Uścisnął rękę każdemu z członków drużyny po kolei.

– Zasłużyliście na zwycięstwo – powiedział. – Jesteście prawdziwymi mistrzami.

Najbardziej wyjątkowy był jednak moment, gdy Hal, półprzytomny i oszołomiony, przecisnął się przez tłum i stanął twarzą w twarz z matką i Thornem.

Najpierw wyściskał mamę. Łzy poleciały jej po policzkach. Raz po raz powtarzała, jaka jest z niego dumna. Potem odeszła na bok, by przepuścić Thorna.

Hal i stary wilk morski patrzyli na siebie przez chwilę. A potem Thorn zmiądzzył go w niedźwiedzim uścisku.

– Nic nie mów. Nic nie mów – tyle zdołał wychrypieć pomimo guli dławiącej go w gardle. Jego uścisk stał się jeszcze mocniejszy, a kiedy w końcu go rozluźnił, Hal zobaczył, że po zniszczonej twarzy mężczyzny płyną łzy.

I było to bardziej wymowne niż jakiegokolwiek słowa.

Potem Erak utorował sobie drogę przez krzyczący, rozentuzjasmowany tłum, podszedł do Hala i chwycił go w ramiona, aż chłopakowi dech w piersiach zapało. Przemknęło mu przez myśl, że wolałby, żeby Skandianie nauczyli się wyrażać uczucia w jakiś inny sposób.

– Świetna robota! Świetna robota! Ojciec byłby z ciebie dumny! Teraz jesteś prawdziwym Skandianinem, nikt temu nie zaprzeczy!

Hal rozpromienił się, słysząc te słowa. Serce rosło mu z dumy, miał wrażenie, że za chwilę pęknie ze szczęścia. Przez całe życie czuł się jak wyrzutek. A teraz sam oberjarł publicznie wyraził swą akceptację dla jego osoby.

– Pamiętasz – dodał Erak – mówiłem ci, że drzewce są zbyt lekkie.

– Chyba miałeś rację. – Po przygodzie ze złamaną rejką raczej nie miał prawa poddawać tego stwierdzenia pod dyskusję. Słowa Eraka przypomniały mu o czymś istotnym.

– Oberjarlu... – zaczął, a Erak klepnął go w plecy swoją wielką piąchą.

– O co chodzi, chłopcze? Mów! Cokolwiek sobie zażyczysz! Dziś twoje święto!

Stojący dokoła ludzie zaczęli wznosić radosne okrzyki na znak, że są tego samego zdania. Kilku dodatkowo uniosło kufle z piwem i zamachało nimi, oblewając przy tym sąsiadów.

– Wiatr się wzmaga – powiedział Hal. – Nie chcę zostawiać łodzi na plaży. Wolałbym zacumować ją z powrotem nad Niedźwiedzim Strumieniem.

– Nie ma problemu! – Erak odwrócił się i krzyknął: – Svengal! Gdzie jesteś?

Svengal zjawił się natychmiast.

– Tutaj, wodzu.

Erak otoczył potężnym ramieniem plecy Hala.

– Nasz zwycięzca martwi się o łódź. Zbierz z pół tuzina ludzi i odstawcie ją nad Niedźwiedzi Strumień. Wcześniej stała tam zacumowana.

– Już się robi, wodzu – odparł Svengal, po czym odwrócił się i zawołał sześciu członków swojej

załogi. Erak spojrział na Hala.

– Zadowolony? – zapytał, a kiedy Hal przytaknął, ryknął na cały głos: – No to zaczynamy zabawę!

ROZDZIAŁ 41

Ale wcześniej trzeba było jeszcze dopełnić pewnych formalności.

Najpierw Sigurd wygłosił oświadczenie, że wszyscy uczniowie pomyślnie ukończyli naukę i tym samym są gotowi do służby na wilczych okrętach. Dla potwierdzenia tego faktu świeżo upieczeni wojownicy otrzymali hełmy z rogami. Każdy z dumą wpatrywał się w wyjątkowe nakrycie głowy, ten i ów nawet odważył się je przymierzyć – i poczuwszy jego ciężar, zdjął czym prędzej. Hal spojrzął z powątpiewaniem na swój hełm.

– Chyba się w nim utopię.

– Jeszcze trochę i zaczniesz tak zadzierać nosa, że akurat ci się na nim zatrzyma – odparł Thorn.

Hal westchnął.

– Nieźle się wrobiłem, co?

Thorn radośnie skinął głową.

Potem Sigurd odczytał wyniki i oznajmił, że zwycięzcą tegorocznych zawodów zostaje drużyna Czapli. Biorąc pod uwagę punkty karne, ostatecznie wygrali różnicą dwudziestu punktów. Wezwał członków drużyny, by ustawili się na podium. Ośmiu chłopców wystąpiło naprzód przy wtórze ogłuszających wrzasków publiczności i wkroczyło na podium. Sigurd wręczył każdemu z nich miedzianą bransoletę, ozdobioną rysunkiem czapli – znak ich wygranej.

Hal wziął bransoletę do ręki, oczy zamglily mu się ze wzruszenia. Stig potrząsnął swoją w kierunku zebranych, na co odpowiedzieli głośnymi wiwatami. Ulf i Wulf oczywiście zaczęli się kłócić. Obaj twierdzili, że ten drugi dostał bransoletę przeznaczoną dla niego. W końcu Jesper przerwał im ostrym tonem:

– Co za idioci, te bransolety są identyczne. Zupełnie tak jak wy!

Potem wystąpił Gort, a za nim dwóch Skandian wniosło stół, na którym leżała broń. Każdy z członków drużyny dostał nowy miecz lub topór, w zależności od tego, jakiego rodzaju oręża używał podczas treningów. W przeciwieństwie do starej zniszczonej broni, którą otrzymali na czas ćwiczeń, ta była nowa, doskonale wykonana i wyważona. Hal był wprawdzie zdania, że miecz, który dostał w prezencie, nie dorównuje temu po ojcu, przyjął go jednak z wdzięcznością jako jeszcze jeden dowód zwycięstwa.

Teraz miał przemówić Erak. Ustawili się po obu jego stronach, Hal po prawej ręce, Stig po lewej.

– Cóż to za drużyna! – zaczął oberjarl. – Złodziej, przewrażliwiony na swoim punkcie pierwszy oficer, niemal ślepy niedźwiedź, błazen, bliźniaki, których nikt nie potrafi odróżnić, mól książkowy i skirl, który nie wie nawet, jak powinien wyglądać porządny żagiel. – Powiódł po nich wzrokiem z uśmiechem, po czym dodał: – Trudno wyobrazić sobie lepszy skład.

Zebrani wrzasnęli na znak aprobaty. Biorąc pod uwagę ilość spożytego przez nich piwa, zapewne wrzeszczeliby z zapalem, nawet gdyby Erak oznajmił, że od teraz słońce wstaje na zachodzie, a w czasie deszczu każdy Skandianin ma obowiązek chodzić na rękach.

Oberjarl uciszył gestem tłum. Krzyki powoli cichły, przechodząc w stłumione pomruki – bo na całkowitą ciszę w przypadku grupy Skandian nie ma co liczyć.

– Jak wiadomo, każdego roku nagradzamy zwycięską drużynę w wyjątkowy sposób – na dowód naszego podziwu i zaufania do świeżo upieczonych wojowników.

Wśród zebranych przeszedł szmer. Wszyscy pochylili się do przodu, zaintrygowani.

– Tegoroczni zwycięzcy, tak jak ich poprzednicy, dostąpią zaszczytu sprawowania przez jedną noc straży przy Andomalalu.

Najcenniejszy skarb Hallasholm przechowywano w tabernakulum w niewielkiej świątyni, stojącej na szczycie wzgórza ponad miastem. Dniem i nocą pilnowały go straże, składające się z sześciu mężczyzn, którzy odznaczyli się szczególną odwagą. Tylko najwięksi wojownicy mogli liczyć na to, że znajdą się wśród wybrańców.

Hal spojrzął na swych towarzyszy. Tak jak on byli pod wielkim wrażeniem. Potrząsnął głową. Oni, odrzuceni, niechciani, teraz mieli sprawować straż przy najcenniejszej relikwii wszystkich Skandian. Przebyli długą drogę, by dotrzeć do tego punktu.

– Wasza zmiana zaczyna się o północy – dodał Erak. – Radzę więc porządnie się wyszaleć, macie tylko kilka godzin.

Dziesięć minut przed dwunastą chłopcy zebrali się i przy wtórze radosnych okrzyków świętującego tłumu opuścili Błonia. Podążyli za Erakiem i Sigurdem stromą ścieżką prowadzącą do świątyni, uzbrojeni w nowe miecze i topory. Z góry roztaczał się wspaniały widok na miasto i morze. Hal powiódł dokoła wzrokiem i westchnął. Zastanawiał się, czy można być bardziej szczęśliwym.

A potem poprowadził swych towarzyszy ku podwyższeniu z ziemi, na którym stała świątynia.

– Kto tam? – rozległ się głos. Na brzegu podwyższenia ukazała się potężna postać w hełmie.

Hal odpowiedział wedle ustalonej formuły:

– Drużyna Czapli, tegoroczni zwycięzcy. Przybyliśmy odbyć wartę honorową.

– W takim razie podejdźcie bliżej, by dokonać zmiany wart – odpowiedział strażnik. Chłopcy ruszyli bezładnie w stronę świątyni, ale powstrzymał ich ostry głos Hala.

– Stop! Porządnie, a nie jak motłoch! Ustawcie się parami. Stig, podawaj rytm.

Prędko ustawili się w dwóch kolumnach i weszli po schodach na podwyższenie. Przystanęli naprzeciw sześciu strażników, którzy także uformowali karny szereg.

– Zwalniamy was z warty – powiedział Hal. Erak nauczył go wcześniej wszystkich potrzebnych komend. Strażnicy opuścili topory i skłonili głowy. Przypominało to bardziej kiwnięcie niż ukłon.

– Drużyno Czapli – powiedział dowódca straży – oddajemy Andomal pod waszą opiekę.

– Z nami będzie bezpieczny – rzekł Hal, a pozostali członkowie drużyny wydali zgodny pomruk. Wtedy dowódca wystąpił naprzód i podał Halowi rękę. Hal wiedział, że to nie należy do porządku.

– Dobra robota, Halu Mikkelsonie – powiedział. Hal poczuł, jak duma rozpieiera mu pierś. Potem dowódca wydał rozkaz swym pięciu towarzyszom i razem zeszli po schodach. Na podwyższeniu zostali chłopcy, Sigurd i Erak. Erak uścisnął dłoń każdemu z nich po kolei i pożegnał się.

– Zwolnią was o świcie – powiedział. – Powodzenia.

Sigurd powtórzył to samo i ruszyli za strażnikami.

– Ja obejmę pierwszą wartę – oznajmił Hal. – Reszta może iść spać.

Mieli za sobą długi wyczerpujący dzień, więc nie dali się dwa razy prosić. Zajęli miejsca na podwyższeniu i opatulili się porządnie. Jeszcze przez kilka minut słychać było gwar rozmów, ale szybko zapadła cisza. Wszystkich ogarnął sen. Hal przechadzał się brzegiem podwyższenia. Miał przy sobie miecz, który dostał w nagrodę, choć nie sądził, by musiał użyć go tej nocy. Warta honorowa miała charakter czysto formalny. Żaden Skandianin nie ważyłby się ukraść Andomala.

Wiatr szumiał w gałęziach sosen. Brzmiał zupełnie jak wzburzone morze, jakby naśladował dochodzący z dala dźwięk fal rozbijających się o brzeg.

Po godzinie Hal zbudził Stiga i położył się.

Gdy nagle się obudził, na warcie stał Stefan. To znaczyło, że minęły co najmniej trzy godziny od rozpoczęcia warty. Ciemna sylwetka przesuwała się powoli wzdłuż skraju podwyższenia.

Hal usiadł i przeciągnął się. Przez chwilę zastanawiał się, co go zbudziło.

– Wszystko w porządku? – zawołał cicho do Stefana.

Stefan spojrział na niego, podszedł bliżej i odpowiedział, tłumiąc głos:

– Zdaje się, że tak. Właśnie miałem obudzić Ulfa. A co, coś słyszałeś?

– Nie, chyba nie. Ale coś mnie obudziło.

I nagle uświadomił sobie, co to było. Wiatr ucichł. Wcześniej szumiał między drzewami. Nawet kiedy spał, ten odgłos jakoś docierał do jego świadomości. A potem ustał. Teraz wyraźnie było słyhać morze. Od strony miasta nie dochodził żaden dźwięk. Mieszkańcy od dawna leżeli w łózkach.

Coś w tej ciszy bardzo mu się nie podobało. Wiatr zwykle nie ustaje tak nagle. Wstał i zaczął przechadzać się, wpatrzony w ciemność.

Nagle wiatr zawiął z południowego wschodu.

Zmienił kierunek o niemal sto osiemdziesiąt stopni. Teraz wiał z przeciwnej strony, z o wiele większą siłą. Gałęzie sosen znów zaczęły szumieć smętnie, ale ciszej niż poprzednio, zagłuszone świstem wzmagającego się wiatru. Hal podniósł wzrok. Z południa napływały ciemne chmury, przysłaniając światło gwiazd.

Nagle uderzyła go pewna myśl. „Czapla”! Stała na swoim miejscu nad strumieniem. Ale kiedy Svengal ją cumował, wiatr wiał z północnego zachodu. Teraz zmienił kierunek i przybrał na sile. Teraz miejsce nad strumieniem było bardziej narażone na podmuchy. Hal zastanawiał się, czy Svengal na pewno porządnie przywiązał łódź. Pewnie tak, był doświadczonym żeglarzem. Hal jednak bardzo się martwił. Może Svengal wcześniej wypił. Może użył pojedynczych cum. Przy tym wietrze należałoby użyć podwójnych. A siedem godzin wcześniej nie wiało tak mocno. Może Svengalowi spieszyło się z powrotem na zabawę. W końcu to nie był jego okręt.

Może...

Hal chodził niespokojnie w tę i z powrotem. W ciągu dziesięciu minut byłby nad strumieniem. W ciągu kolejnych dziesięciu sprawdziłby cumy, wzmocnił je w razie konieczności, jeszcze dziesięć i byłby z powrotem.

Wiedział, że jako przywódca drużyny absolutnie nie ma prawa opuszczać stanowiska. Gdyby Erak czy Sigurd kiedykolwiek się o tym dowiedzieli, marny byłby jego los. Ale przecież na straży zostanie jeszcze siedmiu chłopców. Poza tym to i tak czysta formalność. Przecież nikt nie ukradnie Andomala.

– Obudzę Ulfa i zdrzemnę się – powiedział Stefan.

– Co? A... tak. Jasne. Chyba pójdę sprawdzić łódź.

– Dobry pomysł. Wiatr przybrał na sile.

To pomogło Halowi ostatecznie podjąć decyzję. Skinął Stefanowi głową i zszedł po schodach. W dół wiodły dwie ścieżki: jedna w stronę Hallasholm, druga nad strumień. Podążył nią, a dotarłszy do podnóża wzniesienia, zaczął biec.

„Czapla” unosiła się na wodzie na swoim stałym miejscu. Sprawdził cumy, ale nie było powodów do obaw. Mimo to przywiązał dodatkowe cumy i, zadowolony, że jego łodzi nic nie grozi, zawrócił ścieżką do świątyni.

Czubki sosen wyginały się mocno na wietrze, gałęzie falowały niczym wzburzone morze. Kiedy zaczął wspinać się na wzniesienie, poczuł dziwny niepokój. Niebo na wschodzie rozjaśniało się powoli. Erak powiedział, że zmienią ich o świcie. Wartownicy mogli przybyć lada chwila. Resztę drogi Hal przebył biegiem, schody pokonał po dwa stopnie.

Gniewnie zmarszczył brwi. Ulf powinien zareagować. Nawet jeśli Stefan uprzedził go i Ulf wiedział, że ma się go spodziewać.

A potem go zobaczył. Leżał na ziemi, oparty o jakiś głaz, z rękami podłożonymi jak poduszka pod głową.

– A niech cię, Ulf – mruknął Hal. – Zasnąć na warcie! Co by było, gdyby zjawił się Erak? – Nagle uświadomił sobie, że nie ma prawa złościć się na niego. Ulf zasnął, ale przynajmniej nie opuścił stanowiska. W przeciwieństwie do niego.

Podszedł prędko do śpiącego chłopaka, pochylił się i potrząsnął nim. Ulf poruszył się, machnął ręką, próbując odgonić natręta.

– Zjeżdżaj! – powiedział, nadal zamroczony snem, potem uniósł głowę i skierował na Hala nieprzytomne spojrzenie. Przez chwilę nie bardzo wiedział, gdzie się znajduje, ale w końcu w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia. I poczucie winy.

– Hal! Tylko przymknąłem oczy, dosłownie na sekundę! Przysięgam!

Hal jednak nie patrzył na niego, lecz na wejście do świątyni. Na jego twarzy malowało się przerażenie. Drzwi stały otworem, kołysząc się lekko na wietrze. Zanim odszedł, były zamknięte. Wiedział z całą pewnością, że tak.

Na chwilę zapomniał o Ulfie, wbiegł po schodkach, otworzył szerzej drzwi. Żołądek podszedł mu do gardła.

Po kilkunastu sekundach jego oczy przyzwyczyły się do mrocznego wnętrza. Drzwiczki tabernakulum były otwarte. Zwisały smętnie na urwanym zawiasie.

Andomal zniknął.

ROZDZIAŁ 42

Nie mogę uwierzyć, że do tego dopuściliście! Jak mogliście? – w głosie Eraka wzdarda w równych proporcjach mieszała się z gniewem. Ośmiu członków drużyny Czapli pospuszczało głowy i niepewnie przestępowało z nogi na nogę. Erak powiódł po nich wzrokiem. Żaden z chłopców nie odwzajemnił spojrzenia.

– Andomal! – krzyknął! – Zdajecie sobie sprawę, że to najcenniejsza skandyjska relikwia?

Nadal nikt nie podnosił głowy. Nikt nie odpowiedział.

– Wiecie, od jak dawna leżał bezpiecznie w świątyni? Wiecie? – powtórzył, tym razem najwyraźniej oczekując odpowiedzi.

Hal spojrział w bok. Wszyscy jego przyjaciele nadal stali w tej samej pozycji, ze spuszczoneymi ze wstydu głowami. Uznał, że jako skirl powinien odpowiedzieć.

– Dwieście lat? – zaryzykował.

Erak zatrzymał na nim lśniące gniewem oczy. Pozostali starsi jarlowie – członkowie rady – milczeli. Tchnęło od nich dezaprobatą, może nawet wrogością.

– Dwieście lat? Mogłem się domyślić, że nigdy nie zadałeś sobie trudu poznania historii Skandii. W końcu jesteś Aralueńczykiem.

Hal zarumienił się, miał wrażenie, że policzki mu płoną. W przypływie gniewu otworzył usta, gotów udzielić ostrej odpowiedzi, lecz zaraz je zamknął. Nie miał prawa dyskutować z Erakiem. Zasłużył sobie na to.

– Andomal znajdował się w naszym posiadaniu przez trzysta dwadzieścia lat. Trzysta dwadzieścia lat! A wy nie potrafiliście ochronić go przez jedną jedyną noc! Banda łachmytów! Powiniennem kazać was wychłostać. Wszystkich! I tak bym zrobił, bez wahania, gdyby to mogło zwrócić nam Andomal.

Hala, choć solidnie zbudowana, zadrżała pod nagłym podmuchem wiatru. Pogoda znacznie się pogorszyła przez ten krótki czas, który minął od chwili, gdy Czaple pobiegły do miasta zgłosić zaginięcie skarbu. Z południowego zachodu nadciągnął prawdziwy sztorm.

– Widzieliście coś? Słyszeliście? Domyślcie się, kto to mógł zrobić?

Ośmiu chłopców potrząsnęło głowami. Erak odetchnął głęboko i zaczął przechadzać się w tę i z powrotem. Drzwi wejściowe otworzyły się, do hali wpadł ze świstem wiatr, płomień świec i pochodni zamigotały. Do środka wkroczyli Gort i Sigurd, których Erak wezwał na wieść o nieszczęściu. Za nimi wśliznął się do środka ktoś jeszcze. Hal odwrócił się lekko. Był to Thorn. Przystanął w cieniu przy wejściu, a Gort i Sigurd pospieszyli ku Erakowi i sześciu członkom rady.

– Co się stało? – zapytał Sigurd. Nie mógł uwierzyć w to, co powiedział mu posłaniec. Erak spojrział na niego ponuro i odparł, wskazując kciukiem na chłopców:

– Twoi najlepsi uczniowie pozwolili, by ktoś ukraść Andomal.

Gort odwrócił się, zaklął. Sigurd, wściekły, zrobił krok w stronę chłopców.

– Kto? Kto to zrobił?

Hal spojrział na niego.

– Nie wiemy.

Przerobił już to samo z Erakiem. Sigurd zadał jednak kolejne pytanie – którego Hal obawiał się najbardziej.

– Kto stał wtedy na straży? Wszyscy?

– Nie – odparł Hal, już bojąc się kolejnego pytania. – Zmienialiśmy się co godzina, jeden stał na straży, a reszta spała.

– SPALIŚCIE? – wrzasnął Sigurd, z twarzą tuż przy twarzy Hala. – Spaliście, kiedy ktoś ukradł Andomal? Kto był na straży?

Nastąpiła cisza. Po chwili Ulf wystąpił naprzód, z głową nadal zwieszoną ze wstydu.

– Ja. Zasnąłem – wyznał żałośnie. Jarlowie głośno wciągnęli powietrze. Sigurd otworzył usta, lecz nim zdążył zaatakować, Wulf powiedział:

– To nie on stał na straży. To ja.

Ulf uniósł wzrok i spojrzał ze zdumieniem na brata.

– Nie, nieprawda, to byłem..

– ...ja – dokończył Stig, a za nim to samo powtórzyli Jesper, Ingvar, Stefan i Edwin.

– To ja byłem na straży!

– Żeby was Orlog! – warknął Sigurd. – Jeśli sądzicie, że dzięki takim sprytnym sztuczkom ominie was kara, to się mylicie! – Spojrzał z wściekłością na Hala, który w tym momencie wystąpił przed szereg z uniesioną dłonią. – O co chodzi?

– To nieważne, kto stał na straży – zaczął Hal. – Ja jestem przywódcą i ja ponoszę odpowiedzialność za to, co się wydarzyło.

– A żebyś wiedział! – wrzasnął Sigurd. – Ale pozostałym to nic nie pomoże! Powinni... – urwał nagle, bo drzwi znowu się otworzyły i do środka wpadł kolejny silny powiew, tym razem wraz z deszczem. Płomienie znów zamigotały.

Wszystkie oczy zwróciły się na Svengala. Był ubrany odpowiednio do pogody, w gruby płaszcz z baraniego futra i wełnianą czapkę. Zamknął drzwi i ruszył przez halę, zostawiając za sobą mokre ślady.

– To był Zovac – oznajmił. Wśród zebranych przebiegł gniewny pomruk. Erak uniósł dłoń, zarządzając ciszę. Od początku tak podejrzewał, lecz do tej chwili nie miał żadnych dowodów.

– Skąd wiesz? – zapytał cicho.

Svengal podszedł do ognia, rozpiął płaszcz, który zaczął parować pod wpływem ciepła.

– Tak jak kazałeś, przeszukaliśmy wybrzeże. Musieli zawrócić dziś w nocy. Znaleźliśmy miejsce, gdzie wylądowali. Na piasku nadal było widać ślady.

– Skąd pewność, że to był Zovac? To mógł być jakiś inny okręt – zauważył Borsa, hilfmann Eraka. Nie tylko on miał wątpliwości.

Svengal spojrzał na niego i skinął głową. Pytanie było logiczne, lecz z łatwością na nie odpowiedział.

– Taran na dziobie wyłobił głęboki ślad w piasku, szerszy niż ślad, jaki zostawiłaby stępka wilczego okrętu czy statku handlowego.

Wszyscy jarlowie zaczęli mówić naraz. Svengal, podnosząc głos, by ich przekrzyczeć, dodał:

– To nie koniec.

Z tonu jego głosu Erak wyczuł, że ma coś nieprzyjemnego do zakomunikowania. Mrużąc oczy, skinął Svengalowi głową na znak, że ma mówić dalej. Czuł, że wie, co to będzie. Svengal odczekał, aż pozostali skończą mówić.

– Zabili dwóch strażników – powiedział cicho. – Znaleźliśmy ich ciała niedaleko miejsca, gdzie Zovac przybił do brzegu. Mieli poderżnięte gardła.

Wśród zebranych znów przeszedł szmer. Erak uniósł dłoń.

– Kto to był?

– Keese Malletson i Pern Wielka Łapa.

Erak ze smutkiem potrząsnął głową. Znał dobrze ich obu.

– To byli świetni ludzie.

Svengal tylko kiwnął głową. Cóż mógł na to powiedzieć?

Nagle rozległy się kroki. Z cienia wychynęła postać Thorna.

– W takim razie lepiej, że chłopcy spali – powiedział.

Erak popatrzył na niego podejrzliwie.

– Czemu tak twierdzisz?

Thorn wzruszył ramionami.

– Gdyby strażnik nie spał, Zovac także jemu podciąłby gardło. Przynajmniej to nieszczęście nas ominęło.

Borsa zmarszczył brwi.

– Moim zdaniem to dziwne, że nie zabili ich wszystkich podczas snu.

Thorn spojrział na hilfmanną. Nigdy w życiu nie brał udziału w żadnej akcji, był zwykłym urzędnikiem.

– Nie tak łatwo zabić ośmiu ludzi, nawet śpiących, nie robiąc przy tym hałasu. Istniało ryzyko, że któryś zdoła uciec w zamieszaniu i podniesie alarm. Bezpieczniej było pozwolić im spać, zakraść się do świątyni i zabrać Andomal. Silny wiatr tłumiał wszystkie odgłosy.

Erak spojrział z namysłem na byłego członka swojej załogi.

– Może masz i rację. Całe szczęście, że nie ponieśliśmy większych strat w ludziach. To jednak nie zwalnia członków drużyny Czapli z odpowiedzialności. Są winni zaniedbania obowiązków. Temu nie da się zaprzeczyć. Andomal został skradziony podczas ich warty. To oni za to odpowiadają.

Thorn westchnął ciężko i spuścił głowę.

– Pewnie tak – stwierdził ze smutkiem.

Erak popatrzył na niego i stwierdziwszy, że Thorn nie zamierza go przekonywać, skinął głową i odwrócił się do Svengala.

– Zbierz załogę „Wilczego Wichru”. Wyruszymy o świcie i dogonimy Zavaca.

Jeszcze nie zdążył dokończyć zdania, gdy Svengal potrząsnął głową.

– Nie uda nam się nawet wypłynąć z portu, wodzu. Wieje wiatr od morza, przez wejście do portu wlewają się dwumetrowe fale. Musiałem przestawić „Wilczy Wicher”.

Erak gniewnie uderzył pięścią o wnętrze dłoni.

– Dobrze – powiedział. – Ale tak czy inaczej zbierz załogę. Kiedy tylko się wypogodzi, wychodzimy w morze.

– Tak jest. Ale tak szybko to nie nastąpi. Sztorm potrwa co najmniej dwa dni.

– Po prostu zrób, co mówię.

Svengal odwrócił się i opuścił halę. Erak popatrzył za nim, po czym przeniósł wzrok na chłopców.

– Dobrze. Jakie jeszcze mamy informacje? Wiecie, o której godzinie doszło do kradzieży? – Pytanie to skierował do Hala, który po krótkim zastanowieniu odparł:

– Niech pomyślę. Stefan stał na straży, kiedy poszedłem. Wróciłem, zanim zerwał się sztorm...

– Zaraz, zaraz! – przerwał mu Erak, mrużąc oczy. – Wróciłeś? Skąd wróciłeś?

Hal nerwowo przełknął ślinę. Wiedział, że wcześniej czy później wszystko się wyda. Nie miało sensu niczemu zaprzeczać. Spuścił wzrok i odparł cicho:

– Poszedłem nad strumień, przywiązać lepiej „Czapkę”.

– Co takiego?! – spytał Erak podniesionym głosem. Sigurd i Gort wpatrywali się w Hala z niedowierzaniem. Thorn jęknął.

– Przysięgam, poszedłem dosłownie na dziesięć minut. Razem nie było mnie dwadzieścia.

Wróciłem..

– Opuściłeś stanowisko? – Sigurd wciąż nie wierzył.

Hal rozłożył ręce w przepaszającym geście.

– Tylko na kilka minut. Stefan stał na straży. Nie byłem tam do niczego potrzebny.

Gort rzucił mu lodowate spojrzenie. Wcześniej nauczyciele mieli dla nich jednak odrobinę współczucia czy zrozumienia, teraz wyłącznie potępienie.

– Owszem, byłeś jak najbardziej potrzebny.

Hal powiódł dokoła wzrokiem, szukając wsparcia. Twarze Borsy i pozostałych jarłów były wrogie, nieporuszone. Erak srogo zacisnął wargi. Thorn w ogóle na niego nie patrzył.

Hal westchnął. Cały jego świat legł w ruinach. Poprzedniego wieczoru rozbudziły się w nim wielkie nadzieje. Wreszcie został zaakceptowany, uznany za prawdziwego Skandianina. Teraz znów był pariasem, jeszcze nędzniejszym niż wcześniej.

– W takim razie to przede wszystkim ty ponosisz winę za to, co się stało – powiedział Erak zimno.

– W większym stopniu niż inni, ponieważ opuściłeś stanowisko. I ponieważ na tobie spoczywała największa odpowiedzialność.

– Tak jest, oberjarlu – odparł Hal żałośnie. Zastanawiał się, w jaki sposób zostaną ukarani. Długo nie musiał czekać.

– Oddajcie bransolety – rozkazał Erak. – Natychmiast!

Ostatnie słowo zabrzmiało jak cięcie biczem. Hal wzdrygnął się, po czym spojrzał na miedzianą bransoletę na swoim nadgarstku – symbol ich triumfu, symbol, który uczynił ich zwycięską drużyną. Powoli zsunął ją i postąpił do przodu. Erak wskazał stół obok podestu. Hal wypuścił z dłoni bransoletę, która upadła na blat ze stłumionym brzęknięciem. Pozostali członkowie drużyny poszli w jego ślady.

– Od tej chwili – dodał Erak – drużyna Czapli nie istnieje. Sigurd i Gort, wymażcie z waszych notatek wszelkie wzmianki na jej temat. Zwycięską drużyną ogłaszam Rekiny.

– Ale... – zaczął Hal, lecz urwał. Pomyślał, że to sprawiedliwy wyrok. Słuszny. Uczciwy. Erak spojrzał na niego, czekając na dalszy ciąg.

– Tak?

Hal znów spuścił głowę i mruknął:

– Nie, nic, oberjarlu.

– Zgadza się z tobą. Gdzie macie broń i hełmy, które dostaliście?

– Zostały przy świątyni – odparł Hal. Kiedy tylko odkryli, że Andomal zniknął, natychmiast pobiegli do hali Eraka. Nikt nie myślał o broni.

– Przynieście je tutaj do godziny dziesiątej. To broń ludzi honoru, wy nie macie do niej prawa. Nie zapomnijcie o hełmach.

Niektórzy z chłopców jęknęli. Hełmy stanowiły dowód, że przeszli trening. A teraz mieli je zwrócić.

– Wszystko – zaznaczył zimno Erak. – Podlegacie utracie mienia. – Urwał, po czym dodał z naciskiem: – Łącznie z twoją łodzią.

– Moją łodzią? – Hal gwałtownie uniósł głowę. – „Czapłą”?

– A masz jakąś jeszcze? – spytał Erak złośliwie. – Tak, chodzi o „Czapkę”. Zabieram ją.

Głos uwiązał Halowi w gardle. Tylko nie to! Nie jego piękna wspaniała łódź! Erak nie miał prawa tego zrobić! Usłyszał stłumiony pomruk. Spojrzał w tamtą stronę. Thorn powoli potrząsał głową, nie spuszczać z niego wzroku. Po chwili odwrócił się i wyszedł z hali. Odgłos jego kroków wyraźnie rozbrzmiewał w ciszy.

– Proszę, oberjarlu... – zaczął Hal błagalnie.

Erak jednak nie słuchał go. Ponownie zwrócił się do Gorta i Sigurda:

– Poprawcie swoje zapiski. Zwycięską drużyną są Rekiny. Czaple nie istnieją. Jeśli o mnie chodzi, nigdy nie istniały.

Nauczyciele ponuro skinęli głowami. Hal rozejrzał się, szukając jakiegoś znaku nadziei, lecz twarze wszystkich jarłów wyrażały poparcie dla tej decyzji.

– A teraz wynoście się stąd – dodał Erak ze wzgardą. – Nie chcę was tu widzieć. Wynocha!

Przygnębieni chłopcy w milczeniu wyszli z hali. Bez słowa opuścili teren miasta i podążyli ścieżką wiodącą do świątyni. Hal cieszył się, że z powodu wczesnej pory – nadal był ranek – i kiepskiej pogody mieszkańcy Hallasholm siedzieli w domach. Wieści o haniebnym zaniedbaniu na pewno prędko obiegłyby miasto, a Hal nie zniósłby oskarżycielskich spojrzeń.

Nagle uświadomił sobie z przerażeniem, że będą musieli znosić je do końca życia. On już na zawsze pozostanie człowiekiem, który zaniedbał swe obowiązki. Od początku czuł się jak wyrzutek, ale zdawał sobie sprawę, że od tej chwili będzie dziesięć razy gorzej.

Z gorzkim poczuciem skrajnej beznadziei powiódł milcząco procesję ku świątyni.

ROZDZIAŁ 43

Thorn kroczył przed siebie półprzytomny, nie zwracając uwagi na wicher, który szarpał nim i przenikał przez wytartą tkaninę płaszcza; ziębił do szpiku kości.

Serce ciążyło mu w piersi jak kawał ołowiu. Podobnie jak Hal zdawał sobie sprawę, co czeka członków zlikwidowanej drużyny Czapli – społeczny niebyt, nienawiść i obelgi. W najgorszej sytuacji znajdzie się Hal, ponieważ był ich przywódcą. I ponieważ zawsze traktowano go jak wyrzutka.

Thorn kochał tego chłopaka. Kochał jego entuzjazm, energię i pomysłowość. A teraz będzie musiał patrzeć, jak wszystkie te cechy znikają, zniszczone przez gorycz i nienawiść. Wiatr i deszcz siekły jego twarz, łzy zmieszane z kroplami wody płynęły po policzkach. Czuł, że tego nie znieśie. Nie mógł patrzeć beczynnie, jak młody błyskotliwy człowiek upada na dno.

Po raz pierwszy od wielu lat miał ochotę się napić. Schlać się porządnie, do nieprzytomności, by nie myśleć o chłopcu, którego tak bardzo lubił, i o czekającym go losie.

Na wpół świadomie skierował kroki w stronę gospody, uginając się pod silnymi podmuchami. Przybudówka trzęsła się na wietrze, ciężka skórzana zasłona, służąca za drzwi wydeła się do środka. Wszedł i sięgnął pod pryczę, gdzie leżał płócienny chlebak.

W jego wnętrzu kryła się butelka mocnej brandy. Thorn trzymał ją tam od wielu lat, od kiedy rzucił picie. Początkowo, ponieważ nie wiedział, czy uda mu się wytrwać w postanowieniu, a później, ponieważ myśl, że nie ma pod ręką niczego do picia napełniała go przerażeniem. Po jakimś czasie niemal zapomniał o jej istnieniu. Tego ranka jednak sobie przypomniał. Wyjął butelkę z torby, otworzył ją. W nozdrza uderzył go mocny zapach alkoholu. Podniósł butelkę do ust.

I zatrzymał się.

Kiedy Karina dowie się o wszystkim, na pewno przyjdzie go szukać. Nie mógł znieść myśli, że miałyby znowu zobaczyć go pijanego. Wystarczy wiadomość o tym, co przydarzyło się Halowi, nie potrzebowała dodatkowych zmartwień. Ostrożnie zakorkował butelkę, włożył z powrotem do chlebaka i wyszedł na wiatr i deszcz. Postanowił, że schowa się w jakimś cichym miejscu, z dala od ludzkich oczu. Znał takie miejsce. Wiedział, że tego dnia nikogo tam nie zastanie. Wspiął się stromą ścieżką między drzewami, a potem zszedł w dół po drugiej stronie, aż do swej tajemnej kryjówki pośród sosen.

Usiadł na ziemi i otulił się ciasniej kurtką. Wiatr jęczał w gałęziach. Jakby wygrywał akompaniament do jego rozpacz. Thorn ponownie odkorkował butelkę i podniósł ją do ust. Zawahał się. Mocna woń wypełniła jego nozdrza.

A potem cisnął butelkę między drzewa. Słyszał, jak uderza o ziemię i rozbija się o kamień. Uświadomił sobie, że alkohol nie jest żadną odpowiedzią. Nawet gdyby spił się do nieprzytomności, kiedyś musi znowu się obudzić. A sytuacja przez ten czas się nie zmieni. Widział tylko jedno rozwiązanie. Opuści Hallasholm. Przeprowi się przez góry, znajdzie przejście do Gallii czy Teutonii. Całkiem możliwe, że zginie podczas przeprawy, ale zupełnie o to nie dbał. Jeśli mu się uda, jakoś sobie poradzi. Miał pieniądze – i to sporo. Leżały w skrzyni w skarbnicy Eraka. Starczyłyby na kupno niewielkiego gospodarstwa w Gallii. Albo łodzi rybackiej. Dzięki ręce, którą zrobił dla niego Hal, będzie mógł sterować i wiosłować.

Hal. Poczul ukłucie w sercu.

„Ładnie go pilnowałem”, pomyślał. Uniósł wzrok. Przez prześwity między gałęziami widział pchane wiatrem chmury, pędziły po niebie, szare i melancholijne.

– Tak mi przykro, Mikkelu – powiedział cicho. – Starałem się ze wszystkich sił. Ale to widocznie za mało.

Jakby w odpowiedzi usłyszał jakieś głosy. Młode głosy. Zmarszczył brwi. Dochodziły ze szczytu wzgórza, które przed chwilą pokonał, ale nie mógł rozpoznać słów, odległość była zbyt duża. Zgięty w pół, by pozostać niewidocznym, zaczął skradać się w górę wzniesienia.

Chłopcy zaczęli zbierać broń, leżącą przy posłaniach, smutni i milczący. Z przyzwyczajenia zwinęli koce i ułożyli je starannie. Hal spojrział na świątynię. Drzwi wciąż stały otworem, trzaskały na wietrze niby wyrzut sumienia. Wszedł po stopniach i zamknął je. Z drzwiczkami tabernakulum, które zostały rozbite, nic nie mógł zrobić.

Zszedł po stopniach. Pozostali chłopcy stali w półkolu, czekając na niego. Z pewnym zaskoczeniem zdał sobie sprawę, że patrzą na niego, czekając na rozkazy. Wskazał na broń, leżącą na ziemi.

– Chyba musimy zanieść to do hali Eraka – powiedział cicho.

Edvin podniósł miecz, który dostał poprzedniego wieczoru, i spojrział nań ze smutkiem.

– A już zdążyłem się do niego przyzwyczaić. Jest znacznie lepszy od tego, którego używałem podczas treningów.

Pozostali zamruczeli zgodnie. Teraz tylko oręż, który dostali w nagrodę, i hełmy przypominały im, że tworzyli drużynę Czapli. Z chwilą, kiedy je oddadzą, ten wspaniały czas, czas prawdziwego triumfu, minie bezpowrotnie. Jakby nigdy się nie zdarzył.

Ulf powiódł wzrokiem po twarzach przyjaciół i powiedział, wyraźnie zawstydzony:

– Przepraszam, chłopaki. To wszystko moja wina.

Tym razem jego brat nie wykorzystał okazji, by dołożyć mu złośliwą uwagę. Pozostali przestąpili z nogi na nogę, nie patrząc na siebie. W końcu Hal przerwał kłopotliwą ciszę. Miał szczerą ochotę nawrzeszczyć na Ulfa za to, że wpakował ich w taką kabałę. Wiedział jednak, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Od tej chwili mieli tylko siebie. Nie mogli sobie pozwolić na wewnętrzne niesnaski. Poza tym w głębi serca zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę to on jest winowajcą. Na tym polega rola przywódcy.

– Nie myśl o tym. Thorn miał rację. Gdybyś nie spał, ludzie Zavaca by cię zabili.

Pozostali mruknęli zgodnie. Może nie całkiem szczerze, ale jednak.

– To chyba naprawdę koniec – zauważył Stefan z żalem. – Co my teraz zrobimy?

– Nikt nie weźmie nas do załogi – stwierdził Stig. – Nigdy nam nie wybaczą.

– Fajnie było w drużynie – dodał Ingvar ze smutkiem. – Po raz pierwszy w życiu czułem, że ludzie mnie szanują.

Wulf spojrział na niego i zaśmiał się gorzko.

– Lepiej o tym zapomnij. Od teraz będzie zupełnie odwrotnie. Wszyscy nas znienawidzą. I to się nie zmieni.

– Będziemy trzymać się razem – zaproponował Jesper. – Mamy tylko to.

– Ale co my zrobimy? Nikt nie da nam pracy, w każdym razie żadnej porządnej.

– Może z czasem zapomną – powiedział Edvin z nadzieją.

Ale Stig potrząsnął głową.

– Na pewno nie za naszego życia. Chodzi o Andomal, pamiętasz? Nie zapomną, że zniknął z naszej winy. Wulf ma rację. Nie ma dla nas życia. Ani pracy, ani szacunku. Nie znajdzie się nikt, kto chciałby mieć z nami coś wspólnego.

– Nie musimy tu zostawać. Możemy zostać kupcami – rzucił Stefan.

Ulf spojrzał na niego z politowaniem.

– Kupcy muszą mieć statek.

– Mamy „Czaple”... – zaczął Stefan, ale nagle sobie przypomniał: – A... no tak. Mają ją skonfiskować.

Hal przysłuchiwał się bez słowa. Obraz, który nakreślili, przedstawiał się bardzo przygnębiająco. Ale był prawdziwy. Nie było dla nich przyszłości w Hallasholm. Mieli tylko jedno wyjście.

– Nie pozwolę na to – oznajmił spokojnie. Wszyscy spojrzeli na niego.

– Zamierzasz z nimi walczyć? – zapytał Stig. Ton jego głosu zdradzał, co sądzi o tym szalonym pomysle. Hal potrząsnął głową.

– Raczej nie. Pewnie chętnie ustawiliby się w kolejce, żeby nas załatwić. Zamierzam po prostu odpłynąć – o ile kilku z was zechce do mnie dołączyć jako załoga.

Była to konkretna propozycja, nie puste słowa. Wszyscy na chwilę umilkli.

– Ale tu jest nasz dom – powiedział niepewnie Edvin.

Hal kiwnął głową.

– Owszem. Albo raczej był.

– Ja popłynę z Halem – zdecydował Ingvar. Powiódł wzrokiem po zamazanych postaciach. – Kto jeszcze?

Hal spojrzał zaskoczony na Ingvara. Sądził, że pierwszy zgłosi się Stig. Skierował teraz na niego wzrok i zapytał nagłym tonem:

– Stig? A ty? – Źle się czuł, zadając to pytanie, ale wiedział, że bez Stiga nie da sobie rady.

Stig zaszurał stopami. Jego twarz spłonęła rumieńcem.

– Nie wiem. Nie podoba mi się, że mamy tak po prostu uciec. To chyba zakrawa na tchórzostwo – wyjaśnił.

Hal skinął głową. Powinien był przewidzieć, że Stig tak zareaguje. Zawsze próbował mierzyć się z problemami, zawsze wolał otwarte działanie od potajemnej ucieczki. Ale źle zrozumiał intencje Hala.

– Ja nie chcę tak po prostu uciec. Planuję dogonić Zavaca i odebrać mu Andomal.

Te słowa odniosły skutek. Oczy chłopców błysnęły z zaciekawieniem.

– Nie rozumiecie? – ciągnął Hal. – Tylko w ten sposób możemy wszystko naprawić. Tylko tak odzyskamy normalne życie. Nie będą pamiętać nas jako tych, którzy przyczynili się do utraty Andomala, lecz jako tych, którzy go odzyskali.

Twarc Stiga rozjaśnił szeroki uśmiech. Podeszedł do Hala, chwycił jego rękę i potrząsnął nią gwałtownie.

– Teraz gadasz do rzeczy! – powiedział z entuzjazmem. – Wchodzę w to!

– Ja też! – wykrzyknęli chórem Ulf i Wulf. A potem spojrzeli na siebie.

– Ja pierwszy to powiedziałem! – oznajmił Wulf.

– Akurat! – zaprotestował Ulf. – Od początku zamierzałem...

– Przestańcie! – krzyknął Hal. Mimo powagi sytuacji nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Ci dwaj byli niereformowalni. Spojrzeli na niego zmieszani, po czym uśmiechnęli się.

– Przepraszamy – powiedzieli, znowu chórem.

– Pewnie przydałby ci się w tej wyprawie skuteczny złodziej – odezwał się Jesper. – Przyłączam

się.

– Ja też – oznajmił Stefan z uśmiechem.

Został już tylko Edvin. Wszystkie spojrzenia zwróciły się na niego. Zmarszczył brwi.

– Dogonić Zavaca i odzyskać Andomal? – powiedział z namysłem. – To poważna sprawa.

Naprawdę myślicie, że mamy jakieś szanse?

Hal już chciał odpowiedzieć, ale Ingvar go uprzedził.

– Spójrz na to w ten sposób. Nigdy nie mieliśmy szans wygrać z Wilkami i Rekinami. A jednak dokonaliśmy tego. Bo jesteśmy drużyną Czapli. I możemy wszystko.

Na twarzy Edvina powoli ukazał się uśmiech.

– Dzięki, że mi o tym przypomniałeś.

Ingvar prychnął.

– Już wcześniej ci mówiłem. Mam krótki wzrok, a nie defekt mózgu.

– Dobra. Wchodzę w to – powiedział Edvin do Hala. – Powinniśmy jednak omówić pewne kwestie praktyczne.

Stig jęknął.

– A musimy? Nienawidzę kwestii praktycznych.

– Zauważyłem – odparł Edvin. – Potrzebne nam będą zapasy żywności, narzędzia i pieniądze.

– Narzędzia leżą w moim warsztacie nad Niedźwiedzim Strumieniem. Zapasy mogę wziąć z gospody mojej mamy. Jestem pewien, że mi wybaczy – powiedział Hal z lekkim poczuciem winy. Nie podobało mu się, że ma okraść własną mamę, ale nie widział innego wyjścia.

Pozostali pokiwali głowami. Chcieli czym prędzej przystąpić do czynu.

– Mamy broń, a reszta potrzebnego sprzętu leży w baraku – dodał Hal. Potem uniósł dłoń w ostrzegawczym geście. – Jedna sprawa. Jeśli nasz plan się wyda, Erak na pewno zechce nas powstrzymać. Zostawcie liściki dla rodziny, jeżeli musicie, ale nic nie mówcie. – Spojrzał na słońce.

– Broń mamy oddać za jakieś trzy godziny. Przez ten czas musimy załadować wszystko na łódź. Jeśli ktoś się zorientuje, co robimy, to koniec.

– A co z pieniędzmi? – zapytał Edvin. – Zapasy kiedyś się skończą. Potem będziemy musieli kupować jedzenie.

Hal zawahał się.

– Może, tak jak proponował Stefan, moglibyśmy trudnić się kupiectwem. Przewozić towary czy pasażerów. Jakoś sobie poradzimy.

– Ja mam pieniądze – usłyszeli jakiś nowy głos. – Tyle, ile nam potrzeba.

Odwrócili się, przerażeni. Zza budynku świątyni wyszedł Thorn. Siedział tam ukryty przez cały czas i słuchał ich rozmowy.

– Thorn! – Hal uśmiechnął się na powitanie. – Skąd się tu wzięłeś? I co masz na myśli, mówiąc „tyle, ile nam potrzeba”?

– Słuchałem was z ukrycia od samego początku. I uważam, że to jedyne, co możecie zrobić. Chyba że chcecie być wyrzutkami do końca życia. A uwierzcie mi, to żadne życie. Coś wiem na ten temat.

Chłopcy wymienili uśmiechy, podekscytowani. Poczuli się znacznie bardziej pewni siebie, kiedy ktoś z boku potwierdził słuszność ich decyzji.

– A co do „tyle, ile nam potrzeba”, to chciałem powiedzieć, że płynę z wami, jeśli tylko mnie przyjmiecie. I tak zamierzałem odejść z Hallasholm. Morska podróż to dobra alternatywa dla samotnej przeprawy zimą przez góry.

Hal spontanicznie podbiegł do starego wilka morskiego i zarzucił mu ramiona na szyję.

– Witaj na pokładzie „Czapli”! – zawołał, a pozostali zamruczeli zgodnie.

Kiedy Hal już puścił Thorną, z kolei Stig podszedł i potrząsnął jego dłonią.

– Bardzo się cieszę, że z nami płyniesz – oznajmił. Ich spojrzenia spotkały się na krótką chwilę.

Thorn skinął głową. Wszystkie nieporozumienia zostały daleko za nimi. Thorn spojrzał teraz na Hala.

– Jedna sprawa. Nie złupisz spiżarni swojej mamy. Weź, czego potrzebujesz, ale dam ci pieniądze.

– Dobrze – zgodził się Hal. Wielki ciężar spadł mu z serca.

– Hal – zapytał Jesper – czy uda nam się wyjść z portu? Słyszałem, jak Svengal mówił, że sztorm potrwa co najmniej dwa dni.

Hal przytaknął.

– Wyjście z portu jest skierowane na południowy zachód. Dokładnie w kierunku, skąd wieje wiatr. Niedźwiedzi Strumień także płynie w tę samą stronę, ale sto metrów przed ujściem do morza skręca gwałtownie w lewo. Będziemy mieć wiatr od sterburty. Uda się.

– Skoro tak, to będziemy musieli postawić lewy żagiel – zauważył Stig. – A nie zdążyliśmy naprawić rejki. Mamy na to czas?

Po krótkim namyśle Hal podjął decyzję.

– Przenieście prawą rejkę na lewą stronę. Lewą rejkę naprawimy później. Najpierw musimy się stąd wydostać. – Popatrzył na przyjaciół i dodał: – Stefan, Ingvar, pójdziecie ze mną po zapasy. Thorn, idź po pieniądze do skarbnicy. Spotkamy się w spiżarni. Reszta, zabierzcie wszystko z baraku: koce, ubrania, narzędzia, broń, rzeczy osobiste. Nasze też. I nie zapomnijcie mojej kuszy. Potem idźcie nad strumień. Stig, ty zamień rejki. – Urwał, zastanawiając się, czy czegoś nie zapomniał. Nic nie przychodziło mu do głowy, ale przypuszczał, że po drodze coś jeszcze sobie przypomni. Spojrzał na Stiga i wyszczerzył się od ucha do ucha. – Nie umknął mi żaden drobny szczegół? – zapytał, a przyjaciel również wyszczerzył się w odpowiedzi.

– Oprócz tego, jak zamierzasz odszukać Zavaca, chyba nie.

ROZDZIAŁ 44

Erak właśnie nadzorował załadunek towarów na „Wilczy Wicher”, kiedy Tursgud podszedł do niego i zapytał:

– Oberjarlu, czy mógłbym zamienić z tobą słowo?

Erak spojrział na chłopaka. Nawet w bardziej sprzyjających okolicznościach czuł do niego silną niechęć. A teraz okoliczności stanowczo nie były sprzyjające.

– Chyba już to zrobiłeś – zauważył chłodno, a Tursgud uśmiechnął się dla stworzenia przyjemnej koleżeńskiej atmosfery.

– No tak. Chciałem ci tylko podziękować.

– Za co? – spytał Erak, po czym odwrócił się do mężczyzny, który właśnie wnosił na pokład worek glinianych naczyń. – Ostrożnie! Mogą się potłuc! Niezgrabny pacan. – Potem znów spojrział na Tursguda. – Za co?

– Za przywrócenie mojej drużynie tytułu mistrzowskiego. Wszyscy jesteśmy bardzo wdzięczni.

– Przywrócenie? Nie przypominam sobie, żebym przywrócił wam jakiś tytuł. Przypominam sobie, że przegraliście, a zwycięska drużyna została rozwiązana.

Tursgud wzruszył ramionami.

– No tak. Co za różnica. I tak wszyscy wiedzą, że wygrali fuksem, i że to my jesteśmy prawdziwymi mistrzami.

– Wszyscy, powiadasz? Nie tam, idioto! Bardziej w stronę rufy, żeby ciężar się rozłożył.

– Przepraszam! – krzyknął mężczyzna, do którego były skierowane te słowa. Inny niż poprzednio.

– To znaczy, chciałem powiedzieć, wcale się nie zdziwiłem, że tak szybko cię zawiedli. Dopuścić do tego, by ktoś wykradł Andomal... Dosłownie sprzed nosa... – Tursgud urwał, jakby zabrakło mu słów.

Erak skierował na niego niezbyt przyjazne spojrzenie.

– Nie podniecaj się tym za bardzo, dobrze?

Tursgud prędko zmienił wyraz twarzy i powiedział z powagą:

– W każdym razie pragnęlibyśmy dołączyć do was i wraz z wami ścigać madziarski okręt.

– Kto pragnie?

– Moi ludzie. Rekiny. Zwycięzcy. – Tursgud wyprostował się dumnie. Erak jednak tylko potrząsnął głową.

– Mam załogę – odparł obojętnie.

Tursgud zawahał się. Przez chwilę trawił słowa oberjarla, po czym postanowił spróbować jeszcze raz.

– W takim razie może ja mógłbym do niej dołączyć?

– Nie. Nie sądzę.

Nagle Erak usłyszał, że ktoś go woła. Odwrócił się. Jeden ze strażników biegł ku niemu wzdłuż plaży.

– Oberjarlu!

Mężczyzna podbiegł bliżej, zwolnił nieco i w końcu zatrzymał się, łapczywie chwytając chłodne powietrze. Jego oddech natychmiast zamienił się w parę.

– Coś się stało? – spytał Erak.

– Zniknęli – powiedział mężczyzna. – Wszyscy zniknęli.

– Jacy wszyscy?

Mężczyzna, wciąż dysząc z wysiłku, machnął ręką mniej więcej w kierunku, gdzie odbywały się treningi drużyn, na wzgórze ponad miastem.

– Drużyna... Czaple.

Tursgud podszedł do niego i chwycił za rękaw.

– Zniknęli? Jak to? – dopytywał.

Mężczyzna spojrzał na niego z wyraźnym niesmakiem, po czym zdjął rękę Tursguda ze swojego ubrania.

– Ręce przy sobie, chłopcze – warknął, po czym odwrócił się do Eraka.

– Sprawdziłem w świątyni i baraku. Koce, sprzęt, wszystko zniknęło. Oni też zniknęli.

– Przestań to powtarzać! – wrzasnął Tursgud łamiącym się głosem. – Gdzie niby teraz są?

– Popłynęli odzyskać Andomal – odezwał się jakiś głos. Odwrócili się. Kilka metrów od nich stała Karina. W wyciągniętej dłoni trzymała kartkę. Uniosła ją i powiedziała:

– Ha! zostawił mi list pożegnalny. Napisał, że tutaj nie ma dla nich życia i że płyną odzyskać Andomal, by naprawić swój błąd.

– Ha! – wykrzyknął Tursgud. – Tak jakby to było możliwe!

Karina posłała mu piorunujące spojrzenie, Erak zaś położył ciężką dłoń na ramieniu chłopaka i ścisnął, aż Tursgud zaczął popiskiwać i wić się z bólu.

– Pewnego dnia – powiedział Erak – pewnie wreszcie nauczysz się trzymać gębę na kłódkę. Dasz mi znać, kiedy to nastąpi, dobrze? – Potem odepchnął skirla Rekinów od siebie. Tursgud zastanawiał się przez chwilę, czy warto dalej walczyć o przychyłność Eraka. W końcu zdecydował, że nie, i poszedł sobie.

Karina poczekała, aż się oddalił, i dodała, tłumiąc głos:

– Byłeś dla nich zbyt surowy, Eraku. Nie zostawiłeś im ani odrobiny nadziei.

– Zawiedli całe miasto. Ba, cały kraj.

Ona jednak nie mogła się z tym zgodzić.

– Popełnili błąd, to wszystko. To tylko chłopcy.

Teraz Erak potrząsnął głową.

– To już nie są chłopcy, Karino. Właśnie na tym polega trening drużyn. Po jego ukończeniu chłopcy stają się wojownikami.

– Tak czy inaczej... – zaczęła, lecz przerwał jej okrzyk dochodzący z wieży strażniczej.

– Żagiel! Żagiel na wschodzie!

Spojrzeni we wskazanym kierunku. Niewielki trójkątny żagielek ukazał się u ujścia Niedźwiedziego Strumienia do morza i prędko skierował na południowy wschód.

– To „Czapla”! – krzyknął zdumiony strażnik.

Kształt żagla nie pozostawiał co do tego wątpliwości. Wszyscy pobiegli na falochron, by mieć lepszy widok. Erak i Karina nieśpiesznie podążyli za nimi.

Erak przystanął, przysłonił oczy dłonią i skierował wzrok na żagiel prędko malejący w oddali.

– Dobra robota, chłopcy – powiedział cicho. – Niech was Ullr prowadzi. – Ullr był bogiem myśliwych. Erak spojrzał na Karinę. – To była ich jedyna szansa na godne życie.

Zmarszczyła brwi.

– Wiedziałaś, że to zrobią? Uśmiechnął się ze smutkiem.

– A jak myślisz, czemu dałem im czas aż do dziesiątej?

Odwrócił się i jeszcze raz spojrzał na południowy wschód, lecz w tym momencie wielka fala

wybrzuszyła się na morzu i już nie zobaczył „Czapli”.

Tytuł oryginału: *Brotherband. The Outcasts*

First published by Random House Australia in 2011

This edition published by arrangement with Random House Australia Pty Ltd

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2012

Copyright © John Flanagan 2011

All rights reserved.

Redakcja: Ewa Holewińska

Korekta: Katarzyna Czarnecka

Typografia na okładce: Rafał Sadowski

Cover illustration © by Jeremy Reston

Cover design © by www.blacksheep-uk.com

Heron illustration © 2011 by Dawid Elliot

Copyright for the Polish edition © 2012 by Wydawnictwo Jaguar

ISBN 978-83-7686-147-0

Książka dla czytelników w wieku 11 +

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. Jawna

ul. Kazimierzowska 52 lok. 104

02-546 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2012



Plik cyfrowy został przygotowany na platformie wydawniczej Impingo
Warszawa 2012

